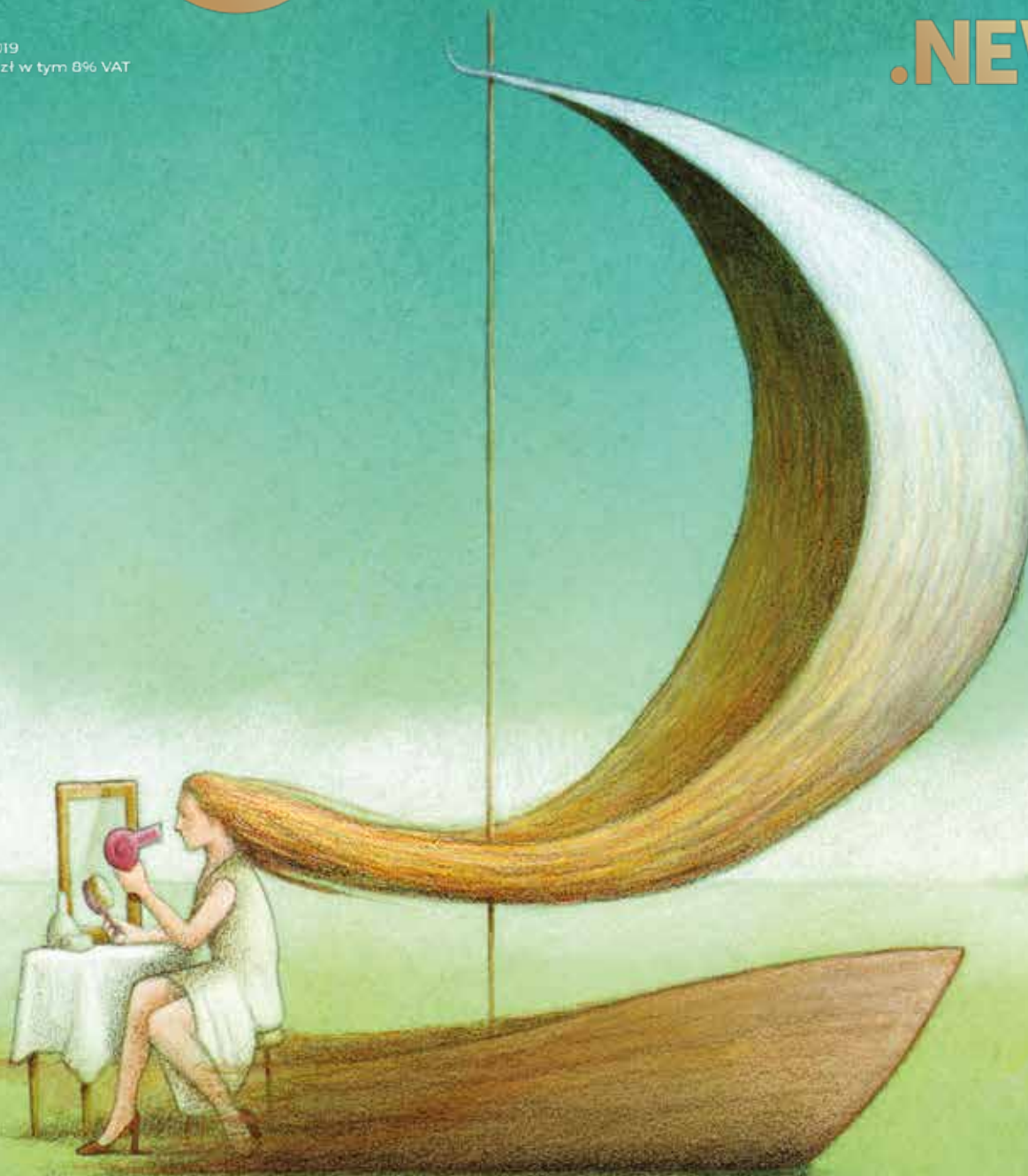


HOLISTIC

.NEWS

Nr 2 / 2019
Cena 12 zł w tym 8% VAT



**AFGANKI NIE WIERZĄ W
SZARMANCKICH TALIBÓW**

**POEZJA WYPLUTA
Z GOOGLE**

**JAK (NIE) ZOSTAŁAM
MASOWĄ TURYSTKĄ**

**ZAPOMNIANA
POŁOWA HISTORII**

**A JEŚLI SAMI STANIEMY SIĘ
SZTUCZNĄ INTELIGENCJĄ**

**USA-CHINY:
W STRONĘ WOJNY**



KOBIETY WIEDZA, CO ROBIAĆ

TECHNOLOGIE / ROZWÓJ / KARIERA / PSYCHOLOGIA

Pobierz aplikację:



www.wysokieobcasy.pl



CAVATINA



NON PROFIT STUDIO



CAVATINA
NON-PROFIT STUDIO

*Cavatina Non Profit Studio
Ul. Partyzantów 51, 43-300 Bielsko-Biala
Tel.: 48 336 284 669, 48 336 286 337
www.cavatina-studio.pl*

Uważamy, że rynek muzyczny w Polsce ma olbrzymi potencjał dzięki nieodkrytym jeszcze talentom.

HOLISTIC

Magazyn Holistic, ISSN 2544-607X

INDEKS: 427713

Wydanie: czerwiec 06/2019 (2)

Redaktor naczelny: Mariusz Zawadzki

Redaktorzy: Zbigniew Rokita,
Olga Kotulska, Przemysław Henzel

Kierownik redakcji: Szymon Wachal

Wydawca: Deweloper Media Sp. z o. o.

Adres redakcji: ul. Wielicka 28, 30-552 Kraków

tel. 33 333 91 13, e-mail: redakcja@holistic.news

Projekt graficzny i skład: Arkadiusz Kantor

Fotoedycja: Katarzyna Bieniaszewska

Ilustracje na okładce: Paweł Kuczyński

Dziennikarze:

Piotr Chałubiński, Wiktor Cyrny, Katarzyna Domagała, Łukasz Grzesiczak, Krzysztof Kapera,
Dominika Kardaś, Maciej Kochanowski, Paweł Konar, Karolina Anna Kuta, Michał Niepytalski,
Mateusz Tomanek, Adam Woźniak, Paulina Żebrowska

Stali współpracownicy:

Magdalena Chodownik, Łukasz Działkiewicz, Veronica Egui Brito, Chiara Ferraris, Terry Friel,
Jakub Janiszewski, Jowita Kiwnik-Pargana, Maciej Koprowicz, Maciej Machcewicz, Tadeusz Michrowski,
Paweł Pieniążek, Agnieszka Pikulicka-Wilczewska, Ola Synowiec, Marcel Wandas, Anna Wilczyńska

Korekta:

Firma Korektorska UKKLW

Druk: Walstead Kraków Sp. z o. o.

Dystrybucja płatna: Polperfect Sp. z o.o.

EMPIK, RUCH, INMEDIO, RELAY

Dystrybucja promocyjna: LCD Media Sp. z o.o.,

Distribution Point Group Sp. z o.o.

Biuro reklamy:

biuro@holistic.news

Szukaj nas na:

www.holistic.news



@holisticnews



www.facebook.com/portaHolisticNews/



<https://soundcloud.com/holisticnews>



https://twitter.com/news_holistic



<https://www.youtube.com/c/HOLISTICNEWS>

Tutaj nie będzie edytoriału podobnego do tych, które znajdziecie w innych magazynach. Uważamy, że ich publikowanie powinno być surowo wzbronione, szczególnie latem. Oddajemy głos Wam. Czekamy na Wasze listy, komentarze, polemiki i pomysły pod adresem

redakcja@holistic.news

SPIS



PODRÓŻ

- 8 Jak (nie) zostałam masową turystką**
Urywki z dziennika rejsu na Adriatyku
- 14 Umierające dusze miast**
Wenecja, Dubrownik czy Barcelona zamienione w turystyczne wydmuszki
- 18 Wstyd mi, że lecę**
Flygskam, czyli czemu Szwedzi nie chcą latać i czy mają rację
- 22 Wielki wyścig po turystów**
Tour de France kusi nie tylko kibiców kolarstwa
- 28 Wyjątkowo sympatyczni rebelianci**
Meksykańscy rewolucjoniści, którzy dorabiają sprzedażą pamiątek
- 34 W Himalajach zrozumiesz, że wszystko jest możliwe**
Wyprawa śladami pierwszych polskich himalaistów



LUDZIE

- 40 Matka Boska na działkach w Oławie**
Rozmowa z Łukaszem Orbitowskim o jego nowej książce
- 46 Matko bolesna, matko haniebna**
Kim była matka wszystkich Meksykanów i dlaczego to jest problem
- 52 Jak porzuciłam Kraków i pojechałam do Warszawy**
Notatki dziewczyny z Sosnowca w drodze do wielkiego świata
- 56 Terror narodowości**
Szczerek zastanawia się, czy można przestać być Polakiem
- 62 Pokolenie iGen, czyli jak iPhone upupił Amerykę**
Jakie jest pierwsze pokolenie, które poznaje świat przez smartfona
- 68 Nie boję się rozpuścić w świecie**
Rozmowa z Tomaszem Venclovą o przemijaniu i sztafecie pokoleń



ŚWIAT

- 72 Ameryka i Chiny na kolizyjnym kursie**
Lider może być tylko jeden
- 74 Chiny, czyli innowacyjny autorytaryzm**
Chiny budują sprawne, nowoczesne państwo bez demokracji. Wolny świat ma się bać?
- 76 Dziesięć kobiet i jedna wojna**
Reportaż Magdy Chodownik o matkach, żonach, wdowach i żołnierzach z Donbasu
- 84 Indie czekają na kobiecą rewolucję**
Kobiety przełamują tabu menstruacji
- 88 Zapraszamy do raju**
Co z Syryjczykami, którzy kilka lat temu uciekli przed wojną domową?
- 94 Najbardziej nieprzewidywalne zawody piłkarskie świata**
Nie wiadomo kto wygra, gdzie będą grali ani czy piłkarze pozostaną na wolności
- 100 Afganki nie wierzą w szarmanckich talibów**
Talibowie obiecują, że będą szanować kobiety, kiedy odzyskają władzę
- 104 Franczyzy czarnej flagi**
Kalifat w Syrii został rozbity, ale odradza się gdzie indziej

TREŚCI

- 110 Taniec atomowych kogutów**
Kto wyżej machnie nogą? Pojedynek żołnierzy Indii i Pakistanu
- 114 Na wschód od Europy, na zachód od Azji**
Ukraina nie zawróci z kursu na Zachód – pisze Serhij Żadan
- 118 Co dalej z Unią Europejską**
Odpowiada Ivetta Radičová, była premier Słowacji

PIENIĄDZE

- 121 Niepowetowana strata czasu**
Niepytalski stoi w korku i zastanawia się, kto mu za to zapłaci
- 124 Afryka bezgotówkowa**
Finansowa rewolucja, która zaczęła się w Zimbabwe
- 130 Polityka i mamona. Od Arystotelesa do oligarchów**
Jak filozofowie chcieli oddzielić politykę od pieniędzy i co z tego wyszło

PRZYSZŁOŚĆ

- 136 Homo sapiens w gabinecie optogenetyka**
A jeśli będzie można wymazać z mózgu złe wspomnienia? To dobrze czy źle?
- 142 Własny samochód to zło**
Miasto przyszłości będzie wyglądać jak w XIX w. – prawie bez aut
- 148 Amerykański ślad w Czarnobylu**
Dlaczego katastrofa z 1986 r. wciąż nas dotyczy i porusza
- 156 Jak przestać się bać i pokochać energię atomu**
Energetyka jądrowa to jedyna szansa na powstrzymanie globalnego ocieplenia
- 158 Trzynastozgłoskowiec na końcu internetu**
Poezja wypłuta z Google

EDUKACJA

- 164 Po co nam historia w spódnicy?**
Dziwiot-Meller na tropie zapomnianej połowy ludzkości
- 170 Jesteś dziewczyną? To współczuję**
Wychowanie w domu wgrywa dziewczynkom stereotypy
- 174 Nigdy nie spłacaj długów wdzięczności**
A szczególnie gdy idzie o 2 mld dolarów
- 176 Twoja łódź tonie. Game Over**
Zagraj w grę o uchodźcach, dopłyn z nimi do Europy
- 180 Herbata to opowieść**
Wywiad z mistrzem świata w parzeniu herbaty
- 184 Niech wasza mowa będzie: pach, pach, pach**
Państwo musi nauczyć się prosto i klarownie komunikować się z obywatelem

Jak (nie) zostałam masową turystką



URYWKI Z DZIENNIKA PODRÓŻY NA ADRIATYKU

Olga Janikowska

**OK. NIECH WAM BĘDZIE, POPŁYNĘ NA TEN TANDETNY REJS
WYCIECZKOWCEM Z WENECJI DO DUBROWNIKA. ALE NIE ZROBIĄ ZE
MNIE MASOWEGO TURYSTY. NIE DAM SIĘ GORĄCZCE KONSUMPCJI.
ZACHOWAM FILOZOFICZNY DYSTANS**

Zaczęło się jeszcze na lądzie. W portowym terminalu, wypełnionym kosmopolityczną mieszanką podekscytowanych masowych turystów, trwa sprzedaż pakietów na usługi w salonie spa, napoje alkoholowe, drinki bezalkoholowe czy kawę.

Nie wiem, jak to się mogło stać, ale terminal opuszczam z plikiem kuponów. Kupiłam pakiet 20 kaw, 10 butelek wina i 2 wejścia do spa.

A pomyśleć, że chciałam tylko sprawdzić, jakie usługi są oferowane – w końcu oglądać nie znaczy kupić. Przystojny barman przez dobre 10 minut przekonywał mnie, że zakup w pakietach to bardziej ekonomiczne wyjście, pozwalające na znaczną oszczędność. Co więcej, za mną zebrała się już sporych rozmiarów kolejka i mimo że tak naprawdę żaden z tych pakietów nie był mi do szczęścia potrzebny, głupio było odejść z pustymi rękoma. 1:0 dla Konsumpcji.

PIĘKNIE, ALE STRASZNIE

Statek robi imponujące wrażenie. 11 pokładów pasażerskich, 300 m długości, 2160 pasażerów i 6929 osób obsługi. Z informatora dołączonego do karty pokładowej dowiaduję się też, że mieści się na nim 16 barów i restauracji,

3 baseny, 5 jacuzzi, boiska do siatkówki i koszykówki, centrum fitness, club Hawana, spa i wellness wyposażone w łaźnie fińską i parową, salon piękności, a także teatr, kasyno, kino, butiki wolnocłowe, 3 kluby nocne, biblioteka, klub dla młodzieży, przedszkole dla dzieci, pole golfowe i kaplica.

Te suche informacje nijak mają się do wrażenia, jakie robi wnętrze statku. Po zaokrętowaniu udaję się do głównego lobby. Przepych jest ogromny, wszędzie złocenia, drapowania, kwiaty. Szum i gwar zakłócają dźwięki pianina, które ustawione na podwyższeniu jest centralnym punktem baru. W szklanym szybie poruszają się przeszklone windy, rozwożą pasażerów do ich kajut.

Mam mocno mieszane uczucia, cały ten glamour jest kiczowaty. Mam doktorat z nauk politycznych; doskonale zdaję sobie sprawę, że sternicy masowej świadomości dokładają wszelkich starań, aby rozpasana konsumpcja stała się naszym odruchem bezwarunkowym. W szczególności sposób spędzania wolnego czasu staje się wyznacznikiem statusu człowieka i nierzadko decyduje o jego samoocenie. Zdjęcia ze wspaniałych wakacji, które oglądasz na profilach znajomych na Facebooku, są rodzajem presji. Nie możesz być gorsza/gorszy,

też musisz gdzieś pojechać. Tym sposobem wybór sposobu spędzania czasu wolnego może stać się elementem zniewolenia jednostki.

Z drugiej strony to miejsce – główne lobby statku – jest w jakiś dziwny sposób magiczne...

Wracam do kajuty. Decydując się na wyjazd, wybrałam opcję droższą, z kabiną zewnętrzną wyposażoną w balkon. Odnoszę wrażenie, że standard kajuty w tym statkowym mikrokosmosie przekłada się na stratyfikację społeczną. Niższe poziomy przeznaczone są na magazyny i kajuty obsługi. Z każdym kolejnym poziomem standard rośnie. Najwyższe piętro części mieszkalnej zajmują apartamenty, tam są najbogatsi pasażerowie.

Stojąc na balkonie, obserwuję tiry podjeżdżające pod statek z towarami, które później będzie można kupić w pokładowych sklepach. Kontenery oklejone są logo znanych firm. Jest ich tak dużo, jak gdyby nasza podróż miała trwać pół roku. W myślach utwierdzam się w przekonaniu, że do końca rejsu nie będę już robić żadnych zakupów – przecież spakowałam wszystko, co może być mi potrzebne. Nie zamierzam też pstrykać żadnych głupich zdjęć.



Wycieczkowiec Queen Mary 2 linii oceanicznych Cunard wypływa z portu w Nowym Jorku

DO SYTA I DO SMAKU

Zrobiłam się już głodna, zamierzam sprawdzić, co serwują restauracje, o których czytałam w informatorze. Główna restauracja, w której podaje się kolacje, usytuowana jest na dole statku, w bezpośrednim sąsiedztwie czteropiętrowego teatru, mającego zapewnić pasażerom nocne rozrywki.

Bufety uginające się od jedzenia ciągną się przez niemal całą długość piętra.

W ofercie jest właściwie wszystko, o czym można zamarzyć. Jest kącik dla amatorów hot dogów i hamburgerów. Kolejka do niego pełna jest dzieci i anglojęzycznych turystów w ubraniach o rozmiarze XL. Nakładane przez nich porcje stanowią codzienne zapotrzebowanie kaloryczne niewielkiej rodziny. Boksy z jedzeniem włoskim, w których królują pizza i spaghetti, okupowane są głównie przez wielopokoleniowe włoskie rodziny. Ich ekscytacja na widok pizzy wywołuje u mnie uśmiech człowieka, który patrzy

na życie z dystansem.

Przenoszę się w rejon kuchni orientalnej i stanowiska sushi. Tutaj porcje nabierane są jakby z większą świadomością, a pasażerowie są bardziej wyciszeni.

Na moje szczęście armator pomyślał i o weganach, dla których przygotowano bardzo apetyczny bufet. Widząc, co wyprawiają inni pasażerowie, staram się ograniczać, tzn. nałożyć sobie taką porcję, jaką będę w stanie zjeść.





Pasażerowie na AIDAsol, statku niemieckich linii transoceanicznych AIDA, relaksują się na balkonach swoich kajut

CI VEDIAMO WENECJA

Jedzenie wynoszę na zewnątrz kompleksu restauracyjnego. To dobra decyzja: za 20 minut statek wypłynie z Wenecji i skieruje się do Dubrownika.

Na pokładzie zabawa już się zaczęła. Basen na rufie zapęłnił się amatorami kąpeli. W pokładowej gazetce znajduję rozpiszkę atrakcji zaplanowanych na dzisiejsze popołudnie i wieczór. Jest ich tak wiele, że nawet gdybym się rozdwoiła, nie dałabym rady wszystkich zaliczyć. Głos płynący z megafonu informuje – chyba we wszystkich językach świata – że w trakcie rejsu organizowany będzie konkurs tańca Dancing with the

przez Canale Grande.

Statek majestatycznie wychodzi z portu. Nasze pojawienie się na kanale budzi ekscytację wśród turystów na lądzie, zatrzymują się i machają. Największe wrażenie robi na mnie plac św. Marka. Skala jego zatłoczenia jest niewyobrażalna.

Odruchowo wyciągam komórkę i... pstrykam zdjęcia jak wszyscy dookoła mnie! No ale ja – w odróżnieniu od nich – nigdzie nie zamierzam ich wrzucać, to prywatna dokumentacja podróży.

Sesja zdjęciowa jest tak długa, że moja bateria odmawia posłuszeństwa. „Nie

RADOŚĆ POD WPŁYWEM

Postanawiam skorzystać z wcześniej zakupionego pakietu. Ach, jak pięknie celebrowane jest tutaj otwarcie każdej butelki! Sommelier najpierw barwnie opowiada mi o trunku, który – jak zapewnia – jest mocny, korzenny, z lekką nutką jagód na końcu bukietu. Później z niesłychaną gracją używa korkociągu, aby w końcu podać mi degustacyjny kieliszek. Wino jest wyborne. Spędzam przemiłą godzinę wpatrzoną w horyzont, pograżam się w rozmyślaniach.

Na pokładzie zaczyna się robić chłodno, postanawiam zatem udać się do usytuowanych w środkowej części statku butików. Jest ich osiem. Oferują właściwie wszystko, czego dusza zapagnie: od chińskich produktów „lokalnych” po dostępne w każdym miejscu na świecie dobra ekskluzywnych marek.

Mój doskonały nastrój może mieć coś wspólnego z trzema kieliszkami wina, które wypitałam przed chwilą. Unosząc się na fali zadowolenia, uznaję, że nic takiego się nie stanie, jeśli skuszę się na małe zakupy. W końcu wieczorem wieczór taneczny.

Kupuję prześliczną sukienkę do tańca, buty i parę drobiazgów. Na moje usprawiedliwienie dodam, że towary te były w promocyjnych cenach. Tylko dzisiaj. Ekspedientka wyjaśniła mi, że wydając u niej pieniądze, tak naprawdę oszczędzam. Faktycznie: 40 proc. zniżki.

Nie zmienia to faktu, że Konsumpcja znowu wygrała. Choć wino sprawiło, że byłam nieco niepoczytalna – uznajmy więc, że jest 2,5:0.

NA PEŁNYM MORZU

Kolejny dzień spędzamy na morzu. Dla armatora ów dzień to przysłowiowa kura znosząca złote jajka: ponad 2 tys. pasażerów przez 24 godziny oddaje się Konsumpcji. Obsługa dokłada wszelkich starań, aby przebiegała ona w sposób możliwie najprzyjemniejszy.

W kiosku multimedialnym wykupuję wycieczkę na następny dzień. Wśród wielu opcji wybieram tę, która wie-dzie śladami Gry o tron. Co prawda planowałam zwiedzać Dubrownik na



„ **Na moje usprawiedliwienie: towary w promocyjnych cenach są tylko dzisiaj. A przemiła ekspedientka mówi, że wydając, tak naprawdę – oszczędzam** „

stars. Może nawet i wzięłabym w nim udział, ale niestety nie mam ze sobą odpowiedniego stroju. Ledwie ta myśl przebiega mi przez głowę, a już megafon informuje mnie, że dziś wieczorem pokładowy butik oferuje 40 proc. zniżki na stroje do tańca. „No nic, tylko rzucę okiem” – myślę sobie. W końcu oglądać, nie znaczy kupić.

Statkowy komin zaczyna dymić. To znak, że za chwilę ruszamy. Na pokładzie widokowym robi się coraz bardziej tłoczno, przepływać bowiem będziemy

zdamę teraz zjechać do kajuty, podładować telefonu i wrócić” – myślę. Na szczęście widziałam tu nieopodal sklepik multimedialny. Natychmiastowa potrzeba robienia kolejnych zdjęć jest tak silna, że wchodzę w posiadanie nowego, absurdalnie drogiego, ale już załadowanego powerbanku.

Zaczynam podejrzewać jakiś większy spisek. To w końcu kolejny irracjonalny zakup w ciągu ostatnich paru godzin. Muszę zacząć się kontrolować. 2:0 dla Konsumpcji.



Leżakowanie na statku AIDADiva

własną rękę, a nie w stadzie turystów, ale przecież lubię Grę o tron. To, że pojedę z innymi, nie oznacza, że od tej jednej wycieczki przestanę być indywidualistką. Poza tym godziny odpłynięcia są sztywne i – gdybym się zgubiła w mieście – statek nie będzie na mnie czekał. Wybierając zorganizowaną wycieczkę, będę się czuć bezpiecznie. Tym razem mój wydatek jest usprawiedliwiony, jego efektem będzie przecież proces poznawczy. Nie zmienia to faktu, że jest już 3,5:0 dla Konsumpcji.

Dzień mija mi szybko. We wstępnych kwalifikacjach konkursu tanecznego,

którego finał przewidziany jest na ostatni wieczór rejsu, zajmuję drugie miejsce. Wieczorem udaję się do kina, w którym wyświetlana jest najnowsza produkcja Marvela. Rozsiadam się w wygodnym fotelu z colą i paczką popcornu w ręce.

W tym samym czasie w teatrze występuje śpiewaczka operowa, w głównym patio organizowany jest czekoladowy show, w klubie Atrium trwają wybory miss rejsu, na boisku do koszykówki trwa mecz, w siłowni pasażerowie wyciskają siódme poty. Spa i salon urody pracują pełną parą, pomagając turystom wydobyć z siebie wewnętrzne piękno. Za parę minut zacznie się wieczorne

nabożeństwo. A za godzinę pierwsze spotkanie klubu LGBT plus.

GRAM O TRON

Kolejny dzień rozpoczynam od śniadania w bufecie Lido, który serwuje posiłki bez glutenu i laktozy. Jestem podekscytowana perspektywą wycieczki. Jako fanka Gry o tron nie mogę się doczekać, kiedy na własne oczy zobaczę miejsca, które stanowiły scenografię serialu.

Okazuje się, że wycieczka bije rekordy popularności: potrzeba aż 15 autobusów, abyśmy wszyscy mogli dotrzeć z portu do starego miasta.



W grupie, z którą zwiedzam Dubrownik, trwa zażarta dyskusja o ostatnim sezonie serialu. Stanowimy zróżnicowaną mieszankę językową, narodowościową i kulturową, ale łączy nas wspólna sprawa – jest nią petycja do twórców serialu o anulowanie ostatniego sezonu i ponowne jego nakręcenie. Do połowy czerwca podpisały ją już prawie 2 mln widzów na całym świecie.

Zaferowani dyskusją przechodzimy do następnego punktu wycieczki, a jest nim rejs promem na wyspę Lokrum. W Grze o tron zamieniła się ona w Qarth, Królową Miast na kontynencie Essos.

Wycieczka owocuje niezapomnianymi wrażeniami i nowymi przyjaźniami. Zakładamy nieformalne stowarzyszenie miłośników Gry o tron i postanawiamy wspólnie spędzić wieczór. Armator robi nam wspaniałą niespodziankę: dziś na statku odbędzie się impreza tematyczna poświęcona serialowi. Obsługa przebrana jest za filmowe postaci, a w głównym lobby można nabyć kolekcjonerskie gadzety. Co prawda miałam unikać zbędnych zakupów, ale w końcu zobaczyć nie oznacza kupić.

NIERÓWNY POJEDYNEK

Cholera, jednak oznacza! Na moje usprawiedliwienie: była promocja. Kupiłam słynny Długi Pazur, to jest miecz ze stali valyriańskiej. Będzie doskonałym prezentem gwiazdkowym, uznaję zatem, że tym razem był to akt zaplanowanej konsumpcji prewencyjnej, która zapobiega świątecznym aktom konsumpcji historycznej. Nie przyznaję więc Konsumpcji punktu. Sobie też nie, bo jednak wydałam pieniądze.

Wieczór szybko przeradza się w noc, a ta w błąd świt. Na szczęście kolejny dzień spędzamy na morzu. Postanawiam skorzystać ze wcześniej wykupionego karnetu do spa, oddając się błogiemu lenistwu. Kosmetyczka namawia mnie na dodatkowo płatny zabieg. Zapewnia, że sprawi on, iż moja skóra będzie przepięknie rozświetlona, a ja odzyskam „wewnętrzny balans” – cokolwiek miało by to oznaczać.

Głupio mi jej odmówić i mimo że nie odczuwam zbytnej potrzeby rozświetlania, po raz kolejny wyciągam z torebki

kartę kredytową. Nie jestem pewna, jaki jest aktualny wynik nierównego pojedynku z Konsumpcją, jednak postanawiam się tym nie martwić, nie w tej chwili „W końcu jestem na wakacjach!

Zresztą po powrocie do domu mogę zawsze skorzystać z przełomowej technologii radzenia sobie z problemami finansowymi autorstwa bohaterki książki Wyznania zakupoholiczki. Polega na umieszczeniu karty kredytowej w specjalnym pojemniku i jej zamrożeniu. Czas potrzeby na jej wydobywanie z bryły lodu wystarczy, by wrócił zdrowy rozsądek.

BEZ RACHUNKU SUMIENIA

Kolejny dzień witam w doskonałej formie. Dziś statek dobija do portu w chorwackim Splicie. Jako że znam to miejsce dość dobrze, postanawiam zostać na statku i skorzystać z atrakcji proponowanych przez armatora. Obiecuję sobie, że ten dzień będzie dla mnie dniem bez handlu.

Po śniadaniu swoje kroki kieruję do teatru, trwa tam wykład na temat historii Wenecji. Jestem sceptyczna, jednak okazuje się on bardzo ciekawy. Prele-



James D. Morgan/Getty Images



Wieczorne przedstawienie na pokładzie statku wycieczkowego Queen Elizabeth, należącego do słynnych linii transoceanicznych Cunard

gent reklamuje również przewodniki po Wenecji, które można zakupić po prelekcji. Postanawiam je obejrzeć, w końcu nie oznacza to jeszcze, że coś kupię. A jednak kupuję, ale nie przyznaję punktu Konsumpcji. Na wiedzy nie powinno się oszczędzać. I przestaję liczyć, ile jest w tym pojedynku.

Później spędzam trochę czasu na basenie, racząc się wysmienitą kawą z mlekiem migdałowym. Na popołudnie zaplanowany mam trening przed dzisiejszym finałem konkursu tanecznego. Nasza grupka „tancerzy”

zdążyła się już zaprzyjaźnić, od nowych koleżanek dowiaduję się, że po treningu wszystkie zabukowały wizytę u fryzjera i makijażystki.

„Głupio, jeśli tylko ja będę taka niezrobiona” – myślę sobie. Decyduję się zatem do nich dołączyć; mam nadzieję, że któraś z pokładowych fryzjerek będzie wolna. Przyjmuje mnie przemiła Natasza, Rosjanka pracująca na statku od 10 lat. Namawia mnie na przedłużenie włosów treską. Jak mówi, kiedy będzie ich więcej, będzie można zrobić piękny kok. Jestem przeciwniczką wszelkich sztucznych

Mam przeczucie, że w tym nierównym pojedynku zwyciężyła Konsumpcja, jednak niewiele mnie to już w tej chwili obchodzi

”

atrybutów kobiecości, jednak magiczna atmosfera tego pływającego salonu fryzjerskiego powoduje, że zgadzam się na wszystkie jej propozycje.

Po trzech godzinach wychodzę z salonu całkiem odmieniona. Moje rzęsy wydłużyły się o dobrych kilka centymetrów, na głowie wyrósł mi misternie upleciony kok. Muszę przyznać, że w tej chwili czuję się szczęśliwa. Nie zmienia tego rachunek, który przyszło mi zapłacić.

Konkurs tańca odbywa się w teatrze. Ku mojemu zdumieniu zajmuję pierwsze miejsce. Nagrodą są butelka szampana, gratulacje od samego kapitana i 30-procentowa zniżka na kolejny rejs.

Ostatni wieczór spędzam z moimi nowymi znajomymi. Jemy wspólnie kolację, po której oddajemy się szalonej zabawie. Kiedy zmęczona wracam do swojej kajuty, nie mam zupełnie ochoty na rachunek sumienia. Co prawda mam mgliste przeczucie, że w tym nierównym pojedynku ostatecznie zwyciężyła Konsumpcja, jednak niewiele mnie to w tej chwili obchodzi.

Włączam tablet, żeby sprawdzić trasy najbliższych rejsów. W końcu oglądając nie oznacza od razu kupić, prawda? ●

Olga Janikowska

jest politolożką, wykładowczynią akademicką. Propagatorka zasad rozwoju zrównoważonego i globalnej sprawiedliwości. Z zamiłowania podróżniczka.

Umierające dusze miast



**WENECJA, DUBROWNIK CZY BARCELONA
W SZYBKIM TEMPIE ZAMENIAJĄ SIĘ
W TURYSTYCZNE WYDMUSZKI**

Karolina Anna Kuta



Tak wyglądają latem ulice w historycznym centrum Wenecji

Luis Alvarado kochał targ Sant Antoni w Barcelonie, ale dziś tam nie bywa.

„Chodziłem z ojcem na targ, pełen starych książek, muzyki, filmów, pocztówek, zdjęć, znaczków i monet. Co niedziela szukaliśmy okazji, naklejek do kolekcji. To jedno z moich najlepszych wspomnień” – opowiada Alvarado.

Wielka przebudowa zabytkowego Sant Antoni trwała dziewięć lat. Zdaniem komentujących w sieci turystów dziś targ „jest czysty i nowoczesny, a jednocześnie klasyczny”. Chwalą ruchome schody i podziemny parking, w które wyposażono budynek. Portal oferujący wynajem mieszkań opisuje barcelońską dzielnicę Sant Antoni jako „spływającą winem”, idealną dla osób szukających odmiany po zatłoczonej La Rambli. To dzielnica świetna do spacerowania, na brunch czy aperitif.

„Okolica przeszła transformację, stając się modnym miejscem z restauracjami i barami dla turystów. Przyciąga tłumy hipsterów. Z mojego miasta dawno wypędzono jego duszę” – podsumowuje Luis Alvarado.

600 NA JEDNEGO

Z Wenecji każdego roku ubywa mieszkańców. W latach 80. w historycznym centrum mieszkało 120 tys. ludzi, dzisiaj już tylko 55 tys.

„Tkanę miejską tworzą mieszkańcy, to oni kolekcjonują historie, kultywują tradycję, mówią własnym, weneckim dialektem. Sprawiają, że miasto nie jest jedynie wielkim muzeum, złożonym z pięknych budynków” – twierdzi Michał Szuba, który wiele lat był menedżerem sieci hosteli w Wenecji.

Według szacunków lokalnych władz Wenecję każdego roku odwiedza 30 mln turystów. Czyli na jednego mieszkańca przypada 600 przyjezdnych. „Umieramy. Wkrótce znikniemy. To miasto woli być zamieszkane przez kogoś innego” – pisze Tiziano Scarpa, pochodzący z Wenecji włoski poeta i powieściopisarz.

„Moja ciotka nadal tam mieszka, ale ciągle mówi, że chciałaby się wyprowadzić. Jest zmęczona turystami. To starsza osoba, jest jej niewygodnie” – opisuje weneccjanin

Tomasz Moderato, który w mieście przeżył 22 lata.

W Wenecji wszędzie trzeba chodzić pieszo, czekać na promy. Mosty są piękne, ale nie kiedy musisz dźwigać po nich zakupy.

„Wenecja nie jest też miejscem dla młodych. Po prostu brak perspektyw. Możesz zostać kelnerem albo pracować w turystyce – to wszystko. Co robiliśmy po szkole? Chodziliśmy na [skwer] Campo Santa Margherita. Bo w mieście nie ma żadnych propozycji dla młodzieży. Podobno jest jedna dyskoteka – sam nigdy tam nie byłem. Większość moich znajomych już nie mieszka w Wenecji, wyjechali za granicę” – mówi Moderato.

TAJEMNICZA WYSPA

Niektórzy weneccjanie uciekają złapać oddech na Poveglię – niezamieszkałą wyspę, która nie ma dobrej sławy. Przewożono tam chorych na dżumę, a w XX w. postawiono szpital psychiatryczny, który miał być miejscem tortur i eksperymentów na pacjentach. Od jego zamknięcia w 1968 r. na Poveglii nikt nie mieszka, zostały ruiny.

W internecie turyści mogą znaleźć ostrzeżenia, że Poveglia to jedno z najbardziej przerażających miejsc na świecie. Nie dopływa tam vaporetto, wenecka komunikacja miejska. Jeden z wideoblogerów na kanale Żądny Przygód opisuje swoje trudności w dotarciu na wyspę. Kiedy próbował wynająć łódkę, kilkoro weneccjan odmówiło. Powtarzają turystom, że wyspa jest nawiedzona, odstrasza ich, a sami tam grillują. W tym samym czasie władze znalazły jednak dewelopera z planami zagospodarowania Poveglii i wydały zakaz podpływania do wyspy.

Tymczasem Poveglia stała się miejscem piknikowych spotkań dla weneccjan.

„Zobaczyłem, jak w polu biegają króliki, weneccjanin rozłożył grilla, ktoś się opalał. Jeśli przyjąć, że przez masową turystykę Wenecja staje się pustynią, to jedyna oaza” – mówi Michał Szuba. „Jedynie, co mnie tam przeraża, to że trafi w prywatne ręce i powstanie na niej np. kolejny luksusowy hotel”. Miasto chce ją wydzierżawić, a miesz-

kańcy protestują: inicjatywa Poveglia per tutti (Poveglia dla wszystkich) organizuje społeczną zbiórkę. Celem jest przejście wyspy przez miejscowych – aby należała do wszystkich.

TO PRZESTRZEŃ PUBLICZNA I MOŻEMY TU BYĆ

Centralna dzielnica Barcelony, El Raval, sytuacja sprzed kilku lat. Dzieci z pobliskiej szkoły grają w piłkę na małym boisku. Turysta podchodzi i zaczyna fotografować. Jednen z małych piłkarzy mówi do niego: „Przepraszam, ale zasłania mi pan bramkę”. Turysta odpowiada: „Ale to nie jest tylko twoja przestrzeń, ja też tu mogę być”.

W Wenecji, kiedy jesteś dzieckiem, nie możesz jeździć na rowerze czy na rolkach. Ani nawet zagrać z kolegami w piłkę. Bo wówczas wszystkim przeszkadzasz

”

Stolica Katalonii ma 1,6 mln mieszkańców, czyli nieco mniej niż Warszawa, ale są oni skupieni na pięć razy mniejszej powierzchni.

W 2017 r. w tutejszych hotelach zameldowało się prawie 9 mln ludzi – trzy razy więcej niż w 2000 r. Do tego trzeba jeszcze dodać jednodniowych turystów i przyjezdnych, wynajmujących mieszkania krótkoterminowo, często nielegalnie. Ci wymykają się statystykom.

„Nowoczesna turystyka miejska nie koncentruje się już na zabytku, sali koncertowej czy muzeum, ale na scenie





Wrzesień 2018 r. Mieszkańcy Barcelony nie chcą narkotyków, które pojawiły się razem z turystami

Paco Freire/SOPA Images/LightRocket/Getty Images

Włochy. Nie narzekają głośno na masową turystykę. Robią to między sobą.

„Za jedną noc w centrum trzeba zapłacić 300–500 euro. Jeśli właściciel wynajmowanego mieszkania ma szczęście do rezerwacji, w krótkim okresie może zarobić poważne pieniądze” – komentuje Mateo.

Również w Barcelonie ze względu na rosnące ceny mieszkań i spekulacje na rynku wiele osób jest zmuszonych do opuszczania rodzinnych domów. „Mieszkania dla turystów wysiedlają rodziny” – zwykło się tu mówić lub wypisywać na transparentach podczas demonstracji.

W ciągu ostatnich pięciu lat ceny nieruchomości wzrosły w Barcelonie o ok. 50 proc. Średnia pensja w Hiszpanii to prawie 1600 euro, ale większość młodych zarabia sporo mniej. Wynajem średniej wielkości mieszkania w stolicy Katalonii kosztuje przynajmniej 800 euro.

TURYSTA JEST NAGI

La Barceloneta, kiedyś nadmorską dzielnicę marynarzy i rybaków, Carlos Ruiz Zafón opisał w Cieniu wiatru jako „plażę bezludną i rozpylającą się w powietrzu”. Dziś to mekka turystów, sprzedawców lodów i zimnych napojów. Mieszkańcom Barcelony kojarzy się głównie z historią o włoskich turystach, którzy w sierpniu 2014 r. robili nago zakupy w pobliskim supermarkecie.

Nagich turystów pokazały wszystkie miejscowe media, barcelończycy zorganizowali protesty.

W stolicy Katalonii temat turystyki już dawno stał się mocno polityczny. W 2015 r. burmistrznią została Ada Colau: aktywistka miejska i była squat-terka. Powtarzała, że nie chce, aby Barcelona stała się drugą Wenecją.

„Ostatni lokalny sklep z bielizną zamknięto tam dekadę temu. Od tego czasu mieszkańcy wysp muszą podróżować na ląd, aby zrobić tak podstawowe zakupy. To znak ostrzegawczy” – pisała burmistrzynie Barcelony na łamach Guardian. „Każde miasto, które poświęci się na ołtarzu masowej turystyki, zostanie porzucone przez swoich mieszkańców, gdy

miejskiej” – komentuje dr hab. Marek Kazimierczak, zajmujący się etyką turystyki.

Jego zdaniem powstają poważne wyzwania, przed którymi stają lokalne społeczności. Muszą opracować nową strategię przyjmowania turystów i interakcji z nimi.

Dopóki tego nie zrobią, wszystko będzie podporządkowane turystyce.

„Kamienice są w całości lub w dużej części zamieniane na hostele lub mieszkania przeznaczone na krótkoterminowy wynajem. Inwestorzy dobrze zdają sobie z tego sprawę i zlecają projektowanie małych mieszkań, które są niewygodne dla stałych mieszkańców” – komentuje Kamil Sasak, architekt zajmujący się renowacją krakowskich kamienic.

Sasak dodaje, że takie mieszkania świetnie się sprzedają i w sezonie przynoszą duże zyski z wynajmu krótkoterminowego, ale stali mieszkańcy mają przez to ograniczony wybór na rynku nieruchomości. Dodatkowo miejsca mające potencjał na park czy plac dla lokalnej społeczności są wykupywane i zamieniane na kolejne inwestycje.

„Wyobraź sobie, że pojedziesz na plac św. Marka na rowerze. Od razu złapałaby cię policja. W Wenecji, kiedy jesteś dzieckiem, nie możesz właściwie jeździć na rowerze, rolkach czy grać w piłkę,

bo wszystkim przeszkadzasz” – mówi Tomasz Moderato.

WYPROWADZKA OD RODZICÓW

Mateo Batinić, urodzony w Dubrowniku przewodnik turystyczny, uważa, że dobrym pomysłem jest wyprowadzka za miasto. Dlaczego? Mieszkania w nadmorskiej miejscowości są koszmarnie drogie – ceny za metr kwadratowy zaczynają się od ok. 4 tys. euro. W stołecznym Zagrzebiu jest o połowę taniej.

„Tam młodzi mogą się wyprowadzić z domu i zacząć samodzielne życie. W Dubrowniku mieszkamy z rodzicami” – stwierdza 25-letni Mateo.

Jego rodzina kiedyś miała dom w okolicach wpisanego na listę UNESCO starożytnego miasta. Dziś rzadko tam zaglądają.

„Rodziców przestało interesować, co się dzieje, unikają starego miasta, kiedy są tłumy i hałas, czyli właściwie zawsze. Matka tam bywa, ale nie pamiętam, kiedy ojciec ostatni raz odwiedził Dubrownik” – mówi Mateo.

W Dubrowniku sezon turystyczny trwa 10 miesięcy. Po chorwacku o mieście mówi się zlatna krava (złota krowa), czyli kura, która znosi złote jajka. Mieszkańcy, z którymi rozmawiam, mówią, że bez turystyki Dubrownik by umarł, że nie można porównywać Chorwacji do państw zachodnich, jak Hiszpania czy



nie będą już mogli sobie pozwolić na koszty mieszkania w nim, jedzenia i zaspokajania podstawowych, codziennych potrzeb”.

Colau swoje rządy zaczęła od podwyższenia podatku turystycznego, zakazu budowania w centrum miasta nowych hoteli oraz walki z nielegalnym podnajmowaniem mieszkań, nakładając na popularne platformy Airbnb i HomeAway karę finansową. Właściciele wynajmowanych mieszkań mają obowiązek posiadania licencji. Ponadto – wzorem innych europejskich miast – ograniczono liczbę dni w roku, kiedy taki wynajem jest możliwy.

I JESZCZE TE OKROPNE WIELKIE STATKI

Na początku czerwca w weneckie nabrzeże uderzył ogromny statek wycieczkowy (275 m długości, 32 szerokości). Ludzi uciekali w popłochu. Cztery osoby zostały lekko ranne. Pojawiły się komentarze, że wypadek może przyspieszyć wprowadzenie ograniczeń dotyczących cumowania statków. Od kilku lat trwały w tej sprawie dyskusje, ale bez

konkretnych rezultatów. W Dubrowniku są w kwestii wycieczkowców dużo bardziej zdecydowani. Najpierw zakazano ich cumowania w niektórych miejscach, argumentując, że niszczą krajobraz. Łatwo mogą stać się też przyczyną katastrofy ekologicznej.

Statki wycieczkowe przewożą często po kilka tysięcy ludzi, którzy wielką chmarą wychodzą na ląd - na szybki spacer czy lunch. Robią tłok na ulicy, ale nie przynoszą większego pożytku finansowego, bo zazwyczaj pieniądze zostawiają na pokładzie. Wycieczkowiec, który uderzył w weneckie wybrzeże, był wyposażony w bary, teatr, restauracje czy siłownię.

„Kilka lat temu w głównym porcie miejskim jednocześnie zatrzymały się trzy statki. Ponad 10 tys. osób wyszło w jednym momencie na Stare Miasto. To jedna czwarta mieszkańców Dubrownika. Nikt nie wiedział, co się dzieje” – opisuje Mateo.

W ubiegłym roku miasto wprowadziło ograniczenia: tylko dwa statki dziennie mogą cumować w głównym porcie, zabronione jest wypuszczanie turystów

na ląd w tym samym momencie, a liczba osób przybywających wycieczkowcami nie może przekraczać 5 tys. dziennie.

TAK, MIAŁEM WYRZUTY SUMENIA

„Gdzie możemy zobaczyć, jak żyją zwykli mieszkańcy?” – to pytanie często zadają turyści w hotelowych recepcjach. Wydaje im się najwyraźniej, że odwiedzają ogromne muzeum albo park rozrywki. Zaś weneccjanie, którzy zamkają przed nimi drewniane witryny okien albo zamiatają swoje podwórka, grają w wielkim przedstawieniu teatralnym, wystawianym specjalnie dla milionów przyjezdnych.

Ale to nie teatr. A oni nie są publicznością, bo żadna, nawet najgorsza publiczność nie zachowuje się w taki sposób.

„Niedopałki papierosów rzucane z tarasu lądowały na planckach łódek mieszkańców, powstawały w nich dziury. Byłem świadkiem, jak turyści sikali do kanałów, rozbijali kieliszki, wszędzie walało się szkło. W środku nocy ciągną po brukowanych uliczkach walizki na plastikowych kółkach” – mówi Michał Szuba.

„W trzech obiektach sprzedawaliśmy ponad 300 łóżek dziennie. Czy miałem wyrzuty sumienia? Tak, miałem” – przyznaje.

Mateo wspomina typowo śródziemnomorski las, z sosnami, drzewami cyprysowymi i wrzosowiskami, który kiedyś otaczał dubrownickie Stare Miasto. Gdy był małym dzieckiem, całe dnie spędzał w tym lesie, budował fortece i biegał z kolegami pomiędzy drzewami. Dziś zostały dwa; mija je codziennie, kiedy idzie do pracy.

„Dlatego trochę mi smutno, kiedy tamtędy przechodzę” – mówi. ○

Karolina Anna Kuta

jest dokumentalistką i reporterką. Pisała m.in. dla Gazety Wyborczej i Krytyki Politycznej. Pracuje nad debiutem dokumentalnym w Bośni i Hercegowinie.

Stefano Mazzola/Awakening/Getty Images



Wenecja. Marsz przeciwko inwazji turystów



Wstyd mi, że lecę



FLYGSKAM, CZYLI DLACZEGO SZWEDZI
– W ODRÓŻNIENIU OD CAŁEJ RESZTY
ŚWIATA – NIE CHCĄ LATAĆ SAMOLOTAMI

Marcel Wandas

W 2017 r. w światowych mediach zawrotną karierę zrobiło określenie powolnego stylu życia i przytulnego sposobu urządzania przestrzeni – hygge. Dziś świat podbija inny wywodzący się ze Skandynawii termin. Flygskam nie jest nazwą nowego zestawu mebli z IKEI; można to słowo przetłumaczyć jako „wstyd przed lataniem”. Coraz więcej Szwedów właśnie w ten sposób opisuje swój stosunek do podróży lotniczych. Efekt? Od pół roku liczba pasażerów w transporcie lotniczym w Szwecji spada, co jest fenomenem na skalę światową. Powód? Globalne ocieplenie i generowane przez silniki odrzutów zanieczyszczenia środowiska.

SAMOLOT JAK 11 POCIĄGÓW

„Jeśli wziąć pod uwagę tylko spalanie paliwa i zużywaną energię elektryczną, loty generują 11 razy więcej emisji dwutlenku węgla niż podróże pociągami” – mówi Michał Czepkiewicz, geograf zajmujący się wpływem transportu na zmiany klimatu z Uniwersytetu Islandzkiego. „Jeśli uwzględnić zaś emisje związane z budową i utrzymaniem stacji czy torów oraz produkcją pojazdów, które są zwykle niższe dla lotnictwa niż dla kolei, jest to różnica około trzykrotna” – dodaje Czepkiewicz.

Ekspert tłumaczy, że duże znaczenie ma pokonywana odległość. Podróż

samolotem do Tajlandii z lotem bezpośrednim w dwie strony (z Polski: ok. 18 tys. kilometrów) to emisje rzędu 4,7 tony ekwiwalentu CO₂. To tyle, ile generowałyby codzienne przejazdy samochodem na dystansie 80 km przez rok. Jedna podróż do Tajlandii niweluje oszczędności emisyjne wynikające z rezygnacji z auta i diety bezmięsnej.

Naukowcy z powołanego przez ONZ Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu ustalili, że nie możemy dopuścić do podniesienia globalnej temperatury o więcej niż 1,5 stopnia Celsjusza wobec epoki przedprzemysłowej. W innym przypadku zmiany klimatyczne będą katastrofalne i nieodwracalne. Biorąc to pod uwagę, każdy mieszkaniec Ziemi może pozwolić sobie na najwyżej jeden lot co kilka lat.

Czepkiewicz proponuje, by odchodzić od korzystania z lotnictwa stopniowo, np. odmawiając sobie weekendowych wypadów po Europie. Według wyliczeń organizacji pozarządowej Transport & Environment w Unii Europejskiej transport powietrzny wypuszcza do atmosfery 3,6 proc. wszystkich generowanych przez kraje Wspólnoty gazów cieplarnianych.

A linie lotnicze rosną jak na drożdżach. Według Organizacji Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego ONZ w 2035 r.

przewiożą na całym świecie ponad 7 mld pasażerów, czyli dwa razy więcej w zeszłym roku. No chyba, że moda na flygskam rozprzestrzeni się również gdzie indziej. Co jest możliwe, jeśli będzie promowana tak jak w Szwecji. Jej rząd nałożył na bilety lotnicze podatek, którego wysokość zależna jest od odległości i wysokości emisji.

„Spowodował on [podatek – przyp. red.] zmniejszenie liczby połączeń ze sztokholmskiego lotniska Arlanda” – mówi Czepkiewicz. „Razem ze zjawiskiem flygskam podatek ten mógł też sprawić, że w ubiegłym roku po raz pierwszy od kryzysu finansowego z 2008 r. w Szwecji spadła liczba podróży lotniczych. Dotyczy to szczególnie egzotycznych destynacji jak Tajlandia i Karaiby”.

LANS KOLEJOWY

Do wybuchu mody na flygskam przyczyniła się Greta Thunberg: 16-letnia aktywistka ekologiczna, inicjatorka ruchu szkolnych strajków klimatycznych. Sławę zdobyła dzięki... wagarom. Co piątek zamiast na lekcje przychodziła przed budynek szwedzkiego parlamentu, gdzie protestowała przeciwko beczynności rządzących wobec globalnego ocieplenia. Przyłączyły się do niej najpierw setki, a potem tysiące uczniów, początkowo w Szwecji, następnie w całej Europie (również w Polsce).

Samolot z Londynu do Nowego Jorku generuje tyle samo dwutlenku węgla, ile powstaje wskutek ogrzewania domów wszystkich jego pasażerów przez cały rok

”

”

Greta zyskała rozgłos; zaproszenia płynęły z całej Europy, m.in. z Parlamentu Europejskiego, od papieża Franciszka i organizatorów konferencji w Londynie. Postanowiła, że trasę Sztokholm-Strasburg-Londyn-Sztokholm pokona nie samolotem, ale pociągiem. Podróżując w ten sposób sprawiła, że do atmosfery przedostało się ok. 400 kg dwutlenku węgla mniej – tak wynika z wyliczeń strony Loco2, która oferuje międzynarodowe bilety pociągowe i przy okazji przelicza ślad węglowy każdego przejazdu.

Wielu Szwedów poszło za przykładem Greta. Na Twitterze publikują zdjęcia ze swoich podróży koleją, opatrując je hasztagiem #flygskam. Pokłócili się z aktorką Evą Longorią, która chwaliła się bagażem jaki przywiozła samolotem na festiwal w Cannes: było to 14 wielkich waliz. Szwedcy - i nie tylko - internauci pouczali aktorkę, żeby obliczyła swój ślad węglowy. Wszem i wobec ogłaszają, że nie doceniali do tej pory uroków podróży pociągiem. Teraz mają czas na czytanie książek, rozmyślanie i podziwianie krajoobrazów.

PO TORACH – EKOLOGICZNIE, ALE NIEPRAKTYCZNIE

Rzeczywiście, w pociągu mają sporo czasu dla siebie. Ze Sztokholmu do Paryża nie da się dojechać po torach szybciej niż w 23 godziny. Będzie to wymagać trzech przesiadek i kosztować ponad 200 euro (za bilety w jedną stronę). Za przelot tanimi liniami na podparyskie lotnisko Beauvais zapłacimy 80 euro. A cała podróż, wliczając kontrolę na lotnisku, zajmuje cztery i pół godziny.

Międzynarodowe przejazdy pociągiem nie są więc ani łatwe, ani tanie. Kolej może być jednak dobrą alternatywą dla osób planujących bliższe podróże. Na przykład z Polski do Niemiec, Czech czy Austrii. Planując wyjazd odpowiednio wcześniej, można za bilety zapłacić niewiele - np. 80 zł z wielu miast na południu Polski do Berlina. Ile to zajmie? Zależy to od miasta, z którego wyjeżdżamy. Jeśli wybierzemy Kędzierzyn Koźle, będzie to nieco ponad pięć godzin. Z Krakowa, przez wysłużone tory na Górnym Śląsku, dwa razy dłużej.

„A jeszcze nie tak dawno na urlop jeździło się pociągiem lub autokarem, np.

do Włoch czy Bułgarii” – mówi redaktor prowadzący portal Rynek Kolejowy Jakub Madrjas. „Jeszcze w latach 90. bilety lotnicze były bardzo drogie. Dziś kolej przegrywa z tanimi liniami. Mimo że koszt wysłania pociągu w trasę jest o wiele niższy niż wylot samolotu”.

Ekspert podkreśla, że kolej ma w Europie przyszłość, o czym świadczy popularność szybkich pociągów np. na trasie Paryż-Londyn. Problemem są jednak ceny i nieuporządkowanie rynku kolejowego na kontynencie.

„Za połączenia kolejowe odpowiadają najczęściej publiczne spółki, którym trudno jest konkurować z prywatnymi potentatami, takimi jak Ryanair. Ceny, szczególnie jak na polskie warunki, mogą wydawać się astronomiczne” – przyznaje Madrjas. „Szansą byłaby spójna sieć kolei dużej prędkości obejmująca największe miasta i atrakcyjna, wspólna oferta przewoźników. Panować nad nią powinna instytucja powołana na szczeblu unijnym”.

Niedługo w Brukseli zaczynają się negocjacje budżetu na lata 2021–2027. Podczas ostatniego szczytu Rady Europejskiej osiem państw namawiało resztę do wyznaczenia sobie celu zerowej emisji netto do 2050 r. Trudno będzie zrealizować taki scenariusz bez wsparcia dla kolei.

Na razie UE próbuje modernizować istniejące tory i budować nowe. Większość krajów Unii prowadzi remonty na ważnych liniach, dostosowując je do prędkości nawet ok. 300 km/h. Linia szybkich prędkości powinna też połączyć do połowy przyszłej dekady państwa bałtyckie z Polską (niestety w naszym kraju pociąg z ponad 200 km/h zwolni do ok. 160 km). Nadal daleko jednak od stworzenia spójnej, ogólnoeuropejskiej sieci, która nie wymagałaby od pasażera przesiadek w środku nocy.

„Potrzebne są wygodne i szybkie połączenia między głównymi miastami i chętnie odwiedzanymi regionami turystycznymi” – mówi Czepkiewicz. „Niedawno planowałem powrót do Polski z Helsinek. Okazało się, że przejazd przez kraje bałtyckie wymaga aż sześciu przesiadek, czasem zupełnie absurdalnych. Przejazd przez Rosję i Białoruś jest znacznie wygodniej-



Silnik odrzutowy to zło - uważają ludzie, którzy wstydzą się latać. Ale nie ma nadziei będziemy mogli szybko zrezygnować z niego w lotach międzykontynentalnych

szy: jedziemy pociągiem z Helsinek do Sankt Petersburga, następnie kuszetką do Brześcia, skąd można się przesiąść do pociągu na Warszawę”.

ELEKTRYCZNY SAMOŁOT NAS NIE ZBAWI

Czy nadzieją na zmianę jest elektryfikacja lotnictwa? Według ekspertów przemysł o wiele bardziej zainteresowany jest dziś konstrukcją elektrycznych napędów dla motoryzacji. Zasięg samolotów na prąd będzie niewielki – nie przekroczy nawet 1000 km. A żeby ograniczyć emisję, trzeba będzie takie samoloty ładować prądem wytworzonym przez elektrownię niewęglową.

Mimo to przewoźnicy inwestują w prace nad elektryfikacją lotnictwa. EasyJet zapowiada, że rejsowe kursy elektrycznymi maszynami uruchomi w 2030 r. Napędami na prąd interesują się szwedzkie linie lotnicze SAS. Prace nad samolotem na prąd zleciły Airbusowi. Ten sam Airbus, we współpracy z Siemensem i Rolls-Roycem, chce też wypu-

ścić na rynek model hybrydowy. Jego premiera jest zapowiedziana na przyszły rok. Rząd norweski chce do 2040 r. obsługiwać elektrycznymi samolotami krajowy ruch lotniczy.

Eksperci zaznaczają, że nawet maszyny z zasięgiem ok. 500 km byłyby przydatne dla wielu przewoźników – piszą o tym m.in. w raporcie branżowego portalu Pasażer.com. Elektryki mogłyby przydać się np. do obsłużenia większości kursów norweskiego Widerøe i brytyjskiego Flybe. Skorzystać mogłyby również więksi gracze – np. Lufthansa, która w 2018 r. wysłała swoje samoloty na odległości mniejsze niż 500 km aż 192 tys. razy.

Dzięki przejściu na zasilanie prądem latanie może też stać się tańsze. Awionetka e-Genius na swój pokład może zabrać pilota i pasażera. Jej testowy lot nad Alpami pochłonął jedynie jedną piątą energii, która byłaby potrzebna w przypadku niewielkiego samolotu napędzanego konwencjonalnym paliwem. E-Genius podczas czterech godzin przelotu pokonał 640 km, a zasi-

łanie kosztowało 21 euro. Taka podróż dwumiejscowcem to w Polsce koszt ok. 192 euro. Konstruktorzy przekonują, że prędkość i zasięg samolotów na prąd będzie się zwiększać w miarę postępu technologii. Oszczędności mają odczuć nie tylko właściciele prywatnych awionetek, ale i linie lotnicze.

„Niestety technologia potrzebna do lotów elektrycznych na dalsze odległości mogą nie być dostępna jeszcze przez długie dekady” – komentuje Michał Czepkiewicz.

„Dlatego samoloty elektryczne nie będą kompleksowym rozwiązaniem ani dla linii lotniczych, ani dla pasażerów, którzy wstydzą się latać”. ●

Marcel Wandas

jest dziennikarzem z Krakowa. Pracował m.in. w Radiu Kraków, Radiu Eska i Radiu Plus. Pisał dla Onetu i Wirtualnej Polski

Wielki wyścig po turystów

Chiara Ferraris z Paryża



TOUR DE FRANCE JUŻ DAWNO PRZESTAŁ BYĆ WYDARZENIEM STRICTE SPORTOWYM. STAŁ SIĘ MULTIMEDIALNYM – TRANSMITOWANYM W STU TELEWIZJACH Z CAŁEGO ŚWIATA – PRZEWODNIKIEM TURYSTYCZNYM PO FRANCJI



Jedenasty etap Tour de France 2018. Kolarze przejeżdżają przez Albertville



James Startt/Agence Zoom/Getty Images

Jeśli idzie o trasę Wielkiej Pętli – bo tak Francuzi nazywają swój słynny kolarski wyścig – pewne jest tylko jedno: kończy się w Paryżu na Polach Elizejskich. Dla odmiany Wielki Start, czyli Grand Départ, co roku odbywa się gdzie indziej, na przemian we Francji i za granicą.

„Każdego roku otrzymujemy ok. 300 aplikacji. Gdy tworzymy trasę wyścigu, staramy się, aby raz na pięć, sześć lat przejechać przez każdy region Francji. Zawsze musimy to brać pod uwagę, kiedy zastanawiamy się nad miejscem na Wielki Start” – mówi Christian Prudhomme, dyrektor Tour de France.

O to, żeby znaleźć się na trasie kolarzy – najlepiej jako start czy meta jakiegoś etapu – zabiega prawie cała Francja. Wyścig transmitowany jest przez sto stacji telewizyjnych z całego świata. Trudno sobie wyobrazić lepszą okazję, żeby wypromować swoje miasto czy nawet wioskę. W zeszłym roku skorzystało z niej np. Montvalezan, alpejskie miasteczko liczące 708 mieszkańców.

OSTRYGI NA START

Start każdego etapu to wydarzenie, które rozpoczyna się na długo, zanim kolarze zaczną pedałować. Codziennie ustawiana jest scena, na której odbywają się różne imprezy i występy; w „miasteczku” dla VIP-ów, do którego wstęp jest za zaproszeniami, sport krzyżuje się z biznesem i polityką.

„Można spotkać regionalnych producentów i lokalnych polityków. Jeśli Tour przejeżdża przez region znany z serów czy np. owoców morza, to jest duża szansa, że w miasteczku pojawią się lokalni producenci ze swoimi produktami. Na przykład podczas zeszłej edycji w dniu startu wyścigu z Noirmoutier-en-l'Île rozdawano ludziom ostrygi” – mówi Marc Chavet, spiker Tour de France, który prowadzi imprezy przed każdym startem.

Kolarze są również mile widziani. Od wielu lat próbuje się ich zachęcać, aby wpadali przed wyścigiem, np. jest



ściana, na której mogą się podpisać, i jeśli podpisze się cała ekipa, to dostaną butelkę szampana albo mogą skorzystać z usług fryzjera.

W rywalizacji, żeby znaleźć się na trasie wyścigu, niektórzy radzą sobie lepiej niż inni. 80-tysięczne Pau we francuskich Pirenejach będzie w tym roku gościć kolarzy po raz 71. „Do tego stopnia żyją tam wyścigiem, że wyznaczona jest w urzędzie miejskim osoba, która zajmuje się przez cały rok tylko i wyłącznie przygotowaniem do imprezy” – opowiada Chavet.

Przewaga Pau nad innymi aplikantami wynika m.in. ze względów logi-

stycznych. Niedaleko znajduje się bowiem lotnisko, co w małych górskich miasteczkach nie jest częste. A jest pożądane, bo za kolarzami – w zeszłym roku było ich 176 – ciągnie prawie 5 tys. osób obsługujących wyścig, w tym 2 tys. dziennikarzy. Wśród wędrujących za kolarzami pracowników A.S.O. (Amaury Sport Organisation), czyli organizatora Wielkiej Pętli, jest na przykład kierowca, którego jedynym zadaniem jest odbieranie i dowożenie gdzieś w polu pilotów helikopterów, z których filmowany jest wyścig z lotu ptaka.

„Jest to całe miasto, które przemieszcza się codziennie razem z kolarza-

mi. Codziennie spotyka się te same osoby w innym miejscu. Atmosfery, jaka tam panuje, nie da się porównać z niczym innym” opowiada David Vigouroux, szef produkcji Eurosportu we Francji. „Praca przy transmisji i produkcji programu na antenę trwa prawie 12 godzin dziennie. Jeśli do tego dodać kilometry, które trzeba przejechać, to nie zostaje czasu na nic innego”.

WIZUALNA UCZTA

W przeciwieństwie do większości wielkich wydarzeń sportowych, Tour de France jest całkowicie darmowy dla fanów kibicujących wzdłuż trasy. Według agencji Kantar TNS, która bada rynek, dwa lata temu było ich od 10 do 12 mln. Jedną piątą kibiców stanowili przybysze z zagranicy. Ruben Slagter, mieszkający we Francji holenderski dziennikarz piszący dla magazynu kolarskiego „Wielor Revue”, mówi: „Tour de France odbywa się przeważnie w lipcu, dlatego Holendrzy, którzy kochają rowery, często wybierają się na wakacje do Francji w miejsca, przez które przejeżdżają kolarze”.

Organizatorzy starają się, żeby kibicom i telewizjom zapewnić dużo wrażeń i pocztówkowych widoków. „Dwa inne wielkie wyścigi kolarskie, Giro d'Italia i Vuelta a España, nie są już tak atrakcyjne wizualnie. Jeśli chodzi o ich trasy, to wybierane są miejsca kolarsko ważne, ale sam dojazd do nich jest już mniej spektakularny. W przypadku Tour de France jest to niekończąca się reklama kraju” – dodaje Slagter.

Jego zdanie podziela Bartłomiej Koper, operator TVP, który pracował przy Tour de France w 2011 r.: „Ten wyścig to uczta dla ludzi żywiących się obrazem, więc dla fotografów i operatorów. Każdego roku trasa przebiega przez najpiękniejsze zakątki Francji. Tour idealnie promuje ten kraj, pokazując architekturę, przyrodę i atrakcje turystyczne wszystkich regionów: od średniowiecznych zamków Doliny Loary przez piękno przyrody parków narodowych Écrins czy Camargue do wielkomięjskich arcydzieł architektury Paryża”.

Allsport UK/Allsport/Getty Images



Belg Eddie Merckx we wszystkich swoich startach w Tourze wygrał 96 etapów – to do dzisiaj rekord



Helikoptery, dzi ki kt rym telewizj  ogl daj  efektywne ujęcia z lotu ptaka, lataj  w Tour de France od kilku dekad

Tour de France zosta  stworzony w 1903 r. przez gazet  „L’Auto”, aby zwi kszy  jej sprzeda  i os bi  konkurencyjn  gazet  „Le V lo” („Rower”)

WOJNA DW CH GAZET

Wszystko zacz ło si  od wojny dw ch gazet. Tour de France zosta  stworzony w 1903 r. przez gazet  „L’Auto”, aby zwi kszy  jej sprzeda  i os bi  konkurencyjn  gazet  „Le V lo” („Rower”). Popularno   wy cigu – ju  w pierwszych latach – zaskoczy  organizator w. W 1919 r. wprowadzona zosta  s ynna   lta koszul-

ka (gazeta „L’Auto” mia    lte strony, st d najprawdopodobniej wy b r tego koloru), aby mo na by o w peletonie odr  ni  lidera klasyfikacji generalnej. Pomys  ten zosta  skopiowany przez inne wy cigi kolarskie.

Jean-Fran ois Mignot w swojej ksi  ce pt. *Histoire du Tour de France* pisze: „Od jego powstania ewoluuje spos b, w jaki wy cig jest pokazywany: w

gazetach, radiu, telewizji i w ko cu w internecie. Tour odzwierciedla tak  , mo e nawet lepiej ni  jakikolwiek inne popularne wydarzenie, pojawienie si  kultury masowej”.

Komentator telewizji Eurosport Krzysztof Wyrzykowski uwa a,  e Tour de France ju  dawno przesta  by  wydarzeniem sportowym, sta  si  multimedialnym przewodnikiem



turystycznym po Francji. „Większość telefonów, które odbieramy podczas wyścigu, to ludzie, którzy pytają o jakiś zameczek czy malowniczy pejzaż nadmorski, który widzieli w telewizji. Kolarstwo nadal odgrywa oczywiście ważną rolę, ale nakład sił i środków przez te trzy tygodnie jest jakoś odwrócony”.

TURYSTYCZNA BONANZA MIMO PROBLEMÓW

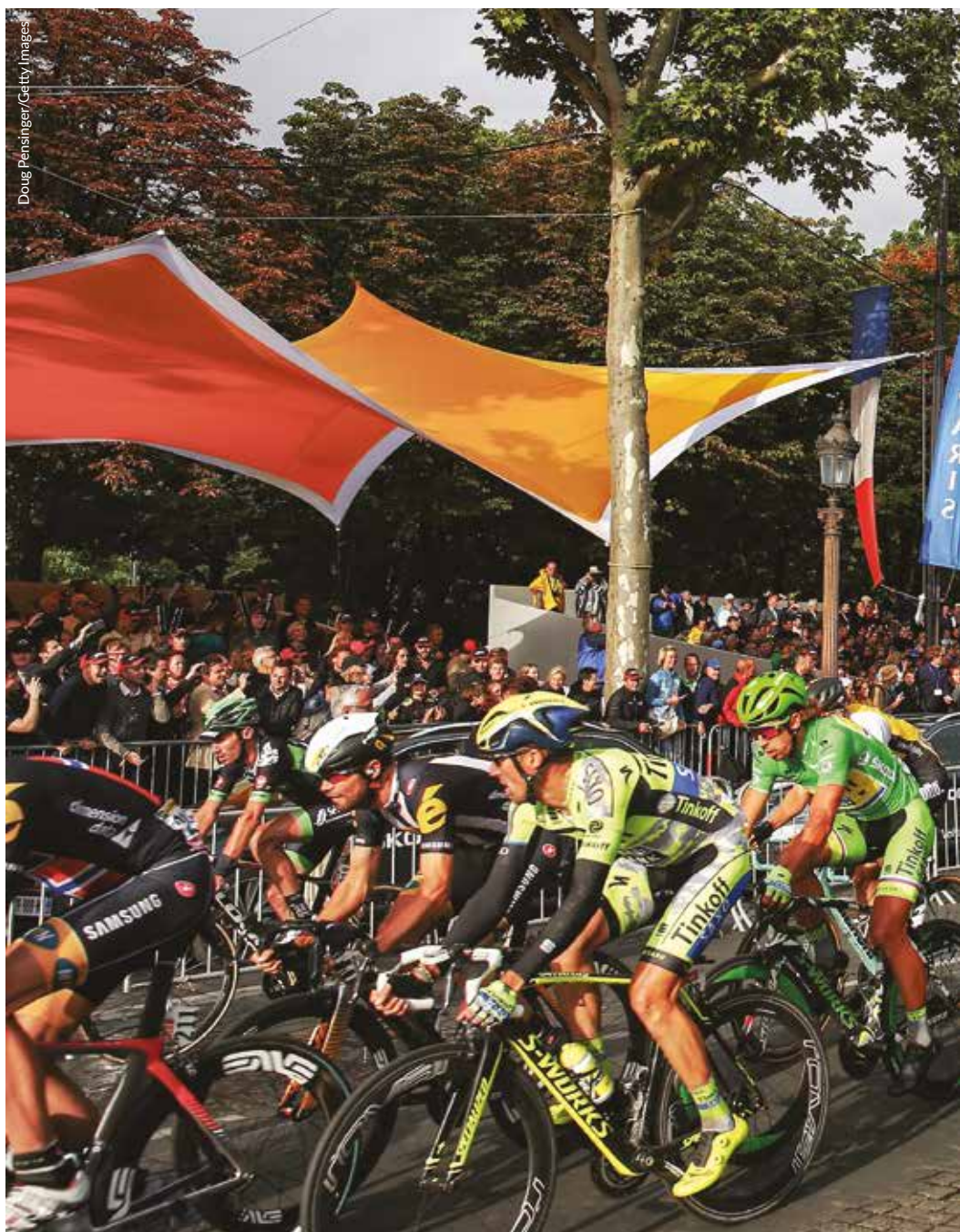
Ubiegły rok był dla Francji rekordowy, jeśli chodzi o turystykę. Suma noclegów, jakie zostały wykupione w hotelach, na kempingach, w ośrodkach wypoczynkowych czy schroniskach młodzieżowych wyniosła łącznie 438 mln, co oznaczało wzrost o 2 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim (wg danych INSEE, czyli Narodowego Instytutu Statystyki i Studiów Ekonomicznych).

To świetny wynik, jeśli wziąć pod uwagę, że w ostatnich latach Francja pojawiała się w telewizyjnych wiadomościach również z okazji zamachów terrorystycznych, strajków i ulicznych manifestacji „żółtych kamizelek”.

W jakim stopniu jest to zasługa Tour de France? Trudno policzyć, ale na pewno w niemałym.

Organizator wyścigu, firma A.S.O., ma podpisaną umowę partnerską z Atout France, Francuską Agencją Rozwoju Turystyki. Jej dyrektorka ds. marketingu Sophie Lacressonnière w wywiadzie dla Tour Mag mówiła: „Obecnie skupiamy się na nowych rynkach, takich jak np. Chiny, Brazylia czy Japonia. Ważne jest, aby zachęcić jak największą liczbę widzów do przyjazdu do Francji. Jest to cel naszej globalnej promocji opartej na tematyce przyrody i otwartych przestrzeni”.

Oczywiście promocja Francji na istniejących rynkach nie jest bynajmniej zaniedbywana. Dwa lata temu, kiedy wyścig startował z Düsseldorfu, Atout France zorganizowała rejs na Renie wzdłuż trasy prologu. Zaproszono na niego 60 niemieckich influencerów oraz dziennikarzy.



GRAND DÉPART Z KRAKOWA?

Jeśli chodzi o żółtą koszulkę, rekordzistą jest belgijski kolarz Eddy Merckx, który zakładał ją 96 razy. Cały Tour de France wygrał pięciokrotnie.

„W 2019 r. obchodzimy 50. rocznicę jego pierwszego tryumfu na Polach Elizejskich i stulecie żółtej koszulki” mówi Chavet. „Eddy Merckx jest ikoną, dlatego trudno, żeby Grand Départ odbył się gdzie indziej niż w Belgii”.

Po raz pierwszy wyścig opuścił granice Francji już w 1907 r. Wtedy to kolarze przejechali przez Metz, który wówczas znajdował się na terenie Cesarstwa Niemieckiego (i dopiero po I wojnie światowej wrócił do Francji). Amsterdam natomiast był pierwszym zagranicznym miastem, w którym zorganizowano Grand Départ – w 1954 r. W 2010 r. prezydent Krakowa, zachęcany przez Bogdana Koraszewskiego, prezesa Rowerowej Akademii Królewskiej, napisał do dyrektora Prudhom-



Finał Wielkiej Pętli z 2015 r. Lotniczy zespół akrobacyjny Patrouille de France przelatuje nad Polami Elizejskimi

me'a list, w którym oficjalnie zgłosił miasto jako kandydata do organizacji Grand Départ.

Koraszewski, który wytrwale promuje tę ideę, podkreśla, że byłaby to ogromna promocja Krakowa przy niewielkim nakładzie inwestycyjnym. Dokonał analizy finansowej miast, w których dotychczas odbywały się Wielkie Starty – wszystkie one miały zyski 5- czy 10-krotnie przewyższające koszty organizacji.

„Po ogłoszeniu miasta, w którym będzie start, hotele w promieniu 20 km wokół są momentalnie rezerwowane. Zjeżdżają się fani kolarstwa z całego świata. Płacą za hotele, restauracje, upominki, no i wywożą obraz miasta dla innych” - mówi Koraszewski.

Czy Kraków ma realne szanse? Dyrektor Prudhomme powiada, że musimy uzbroić się w cierpliwość: „Co roku otrzymujemy masę propozycji z wielu krajów, dlatego bardzo ważna

jest także wytrwałość i ponawianie kandydatury przez kilka kolejnych lat”. ●

Chiara Ferraris

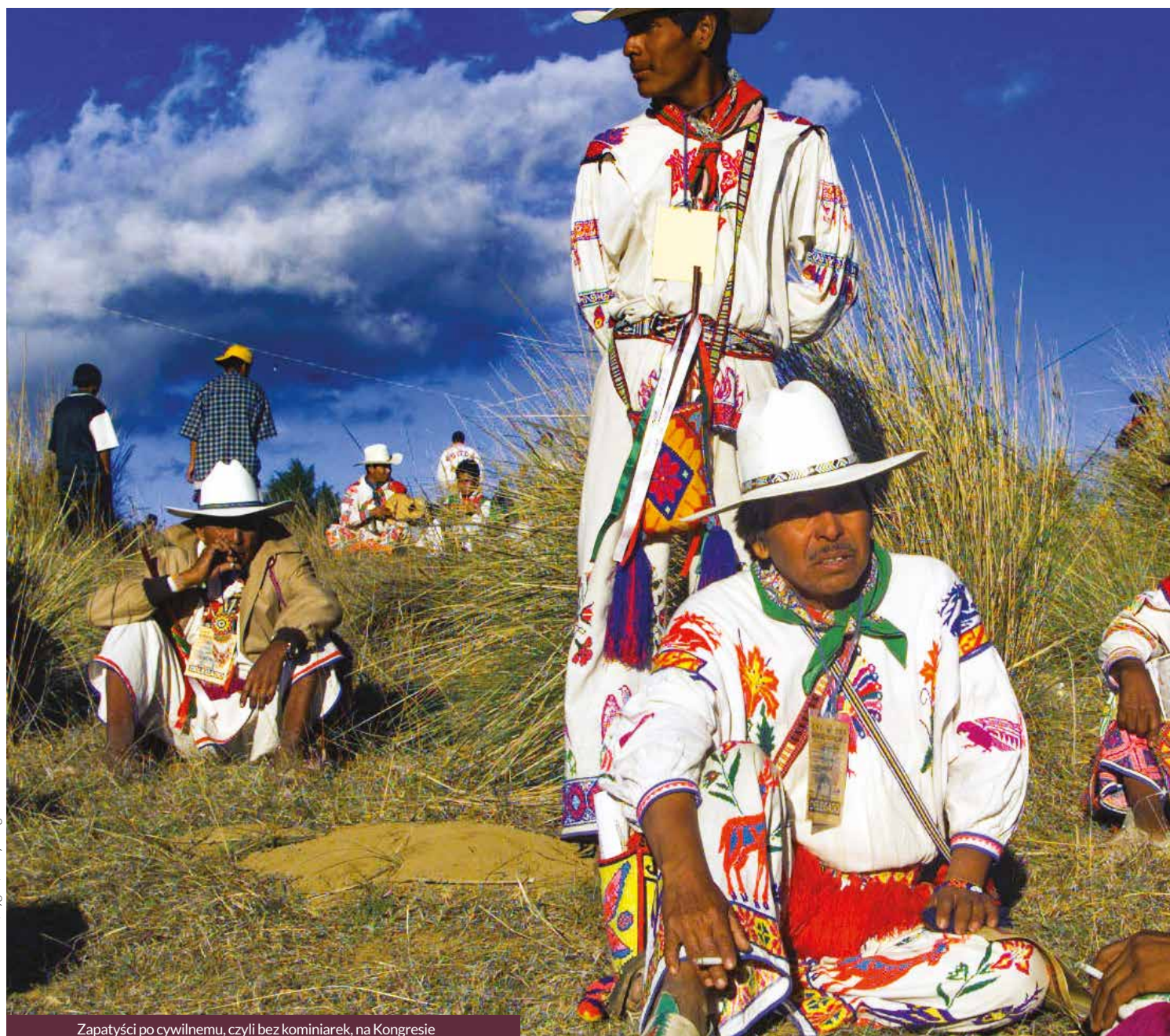
to wychowana na Węgrzech pół Polka pół Włoszka. Producentka telewizyjna i dziennikarka. Mieszka w Paryżu od 2006 r.

Wyjątkowo sympatyczni rebelianci



MIJA 25 LAT OD REBELII ZAPATYSTÓW. NADAL, CHOĆ JUŻ BEZ BRONI, WALCZĄ O LEPSZE JUTRO. A PRZY OKAZJI SPRZEDAJĄ TURYSTOM PAMIĄTKI

Ola Synowiec z San Cristóbal de las Casas



Zapatyści po cywilnemu, czyli bez kominiarek, na Kongresie Ludów Rdzennych w meksykańskiej wiosce Nurio w 2001 r.

Piotrek ma 26 lat, jest fizykiem i przyjechał do Chiapas specjalnie dla zapatystów. To właśnie dla nich zaczął uczyć się hiszpańskiego. Zachwycili go tym, że nie tylko krytykują kapitalizm, ale wymyślili konkretną dla niego alternatywę – autonomiczne regiony, tworzone praktycznie zaraz od wybuchu powstania w 1994 r. Jest ich w Chiapas pięć. Szacuje się, że na ich terenie mieszka łącznie kilkaset tysięcy osób. Krok po kroku, dzień po dniu budują swoje własne państwo w państwie.

„Nastawiałem się na długą, samotną wędrówkę przez las do ludzi, którzy nie będą chcieli ze mną rozmawiać. Właściwie wszystko było inaczej” – opowiada Piotrek. Nie spodziewał się, że zapatyści są na zagraniczne wizyty świetnie przygotowani. Jedna agencja turystyczna oferuje nawet w swojej broszurze zorganizowane wycieczki do nich. Piotrek pojechał do Oventic, autonomii oddalonej o 60 km od kolonialnego miasteczka San Cristóbal de las Casas, centrum turystycznego regionu. Wsiadł w kursowy busik, który co pół godziny odjeżdża do zapatystów z tutejszego targowiska.

„Pojechałem z poznanymi w hostelu Francuzem, Hiszpanką i Włoszką, również zainteresowanymi tematem. Na miejscu spotkaliśmy więcej odwiedzających” – relacjonuje.

Zgodnie z procedurą przy bramie – po kontroli paszportu i krótkiej rozmowie – dostali wyznaczonego zapatystę, który oprowadził ich po autonomii. Bezpłatnie, bez napiwków, ale i bez opowiadania o oglądanych budynkach czy o ruchu jako takim.

„Nie był zbyt rozmowny, jak to tutejsi Indianie. Poza tym jego pierwszym językiem był majański tsotsil, po hiszpańsku mówił dość kiepsko” – opowiada Piotrek. Mimo wszystko był zachwycony, że mógł obcować z zapatystami w autonomii, obserwować ich codzienne życie. Uczestniczyć w lekcjach w tutejszej szkole, pograć z dziećmi w kosza. Zobaczyć kolorowe murale na budynkach.

REBELIA NA SPRZEDAŻ

Po tych wszystkich atrakcjach, czyli na końcu wycieczki, zapatystowski przewodnik zabiera gości do sklepików z pamiątkami. W Oventiku jest ich cztery albo pięć. Do kupienia fair trade’owa, produkowana w autonomii kawa, indiańskie wyszywane rękodzieło, a do tego koszulki, zapalniczki, naklejki, pocztówki – wszystko z wizerunkiem zamaskowanych rebeliantów. W ofercie również typowe kominiarki oraz laleczki przytulanki przedstawiające, a jakże, zapatystów.

Podobny asortyment można dostać na targu z pamiątkami w San Cristóbal.

W miasteczku, przy głównym deptaku jest też kilka sklepików z zapatystowskimi gadżetami. W jednym z nich znajduje się designerską koszulkę z komiksową grafiką, na której były przywódca zapatystów – Podkomendant Marcos – walczący z Kapitanem Ameryką.

Tylko jeden ze sklepików prowadzą sami zapatyści. Mieści się w przestronnej restauracji TierrAdentro, która współpracuje ze społecznościami indiańskimi. Jej właściciel, Eduardo Ledesma, zauważa dwa rodzaje zainteresowania indiańskimi buntownikami wśród turystów.

„Jednego interesuje jedynie zrobienie sobie zdjęcia z zapatystami i kontynuowanie swojej wycieczki, ale inny naprawdę pragnie się w to zaangażować. Drugi typ nie chce nazywać się turystą, nie interesuje go jedynie zgłębienie wiedzy na temat zapatyzmu, ale także znalezienie jakiegoś sposobu na wsparcie tego ruchu. Szuka bliższego doświadczenia” – mówi.

Zjawisko to ma już swoją nazwę i hasło w Wikipedii. Zwie się „zaturystyka”. Ale Piotrek nie lubi tego określenia. To dlatego, że tak często używane jest ono ironicznie, a sam fenomen wysmiewany jako lewicowa moda. Jako nowy trend dla tych, którym przejadły się już t-shirty z Che Guevarą.

MIĘDZYNARODOWI OCHOTNICY

Z Beatriz Aurorą było podobnie. Przyjechała do Chiapas dla zapatystów. Ale ona została. Również dla nich. Pochodzi z Chile, w San Cristóbal mieszka już od 20 lat. Tłumaczyła ich spotkania z zagranicznymi gośćmi, zbierała dla nich po świecie fundusze, organizowała we wsiach apteki, pomagała walczyć z epidemiami wśród zwierząt gospodarczych. Teraz sprzedaje ich rękodzieło.

„Obliczyłam, że sprzedaż tylko jednego haftu zaoszczędzi indiańskiej kobiecie dźwigania na plecach drewna przez trzy miesiące” – mówi Beatriz, kiedy spotykamy się na patio jej galerii Nemi Zapata w San Cristóbal.

Oprócz zapatystowskich produktów sprzedaje tu także własne prace ich przedstawiające. Przedrukowuje je na plakatach, pocztówkach, zakładkach do



książek, kalendarzach, magnesach na lodówkę. Jej kolorowe, prymitywistyczne obrazki stały się na tyle popularne, że wielu klientów myśli, że to sztuka samych zapatystów.

„Ludzie śmiali się, że urwali się z księżycą. Partyzantka pod koniec XX w.? Ale oni różnili się od istniejących dotąd ruchów rewolucyjnych” – mówi Beatriz, która sama w latach 70. należała do chilijskiego MIR-u (Ruchu Lewicy Rewolucyjnej).

„Praktycznie wszystkie znane mi organizacje lewicowe miały konstrukcję wertykalną i były zupełnie niedemokratyczne. Zapatyści zupełnie z tym zrywali. To nie poszczególne osoby, które wstępują do organizacji, zapatystami są całe mająńskie wioski. Mężczyźni i kobiety, starsi i dzieci”.

PO CO TA REBELIA?

Kiedy rozległy się strzały, mieszkańcy San Cristóbal de las Casas myśleli, że to jeszcze sylwestrowe fajerwerki. Były wczesne godziny 1 stycznia 1994 r., a oni nazywali się EZLN, Zapatystowską Armią Wyzwolenia Narodowego. Byli Indianami z małych wsi w Chiapas, czyli z najbiedniejszego w Meksyku stanu, w którym pod koniec XX w. 60 proc. ludzi żyło za mniej niż 5 dolarów dziennie. Gdzie poziom edukacji i opieki medycznej był najgorszy w kraju. Gdzie 60 proc. ludzi było niedożywionych, nie miało dostępu do czystej wody pitnej i wciąż gotowało na palenisku, mimo że Chiapas dostarczał Meksykowi 40 proc. krajowego gazu i 20 proc. ropy. Paradoksalnie – biedne Chiapas było najbogatszym stanem, jeśli chodzi o surowce naturalne.

„Každy, kto miał możliwość spotkać się z milionami Meksykanów, którzy żyją w skrajnej biedzie, wie, że żyjemy dosłownie na bombie zegarowej” – pisała Pilar Valdes, meksykańska dziennikarka.

Beatriz zobaczyła relację z powstania w telewizji, mieszkała już wówczas w Meksyku, niedaleko stolicy kraju.

„Tutejsza telewizja jest prorządowa i dyskredytowała zapatystów. Ale między wierszami można było wyłapać ich

Yoray Liberman/Getty Images



Podkomendant Marcos, legendarny przywódca zapatystów, pozdrawia swoich zwolenników i fanów, 2001 r.

komunikat” – opowiada. Swoją nazwę wzięli od Emiliana Zapaty, jednego z przywódców rewolucji meksykańskiej 1910 r. By niejako kontynuować jego niespełnione dzieło.

„Rewolucyjne ideały, zawarte w podpisanej na jej fali konstytucji, nie zostały według nich spełnione. W kraju wciąż żyli równi i równiejsi” – komentuje Beatriz. Indianie, którzy stanowili prawie jedną czwartą społeczeństwa Meksyku, wciąż byli traktowani jako obywatele drugiej kategorii. Nie mieli reprezentacji we władzach stanowych ani federalnych. „Ya basta! Już dosyć! Nigdy więcej Meksyku bez nas!” – krzyčeli zapatyści.

PRZEKLĘTA KUKURYDZA Z AMERYKI

Datę 1 stycznia wybrali nieprzypadkowo. Wtedy bowiem w życie wchodziła NAFTA, Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu między Meksykiem, USA i Kanadą. Tutejsi Indianie przewidzieli, że w żaden sposób nie poprawi

on życia najbiedniejszym, a wręcz przeciwnie – pozbawi ich szans na konkutowanie z wielkimi koncernami oraz zagranicznym kapitałem.

Przez te 25 lat, które minęły od tego momentu, straciło pracę prawie 2 mln Meksykanów zatrudnionych w rolnictwie. Przede wszystkim przez bezcłowe produkty rolne importowane z USA, w tym narodową świętość – kukurydzę. W kraju, którego przodkowie wierzyli, że człowiek został z niej ulepiony, ponad połowa konsumowanej dzisiaj kukurydzy pochodzi z USA, gdzie jest modyfikowana genetycznie i produkowana na skalę przemysłową na wielkich farmach. Dzięki temu jest nawet o połowę tańsza od meksykańskiej – uprawianej najczęściej przez małych producentów.

„Czterech z moich pięciu synów musiało wyjechać, bo z ziemi nie dało się już żyć. Trzech pracuje na wielkich plantacjach w stanie Guerrero, a jednemu udało się dostać do USA” – opowiada starsza Indianka, Maruch, którą poznaę



głosów i podjęto zgodną decyzję. Nie ważne było, czy zajmie to pół godziny, czy pół dnia” – mówi Jérôme.

Dzisiaj w caracolach utworzono Rady Dobrego Rządu, ich członkowie nie otrzymują żadnego wynagrodzenia –

Na Gwiazdkę rozdano najbiedniejszym 4 mln cyfrowych telewizorów HD. Większość obdarowanych nigdy nie doniosła ich do domu. Bo i po co? Przecież nie mają prądu

”

w galerii Beatriz Aurory. Spotykam tu też kilkoro zapatystów; przynoszą produkty na sprzedaż. Kawę oraz nowy hit – naturalne olejki z ziół wykorzystywanych w tutejszej medycynie ludowej.

„Nie chcieliśmy władzy, tylko równych praw. Ale rząd nie spełnił obietnic” – mówi jeden z nich, Eduardo, nawiązując do podpisanych w 1996 r. porozumień z rządem, z których ten nigdy się nie wywiązał. „Rząd nie chce pomagać Indianom, a jak pomaga, to robi to w nieprzemyślany sposób – kontynuuje. – Wyobraź sobie, że ostatnio, na Gwiazdkę, rozdano najbiedniejszym 4 mln cyfrowych telewizorów HD. Produkt pierwszej potrzeby, phi! Chodziły potem na targu po tysiąc pesos [ok. 200 zł]. Bo oczywiście większość obdarowanych nigdy nie doniosła ich do domu. Bo i po co – przecież nie mają tam prądu”.

ŚLIMAKI, CZYLI UTOPIA

Francuz Jérôme Baschet, tak jak Beatriz Aurora, jest po sześćdziesiątce. Też

mieszka w Chiapas od 20 lat. I tak jak ona – dla zapatystów. Jest historykiem, o rebelii napisał kilkanaście artykułów naukowych oraz kilka książek. Kiedy spotykamy się w kawiarni, zajęty jest właśnie organizacją wystawy sztuki zapatystów w Paryżu.

Na pytanie, dlaczego właśnie zapatyści, odpowiada, że w 1995 r., kiedy przyjechał do Chiapas po raz pierwszy, zafascynowały go autonomię: „To nie byli partyzanci w puszczy, ale całe wioski, społeczeństwo budowane od nowa”.

„Jak sami mówili, ich pierwszą strategią był ogień, drugą – słowo, trzecią zaś – wzięcie sprawy we własne ręce i budowanie lepszego świata. Tak powstały autonomię, zwane caracolami, czyli ślimakami. Bo zmiana, jak muszla ślimaka, ma biec od środka, od nich samych, powoli zataczając coraz szersze kręgi”.

„Zachwyciło mnie, że wszystkie decyzje podejmowano tu wspólnie. Rozmawiano tak długo, aż wysłuchano wszystkich

zapatyści nie chcieli, by w ich społecznościach istnieli zawodowi politycy. Rady mają „rządzić służąc”, mają słuchać głosu ludzi i spełniać ich wolę.

„Nie jest łatwo stworzyć tak wielką enklawę wewnątrz innego, kontrolującego życie systemu. A mimo to caracolom udało się osiągnąć już pierwsze sukcesy. Badania Narodowego Uniwersytetu Autonomicznego Meksyku pokazują, że na terytoriach zapatystowskich służba zdrowia oraz system edukacji działa dużo lepiej niż w innych częściach stanu” – zaznacza Baschet.

Jest tu cały system opieki medycznej z regionalnymi klinikami, centrami zdrowia w gminach i promotorami w każdej społeczności. Zapatyści stworzyli też swój własny system edukacji na poziomie szkół podstawowych i gimnazjalnych. Mają 500 szkół i 1300 promotorów edukacji.

Mieszkańcy autonomii żyją – podobnie jak ich „niezrzeszeni” indiańscy sąsie-





Zespół zapatystów gra w Guadalupe Tepeyac, 1995 r.

dzi – przede wszystkim z rolnictwa. Kultuwają tradycyjny sposób uprawy zwany milpą, wedle którego kukurydzę sadzi się razem z fasolą i dynią. Uprawiają również kawę. Tę eksportują na cały świat – sprzedaje się ją np. w polskich squatach. Zapatyści zdobyli bowiem międzynarodową popularność, z walczących o swoje prawa Indian stali się ikonami antyglobalizmu oraz antyneoliberalizmu.

ZNALEŹĆ SENS ŻYCIA

Odwiedzili ich m.in. Danielle Mitterrand, Oliver Stone, José Saramago, Susan Sontag, Noam Chomsky, Naomi Klein, Rage Against the Machine i Manu Chao. Ten ostatni kilka lat temu pojawił się zresztą ze spontanicznym koncertem w jednej z autonomii w rocznicę wybuchu powstania.

Międzynarodowa popularność przyniosła zapatystom nie tylko dodatkowe środki finansowe, ale także bezpieczeństwo. Podkomendant Marcos powiedział kiedyś, że gdyby nie uwaga świata, to już dawno by nie żył. Między innymi dlatego zapatyści nie stronią od gości i chętnie zapraszają do swoich autonomii.

Mia Eve Rollow, poruszająca się na wózku 33-letnia Amerykanka, po wypadku, czyli dziewięć lat temu, spakowała wszystko i przyjechała do Chiapas, by w caracolach szukać nowego sensu życia. Wraz z zapatystami organizuje warsztaty i akcje artystyczne.

Po 12 dniach rewolucji w styczniu 1994 r., kiedy zginęło prawie dwieście osób, zapatyści zrezygnowali z walki zbrojnej. Już nigdy potem nie użyli broni do ataku

”

„Sztuka stała się ich nową i jakże skuteczną bronią” – stwierdza. Pomaga im w organizacji odbywającego się w lipcu festiwalu artystycznego CompArte. Uczestniczyła także w zorganizowanym przez zapatystki w marcu 2018 r. pierwszym międzynarodowym zjeździe kobiet, na którym pojawiło się 10 tys. reprezentantek kilkudziesięciu krajów świata.

Piotrek załapał się na festiwal artystyczny oraz na zjazd Consejo Indígena de Gobierno (Indiańskiej Rady Rządu), której obrady są otwarte dla odwiedzających. Powstała dzięki zapatystom;

składa się z przedstawicieli meksykańskich grup etnicznych. W ubiegłym roku rada wystawiła swoją kandydatkę do wyborów prezydenckich w Meksyku. María de Jesús Patricio Martínez, zwana „Marichuy”, Indianka Nahuja, nie zebrała jednak wystarczającej ilości podpisów, by w nich wystartować.

Podpisy można było złożyć tylko poprzez specjalną aplikację na smartfona, minimum z Androidem 5.0. Wyborcy „Marichuy” raczej takich modeli nie mają. Nie mówiąc już o dostępie do internetu. Tutaj, w górach Chiapas, zasięgu próżno szukać nawet na szczytach wzgórz.

ZAMIAST SYLWESTRA

Oprócz licznych wydarzeń organizowanych przez zapatystów jest także to najważniejsze – rocznica powstania z 1 stycznia 1994 r., obchodzona tu zamiast sylwestra. Mimo że po 12 dniach, podczas których zginęło przynajmniej 200 osób, zapatyści odeszli od walki zbrojnej i twierdzą, że od tamtej pory nigdy nie użyli broni do ataku, to właśnie dzień zbrojnego powstania świętowany jest w autonomiach najhuczniej. Jest scena, nagłośnienie, przemówienia, występy artystyczne.

Mimo że temperatura nocą spada w styczniu do zera stopni, zwykle świętują setki zapatystów i setki ich sympatyków. Nie ma tańców, bo zapatyści praktycznie nie tańczą. Nie ma też alkoholu – wprowadzone przez zapatystki „suche prawo” zabrania picia w caracolach.

W tym roku wypadła 25. rocznica i zapatyści zdecydowali się uczcić ją jeszcze huczniej. Zamiast jednego dnia – obchody trwały pięć. Grał zapatystowski zespół rockowy, potem jeszcze dwa hip-hopowe, wszyscy w kominiarkach. Byli też znani meksykańscy wykonawcy muzyki niezależnej.

Wszyscy sympatycy ruchu zostali zaproszeni do autonomii La Realidad, wstęp wolny, obowiązkowa wcześniejsza rejestracja e-mailowa. Z miasta Meksyk zorganizowany był specjalny autokar.

„Zapatyści nie są tylko reliktem przeszłości, ich głos liczy się w Meksyku. Głośno wypowiadają się na ważne tematy, a ich zdanie nie umyka uwadze meksykań-



Malowidła ścienne zapatystów we wiosce Oxxchuk niedaleko San Cristobal de Las Casas

skiej prasy z siedzibami w mieście Meksyk” – komentuje Beatriz Aurora.

W trakcie uroczystości 25. rocznicy powstania głośno krytykowano nowego prezydenta Meksyku, Andrésa Manuela Lópeza Obradora. Mimo że identyfikuje się on z lewicą (w odróżnieniu od poprzedników), zapatyści odznaczają się od jego polityki.

Potępiają np. plan budowy linii kolejowej ze stanu Chiapas do karaibskiego kurortu Cancún. Projekt, zwany Tren Maya, ma według prezydenta wspomóc turystykę w regionie, jednakże nie był konsultowany z ludnością rdzenną. Indianom nie podoba się, że tory mają być poprowadzone przez chronione obszary puszczy tropikalnej.

Tysiące słuchaczy, w tym cudzoziemców z dalekich krajów, entuzjastycznie biły brawo. Dla nich rocznica powstania to wyjątkowa okazja zatrzymania się na kilka dni w caracolu, zwykle

zapatyści nie pozwalają na dłuższe wizyty.

Wyjątkiem były zorganizowane w 2013 r. Escuelitas Zapatistas („szkółki zapatystowskie”). Zaproszono 6 tys. osób z całego świata, by podzielić się wiedzą, którą zdobyto, budując autonomię. Wśród nich byli Jérôme Baschet i Mia Eve Rollow.

CZUJECIE SIĘ WOLNI?

„Każdy z nas na tydzień mógł zamieszkać z jedną rodziną, wykonywał codzienne obowiązki, rozmawiał” – opowiada Rollow. Przez ten tydzień poczuła się naprawdę dobrze, stanowiła część grupy. „To było coś, czego tak bardzo brakowało mi wcześniej, w zindywidualizowanym świecie zachodnim” – podsumowuje.

Beatriz Aurorę zauroczyła w zapatystach ich próba budowania utopii. „Przed 1994 r. malowałamraje uto-

pijne. Teraz maluję raj, który istnieje w rzeczywistości” – mówi.

Jérôme Baschet nie widzi sprawy tak romantycznie. Podkreśla, że zapatyści – jak sami to ujmują – „idą, pytając”, wciąż robią dwa kroki w przód i jeden do tyłu, ale prą ku jakiejś wizji idealnego według nich społeczeństwa.

„Podczas Escuelitas Zapatistas uczestniczyłem w kursie na temat wolności. Bo możemy o niej mówić tylko wtedy, gdy postępujemy według własnych i wybranych przez siebie zasad” – mówi. „Na koniec zadano nam pytanie: »A wy? Czujecie się wolni?«. Zapadła cisza. Zapatyści zdziwili się. Zapytali: »To dlaczego z tym czegoś nie zrobicie?«”

Ola Synowiec

jest dziennikarką i pisarką. Od 2011 r. mieszka w Meksyku. Prowadzi bloga Mexico Magico. Wydała książkę *Dzieci Szóstego Stolica. W co wierzy Meksyk*

W Himalajach zrozumiesz, że wszystko jest możliwe



WYPRAWA ŚLADAMI PIERWSZYCH
POLSKICH HIMALAISTÓW

z himalaistą Rafałem Fronią rozmawia Dariusz Jaroń

**GDYBYŚMY MIELI IŚĆ NA TĘ GÓRĘ 80 LAT TEMU, Z TAMTYM SPRZĘTEM, WIEDZĄ I TECHNIKĄ,
NIE POSZLIBYŚMY. NIE MIELIBYŚMY W SOBIE TEJ NIEZŁOMNOŚCI. NIE WIERZĘ, ŻE BYLIBYŚMY
SKŁONNI ZARYZYKOWAĆ TAK WIELE. A ONI POSZLI**



2 lipca 1939 r. na dziewiczym szczycie Nanda Devi East (7434 m) stanęli Jakub Bujak i Janusz Klamer. W ten sposób zapisali pierwszy, dzisiaj zapomniany – po części z powodu II wojny światowej – rozdział w historii polskiego himalaizmu. Nanda Devi, nazwana od hinduskiej bogini śmierci, była wówczas szóstą co do wysokości górą zdobytą przez człowieka. Dwaj pozostali uczestnicy wyprawy – Stefan Bernadzikiewicz i Adam Karpiński – zginęli dwa tygodnie później w lawinie.

80 lat później śladami polskich pionierów wyruszyła wyprawa, w której uczestniczą amatorzy – w tym wnuk Bujaka Jan Lenczowski, oraz zawodowcy – jak Rafał Fronia, doświadczony himalaista, autor książek *Anatomia góry* i *Rozmowa z górą*, który rozmawiał z Holistic News tuż przed wylotem.



Dariusz Jaroń: Jak zainteresować media i sponsorów ekspedycją na nieznaną, zapomnianą górę? Wydawałoby się, że w dzisiejszych czasach potrzebny jest spektakularny wyczyn, jak choćby zimowy atak na K2.

Rafał Fronia: To jest faktycznie problem. Większość sponsorów liczy na rozgłos, a ten jest tylko na szczytach ośmiotysięcznych. Wydaje mi się, że łatwiej jest uzbierać 50 tys. zł na turystyczną wycieczkę na Mount Everest, niż załatwić sobie dofinansowanie na wyprawę rocznicową na Nanda Devi. Prawie nikt o tej górze nie słyszał.

Jak zatem udało się wam sfinansować wyprawę?

Jedziemy za własne pieniądze. Zarobiliśmy, mamy, ruszamy na wczasy, akurat chcemy wypoczywać w ścianie Nanda Devi. Ale dzięki programowi Polskiego Himalaizmu Zimowego pojawiła się możliwość dofinansowania kilku zawodników dokooptowanych do naszej wyprawy. Na przykład Filipa Babicza, świetnie zapowiadającego się himalaisty. Być może wyjdzie on zimą na K2. Nanda Devi to dla niego pole treningowe. Na szczęście hasło „K2 zimą” przyciąga do polskiego himalaizmu środki, które mogą pomóc w realizacji innych, nie tak widowiskowych medialnie przedsięwzięć.

Ile kosztują te wasze wczasy?

Indie są relatywnie tanie. Wyprawa na Nanda Devi kosztuje nieco ponad 2 tys. dol. od osoby. Gdybyśmy szli na ośmiotysięcznik, to same opłaty agencyjne byłyby cztery razy wyższe. Tymczasem na Nanda Devi logistyka jest taka sama, trudność góry niekiedy większa, a cena zdecydowanie niższa.

Ceny zależą od wysokości i popularności?

Zezwolenie na szczyt, który ma 7800 m, potrafi kosztować 300 dol., a na 100 m wyższy – już 1500 dol. Chyba Krzysiek Wielicki kiedyś powiedział, że problemem himalaizmu jest metryczny system miar. Gdybyśmy mieli anglosaskie stopy, nie byłoby żadnych 14 ośmiotysięczników, nie byłoby wyścigu Reinholda Messnera z Jurkiem Kukuczka [w latach 80. ubiegłego wieku ci dwaj himalaiści ścigali się, kto pierwszy zdobędzie wszystkie ośmiotysięczniki; wygrał Messner – red.] i tego całego zamieszania.

W 1939 r. Nanda Devi East była imponującym wyczynem nie tylko dla polskiego himalaizmu. Czym jest osiem dekad później?

Chciałbym, żebyśmy podołali zadaniu. Nie wiemy, jakie panują tam warunki, wobec tego nie możemy przewidzieć, jakie trudności będą w ścianie. Świat się zmienia, z różnych względów następuje ocieplenie klimatu, co powoduje, że młode góry wysokie się rozpadają. Ich spoiwem jest temperatura, zimno w postaci wiecznej zmarzliny i lodu. Kiedy mamy jeden wielki monolit lodowo-śnieżno-skalny, mamy możliwość asekuracji. Mo-



zemy wbijać śruby, wkręcać haki. Ale kiedy góra zaczyna się łuszczyć, odpadają płyty skały, wspinaczka staje się niebezpieczna. Nie zawsze to, co pionowe, jest trudne do wspinania. Mamy czekan, raki, linę do asekuracji. Jeśli odpadniemy, polecimy trzy metry w dół, nic nam się nie stanie. Ale jeśli nie można niczego wbić w kruchą ścianę, robi się bardzo ryzykownie. Ważne, co się działo na Nanda Devi w ostatnich miesiącach. Jeśli spadło dużo śniegu, będzie monolit ułatwiający wspinaczkę. Inaczej będzie ciężko.

Pierwsi polscy himalaiści, których tropem ruszacie, wiedzieli jeszcze mniej...

Cały czas próbuję sobie wyobrazić, jak się musieli z tym czuć. Przecież tak naprawdę nie wiedzieli nic.

Wychodzili z namiotów, z trudem zakładali zmrożone buty i bez możliwości sprawdzenia prognozy pogody ruszali w górę.

I to jest himalaizm! To jest eksploracja! Co to znaczy być pierwszym zimą na K2? Dziś mamy prognozy pogody, a każdy metr drogi jest znajomy. Większość ludzi, którzy jadą zimą na K2, była już tam latem.

80 lat temu nasi starsi koledzy nie mieli żadnej wiedzy na temat góry. Pojęcia nie mieli, co przed nimi, nie mieli wyliczonych lin poręczowych, żeby zabezpieczyć trzy kilometry grani. Z nami na Nanda Devi jadą dwa drony. Zanim wbijemy się w ścianę, będziemy wiedzieli, jak ona wygląda, będziemy wiedzieli, czy jest krucho. Będziemy



Nanda Devi East, jeden z wierzchołków masywu górskiego Nanda Devi, położonego w zachodniej części Himalajów Wysokich

Anil Sharma/Getty Images

mieć też kontakt z meteorologiem, dowiemy się, czy możemy iść w górę, czy powinniśmy przeczekać zamieć.

Gdybyśmy mieli iść na tę górę na warunkach z 1939 r., nie poszlibyśmy. Nie mielibyśmy w sobie tej niezłomności. Nie wierzę, że bylibyśmy skłonni zaryzykować tak wiele, żeby spróbować to zrobić. Pomijam kwestię urlopu. Dziś wsiadamy w samolot, kilka dni trekkingu i jesteśmy w bazie. Ile oni jechali, zanim dotknęli ściany?

Najpierw pociągami przez Europę, potem płynęli do Indii statkiem, a na końcu w pyle i skwarze jechali kilka dni w stronę gór. Dotarcie z Warszawy do Almory, skąd ruszyła karawana, zajęło im kilka tygodni.

Wyobrażasz to sobie dzisiaj? Że nie lecimy samolotem do New Delhi, tylko podróżujemy jak oni? Nieprawdopodobne. Pomijam sprawę muzealnego na współczesne warunki sprzętu.

Zazdrościsz im tego pionierstwa?

We mnie nie ma tak wielkiej determinacji. Nigdy nie zdobyłem góry jako pierwszy, nie miałem tej przyjemności i wydaje mi się, że nie będę mieć. Ale to dla mnie bez znaczenia. Moim rywalem w górach jestem ja sam, moje słabości. Statystyki się kompletnie nie liczą. I nie chodzi tylko o to, czy wejść na szczyt, ale również czy z niego zejść. Jeśli nie mam stuprocentowej pewności, wycofuję się, bo uważam, że życie jest całkowicie niemierzalną wartością w porównaniu z jakimkolwiek sukcesem czy splendorem. Każda eksploracja – w mojej tchórzliwej ocenie – powinna mieścić się tylko i wyłącznie w kategoriach życia. Mam zbyt wiele marzeń i planów, żebym mógł sobie pozwolić na – trywialnie mówiąc – pójście po bandzie. Obym tego nigdy nie zrobił.

To jest problem nie tylko himalaizmu, ale także każdej aktywności, w której dochodzimy do granic wytrzymałości i możliwości własnego organizmu. Jak powiedzieć „dość”, kiedy szczyt jest na wyciągnięcie ręki, a marzyliśmy o nim od lat?

Góry zostawiają wybór tylko tobie. Nie ma żadnej siły, która by spowodowała, że ktoś wbrew twojej woli każe ci pójść dalej.

Literatura mówi o gorączce podszczytowej.

Nic nie zatrzyma człowieka, gdy dostanie małego rozumu. Krzysiek Wielicki nie był w stanie zatrzymać chłopaków w drodze na Broad Peak w 2013 r. Czasem wydaje się, że do szczytu mamy kwadrans, może dwa, a w radiu słyszysz głos kierownika: „Zawracaj!”. On to mówi z jakiegoś powodu. Bo np. z kwadransa robi się po wejściu na szczyt godzina, która potem decyduje o tym, czy odnajdziemy namiot, bo będziemy schodzić do obozu po zmroku. Zawsze warto wybrać życie.

Wspomniałeś o dronach monitorujących drogę. Jak jesz-



Rafał Fronia jest doświadczonym himalaistą, brał m.in. udział w zimowym ataku na K2

cze mogą wam pomóc?

Dron może być ratunkiem – przypomnijmy przypadek zaginionego Ricka Allena, odnalezionego przy pomocy drona na Broad Peak przez Bartka Bargiela. Albo przypadek Janusza Gołęba, który przy pomocy drona został zaopatrzony w leki w obozie III na K2.

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy na długiej, mocno ekspozowanej grani, której przejście trwa dwa dni. I mamy człowieka z uszkodzonym kręgosłupem. Czy transport ciężko rannego himalaisty w takich warunkach jest możliwy? Uważam, że nie. Ale może uda się zorganizować zjazd i opuścić go przy asekuracji prowadzonej z powietrza właśnie za pomocą drona aż do podnóża ściany, gdzie będzie mógł podlecieć śmigłowiec. Mówiąc krótko:

dron najwyczajniej w świecie może uratować życie.

Dron ma też pewne ograniczenia. Zimą na K2 jest równie pomocny?

W moim odczuciu nie. Różnica w warunkach pogodowych między zimą a latem jest tam straszna. Niska temperatura, wciąż wiejący wiatr, który może zdmuchnąć drona... Nie wyobrażam sobie, żeby zimą pogoda pozwoliła wlecieć dronem powyżej wysokości ramienia. Przed rokiem dron zepsuł się nam już w drodze do bazy [chodzi o nieudaną próbę zimowego wejścia na K2, w której Rafał Fronia brał udział – red.].

Przylgnęła do ciebie łątka romantyka, koledzy wołają za tobą „Mickiewicz”. Historia związana z pionierską

wyprawą na Nanda Devi East dodatkowo cię motywuje?

Ze mną jest tak, że z pozycji fotela nie bardzo potrafię sklecić coś o górach. Nie bardzo umiem tu na dole wyzwolić w sobie te górskie emocje, bo tego się nie da zrobić. Inaczej tu funkcjonuję, inaczej myślę. To moje „mickiewiczowanie” wywodzi się z kontaktu malutkiego człowieka z potęgą natury. Kiedy szliśmy drogą Basków na K2, wyobrażałem sobie grzbiet smoka usiany łuskami. Szliśmy po tym ogonie do łba, zięjącego lodowym ogniem i ryczącego na nas, kierując się w stronę pyska. Takie porównania przychodzą do głowy, jak siedzisz kilka dni w namiocie, na zewnątrz szaleje śnieżycą, aż w końcu wystawiasz głowę, patrzysz na tę wielką górę i wtedy się okazuje, kto ma odwagę wbić się w ścianę, a kto się poddaje. Wspinaczkę przegrywa się właśnie wtedy, we wnętrzu namiotu, we własnej głowie. Jedni tracą motywację, a u innych budzi się duch lodowego wojownika. Oni w 1939 r. mieli silnej woli pod dostatkiem.

Coś tam z góry przyciąga, woła do siebie. Co takiego?

Nie ma na to skali, nie da się tego doświadczenia zmierzyć. Potrafimy zmierzyć prędkość samochodu, siłę wia-

tru, umiemy określić temperaturę, twardość materiału, nie jesteśmy natomiast w stanie zmierzyć natężenia szczęścia czy empatii, niczego, co łączy się z naszymi uczuciami. W moim odczuciu piramida Masłowa trochę się zaburzyła, nie stoi już tak, jak na początku, jest wywrócona do góry nogami. Kiedyś cały nasz trud był poświęcony temu, żeby przeżyć. To przestało już mieć znaczenie, stało się czymś pewnym. Teraz wysiłki i pieniądze kierujemy w stronę form spędzania wolnego czasu, podróżowania, przeżyć.

Konieczność samorealizacji jest wszechobecna...

Tak chyba działa ewolucja. Postrzegam trochę himalaizm w takich kategoriach. Zawsze bycie pierwszym w jakiejś dziedzinie, odkrywanie czegoś nowego pchały naszą cywilizację do przodu. Dzięki pasjonatom przesuwamy granice ludzkich możliwości. To daje poczucie spełnienia, umożliwia realizację wewnętrznej misji. Bez tego trudno się żyje. Taki Krzysztof Baranowski opływa kulę ziemską, Aleksander Doba pakuje się do kajaka i płynie przez Atlantyk, a Neil Armstrong stawia krok na Księżycu. Cała nasza cywilizacja składa się właśnie z takich małych kroczków.



Pierwsi polscy himalaiści po zdobyciu szczytu Nanda Devi, lipiec 1939 r. Od lewej stoją: Janusz Klarnier, Jakub Bujak, Adam Karpiński, J.R. Foy (lekarz i oficer łącznikowy), Stephen Blake i Stefan Bernadzikiewicz

My dokładamy swoje w górach. Te osiągnięcia uświadamiają ludziom, że niemożliwe jest możliwe. Pięćdziesiąt lat temu nie było problemu K2 zimą, bo uznawano, że to nierealne, więc nikt nie zaprzętał sobie tym głowy. Dzisiaj wiemy, że to się da zrobić, potrzeba dużo determinacji, pracy, odrobiny szczęścia, mam też nadzieję, że nie ofiar.

I to jest twoja odpowiedź na odwieczne pytanie: po co tam chodzicie?

Przy okazji rocznicy śmierci Tomka Mackiewicza brałem udział w odsłonięciu tablicy pamiątkowej w Częstochowie. Wspominając wtedy „Czapkinsa”, zdałem sobie sprawę, że góry są bastionem wolności. Każdy trafia tam z własnych powodów. Przenieśmy się do bazy pod Everestem. Pierwszy napotkany człowiek przyjechał tam, żeby zostać wciągnięty przez szerpę na tlenie na szczyt, gdzie zrobi sobie selfie i będzie mógł zaimponować innym. Drugi przyjechał wytyczyć nową drogę. Trzeci chce zdobyć szczyt bez tlenu. Czwarty przyszedł do bazy spojrzeć wysoko w górę na wierzchołek i to mu wystarczy, nie musi się nawet wspinać.

Każdy ma swój Everest. Wyświechtane, ale prawdziwe.

Otóż to. Każdy doświadcza i zdobywa go inaczej. Do bazy pod Everestem przyszły kiedyś do nas Chinki. Siedzimy, pijemy kawę. Pytają: gdzie wasi szerpowie? Nie mamy. Dobrze, a kto wam niesie tlen? Nie mamy tlenu. To jak się wspinacie? Normalnie, bez tlenu i szerpów. Myślały, że sobie z nich robimy jaja. Zawinięły się i poszły swoją drogą.

Przed nami stała ta sama wielka góra, ale dla nich Everest był czymś innym. I to jest fajne. Nie mamy prawa nikomu narzucać swojej wizji wspinania, góry nie są reglamentowane.

Nie denerwuje cię nachalna turystyka wysokogórska? Wprowadzanie na szczyt ludzi kompletnie nieprzygotowanych, umierających, gdy skończy im się tlen w butli?

Mnie to nie denerwuje, mnie to przeraża. Gdyby ci ludzie robili to wyłącznie na własne ryzyko, byłoby inaczej. Ale ocierają się o innych, którzy będą mieli moralny obowiązek ratowania ich, narażając się na dodatkowe niebezpieczeństwo. Przeraża mnie to, co się dzieje na górach komercyjnych. Przytłaczająca większość klientów tego typu wypraw nigdy nie wspięła się na żadnej górze, przyjeżdżają na Everest, nie umiając nic. Mają tylko trzy rzeczy: marzenie, pieniądze i determinację, tego nie można im odmówić. Nie mają natomiast żadnych kwalifikacji do tego, żeby być w tym miejscu.

Powinno się ograniczyć tłumy na najpopularniejszych ośmiotysięcznikach? Jakoś zakazać wstępu wszystkim bez wyjątku, którzy mają wystarczająco gruby portfel?

Nie mnie decydować, kto może robić tłum na Everestcie, a kto nie. Przecież my, wspinacze bardziej wykwalifiko-



Wyprawa niemieckich geografów w Himalajach, 1935 r.

wani, też go tworzymy. Chciałbym tylko, żeby klienci wypraw komercyjnych bez jakichkolwiek doświadczeń górskich postępowali trochę wolniej. Zanim popędzą na Everest, niech sprawdzą się w sytuacji kryzysowej na niższym szczycie, niech kierują się nie tyle ambicją, ile zdrowym rozsądkiem. Góra zaczeka. ☉



Rafał Fronia

jest himalaistą i podróżnikiem. Był uczestnikiem wielu wypraw, m.in. na Nanga Parbat, Dhaulagiri, Pik Lenina i Baruntse, a także zimowej wyprawy PZA PHZ na Broad Peak 2010/2011.

Matka Boska na działkach w Oławie



LUDZIE POTRZEBUJĄ, ŻEBY MATKA BOSKA DO NICH PRZEMÓWIŁA; ŻEBY HOSTIE SPADŁY Z NIEBA; A ZNAJOMEJ STARUSZCE ŻEBY NAGLE ODRÓSŁY ZĘBY Z PRZODU

z Łukaszem Orbitowskim, autorem powieści *Kult*, rozmawia Martyna Słowik



Zenon Zyburtowicz/FOTONOVA

MATKA BOSKA OBJAWIŁA SIĘ KAZIMIERZOWI DOMAŃSKIEMU W 1983 R. NA DZIAŁKACH W OŁAWIE. DZIAŁKOWIEC ZBUDOWAŁ W SWOJEJ ALTANCIE OŁTARZYK I ZAWIADOMIŁ MIEJSCOWEGO PROBOSZCZA. SPRAWĘ NAGŁOŚNIŁY LOKALNE MEDIA, A NA DZIAŁKI ZACZĘŁY PRZYBYWAĆ SETKI LUDZI. RUCH PĄTNICZY WZRÓSŁ JESZCZE BARDZIEJ – I SPARALIŻOWAŁ MIASTO – KIEDY WOJCIECH JARUZELSKI SKRYTYKOWAŁ OBJAWIENIA NA PLENUM KC PZPR. DOMAŃSKI GŁOSIŁ ORĘDZIA I UZDRAWIAŁ, ROZPOCZĄŁ RÓWNIEŻ BUDOWĘ SANKTUARIUM MATKI BOŻEJ KRÓLOWEJ WSZECHŚWIATA BOŻEGO POKOJU. JEGO OBJAWIENIA NIGDY NIE ZOSTAŁY UZNANE PRZEZ KOŚCIÓŁ KATOLICKI, Z KTÓRYM POJEDNAŁ SIĘ DOPIERO NA ŁOŻU ŚMIERCI



Kazimierz Domański (na zdjęciu) utrzymywał, że objawiła mu się nie tylko Matka Boska, lecz także Jezus Chrystus

Martyna Słowik: Miałeś sześć lat, gdy Matka Boska zjawiła się na działkach w Oławie. Mówiło się o tym w twoim domu?

Łukasz Orbitowski: W dzieciństwie o tym nie słyszałem. Byliśmy bardzo krakowscy. W domu nie było telewizora, a rodzice nie prowadzili na tyle wybujałego życia duchowego, aby spieszyć na działki czy elektryzować się jakimiś objawieniami.

Rzadko wyjeżdżałem, nie znałem innego świata poza Krakowem, który był wtedy niesłychanie papieski. Sto metrów od miejsca, w którym gadamy, Jan Paweł II pojawił się w okienku, budząc żywiołową radość wiernych.

Więc kiedy dowiedziałeś się o objawieniach?

W latach 90., czyli u szczytu popularności i potęgi pana Kazimierza Domańskiego. Poznałem chłopaka z Oławy, zakumpłowaliśmy się i ta przyjaźń trwa do dzisiaj.

Obaj byliśmy wtedy związani ze środowiskiem metalowym, tzw. undergroundem. Robiliśmy pisemka, wymienialiśmy się kasetami, pisaliśmy do siebie listy o metalu. W końcu spotkaliśmy się osobiście, zresztą na działkach.

Tych samych, na których Domański rozmawiał z Matką Boską?

Nie pamiętam, ale to prawdopodobne. Kolega opowiedział mi o panu Kazimierzu, zresztą w bardzo prześmiewczym tonie. A potem dostawałem od niego update'y: o sprawie ze stowarzyszeniem, które Domański założył, o jego upadku, śmierci, o późniejszym przejęciu jego dziedzictwa przez Kościół katolicki.

Nie przyszło ci wtedy na myśl, żeby tam pojechać i zobaczyć to na własne oczy?

A skąd. Nie miałem w sobie odwagi i ciekawości świata. Podglądanie religijności w ogóle mnie wtedy nie interesowało. Nie rozumiałem doniosłości, specyfiki i kolorytu oraz pewnego humoru zapisanego w działalności Kazimierza Domańskiego. Młody byłem, głupi byłem, nie wiedziałem, co się dzieje na tych działkach.

Twoim znajomym też nie po drodze było z Kościołem czy religijnością ludową?

My z kolegą oławskim byliśmy młodzi i wściekle antyreligijni. Wszystko funkcjonowało wtedy na zasadzie kpiny.



Ta książka wzięła się z wódki pitej na działkach i z kulturowania przyjaźni.

Nie byłem i nie jestem człowiekiem wiary, ale dla ludzi wierzących z mojego pokolenia i formacji punktem odniesienia była raczej twórczość grupy Armia, „Brulion” Roberta Tekielego po nawróceniu czy Malejonek. Za Armią szła fantastyczna muzyka, za „Brulionem” Tekielego — legenda. Cała ta erupcja chrześcijańskiej rebelii rockowej, która w zaskakujący sposób wybuchła w połowie lat 90. była nośna, to odpowiadało temperamentom ówczesnych młodych ludzi, ogniskowało ich pobożność, a nie jakiś facet na działkach, który był przecież z zupełnie innego pokolenia.

I z innego, prowincjonalnego świata.

Mirakuliści, którzy doznawali objawień — oprócz Domańskiego także np. Katarzyna Szymon, Bronisława Kuczevska — zwykle byli z małych miasteczek i wsi. To były cuda blisko ziemi. Sam fakt, że Domański doznał ich podczas podwiązania pomidorów, może o czymś świadczyć. Garbił się, schylał, brudził sobie ręce prostą pracą, kiedy przyszła do niego Matka Boska. To cud, który wkracza w życie prostego człowieka. W Oławie nie zdarzyło się wiele ważniejszych rzeczy niż Kazimierz Domański.

Kiedy postanowiłeś, że zrobisz z tego powieść?

Półtora roku temu. Wychodziła moja poprzednia książka, a że jestem niewolnikiem planu i lubię wiedzieć, co będę dalej robił, to myślałem nad kolejnym tematem. Bardzo lubię książkę Mariana Pankowskiego „Pątnicy z Macierzyzny”. Uważam, że od czasu jej wydania nie było uczciwej powieści o polskiej religijności, a to przecież kawał tematu. Chłop, który doznał objawień na działkach, one zainteresowały i przyciągnęły dziesiątki tysięcy ludzi, wybudował dziki kościół z jakimś sanktuarium, z jakimś parkiem, no cuda na kiju!

Znając potęgę polskiego reportażu, najpierw pomyślałem, że ktoś już to wszystko zrobił. Szukam gotowej książki o Kazimierzu Domańskim i objawieniach z Oławy — nie ma. Szukam reportażu filmowego — nie ma.

Wtedy podjąłem decyzję, że muszę się tym natychmiast zająć, klepnąć sobie ten temat, bo jest tak fantastyczny, że zaraz ktoś go odgrzebie. Z rozmów z niektórymi dziennikarzami wiem, że dzisiaj plują sobie w brodę, że się tym nie zainteresowali.

Nie kusilo cię, żeby zająć się tym tematem reportersko?

Nigdy w życiu. Mam temperament kłamcy — kłamstwo w służbie sztuki. Jako reporter byłbym daleko mniej uczipiony prawdy niż Ryszard Kapuściński. Nie wyobrażam sobie odejścia od konfabulacji i dopisywania. Poza tym znam swoje miejsce. Wiem, że ludzie poświęcają wiele lat, żeby nauczyć się pisania reportażu, chodzą do szkół, a tu ch** z Paszportem Polityki przychodzi i mówi, że napisał reportaż. To byłoby nie fair.

To bardzo szlachetne pobudki, ale chyba nie jedyne?

Fikcja daje ci coś, co być może w reportażu umyka. Możliwość opowiedzenia innego rodzaju prawdy. Znalezienia jakiegoś sensu i właściwej barwy, które wynikają z syntezy wszystkich kolorów, składających się na dane uniwersum. Od tego jest literatura.

W „Kulcie” jest wiele podobieństw do wydarzeń z Oławy z lat 80. i 90.

Ta książka jest bardzo prawdziwa odnośnie do prezentacji postaw ludzkich, czasów i przeobrażeń, stosunku do

wierzeń, wątków rodzinnych.

Czyli które zdarzenia oparłeś na faktach, a które wymyśliłeś?



Ludzie wierzyli, że Domański ma moc uzdrawiania



Na działki w Oławie pielgrzymowali ludzie z całego kraju

Trzeba zacząć od tego, że Henryk Hausner, bohater powieści, nie jest Kazimierzem Domańskim. Tamten był zwyczajnym facetem, miał normalne życie: żonę, dwoje dzieci, chorował, poszedł na rentę. Nie miał tych cech bożego głupca i mądrego idioty, które ma powieściowy Henryk Hausner. Heniek jest dużo bardziej chrystusowy, zaświatowy, oderwany od rzeczywistości. Domański taki nie był.

Dwa miesiące temu spalił się dach Notre Dame w Paryżu. Wielu ludzi twierdziło, że to kara za grzechy Europy bądź wezwanie do jej przebudzenia. W twojej powieści Henryk Hausner doznaje objawień Matki Boskiej, które wraz z towarzyszącymi im zjawiskami też mają być ostrzeżeniem dla grzeszników. Widzisz tutaj analogię? To ten sam mechanizm?

My, ludzie, mamy silną potrzebę życia w perspektywie jakiegoś końca. Matka Boża w Oławie ustami Kazimierza Domańskiego głosiła apokalipsę. Po pożarze Notre Dame publicyści gadali, że jest on widomym znakiem końca dziejów czy końca naszej cywilizacji.

Zwróć uwagę, że tego samego rodzaju opowieść występuje w narracji związanej z globalnym ociepleniem. Też zagłada się zbliża. Też jest to вина naszych grzechów. Też możemy poczynić pewne działania, które tę apokalipsę mogą od nas oddalić.

W przypadku Oławy, żeby to się stało, należało się modlić, nie robić aborcji i nie używać kondomów, a teraz trzeba segregować śmieci, nie jeść hamburgerów, nie latać samolotem i tak dalej. Tych zakazów i nakazów jest mnóstwo, a spojrzysz na wykonalność jednych bądź drugich — są na granicy niemożliwości. Apokalipsa wciąż nad nami wisi, w naszych głowach. Jest w nas potrzeba

życia w perspektywie bliskości końca, który jednocześnie trzeba odsunąć.

Na efekt cieplarniany są naukowe dowody, na objawienia nie ma.

Ale z perspektywy psychologicznej to jest to samo. Nie sądzę, żeby Heniek z „Kultu” czy Kazimierz Domański z Oławy byli mniej przekonani, że przyjdzie Bóg i ich zje niż dzisiejsi aktywiści ekologiczni, że nadchodzi katastrofa związana z globalnym ociepleniem. Słuszność jest po stronie prawdy naukowej, ale mindset w obu przypadkach dokładnie taki sam.

Myślisz, że odsuwanie końca świata to cel ludzkiego życia?

Nie wiem, ale wielu ludzi żyje w tej perspektywie. Ja nie.

Dlaczego?

Moim zdaniem ten świat jakoś się potoczy. Umrę, a inni będą żyli. Inni umrą, słońce zgaśnie, inne gwiazdy będą świecić, może później coś się narodzi. Jestem wolny od myślenia początkiem i końcem.

Skoro Łukasz Orbitowski nie żyje w perspektywie początku ani końca, to jak sobie radzi z pytaniami o sens życia?

Życie nie ma żadnego sensu. Wszyscy umrzemy i ja zniknę bez śladu. Moje książki zostaną zapomniane. W najlepszym razie za sto lat będę znany wąskiej grupie badaczy literatury pierwszych dziesięcioleci naszego stulecia. Tacy będą, ktoś tam mnie odgrzebie, ale więcej się nie stanie. Wszyscy zostaniemy zapomniani. Nie ma Boga, ja





Domański umarł w 2002 r. W Oławie wystawiono mu pomnik

się nie reinkarnuję, nie pójdę do nieba ani do piekła, nie dołączę do żadnej wyższej świadomości. To wszystko jest zupełnie bez sensu.

Co z moralnością?

Potrzebuję jej, żeby ktoś mnie nie zastrzelił, nie zabił moich dzieci, nie skrzywdził moich bliskich. Potrzebujemy moralności, żeby móc funkcjonować w społeczeństwie.

Wydaje mi się, że jesteśmy coraz bardziej moralnymi ludźmi. Można podać mnóstwo przykładów krzywd i niemoralnych zachowań, ale jednak 80 lat temu na tych ziemiach dymiły obozy koncentracyjne. Czwierć wieku temu rasizm i homofobia były czymś powszechnym. Były częścią świata umysłu. W ogromnym stopniu już się z tego wyzwoliliśmy.

Czyli ludzie stają się dobrzy?

Pardon my french, ludzie to kurwy. Tej prostej prawdy nie zmienimy. Ludzie z natury są źli i nie będą dobrzy. Cała praca nad cywilizacją polega na tym, żeby wstrętna, mała istota, która jest w nas i krzyczy „jeść”, „zabić”, „zgwałcić”, „dupczyć”, „podpalić”, jak najrzadziej dochodziła do głosu.

Trzeba ją pacyfikować.

Cała kultura polega na pacyfikacji zwierzęcia w nas. Od czego zaczyna się cała ludzkość, powiedz mi? Od morderstwa. Przecież pierwszymi ludźmi w Biblii nie byli

Adam i Ewa, tylko Kain i Abel. Człowiek się rodzi, a nie jest stworzony przez Boga. To się zaczyna od zbrodni: brat zabija brata. Tak jak w „Kulcie”, brat zdradza brata.

Jak pacyfikujesz zwierzę w sobie?

Zwierzę się pacyfikuje samo, bo się starzeje i tępią mu się pazurki. Poza tym mam bardzo silnie rozwinięte poczucie wstydu. Sama myśl o pewnych rzeczach mnie krępuje. Mam w pamięci złe rzeczy, które robiłem i żal za krzywdy, które wyrządziłem innym. Ten żal mnie nie spala, ale bywa dojmujący. Może to głupio zabrzmieć, ale mam wzorce w kulturze, do których się skłaniam, do których mogę się odnieść.

Jakie?

Czytanie Marka Aureliusza czy odniesienie się do Heraklesa — postaci pięknej, choć teraz spauperyzowanej w kulturze.

Jest takie piękne słowo areté, tłumaczone jako „cnota”. Nie chodzi o świętoszkowatość, tylko dobroć połączoną z dzielnością. Rozpoznaję w sobie zdolność do krzywdzenia innych. Widząc ją, mogę się przed tym powstrzymać, bo świat i tak jest okropnym miejscem bez zła, które ja mogę wyrządzić. Jeżeli ludzie, np. dzieci, na mnie patrzą, jeżeli widzą, jak się odnoszę do innych ludzi, to staram się być dla innych dobry, życzliwy, uczynny. Podawać rękę, wysłuchać, gdy jest potrzeba. Jest szansa, że one przejmą te zachowania i świat będzie trochę mniej złym miejscem.



Zapytałaś o receptę na dobre i szlachetne życie. Ja jej nie mam. Próbuje wybierać właściwie, zawsze myśląc nie tylko o sobie, ale również o bliskich i innych ludziach. Aczkolwiek horyzont człowieczeństwa dosyć szybko mi się kończy. Na bliskich.

Wspomniałaś, że nie chciałbyś swoją powieścią wyrządzić krzywdy córce Kazimierza Domańskiego, z którą rozmawiałeś, pracując nad powieścią.

Wyrządziłem krzywdę „Inną duszą”. Tamta książka też odbijała się od prawdziwych wydarzeń — morderstw na dzieciach w Bydgoszczy. Stworzyłem, oczywiście, fikcję, ale rodzina przynajmniej jednej z ofiar przeżyła to mocno. Miałem okazję porozmawiać z matką zabitego chłopca. Przyszła na spotkanie autorskie mi nawrzucać. I miała rację. Tak samo jak moją racją było napisanie tej książki. Która racja jest ważniejsza? Prawo pisarza czy cierpienie osieroconego rodzica? Nie myślałem o tym, kiedy pisałem tę książkę. Teraz już myślę. Nie chciałbym, żeby to się powtórzyło.

Boisz się tego?

To mnie nie zżera, ale niepokój jest. Trzeba dużo złej woli, żeby uznać moją książkę za kpinę z Kazimierza Domańskiego, ruchu pielgrzymkowego albo ludowej religijności. Tak, w „Kulcie” jest masę drwiny. Ci ludzie są komiczni i tego nie można ukrywać, ale mam nadzieję, że ich nie upokarzam. Wiem, że ludzie zapalczywie religijni mogą być na tą książkę wściekli, ale co ja z tym zrobię? Nie obchodzi mnie, że wkurza kogoś, kto ma inny stosunek do wierzeń.

Co z obrazą uczuć religijnych?

Mam to w czterech literach. Ten przepis to bat do gnębienia artystów. Nie rozumiem, dlaczego uczucia religijne mają być wyróżnione z grupy innych. W czym są lepsze niż np. te związane z metafizycznym przeżywaniem przyrody albo sztuki? To jeden z głupich archaizmów, które obowiązują w polskim prawie. Jeżeli ktoś uzna, że w „Kulcie” obrażam uczucia religijne, to zachęcam, żeby mnie podał do sądu i się będziemy procesować.

Chciałaś tą powieścią zaczepić osoby wierzące?

Chciałem porozmawiać o tym, jaki mamy stosunek do wierzeń. Porozmawiać o potrzebie bliskości cudu. O tym, że niekiedy metafizyka Eucharystii nie wystarcza, a przemiana chleba w ciało Chrystusa, której dokonuje ksiądz,

to dla ludzi za mało. Że potrzebujemy, aby Matka Boska do nas przemówiła, hostie poleciały z nieba, sąsiadka stanęła w kolorach, a staruszcze dwie przecznice dalej nagle odrosły zęby z przodu. Jest potrzeba, żeby świat był znów zaczarowany.

Czy to nie jest prowokowanie?

Pisarz jest od tego, żeby zaczepiać. Jątrzyć, wsadzić palec w ranę. Ale o jego klasie świadczy to, czy pozwala sobie na chamstwo, czy nie. Nie chciałem być grubiański, wulgarny, obrażać wierzących.

Mnie to nie interesuje, chociaż jestem ateistą. Gdybym chciał walczyć z Kościołem, to bym wstąpił do partii Razem albo poszedł do Urbana. Żadna moja książka nie jest pisana przeciwko. Ona ma cię poruszyć, sprawić, że będziesz o niej myśleć. Nie mam złudzeń, że ona cię zmieni. Niech po prostu w tobie pożyje, podzwoni echem, nie zniknie.

Więc dążysz do pewnego rodzaju nieśmiertelności.

Przecież ty też jesteś śmiertelna i umrzesz. Kiedy perspektywa ludzkiego losu zamyka się pustką, w wiel-

kim bezsensie życia ratują nas małe sensory. Łudzę się, że jeżeli przeżyjesz moją książkę w jakikolwiek sposób, to ona okazała się po coś, czyli moja robota jest potrzebna i ja jestem potrzebny. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to stanowi iluzję, wszystko szlag trafi. Nieśmiertelności w sztuce nie ma. Jednak ponad świadomością bezsensu życia jest biologiczne poczucie, że chcę żyć. Nie mogę sobie fundamentalnie zaprzeczyć: nie zwrócę się do Boga, w którego nie wierzę, bo go nie ma, ale buduję w sobie małe sensory — w dzieciach, przyjaźniach, literaturze, pasji.

W tym, co zostało w tobie z mojej książki. ☉

Cała praca nad cywilizacją polega na tym, żeby wstrętna, mała istota, która jest w nas i krzyczy „jeść”, „zabić”, „zgwałcić”, „dupczyć”, „podpalić”, jak najrzadziej dochodziła do głosu

”



Łukasz Orbitowski

jest pisarzem, autor m.in. książek *Tracę ciepło*, *Święty Wrocław* oraz niedawno wydanej *Kult*. Laureat Paszportu „Polityki”, nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” oraz Nagrody Literackiej Gdynia

Matko bolesna, matko haniebna



**DZIWKA. ZDRAJCZYNI. KOCHANKA KONKWISTADORÓW.
MROCZNA ANTYTEZA MATKI BOSKIEJ Z GWADELUPY.
ALE TO WŁAŚNIE JEJ HISTORIA JEST DLA MEKSYKANÓW
KLUCZEM DO ZROZUMIENIA, KIM SĄ**

Ola Synowiec z Meksyku

Od jej imienia pochodzi jedno z najostrzejszych wyzwisk w Meksyku. Malinchista to zdrajca narodu, wróg ojczyzny. Malinchistą jest polityk, który idzie na rękę kanadyjskiej firmie poszukującej srebra na świętej dla ludności rdzennej pustyni. Malinchistą jest inżynier, który decyduje się na emigrację do USA, zamiast budować lepszą przyszłość swojego kraju. Malinchistą może być też meksykański hipster, który wrzuca na Instagrama fotki z kubkiem ze Starbucksa zamiast z organiczną kawą przyrządzaną według dawnych receptur Majów.

Tym sposobem Malinche, indiańska tłumaczka i kochanka słynnego konkwistadora Hernána Cortésa – choć nie żyje od pięciu wieków – wciąż jest na ustach Meksykanów. Nie tylko jako popularna obelga.

Jej postać, zamiast błędąc na kartach historii, nabiera coraz to nowszych znaczeń i budzi coraz to nowsze uczucia. Jej postrzeganie zmienia się w zależności od epoki, ideologii, trendów politycznych i społecznych.

Nienawidzona i kochana. Stawiana na piedestały i z nich strącana. Miętolona, wyginana i odmieniana przez wszystkie czasy oraz osoby. Jedna postać, kilka

imion, ogrom znaczeń oraz symboli. A także – klucz do zrozumienia meksykańskich problemów z tożsamością.

MALINALLI

Urodziła się w dzień bogini traw. Na jej cześć dostała swoje imię – Malinalli. Była córką prominentnego azteckiego kacyka, pewną siebie arystokratką, która od małego nie bała się zabierać głosu, mimo że w jej kulturze nie przystało to kobietom. Dlatego rodzina nadała jej przydomek „Tenepal” – „ta, która mówi dużo i żywo”.

Trochę jak w baśni o Kopciuszku jej życie zmieniło się diametralnie wraz ze śmiercią ojca. Matka wzięła sobie nowego męża, również kacyka, a ten, bojąc się zagrożenia, które Malinalli mogła stanowić dla przyszłej pozycji jej przyrodniego brata, kazał ją zabić.

Żeby do tego nie dopuścić, matka oddała córkę handlarzowi niewolników. Sprzedawana i przekazywana w łupach wojennych trafiła w końcu do pewnego indiańskiego kacyka, który podarował ją – wraz z 19 innymi kobietami – tajemniczemu brodatemu wojownikowi.

Jego ciało pokryte było metalowymi łuskami niczym ryba. Potrafiło łączyć

się z ogromnej wielkości jeleniem; był wtedy szybszy niż wiatr. Przybył zza morza, stamtąd, gdzie wschodzi słońce.

DOÑA MARINA

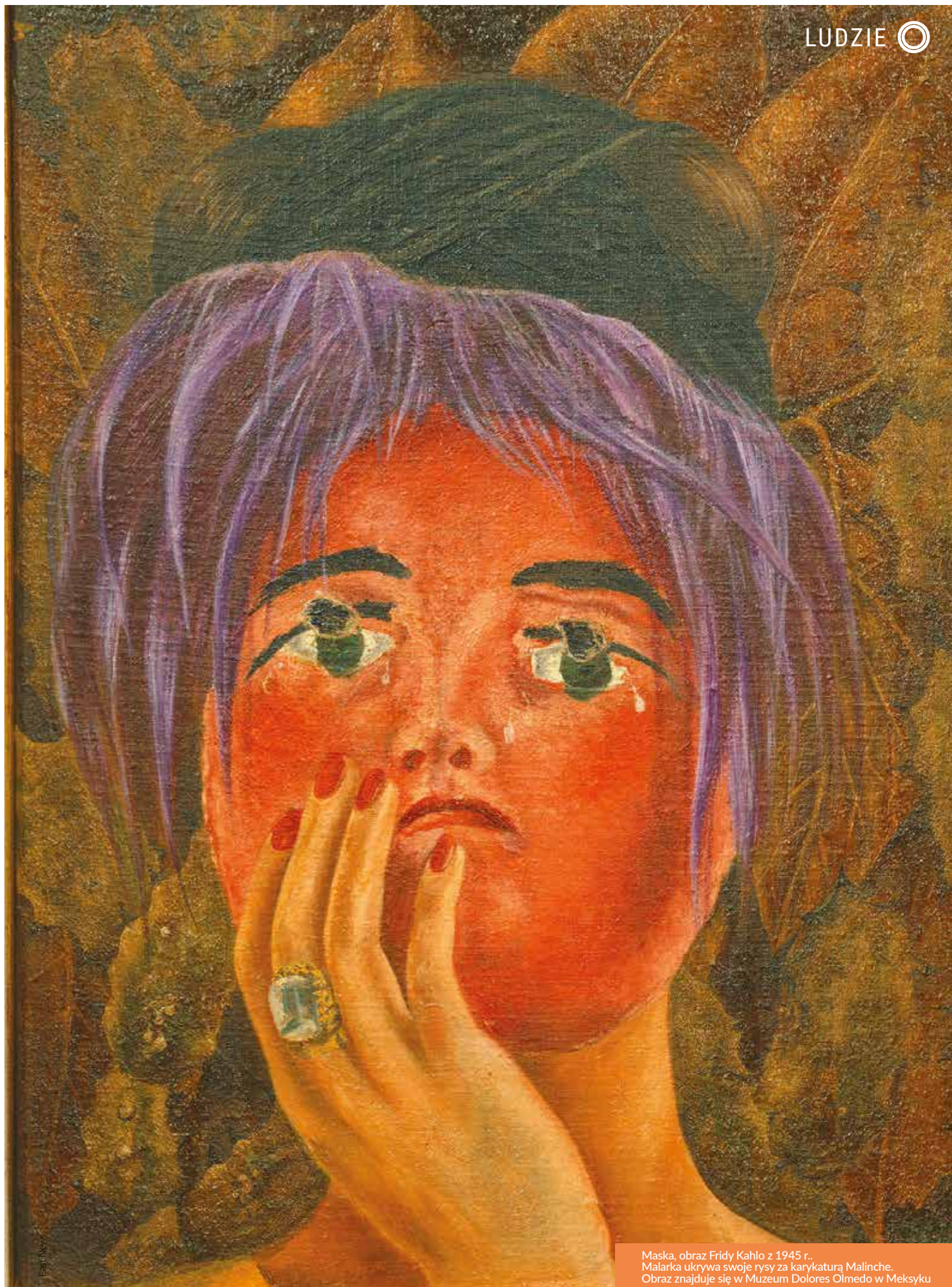
Był marzec 1519 r., a Hiszpanie dopiero co wygrali pierwszą bitwę po przybyciu na terytorium dzisiejszego Meksyku. Kobiety, podarowane im po niej w darze, miały przygotowywać im jedzenie podczas wyprawy w głąb kraju, ale szybko uczynili je swoimi nałożnicami.

Malinalli, początkowo ofiarowana innemu członkowi ekspedycji, zwróciła uwagę Cortésa i odtąd zawsze stała u jego boku. Jako kochanka i tłumaczka. Świetnie władała bowiem swoim ojczystym językiem nahuatl, a także maya – wyuczonym w niewoli. Szybko nauczyła się także hiszpańskiego.

Od teraz nazywała się Doña Marina. Jako jedna z pierwszych przeszła na katolicyzm i przyjęła nowe, europejskie imię. Nie wiedzieć tylko dlaczego wszyscy nazywali ją „donią”. Tytuł ten w tamtych czasach zarezerwowany był dla wysoko urodzonych dam.

MALINTZIN

„Doña Marina okazała się wyjątkową



Maska, obraz Fridy Kahlo z 1945 r.,
 Malarka ukrywa swoje rysy za karykaturą Malinche.
 Obraz znajduje się w Muzeum Dolores Olmedo w Meksyku

kobietą i doskonałym tłumaczem, i dlatego Cortés stale woził ją ze sobą. Miała wielkie poważanie i absolutny posłuch między Indianami całej Nowej Hiszpanii” – pisze w pamiętnikach Bernal Díaz del Castillo, jeden z żołnierzy Cortésa.

Późniejsi historycy podkreślają, że jej umiejętności oratorskie, wyczucie dyplomacji oraz rozeznanie w bieżących animozjach na indiańskiej scenie politycznej znacznie ograniczyły rozlew krwi podczas podboju Meksyku. Aztekowie w tamtym czasie prowadzili aktywną ekspansję terytorialną, a podbite przez nich królestwa – dzięki negocjacjom prowadzonym przez Malinche – przeszły na stronę Hiszpanów w walce ze wspólnym wrogiem. Tzvetan Todorov pisze, że bez niej konkwista Meksyku byłaby niemożliwa, a historyk William Brandon dodaje, że można pokusić się o stwierdzenie, że to Malinche była prawdziwym zdobywcą Meksyku.

W kodeksach indiańskich spisanych za życia Cortésa to ona przedstawiana jest zazwyczaj jako centralna osoba negocjacji. Zaś mieszkańcy królestwa Tlaxcali, jednego z sojuszników Hiszpanów, określali ją i Cortésa jednym tylko imieniem, jej imieniem – „Malintzin”, gdzie końcówka „tzin” oznaczała coś w rodzaju wysoko urodzonego „pana” lub „pani”.

Sam Cortés jednak w listach do króla Hiszpanii Karola V wspomina o Malinche jedynie dwukrotnie, tylko raz wymieniając ją z imienia. Nazywa ją „indiańską tłumaczką”, podbój Meksyku przypisując jedynie sobie. Nie wspomina w nich również o tym, że to ona była matką jego przywiezionego z wyprawy syna Martína Cortésa. Malintzin, której imienia Hiszpanie nie potrafili zapewne poprawnie zapisać i zmienili na „Malinche”, została ostatecznie wydana i poślubiona jednemu z żołnierzy Cortésa, niejakiemu Juanowi Jaramillo. Jemu również urodziła dziecko, a potem zniknęła w mrokach historii; nie udało się ustalić jej dalszych losów. Najprawdopodobniej zmarła na przywleczoną z Europy ospę, na którą Indianie nie byli uodpornieni.

ZDRAJCZYNI

Trzy wieki kolonizacji dały Malinche spoczywać w pokoju. Jeśli o niej

mówiono, to z szacunkiem, zarówno wśród Hiszpanów i Kreoli, jak i Indian. Z popiołów powstała dopiero wraz w XIX w., z nastaniem niepodległości Meksyku i problemów nowego kraju z tożsamością. Zastanawiano się, jak zbudować spójny naród, skoro u jego zarania leżą podbój, gwałt i śmierć. Jak zapomnieć, że jedna kultura praktycznie zniszczyła drugą? Jak pogodzić się z tym, że w żyłach większości z obywateli płynie krew zarówno oprawców, jak i ofiar? Trzeba było jak najszybciej znaleźć winnych takiego stanu rzeczy. Padło na Malinche.

Wybór nie był trudny. Malinche miała na sumieniu trzy grzechy główne: była kobietą, była Indianką oraz „zdradziła

swoich”. Co prawda historyczka Frances Karttunen zaznacza, że „nie zdradziła Indian”, bo Mezoamerykanie nie czuli się wcale większą zwartą grupą, nie mieli poczucia przynależności do „rady indiańskiej”. Byli Aztekami, Tlaxcalanami, Cholulanami.

„Nie zdradziła swojej kultury, robiła dokładnie to, czego ją ona nauczyła. Służyła mężczyznom i służyła im” – dodaje badaczka Cordelia Candelaria, podkreślając, że Malinche jedynie wykonywała rozkazy swoich panów. Poza tym tysiące Indian „kolaborowały” z Hiszpanami; Malinche była tylko jedną z wielu.

To jednak nie przeszkodziło jej stać się kozłem ofiarnym odpowiedzialnym za



Cortés i Malinche na muralu autorstwa José Corozco

The Granger Collection/FORM



wszystkie klęski narodu meksykańskiego. „Nacjonalistyczna lupa wyolbrzymia wszystko, co negatywne, i ignoruje wszystko, co mogło być pozytywne” – mówi Sandra Cypess, najśłynniejsza badaczka fenomenu Malinche. „Malinche z biblijnej niemal heroiny stała się dziwką i okropną matką. Jednocześnie węzłem, jak i meksykańską Ewą, zdraczką i kusicielką”.

BIBLIJNA EWA

Oboje są nadzy. On – Cortés, o skórze białej jak posąg, ona – Malinche, z długimi warkoczami i wydatnymi sutkami. W byłym kolegium jezuitów w mieście Meksyk znajduje się jeden z najśłynniejszych murali artysty José Clemente Orozco przedstawiający konkwistadora oraz jego indiańską kochankę. Nikt nie ma wątpliwości – wyglądają tutaj jak Adam i Ewa. Bo przecież dla Meksyku są tym, kim Adam i Ewa dla ludzkości. Ojcem i matką nowego narodu. Rodzicami symbolicznego pierwszego Metysa.

Zarówno Ewa, jak i Malinche są matkami wyrodnymi. Obie zdradziły zasady swoich światów, złamały panujące w nich reguły, straciły raj. Każda wydała dziecko z blizną, dziecko na zawsze naznaczone grzechem pierworodnym. Są matkami, które zdradziły swoje dzieci.

ZŁA MATKA BOŻA Z GUADALUPE

Było już tylko kwestią czasu, gdy Malinche zaczęto utożsamiać z postacią z lokalnej legendy, La Lloroną – meksykańską Medeą, błakającą się po nocy szlochającą kobietą, która zabiła swoje dzieci. Potem przyszło kolejne skojarzenie – tym razem na zasadzie kontrastu – z Matką Bożą z Guadalupe. Malinche stała się jej lustrzanym odbiciem. Święta Panienka była troskliwą matką Meksykanów, Malinche – matką wyrodną. Obie idealnie reprezentowały dwa najsilniejsze archetypy w kulturze meksykańskiej: kobiety dobrej – tej, która zachowała swoje dziewictwo, oraz tej złej, która je straciła.

„Wyjdź moje dziecko... Wyjdź, dziecko zdrady... Wyjdź, dziecko dziwki...” – mówi Malinche w sztuce Todos los gatos son pardos autorstwa znanego meksykańskiego pisarza Carlosa

Fuentesa – „Wyjdź na ziemię, która nie jest ani moja, ani twojego ojca, tylko twoja... Wyjdź, dziecko wrogich krwi... Wyjdź, moje dziecko, wyjdź nienawidzić swojego ojca i znieważać swoją matkę”.

LA CHINGADA

„¡Viva Mexico, hijos de la chingada! Niech żyją Meksykanie, dzieci kobiety zgwałconej!” – od analizy tego popularnego okrzyku zaczyna noblista Octavio Paz swój słynny esej „Dzieci Malinche” (będący rozdziałem głośnej książki Labirynt samotności).

„Hijo de la chingada” to chyba najwyższy wymiar meksykańskiego przekleństwa; przekleństwa, które po prawdzie histo-

Chingón – ten, który pieprzy – to synonim wszystkiego, co pozytywne: to taki polski „kozak” – spryciarz, cwaniak, osoba bystra i radząca sobie. Chingón oznacza też po prostu „fajnie”.

Z drugiej strony mamy słowo chingada – czyli bierny obiekt owego pieprzenia. Chingada jest synonimem wszystkiego, co złe i beznadziejne. Podobnie, w języku kolokwialnym słowo „ojciec” (padre) – oznacza „zajębiście”, z kolei „matka” („que poca madre”) – „kiepsko”, „chujowo”.

Octavio Paz mówi wprost, że właśnie na tym polega cały tragizm narodu meksykańskiego. Zaznacza też, że od tamtego pierwszego gwałtu aż po dzień dzisiejszy słowo chingar definiuje miejsce

Podbite przez Azteków plemiona – dzięki negocja- cyjnym talentom Malinche – przeszły na stronę Hiszpa- nów w walce ze wspólnym wrogiem. Bez niej konkwista Meksyku byłaby niemożliwa

”

rycznej odnosi się do każdego Meksykanina. Paz wskazuje tym samym, że każdy z nich – jako owoc gwałtu – jest tym samym od samego urodzenia przeklęty. Sugeruje, że Cortés zgwałcił Malinche, która pozwoliła mu na to, pozostała bierna i otwarta.

W rozumieniu Paza oraz meksykańskich kolokwializmów to właśnie ona, a nie on, pozostaje stroną negatywną i winną tego gwałtu. Znajduje to odbicie w derywatach od najpopularniejszego meksykańskiego wulgaryzmu – słowa chingar (pieprzyć). Jego pochodne dzielą się zaś zasadniczo na dwie, biegunowo odmienne grupy: chingón i chingada.

w meksykańskim społeczeństwie. Tu albo ty pieprzysz, albo pieprzy ciębie. Chingón jest stroną aktywną, chingado bierną. Chingón bierze, co mu się podoba, chingado z pokorą przyjmuje to, co zostało mu dane. Chingón pieprzy życie, chingado jest przez życie pieprzony.

MATKA NOWEJ LEPSZEJ RASY

Dziadka Octavia Paza, także pisarza, również zajmowała postać Malinche. Ale Ireneo Paz widział całą historię z zupełnie innej, romantycznej strony. W swoich dwóch, wydanych pod koniec XIX w. powieściach opisuje wielkie uczucie, jakie wybuchło między Cortésem i Malinche. Miłość, która przeczyła



normom, wychowaniu, powinnościom, czyniła z nich niejako meksykańskich Romea i Julię.

Ireneo Paz dał tym samym początek nowemu, romansowemu nurtowi opowiadania historii rodziców pierwszego Meksykanina. Meksykanina, który jest owocem nie gwałtu, a miłości. A gorąca, romantyczna miłość wedle meksykańskich ideałów mogła usprawiedliwić wszystko.

Zdrajczyń? A może ofiara przemocy i gwałtu, a potem patriarchalnego systemu, który uczynił z niej kozła ofiarnego historii? To typowe, żeby za męskie porażki obwiniać kobiety

”

Mimo że historycy podkreślają, że Malinche oddana była Cortésowi jako niewolnica i nie ma żadnych dowodów na ich uczucie, historia namiętnego romansu między nimi posłużyła jako podstawa do zbudowania niejako nowej, nacjonalistycznej religii. Promowano ją na początku XX w., po rewolucji meksykańskiej, która pokazała, że sto lat po uzyskaniu niepodległości naród wciąż jest podzielony. Politycy postanowili zatem stworzyć coś, co można by nazwać nową meksykańską tożsamością.

Główny filozof tego ruchu, José Vasconcelos, uznał związek Cortésa i Malinche za początek nowej, lepszej piątej rasy – Metysów – których nazwał „rasą kosmiczną”. Zbudowana na miłości, akceptacji i tolerancji ma być przyszłością nowego lepszego świata. Ten zaś ma narodzić się nie gdzie indziej, jak w Ameryce Łacińskiej.

PIERWSZA FEMINISTKA

Meksykańskie feministki w drugiej poło-

wie XX w. śmiały się Vasconcelosowi w twarz. Jaka akceptacja i tolerancja? Meksykański naród jest wciąż podzielony, Indianie uchodzą za gorszych, podobnie zresztą jak kobiety.

Rosario Castellanos w wierszu „Malinche” widzi swoją bohaterkę nie jako zdrajczynię, tylko jako ofiarę. Ofiarę przemocy i gwałtu, a potem patriarchalnego systemu, który uczynił z niej kozła ofiarnego meksykańskiej historii, tylko dlate-

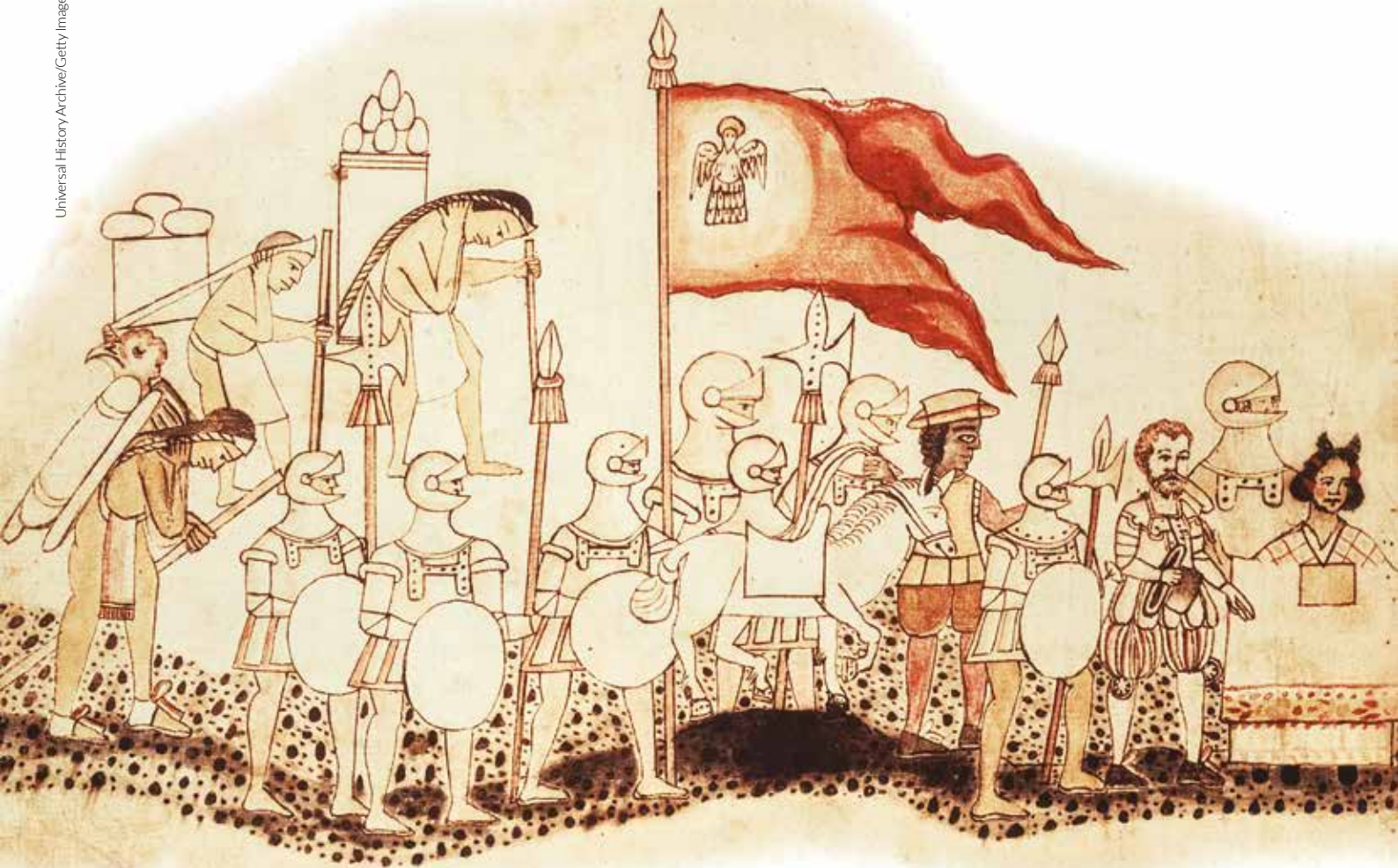
jako chingady, stwierdzając, że była jak najbardziej chingón. Wtórzy jej w swojej powieści znana pisarka Laura Esquivel, przedstawiając Malinche jako silną i poważaną kobietę. Bo przecież w zdominowanym przez mężczyzn społeczeństwie, zarówno europejskim, jak i indiańskim, gdzie kobiety nie miały prawa głosu – jej słowa były słuchane i szanowane.

TUŁACZKA

Pod koniec ubiegłego roku Malinche stała się główną bohaterką nowego, wysokobudżetowego serialu wyprodukowanego przez meksykańską telewizję. Historia opowiedziana w czterech językach – z Indianką Maya w roli głównej – pokazuje Malinche nie jako zdrajczynię, a w pełni świadomą swych decyzji kobietę. „Kiedy tworzysz fikcję historyczną, nie możesz po prostu opowiedzieć historii i tyle. Musisz poszukać echa, w którym porozumiewa się ona z teraźniejszością” – mówi Patricia Arriaga Jordán, autorka i producentka serialu, która dostrzega dialog historii Malinche z bardzo aktualnymi w Meksyku tematami. „Myślę, że to mogłaby być historia migrantki, która została wyrzucana ze swojej ziemi siłą i robi wszystko, by wrócić do domu, do swoich”.

Nie tylko w ten sposób historia Malinche znajduje odbicie w obecnej sytuacji społecznej Meksyku. Feministki i działacze społeczni sugerują, że patriarchalny sposób opowiadania historii oraz produkowane na tej bazie szowinistyczne wzorce społeczne mogły wpłynąć na jeden z największych obecnych problemów społecznych w kraju, czyli kobietobójstwo. W Meksyku w ciągu zaledwie ostatnich lat liczba kobiet zamordowanych przez mężczyzn z pobudek sexistowskich wzrosła o 72 proc. Ten tragiczny fenomen często łączy się z coraz wyższą pozycją społeczną kobiet, która przez mężczyzn odbierana jest jako obniżenie ich statusu. Swoją pozycję próbują na nowo wywalczyć przemocą.

Octavio Paz, który twierdził, że Malinche „sama była sobie winna”, jest dzisiaj krytykowany. A sexistowskie stereotypy miała obnażyć np. internetowa akcja #SiMeMatan („Jeśli mnie zabiją”). Od tych słów zaczynały się posty, których autorzy wymieniali bezsensowne



Rycina przedstawia Hernána Cortésa, zdobywcę Meksyku, przed którym idzie jego tłumaczka i kochanka Malinche

powody mordowania kobiet. Przykład? Prokuratura miasta Meksyk w 2017 r. obwiniła 22-letnią Lesby Berlín Osorio, którą uduszono na terenie uniwersytetu UNAM. Była sama sobie winna, bowiem „wyprowadziła się z domu i mieszkała z chłopakiem”, „piła alkohol i brała narkotyki ze znajomymi” oraz „była złą studentką”.

NIEWOLNICA HISTORII

Mimo zmieniających się spojrzeń na Malinche i coraz powszechniejszych prób jej rehabilitacji meksykańska szkoła wciąż opisuje ją jako zdrajczynię. W przestrzeni publicznej próżno szukać jej pomników.

Jeden, przedstawiający ją wraz Cortésem oraz ich synem mającym być hołdem dla metysażu i pierwszego Meksy-

kanina, postawiono na przedmieściach stolicy kraju, ale został usunięty w 1982 r. Wszystko przez studenckie protesty. Pomnik krytykowano za przedstawienie Malinche w zbyt pozytywnym świetle.

„Zdrada jest tematem meksykańskiej tożsamości. Wszyscy nas zdradzają: bogaci nas zdradzają, biali i Kreole zdradzają lud” – mówi autorka serialu o Malinche Patricia Arriaga Jordán. „Mamy otwartą ranę z czasów konkwisty i nie znamy sposobu, by ją zamknąć. Myślę, że serial zaprasza do refleksji nad naszą tożsamością. To właśnie tam, w jej pułapce znalazła się Malinche”.

Za życia słowa Malinche liczyły się i zmieniały historię świata; po śmierci odebrano jej głos. Robiono z nią, co chciano; wykorzystywano na wszystkie możliwe sposoby. Historia jest w końcu

jedną z najmniej obiektywnych nauk i zawsze zależy od opowiadającego. A sposób jej opowiadania więcej mówi o teraźniejszości i o nas samych niż o przeszłości.

Co sama Malinche mogłaby powiedzieć nam dzisiaj? W sztuce Willebaldo Lópeza pt. „¡Malinche show!” za sprawą niezwykle wynalazku powstaje z martwych i staje się gościem programu telewizyjnego. Wykorzystując dobry czas antenowy i uwagę widzów, wypowiada tylko kilka słów. Mocnych i pełnych rozpacz. Krzyczy: „Dajcie mi umrzeć! Błagam was! Zostawcie mnie w spokoju!”.

Ola Synowiec

jest dziennikarką i pisarką, która od 2011 r. mieszka w Meksyku. Prowadzi bloga Mexico Magico. Wydała książkę *Dzieci Szóstego Stolica. W co wierzy Meksyk*

JAK PORZUCIŁAM KRAKÓW I WYJECHAŁAM DO WARSZAWY



NOTATKI PEWNEJ DZIEWCZyny Z SOSNOWCA, KTÓRA WYRUSZYŁA W DROGĘ DO WIELKIEGO ŚWIATA

Kaja Puto

W ostatnich dekadach Kraków przeobraził się w podporządkowaną turystom makietę wypełnioną smogiem, której nie sposób przewietrzyć przez otulający ją obwarzanek źle zaprojektowanych osiedli i biurowców. A bohema już dawno stamtąd wyjechała albo doszczętnie zdziadziła.

Nie mogłam tego jednak wiedzieć, kiedy przeprowadzałam się do Krakowa z rodzinnego Sosnowca. Jak wiemy z memów, trudno w południowej Polsce o większą dziurę (na północy pałeczkę przejmuje Radom), a dla zbuntowanej nastolatki piszącej smutne wiersze o kawie i papierosach nie ma nic bardziej pociągającego niż mit Krakowa. Złożyłam więc papiery do krakowskiego liceum i zostawiłam za sobą świat picia piwa na peronie, tańczących na szkodach górniczych tramwajów i skutków społecznych transformacji.

CZŁONEK, ALE NIE RODU

Szybko okazało się, że do zostania krakuską nie wystarczą dobre chęci, rozmarzony wyraz twarzy i plik czasopism literackich. W pierwszy czy drugi dzień szkoły pewien chłopak zapytał mnie, czy mam może szlacheckie pochodzenie, bo on a i owszem. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, więc ruszyłam do Biblioteki Jagiellońskiej, by sprawdzić w słowniku polskich nazwisk znaczenie mojego. Okazało się, że nazywam się „penis, srom, hulanie i szastanie pieniędzmi”, co we współczesnej polszczyźnie pozostało w czasowniku „przeputać”, i że jakiś mój biedny pradziad-chłop otrzymał takie przezwisko od swojego pana. To w sumie całkiem niezłe nazwisko dla lewicowej dziennikarki, którą miałam później zostać – w każdym razie wtedy było mi przykro.

Jakiś czas później związałam się z chłopakiem, którego rodzice przywitali mnie w swoich progach obwieszczeniem, że buty to się ściera, jak się wraca z obory albo kiedy nie ma się w domu służby (nie mieli). Moja relacja z teściami in spe nie

trwała długo, bo postanowili się na mnie śmiertelnie obrazić za to, że w pewne sobotnie popołudnie zadzwoniłam domofonem bez zapowiedzi.

Takich dulszczyznoidalnych historii przydarzały mi się dziesiątki, ale nie zrażałam się. Kursowałam z poetyckich slamów na spotkania z prof. Kołakowskim, ćwiczyłam charakterystyczne dla krakowskiej gwary upraszczanie grup spółgłoskowych, a nawet chodziłam do dominikanów na msze, co było dość osobliwą rozrywką dla młodzieży w oczach dziewczyny z Czerwonego Zagłębia. Nauczyłam się, że to, co nazywałam „szkolnym wybiegiem”, nazywa się „dziedzińcem”, a w szkole muzycznej są „audycje”, a nie żadne „popisy”. I tak dalej.

KRAKOWSKI ŚLALOM

Potem zaczęło mnie to wszystko wkurzać, a następnie – bawić. Na studiach towarzystwo było bardziej wymieszane „etnicznie” i klasowo niż w liceum, jednocześnie zaczęłam też pracę w wydawnictwie o odległym krakowskim ciotkom profilu ideowym. Dużo podróżowałam po krajach Europy Środkowej i Wschodniej, wyjeżdżałam na wymiany studenckie i zaczęłam patrzeć na Kraków z dystansu. Jak na prowincjonalne, posthabsburskie miasteczko, którego kołtuństwo jest w jakiś sposób ujmujące.

Nawet Andrzej Sikorowski śpiewający o piciu wódki w domu, w którym „muzyka się snuje po kątach, a Terenia po gościach posprząta”, wydawał się trochę cheesy, ale było to lepsze niż drętwi ludzie w garniturach, karawany drogich aut i wieżowce udające Dubaj, które zaczęły wówczas wyrastać w Warszawie.

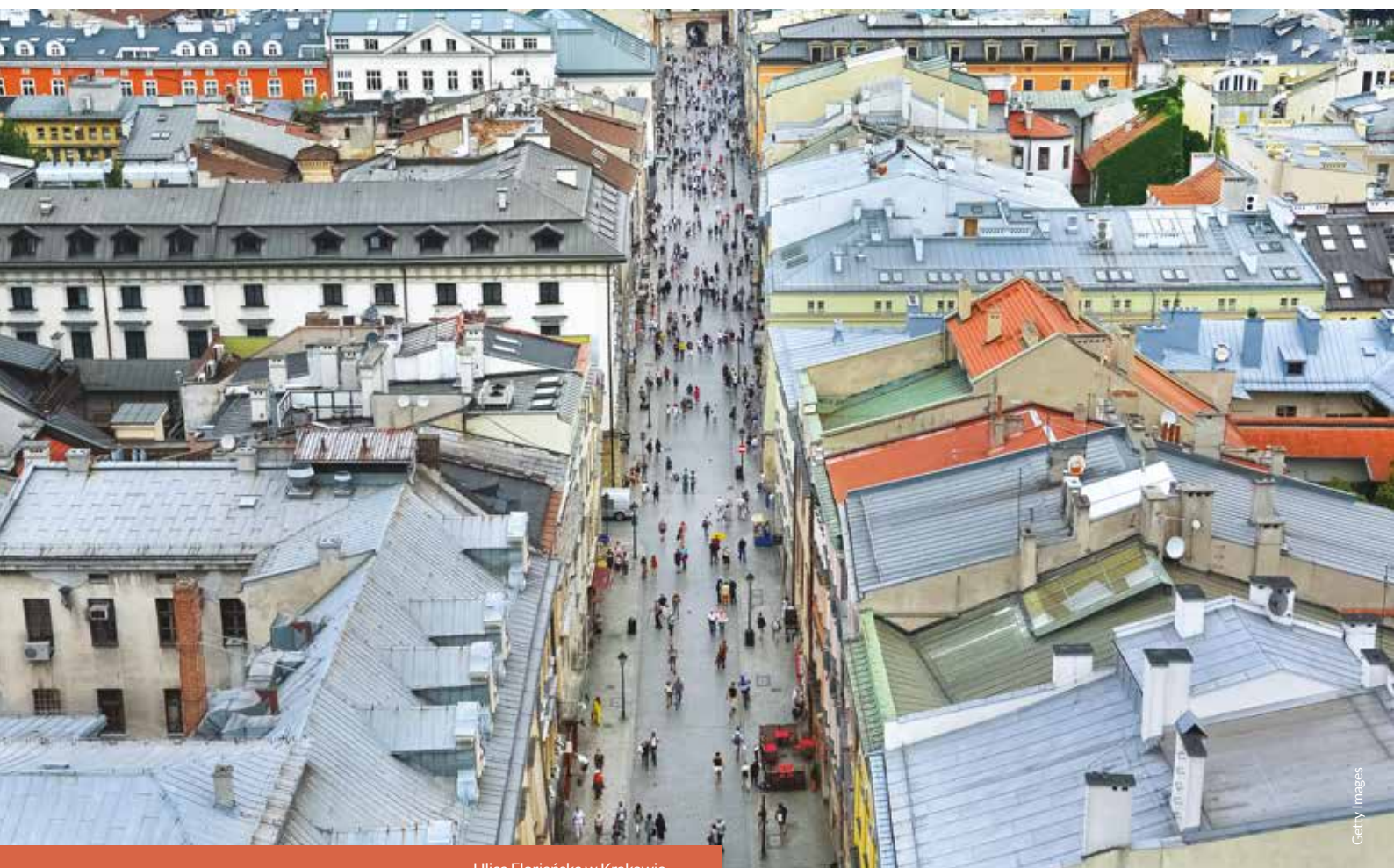
Tylko że Kraków, odkąd sięgnę pamięcią rządzony przez Jacka Majchrowskiego, mojego sosnowieckiego ziomka (żeby nie było, że krytykuję tylko krakusów), zaczął się coraz gwałtowniej zmieniać.

Po pierwsze: turyści. Tylko w 2018 r. miasto odwiedziło 13,5 mln ludzi. Ma to oczywiście plusy w postaci przychodów dla miasta i zatrudnienia dla jego mieszkańców (pomijając patologie tej branży). Niestety ta gargantuiczna dla małego w gruncie rzeczy miasteczka liczba uniemożliwia miejscowym normalne funkcjonowanie. Tym bardziej że jest to miasto silnie scentralizowane, w którym poza odwiedzanymi przez turystów Starym Miastem, Kazimierzem i Podgórzem są właściwie tylko sypialnie (i korpa, ale do tego wrócimy).

Dzień w centrum Krakowa w sezonie to slalom między stającymi się w upale kołmi, kolumnami meleksów, segwayów, taksówek i tłumem rozkoszującym się powolnym rytmem

towe kluby na Wielopolu, w równie kultowej Bombie na Placu oraz modnym kompleksie przy Dolnych Młynów. Równocześnie dynamicznie rozwija się rynek wynajmu krótkoterminowego typu Airbnb, który wygania z centrum miasta mieszkańców pokonanych horrendalnymi czynszami i cenami w okolicznych sklepach. Jedyne plus z tego taki, że chociaż część syjących się, zagrzybionych kamienic została wyremontowana.

Tymczasem w miejskich strategiach rozwoju turystyki można wyczytać przede wszystkim, że głównym celem jest wzrost liczby gości: im więcej, tym lepiej. I kropka. A lekarstwo na ewentualny „wzrost negatywnych postaw wśród mieszkańców”? „Reagowanie na problemy zgłoszone w ankietach”.



Ulica Floriańska w Krakowie

Getty Images

życia wśród magicznych kamieniczek. Wieczór – to już zależy od płci. Jeśli jesteś facetem, w drodze do baru zgromadzisz plik ulotek burdeli, jeśli laską – okazałe portfolio ofert od miłośników cheap Eastern European girls na pub crawlu (atrakcja turystyczna polegająca na chodzeniu w grupie z baru do baru). Kiedyś taki jeden próbował mnie poderwać pytaniem, czy byłam kiedykolwiek w hotelu.

Pytanie o tyle niezasadne, że niedługo w Krakowie nie będzie niczego poza hotelami. Hotele powstać mają w kinie Ars, w gmachu PKO i Poczty Głównej, w budynku, w którym były kul-

klątwa w tym, że kiedy mieszkańcy wydrenowanych turystyką miast się wkurzą, nie wypełniają już żadnych ankiet, tylko rzucają w turystów racami – tak jak się to dzieje już od jakiegoś czasu w Barcelonie, Wenecji czy Dubrowniku.

SMOG WAWELSKI

Po drugie: chaotyczny rozwój urbanistyczny. Jak pisał kiedyś w „Nowych Peryferiach” dr Krzysztof Posłajko, Kraków przez swoją dostępność wyjątkowo taniej (choćby w porównaniu do Katowic) i dobrze wykształconej siły roboczej stał się dla



współczesnego proletariatu – pracowników korporacji – nową ziemią obiecaną. Jest jednym z niewielu polskich miast, w których dynamicznie rośnie liczba mieszkańców. A to w połączeniu z faktem, że w dużej części nie jest objęte miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego [jak zresztą duża część naszego kraju - red.], skończyło się katastrofą.

Nowe bloki i biurowce zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu w każdym wolnym skrawku miasta, na jego obrzeżach i terenach zielonych. To problem, który zaistniał we wszystkich polskich dużych ośrodkach, ale Kraków jest o tyle szczególny, że - po pierwsze - ma ogromny problem z zanieczyszczeniem powietrza, które chaotyczna zabudowa pogłębiła, likwidując korytarze powietrzne. Po drugie, terenów zielonych jest w mieście wyjątkowo mało, a duża ich część w centrum miasta zamknięta jest na prywatny użytek klasztorów. Po trzecie – wiele polskich miast skorygowało swoją politykę pod wpływem nacisków mieszkańców oraz aktywistów i zrozumiało, że rozwój miasta to nie tylko budowa stadionów, autostrad i nieskończone wydawanie deweloperom pozwoleń na budowę. A Kraków – nie.

Włodarze miasta ugięli się właściwie tylko w jednym temacie: smogu. I to dopiero wtedy, kiedy zaczęły o tym grzmieć międzynarodowe media oraz pojawiła się uzasadniona obawa przed utratą turystów. Trzeba jednak przyznać, że dziś miasto walczy ze smogiem konsekwentnie.

Po czwarte wreszcie – życie kulturalne, którego mit przyciągał mnie do tego miasta, z wieloma wyjątkami umarło. Po części jest to oczywiście wina typowej dla krajów Europy Wschodniej centralizacji: stolice wysysają wszystko. Po części – *differentia specifica* życia kulturalnego Krakowa od jego zarania. W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć akapit tekstu Mundka Koterby opublikowanego pod tytułem *Upiorne miasto Kraków* w magazynie „Reflektor”:

„Kraków jest więc może miastem literatury, ale już nie literatów. Wszak ci częściej emigrowali do Warszawy, Zakopanego, a nawet za granicę – byle tylko nie zostać tu i nie szczenąć od dusznego klimatu lub nie strzelić sobie w łeb – jak zrobił to śp. Michał Bałucki – z powodu niezrozumienia i odrzucenia. Uciekali stąd i ci, którzy chcieli literaturę i kulturę polską odbierać (Boy-Zeleński, Mrozek), uciekali wizjonerzy (Peiper), i współcześni kontestatorzy (Stokfiżewski i inni z pokolenia '70). Jeśli ktoś zostawał, to nobliwi nobliści (Szymborska, Miłosz) albo endecy (Rostworowski). Bo Kraków literacki to Kraków dla tych, którzy za życia zamienili się w posąg albo dla rozpoetyzowanych knajpianych cyganiątek, dumających cichaczem, że może kiedyś przeistoczą się w posąg, lecz póki co smutnych, bo nic tego nie zapowiada. Nietrudno więc dziwić się papieżowi awangardy, Tadeuszowi Peiperowi, który pożegnał się z tym miastem słowami: Wyjeżdżam w strasznym stanie ducha. W strasznym. W strasznym”.

No więc uciekać z Krakowa z krzykiem zawsze było w modzie, ale dziś zachęca do tego również polityka kulturalna prowadzona przez miasto. A na tę składa się hołubienie i sponsorowanie nieżyjących artystów oraz organizacja ogromnych festiwali, które co prawda prezentują świetny poziom (jak literacki fes-

tival Conrad czy muzyczne Misteria Paschalia i Unsound), ale na mniejsze inicjatywy kasy i energii pozostaje bardzo mało. Nie wspominając już o tym, że na niektóre z karnetów zarabiać trzeba raczej w euro.

Wielkomiejska klasa średnia jest coraz bardziej mobilna i coraz bardziej ceni sobie jakość życia w mieście. Zaś pod względem jakości życia Kraków wypada błado w porównaniu z wieloma polskimi miastami, które w ostatniej dekadzie wystrzeliły do przodu, podczas kiedy Miasto Królów spoczywało na laurach. Jakiś czas temu jedna z gdańskich firm IT próbowała przyciągnąć krakowskich programistów kampanią pod hasłem „Zmień swoje środowisko”, której towarzyszyło zdjęcie postapokaliptycznego Krakowa tonącego w smogu. Niedługo może się więc okazać – jak przepowiada wspomniany Postajko – że po krakowskiej ziemi obiecannej zostaną puste galerie handlowe i ciągi martwych wieżowców.

I ja w końcu wyjechałam, jak dziesiątki moich znajomych, do Warszawy. Zdaję sobie sprawę z tego, że depopulacja jest dla ośrodków poza stolicą szkodliwa, ale nie chciałam dłużej mieszkać w mieście, którego po prostu nie lubię – choć po dekadzie ciężko było mi zostawiać najbliższych przyjaciół. Doszły do tego względy zawodowe: w międzyczasie zostałam dziennikarką zajmującą się tematyką polityczną, co poza Warszawą robić z wielu względów dość trudno.

WENECJE PÓŁNOCY I PARYŻE WSCHODU

Bardzo lubię miasta Europy Wschodniej: są trudne, zaskakujące, monumentalne. Nie posiadają cukierkowych ryneczków czy wąskich uliczek – i dobrze, bo stare budownictwo, które dobrze się sprawdza na pocztówkach dla turystów, najczęściej kiepsko wypada w codziennym funkcjonowaniu. I są fascynujące, bo odbija się w nich cała historia, którą trudno jest manipulować – do realizacji jakiejś wizji polityki historycznej nie wystarczy postawienie dwóch pomników, trzeba byłoby zarość całe miasto.

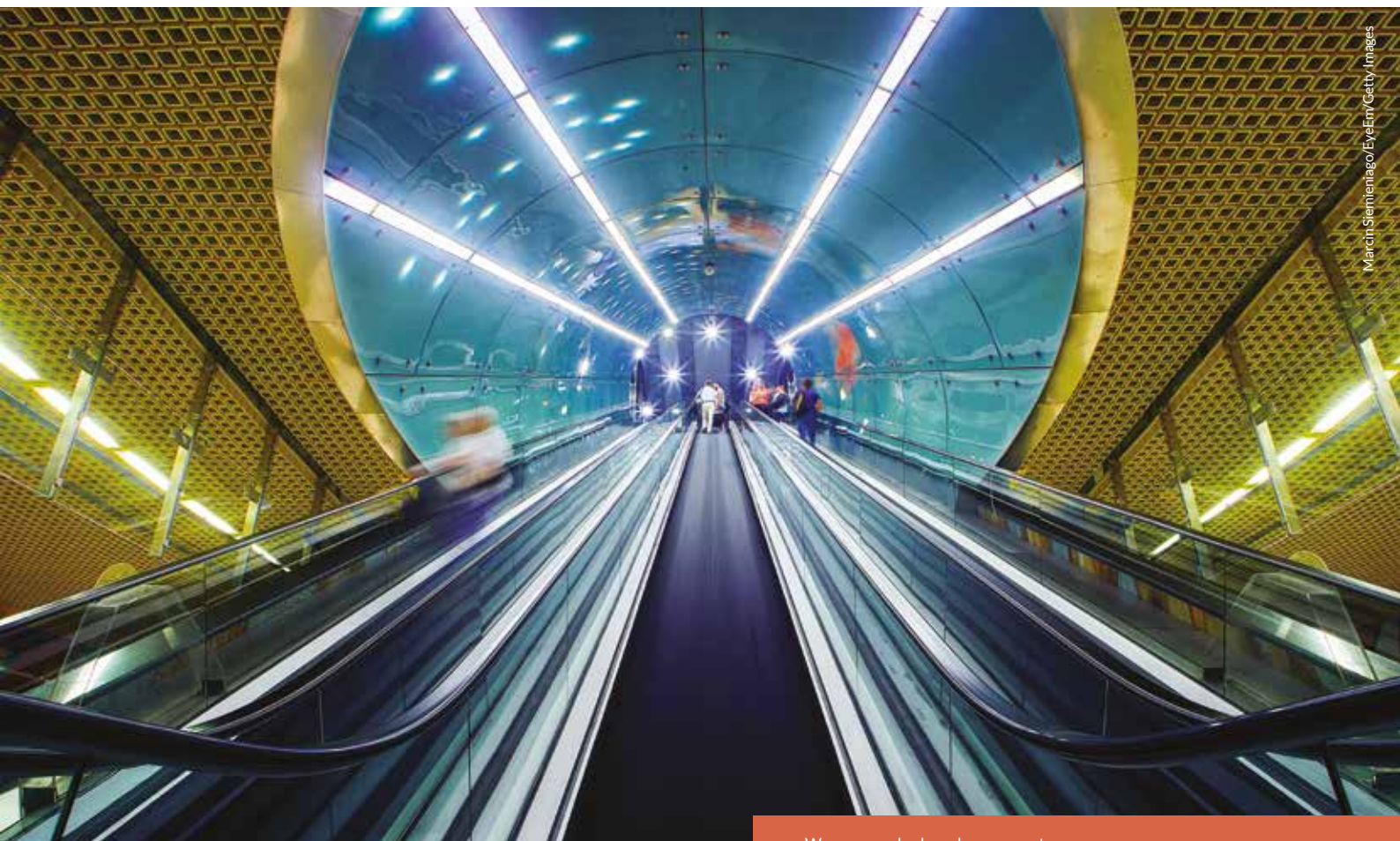
Właśnie na tym zasadza się atrakcyjność Warszawy, Kijowa, Bukaresztu, Moskwy czy Berlina. Ten ostatni jako pierwszy zrozumiał, że nigdy nie stanie się miastem słynącym ze średniowiecznej zabudowy czy chłodnego, anonimowego city – zawsze będzie miejscem eklektycznym, pełnym blizn po wojnie i alianckim podziale, którego charakter nadali artyści, kontrkultura i wieloetniczność. I właśnie w tym, czym naprawdę jest miasto, odkrył swój potencjał. Nie rozumiem tego większość włodarzy polskich miast, nieustannie ośmieszających się marzeniami o Wenecjach Północy i Paryżach Wschodu.

Warszawa w ostatnich dekadach sporo marzyła: z magmy brudnych blokowisk co rusz wystrzeliwały szklano-stalowe gargamele, miasto tonęło w krzykliwych reklamach, a po ulicach hulał chłód odstręczający nawet miłośników socjodemokratyzmu. W narracji młodego polskiego kapitalizmu wszystko, co powstało w czasach PRL, było złe, co nie przeszkadzało deweloperom budować wszelakiej maści „Zaułków rukoli”, czyli betonowych osiedli, na których jakość przestrzeni publicznej była znacznie gorsza od tej na PRL-owskich blokowiskach.



Ale od czasu, kiedy rzecznik warszawskiego ZDM wypowiedział słynne słowa: „Warszawa to nie wieś, żeby po niej rowerem jeździć”, minęło już 20 lat. Szczęśliwie miasto doczekało się generalnej modernizacji dopiero w okolicach Euro 2012, więc uniknęło fali pastelozji, pośledniej jakości remontów i rozbiórek zabytków architektury współczesnej, które charakteryzowały pierwsze dekady po Okrągłym Stole. Wykorzystano za to jego atuty – dobrą infrastrukturę publiczną, ogromne połacie miejskiej zieleni, rzekę w centrum miasta.

Jasne, nie jest to miasto wolne od patologii urbanistyki czy polityki miejskiej, o czym świadczy chociażby afera reprivatyzacyjna. Dysponuje też większym budżetem niż inne miasta, co ułatwia bardziej kompleksowe nim zarządzanie zamiast punktowego budowania aquaparków czy rond tuż przed wyborami. I większymi zasobami ludzkimi, co jest wynikiem drenazu innych miast. Warszawa nie jest więc fajna sama w sobie – jest fajna, bo tracą na tym inni, jest fajna, bo decydują o tym zewnętrzne czynniki, jest fajna, bo każde postkomunistyczne państwo traktuje stolicę jako wizytówkę transformacji.



Marcin Siemieniago/EyeEm/Getty Images

Warszawa, schody ruchome w metrze

WARSZAWA JAKO ROSYJSKI GORODEK

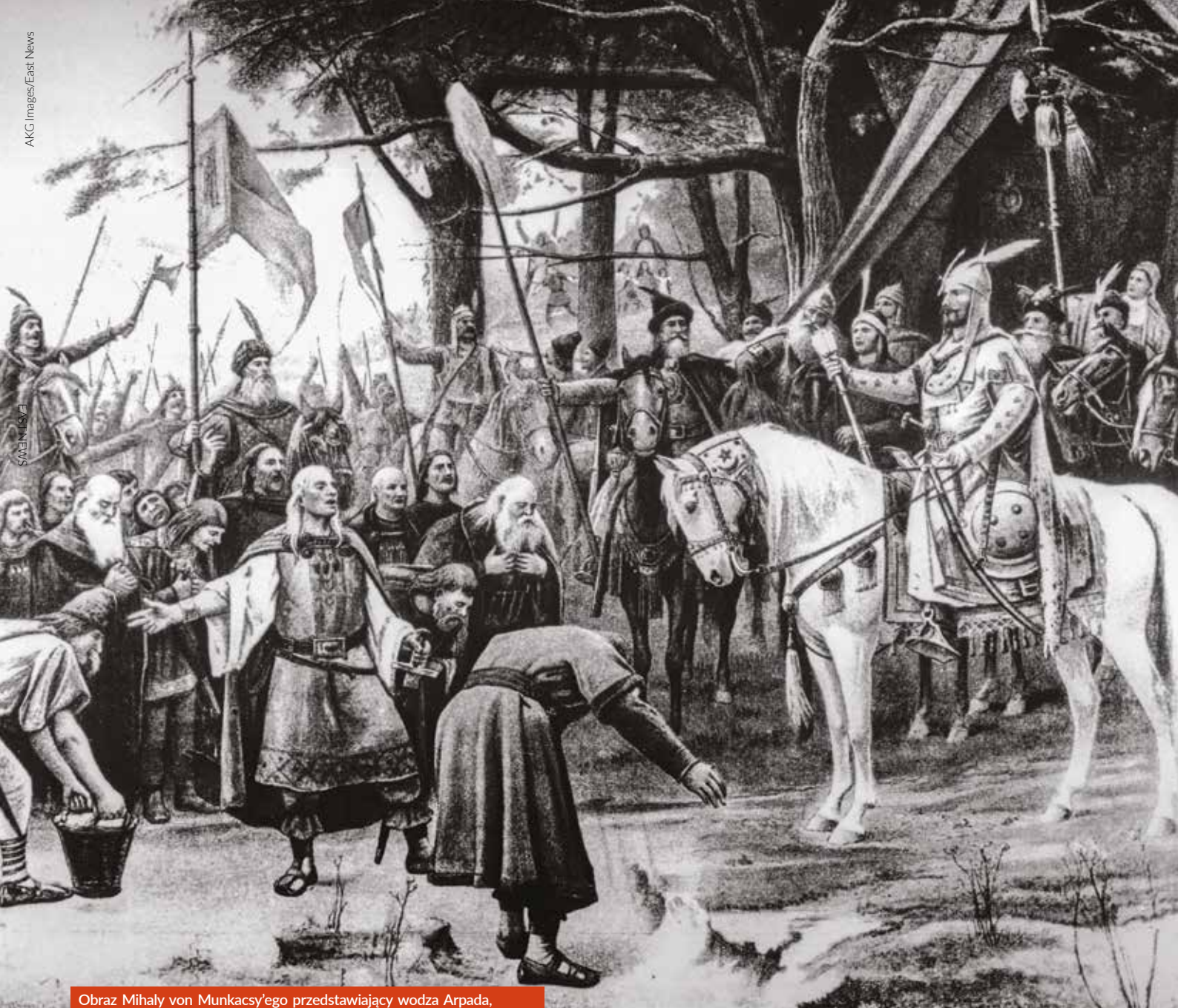
Warszawa nie pozbyła się jeszcze wszystkich kompleksów wobec Zachodu, ale do pewnego stopnia poszła szlakiem Berlina i zaakceptowała to, czym jest: prowincjonalnym rosyjskim gorodkiem, miastem zglądzonego podczas powstania, wieloetnicznym cmentarzyskiem, reprezentatywną komunistyczną stolicą i wreszcie – jedną z europejskich stolic biznesu oraz domem dla bardzo spolaryzowanego społeczeństwa obywatelskiego. I nawet te gargalele do tego pasują – są świadectwem swojej epoki tak samo jak PKiN, makieta Starego Miasta czy sypiące się kamienice Pragi. To wszystko ma swój dystopijny, a przede wszystkim bardzo indywidualny urok, który udało się ostatnio uchwycić operatorom serialu *Ślepnąc od świateł*. Na szczęście jest to urok na tyle rozproszony w przestrzeni, że nie ma szans zostać zdeptyany przez masową turystykę.

Trudno mi powiedzieć, czy się tu zdomowiłam – moja praca wymaga ciągłych wyjazdów, od roku nie wypakowałam jeszcze wszystkich książek z kartonów, a z drugiej strony znałam to miasto bardzo dobrze już wcześniej. Jak każda metropolia, Warszawa jest domem dla najróżniejszych baniek, więc stosunkowo łatwo znaleźć swoją niszę.

No i umówmy się – pod tymi wszystkimi biurowcami, socrealistycznymi alejami i ranami jest to w gruncie rzeczy taki większy Sosnowiec. ●

Kaja Puto

jest dziennikarką, zajmuje się tematyką Europy Wschodniej oraz migracji. Związana z Krytyką Polityczną, stowarzyszeniem reporterów Rekolektyw i stowarzyszeniem n-ost



Obraz Mihály von Munkácsy'ego przedstawiający wodza Árpada, protoplastę pierwszej węgierskiej dynastii rodzimej

TERROR NARODOWOŚCI



GDY RELATYWIZUJE SIĘ NACJONALIZM, NIE WIĄŻE SIĘ FA-SZYZMU I NAZIZMU ZE ZJAWISKAMI, KTÓRE JE PRZYPOMI-NAJĄ, TO MOŻEMY SIĘ NIE SPOSTRZEC I BĘDZIEMY MIELI POWTÓRKĘ Z HISTORII. CZY DA SIĘ UCIEC OD PAŃSTWA NARODOWEGO? I CZY MA TO SENS?

Ziemowit Szczerek

„Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie”, „Niemcy, Niemcy ponad wszystko” – wszystko to wydaje się bardzo oczywiste i przezroczyste. Fakt, nacjonaści coraz częściej używają podobnych haseł, by gromadzić się wokół nacjonalistycznych idei i tupać w faszystowskich marszach. W tym czasie ich media i gazety jątrzą przeciwko przedstawicielom innych narodowych baniek, podnosząc każdą różnicę zdań do rangi kwestii życia i śmierci, honoru i dyshonoru, przypisując najgorsze intencje ludziom z innej strony barykady, słowem – kąpiąc się po czubki głów w paranoi. Wówczas przypominamy sobie, jak kiedyś, nie tak dawno temu, podejście tego typu doprowadziło do rzezi na niespotykaną wcześniej skalę.

ZBIERANINA NARODOWYCH ASPIRACJI

Nacjonaści bałamutnie odcinają się od faszyzmu czy nazizmu, ten bowiem źle się dziś kojarzy. Ale to naśladownictwo – nie tylko ideowe, lecz także formalne – nazistowskich marszów, nazistowskiego stylu, nazistowskich okrzyków i nazistowskiego, cóż, zero-jedynkowego podejścia do kwestii konfliktów między narodami, wywołuje ciarki na plecach większości, na szczęście, obywateli Europy.

Rzecz w tym, że jest to większość pasywna, a nacjonaści są aktywni. A w demokracji najczęściej tak, niestety, bywa, że aktywna mniejszość dominuje pasywną większość i narzuca jej swoje porządki. Tak było w czasach, gdy Hitler w demokratyczny sposób doszedł do władzy, tak jest i dziś, gdy władzę obejmują populiści.

Słabnie paliwo lęku przed powrotem II wojny światowej, kiedy to nie tylko Niemcy rzucili się przeciwko wszystkim. Wówczas rzuciły się sobie do gardeł wszystkie narody Europy Środkowej i nie tylko: Polacy na Czechosłowację, Słowacy na Polskę, Ukraińcy na Polaków, Chorwaci na Serbów, Węgrzy na Rumunów i Słowaków (a wszyscy naraz na Żydów), Włosi na Albańczyków i Greków, Skandynawowie, Włosi, Rumuni i Węgrzy na Rosjan, Rosjanie na prawie wszystkich po drodze do Niemiec i tak dalej.

Dziś rośnie ryzyko powrotu do ultranacjonalistycznych ustawień w Europie. Tak jest zawsze: z wojny odparowuje jej przerażający aspekt, pozostają same głupawo testoteroniarskie i „rycerskie” opowieści o honorze, o „piędzi i rubieży”. Przeprowadzono badania wśród Serbów, aby sprawdzić, czy zgodziliby się na wojnę, jeśli dzięki niej serbski naród mógłby spełnić swoje narodowe aspiracje i plany. Ci, którzy pamiętali wojnę, odpowiadali jasno: nie. Ci natomiast, którzy wojny już nie pamiętali, chętniej brali pod uwagę taką ewentualność. A tak się składa, że Europa jest zbieraniną narodowych aspiracji.

KRAJE MAFIJNE

Państwo narodowe, oczywiście, nie istniało w Europie od zawsze. Dawniejsze państwa były formacjami, które nazwalibyśmy politycznymi, choć w rzeczywistości przypominały raczej mafijne dominia. Książę, dux czy jakkolwiek „wojenny pan” dysponujący drużyną, obejmował kolejne

osiedla w posiadanie i ściągał z nich trybut w zamian za ochronę. Co do istoty nie różniło się to niczym specjalnym od mafijnego stylu.

Nie położyła temu kresu nawet zmiana państw stanowiących prywatne dominium władcy (patrymonialnych) w państwa o bardziej skomplikowanej strukturze, czyli monarchię stanową. Ta, z kolei, nadawała prawa drużynie (czyli odpowiednikowi żołnierzy mafii) oraz potomkom jej członków. Czyniła z nich w ten sposób „szlachtę”, ludzi „lepszych” od tych, którzy się do tej mafijnej żołnierki nie załapali. Szef mafii – król albo książę państwa zarówno patrymonialnego, jak i późniejszej monarchii stanowej – był uświęcany przez kapłanów. W ten sposób stawał się istotą, której panowanie nad innymi nie miało już cech prostej dominacji łupieżcy nad łupionymi. Był istotą nadludzką, quasi-bóstwem.

W ten sposób mafijność takiego państwowego konstruktów łatwiej było przełknąć, a prosta lojalność rzezimieszka wobec szefa rzezimieszków stawała się świętą i opisywaną w chansons de geste lojalnością rycerza wobec księcia, wasala wobec suwerena. Było to, oczywiście, mydlenie oczu, ale cóż: tak wygląda bezpośrednie pochodzenie naszych konstruktów państwowych, którym aktualnie w razie potrzeby czujemy się winni życie.

Niektóre bowiem z tych konstruktów (ale nie wszystkie) narzucały poddanym żyjącym na swoim terytorium jedną Leitkultur, związaną najczęściej z językiem. Z czasem poddani ci, dawni trybutariusze owych „mafii państwowotwórczych”, zaczęli identyfikować się z państwem i w ten sposób z gnębionych przez „mafię” poddanych stawali się „członkami narodu”.

W rzeczywistości niewiele się zmieniło: państwo i szlachta nadal wyciskały z nich siódme poty i ostatni grosz, ale ludzie, wstąpiwszy, by tak rzec, do mafii, zaczęli domagać się w jej ramach coraz więcej praw. A zarazem narastała w nich nienawiść wobec członków innych mafii. Co więcej, grupujący się na podstawie własnych języków ludzie, którzy nie posiadali

ROŚNIE RYZYKO POWROTU DO USTAWIEŃ NACJONALISTYCZNYCH. TAK JEST ZAWSZE: Z WOJNY ODPAROWUJE JEJ PRZERAŻAJĄCY ASPEKT, POZOSTAJĄ SAME GŁUPAWO RYCERSKIE OPOWIEŚCI O „PIĘDZI I RUBIEŻY”

”

własnej mafii (albo żyli na terytorium innej, która nadała sobie inną Leitkultur niż ich własna), zaczęli domagać się prawa do jej założenia. Po pierwszej wojnie światowej im to prawo przyznano.

MAGMOWY WSCHÓD

Wróćmy jeszcze do czasów sprzed pierwszej wojny.

Monarchie stanowe, niezależnie od stopnia ich demokratyzacji, zmieniały się czasem w imperia, a te toczyły ze sobą wojny. Ostatnia wielka wojna wywołana przez wielonarodową monarchię wybuchła w 1914 r., głupawo rozpoczął ją Wiedeń i popierający go Berlin. Niemcy w tym czasie przekuwały się już w państwo narodowe, tak jak wcześniej stała się nim Francja, narzucając jeden język wszystkim swoim poddanym. Ale z Austro-Węgrami było inaczej.

NA WSCHODZIE EUROPY PAŃSTWA I ETNIE BYŁY, Z PERSPEKTYWY ZACHODU, NA TYLE NIEOKREŚLO- NE, ŻE MOŻNA BYŁO ROIĆ O WIELKICH IMPERIACH NA BEZBRZEŻNYCH REJO- NACH „WIELKIEJ AUTO- STRADY WOJENNEJ” OD NIEMIEC PO ROSJĘ

”

One, po pierwsze, spóźniły się na ten proces. W czasie krzepnięcia miały już bowiem do zgryzienia twarde orzechy: ich terytorium zamieszkiwały posiadające aspiracje narodowe ludy, które miały dawniej własne państwa stanowe, jak Węgrzy, Polacy, Czesi czy Chorwaci oraz takie, które scalała wyłącznie tworząca się narodowa więź, jak Słowacy czy Rumuni z Transylwanii.

Po drugie, Austro-Węgry poza tym, że panowały tylko nad częścią Niemców, władały też całością terytorium Węgrów, a był to lud stary, zwarty, świadomy swojej odrębności choćby ze względu na język (choć, jak inne narody tworzył się w ten sposób, że najnormalniej w świecie narzucał swój język innym, podlegającym mu ludom; bezpośrednich potomków legendarnych wojów Arpada prawie na próżno szukać w DNA obecnych Węgrów, rozpuścili się oni bowiem w masie podbitych ludów jak masło na patelni). Węgrom należało więc przyznać prawa równe tym, którymi cieszyli się austriaccy Niemcy.

Być może to właśnie ta przestarzała – nawet jak na tamte czasy – konstrukcja polityczna sprawiła, że Wiedeń i Budapeszt zdecydowały się zając etnicznie i religijnie odrębną przecież od reszty imperium Bośnię.

Taka właśnie jest logika imperium, zgodnie z którą zajmuje się terytoria niekoniecznie kompatybilne kulturowo z centrum, a później nadaje się im wspólną, imperialną tożsamość. W założeniu Austro-Węgry bowiem miały wyznawać „cekańską” tożsamość ponad narodową, a wierność państwu zamieniano często na wierność dynastii panującej.



Mural przedstawiający prezydenta Putina jako marynarza. Sewastopol, Krym

Czy więc, jeśli Austro-Węgry nie zajęłyby Bośni, nie doszłoby do I wojny światowej? Nie wiadomo: w końcu napięcie między państwami narodowymi, jak Francja czy Serbia, albo, jak Niemcy czy Rosja, wciąż narastało. Przy tym bardziej niż pozajmowanie sobie wzajemnie terytoriów liczyło się danie sobie nawzajem nauczki.

W relacjach między państwami narodowymi było już trochę inaczej niż między dawnymi wielonarodowymi imperiami: żaden niemiecki generał, na przykład, nie myślał na serio



o okupowaniu na stałe Paryża. To się zresztą nie stało, choć mogło, nawet kilkadziesiąt lat wcześniej, w czasie wojny francusko-pruskiej. Co innego wschód Europy – tam państwa i etnie były, z perspektywy Zachodu, na tyle nieokreślone, że można było roić o wielkich imperiach na bezbrzeżnych rejonach „wielkiej autostrady wojennej” od Niemiec przez Polskę i Białoruś oraz Ukrainę po Rosję. Bez naturalnych granic, ba, bez granic historycznie ustalonych nawet. Wzdłuż i w poprzek narodów, bo rzadko traktowano je serio: Rosja nie traktowała poważnie Ukraińców czy Białorusinów, Polacy – Ukraińców, Niemcy – Polaków i tak dalej.



AFP/East News

POŁKNAĆ I SIĘ NIE ZADŁAWIĆ

Dziś tam, gdzie narody jednak okrzepły, ba, tam, gdzie krzepną nadal, jak na Ukrainie, sprawa nie jest już taka prosta.

Taka Rosja Putina – niby imperium, ale nie wepchnęła się w ostatnich czasach nigdzie, gdzie nie była na sto procent oczekiwana. Weszła więc do Osetii Południowej i do Abchazji, czyli do nieetnicznych części Gruzji, twierdząc, że chroni te

narody przed zakusami państwa Gruzinów. Państwa, było nie było, narodowego, gdzie rzeczeni Osetyńcy i Abchazowie mieliby co najwyżej status mniejszości. Rosja związała je luźno ze swoim teoretycznie wielonarodowym imperium. Rzecz w tym, że gdyby w Rosji – i na świecie – również nie dominował pierwiastek państwa narodowego, to trudno powiedzieć: może wzięliby i Tbilisi, może próbowali realizować odwieczną koncepcję Gruzji jako krainy związanej z imperium moskiewskim?

Polscy specjaliści od obronności uważają nawet, że „niemożliwość przetrwania” połkniętego ciała państwa narodowego przez inne państwo narodowe jest gwarancją: nikt cię nie podbije, jeśli twoja substancja narodowa jest na tyle silna, że próby jej przeżucia i połknięcia przez inny organizm będą musiały skończyć się dla tego organizmu zadławieniem.

Na Ukrainie, podobnie jak w Gruzji, Putin miał zahamowania właśnie tego typu: Donieck i Ługańsk oraz Krym były maksimum tego, co udało się mu ugrać bez wchodzenia w długotrwałą wojnę partyzancką. Po co mu druga Czeczenia? Putin, teoretycznie, mógł wziąć Ukrainę aż po Kijów, ba, aż po Lwów, tylko wiedział, że Rosja tego nie przeżuje i nie przetrawi. Zdawał sobie sprawę, że ukraińska tożsamość i odrębność okrzepła, a na Ukrainie nie znajdzie się już tylu realizatorów idei Ukrainy, związanej z Moskwą „Małorosji” co dawniej.

Obecnie trudno sobie również wyobrazić, aby Niemcy na serio myśleli o odebraniu poniemieckich ziem polskich. Co bowiem zrobić z zamieszkującymi je Polakami? Z tego samego powodu Polacy nie roją już o dawnych Kresach, a Węgrzy – nawet jeśli myślą o autonomii dla Węgrów na Słowacji, w Rumunii czy na Ukrainie – nie domagają się na serio całej Transylwanii, całej Słowacji czy całego ukraińskiego Zakarpacia. Owszem, najklejki z dawnymi imperialnymi Wielkimi Węgrami widać na samochodach, jak Węgry długie i szerokie, ale nawet Hitler, gdy ustawiał na nowo granice w Europie Środkowej, które miały być, według niego, „etnicznie sprawiedliwe”, przyznał Węgrom tylko część Transylwanii i część Słowacji.

CICHA FASZYZACJA

Czyżby więc to państwa narodowe ratowały Europę przed wchodzeniem sobie wzajemnie w granice?

Być może do pewnego stopnia tak. Widać jednocześnie, że jeśli już państwo narodowe wejdzie w granice innego państwa, wtedy – jak w przypadku Niemców hitlerowskich w Polsce – nie ma przebaczyć. Inne narodowości są albo eksterminowane przemysłowo, jak „gorsi od rasy panów” Żydzi i Cyganie, albo po kawałku, krok po kroku, jak „podludzie” – Słowianie.

To, co działo się na wschodzie Europy było w zasadzie powtórzeniem tego, co Niemcy wyprawiali w Namibii, a Belgowie w Kongu. Europa Wschodnia była dla nich obiektem mocnej pogardy, podobnie jak dla kolonizatorów tereny kolonialne. Na zachodzie Europy hitlerowcy nie pozwalali sobie na aż takie posunięcia. Ale to, co robili de facto nie różniło się od polityki imperialnej: wszystkie państwa niemieckie, które nie były z nimi sprzymierzone, podporządkowali sobie jak Francję, tworząc zależne od siebie marionetkowe rządy.



Polacy, gdy razem z Rosjanami weszli w granice dawnych Niemiec, postąpili również rygorystycznie – kierowali się logiką państwa niby socjalistycznego, ale jednak narodowego. Nie byli tak drastyczni jak Niemcy, ale wyrzucali z domów w ramach masowego, właściwie bezprecedensowego w tej części Europy wypędzenia.

NIKT CIĘ NIE PODBIJE, JEŚLI TWOJA SUBSTANCJA NARODOWA JEST NA TYLE SILNA, ŻE PRÓBY JEJ PRZEŻUCIA I POŁKNIĘCIA PRZEZ INNY ORGANIZM BĘDĄ MUSIAŁY SKOŃCZYĆ SIĘ ZADŁAWIENIEM

”

Tak więc – być może rzeczywiście obecnie trudno sobie wyobrazić niemiecki irredentyzm w stosunku do polskich ziem zachodnich i północnych, ale nie znaczy to, że taki układ utrzyma się zawsze. Wystarczy, że Niemcy wyjdą z „lewackiej mentalności” (jak to określają polscy i europejscy prawnicy) i wejdą w podobną mentalność, jaką mają obecni, animowani przez PiS Polacy czy Węgrzy popierający Orbána.

W czasach, gdy relatywizuje się nacjonalizm, nie wiąże się faszyzmu i nazizmu ze zjawiskami, które rzeczywiście je przypominają (na przykład te tupiące kohorty, które regularnie przełażą ulicami polskich miast) możemy nawet się nie spostrzec, gdy niemożliwe stanie się możliwe. Tak samo, jak jeszcze pięć lat temu nie spodziewaliśmy się, co się może stać z naszymi sądami czy telewizją. Taktyka salami ma to do siebie, że procesy zachodzą stopniowo i niezauważalnie, ale można bez specjalnego problemu przewidzieć ich postęp.

IMPERIUM UNII NOE EUROPEJSKIE

Jak więc mamy się ograniczać? Co robić, by nie wpaść w pułapkę nacjonalizmu? Albo – co niewiele lepsze – w pułapkę imperializmu?

Cóż. Unia Europejska miała zastąpić państwa narodowe i imperia, ale sama również jest imperium. Tyle że imperium dość wyjątkowym: obejmującym większość państw w Europie, które do tej pory ze sobą walczyły oraz dobrowolnym (choć przykład stawiania się brexitowi sprawia, że coraz gorzej ta dobrowolność wygląda – słowem: brexit nie służy Unii, ale przeciwstawianie się mu nie służy jej jeszcze bardziej).

Nie znaczy to, oczywiście, że taki europejski, republikański twór nie będzie wchodził w konflikty z innymi podmiotami: do konkurencji zgłasza się już Rosja, która w UE i NATO widzi

zagrożenie, być może Turcja, a nawet, do pewnego stopnia, trumpskie Stany Zjednoczone. W dłuższej perspektywie – jeśli UE, oczywiście, przetrwa – zapewne zgłoszą się również Chiny.

Wewnątrz jednak UE – jeśli udałoby nam się rozprawić z myśleniem w kategoriach narodowego egoizmu i wytworzyłaby się ogólnoeuropejska tożsamość – moglibyśmy wiele wygrać. Podobnie, jak to się stało w USA, gdzie centrum (czyli rozwinięta Północ) nie tylko biła się o swoje peryferia (rolnicze i niewolnicze Południe) zamiast robić łaskę, że przyjmuje je w swoje szeregi; także rozwijała je, wkomponowując w ramy jednego państwa. Było to jednak, cóż, możliwe wyłącznie w ramach jednej tożsamości.

W tym momencie trudno więc powiedzieć, dokąd można się wycofać z narodowych tożsamości. A te są mocne, okrzepłe i spojone trudno rozrywalnym spoiwem: uświęconą w ramach „religii narodu” kulturowo-językową jednością.

KOLEJNA PIĘKNA EPOKA

Tworzy się jednak coś nowego, co można nazwać załącznikiem nowej, bardziej zglobalizowanej tożsamości. To tożsamość wielkich miast i terytoriów najbardziej rozwiniętych, najdalej posuniętych w ramach spełniania potrzeb wysoko stojących na piramidzie Masłowa. Tożsamość stolic i wielkich miast Europy, tożsamość Beneluksu, Skandynawii czy części Niemiec lub Francji, coraz bardziej skupia się wokół wspólnych wartości, jak tolerancja, prawa człowieka, ekologia itd... Do starych i uznawanych przez siebie za toksyczne ustawień narodowych podchodzi ona z kolei z dystansem. Jeśli gdziekolwiek jest podłoże do tworzenia nowej, ponadnarodowej tożsamości opartej na wyznawanych wartościach, to właśnie tam.

Matt Dunham/AP/East News



Demonstracja przeciwników Trumpa i brexitu podczas wizyty prezydenta USA w Londynie, czerwiec 2019 r.



Marsz zwolenników pozostania Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej, Londyn, marzec 2019 r.

Podobnie było jednak w Europie przed pierwszą wojną – Europa „pięknej epoki” miała przecież w zasadzie wspólną kulturę wysoką: miejską i szlachecką, a i proletariaty z różnych jej regionów mentalnie niespecjalnie różnił się od siebie. Różniła się wieś, szczególnie w relacji południe – centrum i wschód – centrum, ale głównie stopniem rozwoju.

I ten stopień rozwoju jest, jak się wydaje, kluczowy.

Jeśli chcemy, by wartości społeczeństwa europejskiego (to znaczy tej jego części, która jest najbardziej gotowa łączyć się ze sobą ponadnarodowo, w ramy większego społeczeństwa wartości humanistycznych) wyznawała większość społeczeństwa – należy rozszerzać możliwie szeroko strefę dobrobytu. Rozszerzać „centrum”, myśląc innymi, bardziej globalistycznymi kategoriami, na peryferie. Miksować postulaty z wyżyn piramidy Masłowa z postulatami z jej fundamentów, żeby spełnianie „wielkopańskich zachcianek” nie kłuło w oczy tych, którzy nie spełnili jeszcze podstawowych. I tak dalej.

Alte powstała w ten sposób „europejska tożsamość” nadal będzie jedynie jedną z wielu tożsamości panujących na świecie.

Co więc dalej? Dokąd się wycofywać? Czy w ogóle jest sens docierania do „światowej supertożsamości”? Czy mogłaby

to być „tożsamość wartości”, która, na przykład, w niektórych środowiskach w USA jednoczy przedstawicieli wielu ras i kultur? I o jakich wartościach mówić konkretnie? Szczególnie w chwili, gdy sam Zachód toczy domową wojnę kulturową, bo poszczególne jego części inaczej interpretują to, czym miałyby być ta zachodnia kultura? Czy miałyby bazować na chrześcijańskiej, tradycyjnej swojej formie, czy przeciwnie – antytradycyjnej, racjonalnej, demokratyczno-humanitarnej?

A co z jeszcze szerszą niż Zachód tożsamością wysoko rozwiniętego, zglobalizowanego świata? Koreańczyk czy Japończyk na lotnisku w Nowym Jorku czuje się na pewno bardziej u siebie niż, powiedzmy, Afrykańczyk z Konga. Albo nawet Rosjanin, choć Rosja przecież jest o wiele bliższa kulturze Zachodu niż Japonia czy Korea Południowa.

Być może więc – parafrazując – to byt określi tożsamość. A terytorium i wspólna historia będą odgrywały o wiele mniejszą rolę. ○

Ziemowit Szczerek

jest pisarzem i publicystą, laureatem Paszportu Polityki. Napisał m.in. *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian, Rzeczpospolita Zwycięska, Międzymorze*.

POKOLENIE IGEN, CZYLI JAK IPHONE UPUPIŁ AMERYKĘ



SOCJOLOGICZNY PORTRET NAJMŁODSZEJ GENERACJI AMERYKANÓW POKAZUJE RZECZYWISTOŚĆ JAK PO PRZYSŁOWIOWEJ BOMBIE ATOMOWEJ

Jakub Janiszewski



The Yomiuri Shimbun/AFP/East News

Za pomocą smartfonów społeczeństwa dokumentują coraz więcej momentów ze swojego życia. Telefony stały się doskonałym pośrednikiem w przeżywaniu emocji

„Czegoś takiego do tej pory nie widziałam, choć badam różnice generacyjne od 25 lat” – Jean Twenge, profesor socjologii z Uniwersytetu Stanowego w San Diego, autorka książki „iGen”, nie kryła zdumienia omawianymi w niej wynikami. A te pochodziły z wielu szacownych, porządných, wiarygodnych panelowych badań społecznych, prowadzonych nierzadko od lat 70., w dodatku niezależnie od siebie. Nie było więc mowy o pomyłce.

A jednak „iGen” – socjologiczny portret najmłodszej, urodzonej po 1995 r., generacji Amerykanów – pokazywał rzeczywistość jak po przysłowiowej bombie atomowej. Na wykresach mniej lub bardziej łagodnie wędrujące krzywe w okolicach roku 2010 raptownie się załamywały. Zjawiska, które miały jakąś ciąż-

łość pokoleniową nagle ją traciły. Stałe trendy o marginalnym znaczeniu zmieniały się w skokowy wzrost. I na odwrót – tam, gdzie było w miarę stabilnie, nagle rozstępowała się ziemia i odsetki na łeb, na szyję leciały w dół.

A przecież Ameryka nie przeszła żadnego politycznego czy kulturowego zerwania. Nie było przewrotu ani wojny. Owszem – wydarzył się kryzys finansowy. Ale czy dołek ekonomiczny sam w sobie może sprawić, że nastolatki masowo przestają się ze sobą spotykać i spędzać razem czas? Wdawać się w bójki? Spać mniej niż siedem godzin na dobę? A przede wszystkim czym tłumaczyć dramatyczny wzrost zachorowań na ciężką depresję, szczególnie u nastoletnich dziewczyn, gdzie niemal z roku na rok odsetek zgłaszających objawy wzrósł z względnie stabilnych 22 proc. do prawie 34 proc.?

Jean Twenge ma swój typ: iPhone. Niewinne urządzenie, którego pierwsze wersje weszły na rynek w 2007 r., by rozpoznać się na masową skalę właśnie ok. 2010 r.

Smartfon – według Twenge – ingeruje w ludzkie życie społeczne dalece bardziej, niż mogłoby się to nam wydawać. I tę ingerencję widać najlepiej po najmłodszych przedstawicielach społeczeństwa, tych, którzy zastąpili millennialów (urodzonych między 1980 a 1995 r.), są dziećmi pokolenia X (1965-1979) lub baby boomersów (1946-1964).

iGen (nazwa wymyślona i zaproponowana przez prof. Twenge) to dzisiejsi studenci college’ów i uniwersytetów albo najmłodszy pracujący. Ich wejście w dorosłość – symbolicznie utożsamianą z wyjazdem na studia – nie obyło się bez turbulencji. Była to nawet cała seria skandali, które od 2014 r. wstrząsały – i wstrząsają – kolejnymi uniwersytetami w USA.

Od artystycznego Oberlin College w Ohio po prestiżowy Berkeley w Kalifornii studenci protestują, gdy na uczelni ma przybyć z wykładem ktokolwiek – polityk, pisarz albo blogger – którego poglądy im się nie podobają. Domagają się specjalnych znaków ostrzegawczych, gdy na zajęciach mają się pojawić drastyczne treści – wliczając „Panią Bovary” Flauberta lub w „Fale” Virginii Woolf. Gdy na ulicy lub ścianie uniwersytetu nieznani sprawcy namażą coś niestosownego (np. hasło „Trump 2016”, które pojawiło się na chodnikach kampusu Emory University na parę miesięcy przed wyborami prezydenckimi), uczniowie organizują demonstracje, podczas których domagają się przeprosin ze strony władz szkoły skandując hasło „Cierpimy!”.

POKOLENIE MAMINSYNKÓW

Debata intelektualna – czyli bitwa na argumenty – ich nie interesuje. Wolą raczej, by uniwersytet zmienił się w dom, gdzie mama (symboliczna funkcja władzy) zadba o to, by żadnemu dziecku nie było przykro. I są w tym tak zażarci i tak skutecznie udaje im się organizować innych, myślących w podobnym duchu, że kadra akademicka coraz częściej stwierdza: tak się nie da pracować. Bo i prawda – co to za praca, gdy na wielu uniwersytetach nie sprawdza się już nawet listy obecności tylko po to, by uchronić przed traumą potencjalnie obecnych transgenderowych studentów? Będzie im przykro, gdy z nagłą





Klaus Vedfelt/Getty Images

któs publicznie wyczyta ich z nazwiska, a co gorsza – z imienia, którym ewentualnie mogliby się nie identyfikować. Powtórzy się to raz, potem drugi i PTSD (zespół stresu pourazowego) gotowy!

Skądinąd przekonanie o powszechności PTSD i dopatrywanie się „traumy” w niemal każdej przeciwności losu też daje o sobie znać. Pokolenie iGen powtarza bowiem hasło „bezpieczeństwo” w kółko i w każdej niemal sytuacji. Bezpieczniej jest nie doraść, bo dorosłość to seria nieprzyjemnych kompromisów. Bezpieczniej jest być same-mu, bo lekkomyślna decyzja o wejściu w związek może zaważyć na całym życiu i zablokować przyszłe możliwości.

Bezpieczniej jest nie uprawiać seksu. Bezpieczniej jest nie pić (z przyczyn wiadomych), ale też bezpieczniej – nie robić prawa jazdy.

Bezpieczniej jest wreszcie nie dyskutować i nie prowadzić światopoglądowych sporów, nawet za cenę intelektualnego nieobycia. A dlaczego? Wyjaśnił to prof. Twenge niejaki Darnell, student z Georgii: „Konfrontacja nigdy nie jest dobrym pomysłem, ponieważ nie wiesz, do czego może doprowadzić taka rozmowa. Uważam, że to niebezpieczne dla innych studentów i osób znajdujących się w pobliżu. Może dojść do bójki, a potem zaczynają się w to włączać inni ludzie. Któs może mieć przy sobie nóż...”. W scenariuszu takiej równi pochyłej faktycznie niewiele pozostaje poza robieniem rabanu na fejsbuku i zbiorową skargą do rektora.

NO DOBRZE, ALE CO TO WSZYSTKO MA WSPÓLNEGO ZE SMARTFONEM?



Według Jean Twenge to, że temat bezpieczeństwa wypłynął tak mocno samo w sobie nie wynika z upowszechnienia nowych technologii. To raczej kwestia wspólnego, amerykańskiego modelu wychowywania dzieci. Postrzega się je jako nadmiernie kruche, niemal niezdolne do przejawiania jakiegokolwiek inicjatywy i samodzielnego rozwiązywania choćby najprostszych zadań. „Działania, które w latach 70. uznano by za paranoiczne – odprowadzanie trzecioklasistów do szkoły, zabranianie dzieciom gry w piłkę na ulicy, zjeżdżanie na zjeżdżalni z dzieckiem na kolanach – teraz są standardem. Właściwie są wyznacznikami dobrego, odpowiedzialnego rodzicielstwa” – napisała w 2014 r. na łamach „The Atlantic” dziennikarka Hanna Rosin. Jej zdaniem ten stan ma nad wyraz groźne konsekwencje: zabija w dzieciach ciekawość świata, chęć eksploracji i wiarę we własne siły.

Paradoksalnie sporo, bo ten działa jak wzmacniacz. Gdy rzeczywistość na zewnątrz rodzinnego domu jawi się jako obca i wroga, podstawową matrycą poznawania świata staje się twój własny komputer. W dzisiejszym świecie tę funkcję pełni smartfon, najbardziej personalne i osobiste z urządzeń. I to właśnie tam nastolatki uczą się funkcjonowania społecznego. Nic więc dziwnego, że potem boją się debat.



Nie od dziś wiadomo, że świat mediów społecznościowych jest światem pogłębionej polaryzacji, awantur, w których nie brak skrajnych stwierdzeń i agresji werbalnej, a zarazem miejscem, w którym unik służy za rozwiązanie. Tu nie przekonuje się przeciwnika, tu się go blokuje. Być może każdy z nas straciłby wiarę w sens sporów, gdyby jego pierwszym doświadczeniem w tym zakresie były jadowite komentarze pod zdjęciami na Instagramie.

Tymczasem kontakty społeczne nastoletnich Amerykanów stają się coraz bardziej wirtualne. Odsetki licealistów, którzy codziennie w swoim wolnym czasie spotykają się z przyjaciółmi spadły o 25 punktów procentowych. Podobny odsetek przestał być na imprezach, choćby raz w miesiącu. Zamiast tego ta grupa masowo przesiaduje na czatach internetowych, jakby to było równoznaczne z kontaktem. Nie jest. Bo nie rozwija zdolności odczytywania cudzych emocji, nie ćwiczy rozwiązywania konfliktów. W wirtualnym świecie rozmowy skończyć łatwiej, podobnie jak uciec od trudnych tematów.

To wszystko nie działa dobrze na nastoletnią głowę. Jeśli jeszcze dodamy do tego wizerunkową otoczkę, a więc możliwość śledzenia (a raczej podziwiania) w mediach społecznościowych życia kolegów, które niemal zawsze wydaje się dużo bardziej udane niż nasze własne – robi się naprawdę smutno. Z analizy Twenge rysuje się obraz nastolatków przypiętych do swoich telefonów, z rozpaczą śledzących zdjęcia wspólnych przyjaciół, na które ich nie zaproszono, i wycieczek, na które nie pojechali; nerwowo rejestrujących wszystkie lajki lub – co gorsza – ich brak.

Smartfon działa także jako hamulec nawiązywania więzi w szkole – bo zwyczajnie łatwiej się schować, przesiadując z twarzą w ekranie niż wyjść do świata. Nic więc dziwnego, że nastoletnia Olivia narzeka, że w szkole robi się coraz ciszej. „Wszyscy korzystają ze swoich urządzeń, ignorując siebie nawzajem”.

MARZENIE NAUCZYCIELI – SPOKÓJ NA PRZERWIE – URZECZYWISTNIA SIĘ

W konsekwencji młode pokolenie ogarnia coraz wyraźniejszy kryzys zdrowia psychicznego. Jak twierdzą analitycy jednego z największych badań panelowych młodzieży w Stanach Zjednoczonych – Monitoring the Future – ryzyko wystąpienia





silnych objawów depresyjnych rośnie wraz z częstotliwością używania mediów społecznościowych. Podobnie z czynnikami odpowiedzialnymi za próby samobójcze. U nastolatków spędzających więcej niż trzy godziny dziennie przed urządzeniami elektronicznymi prawdopodobieństwo ich wystąpienia jest o 35 proc. wyższe niż u tych, którzy wybierają sport, albo – rzecz zupełnie nie modna – preferują media drukowane.

Te ostatnie, zresztą, iGen może do reszty uśmiercić, bo choć czytelnictwo spada stale i to od lat 70., to w pokoleniu iGen tempo spadku jeszcze przyspieszyło. Rośnie za to liczba studentów, którzy nigdy nie czytali niczego dla przyjemności (20 proc. w 1992 r. i ponad 30 proc. w 2014 r.).

Głupie dzieci? Twenge konsekwentnie powstrzymuje się od ocen, ale zauważa ten spadek intelektualnego wyrobienia. Zresztą, nie trzeba do tego mikroskopu, to widać w uśrednionych krajowych wynikach egzaminu SAT, odpowiednika naszej matury. Od początku lat 90., jak rosły wyniki umiejętności czytania ze zrozumieniem, tak i wyniki w matematyce. W 2005 r. w obu przypadkach nastąpiło załamanie. „To ciekawe, że wyniki czytania ze zrozumieniem zmieniają się według tego samego wzorca, co liczba osób czytających dla przyjemności ponad dwie książki rocznie, która rosła do 2005 r., po czym spadła” – kwituje Twenge.

E-POLITYKA

Najmłodsze pokolenia wiedzą o świecie chłoną z krótkich filmików w internecie, nic więc dziwnego, że coraz trudniej im się połąpać w świecie polityki, który wymaga i intelektualnego obycia, i czujności.

Na tym iGenowcom zbywa, w przeciwieństwie do umiłowania skrajnego wręcz indywidualizmu. W efekcie tradycyjne etykiety przestają pasować.

Indywidualizm tradycyjnie kojarzy się z wyborcami lewicowo-liberalnymi, tymczasem iGen ze swoimi sympatiami politycznymi niekoniecznie tam pasuje. Więcej, w zestawieniu z poprzednimi rocznikami millennialów iGenowcy są zauważalnie przesunięci na prawo: 37 proc. najmłodszych wyborców zagłosowało w 2016 r. na Trumpa. Dla wielu był to wstrząs, z czołowymi tytułami, jak „USA Today” lub „Washington Post” włącznie. Twenge interpretuje ten wynik jako wyraz nie tyle miłości do Partii Republikańskiej, co raczej niechęci do wszelkich struktur i zależności partyjnych. U Trumpa podobała się jego niezależność i bezkompromisowość.

Podobny urok otaczał Berniego Sandersa, od Hillary Clinton – która uchodziła za reprezentantkę elit – młodzi się dystansowali. Gdyby jednak spojrzeć na program polityczny powyższej trójki, to zrobiłoby się naprawdę zabawnie – prawie żaden nie

pasuje do stanowiska, jakie najmłodsze pokolenie Amerykanów zajmuje w najpoważniejszych dyskusjach światopoglądowych. Otóż ponad 60 proc. studentów pierwszego roku uważa, że aborcja powinna być legalna, ponad 55 proc. domaga się legalizacji marihuany, ponad 40 proc. – chce zniesienia kary śmierci. Lewacy? Ani trochę. Bo równocześnie ponad 30 proc. (wyraźny wzrost względem poprzednich roczników) sprzeciwia się ograniczeniu dostępu do broni, 39 proc. – państwowemu systemowi opieki zdrowotnej, 60 proc. nie chce, by ochronę środowiska wzmocnić w drodze interwencji rządowych.

MY WIEMY LEPIEJ!

Dużo wolności, mało rządu? Na to wychodzi. To nie liberałowie, a bardziej libertarianie – zwolennicy własności prywatnej, indywidualizmu, leseferyzmu i wolności wyboru.

Dlaczego wspierali więc Sandersa? Jedno z badań wskazywało, że nie bardzo rozumieją czym ten cały, promowany przez Berniego, socjalizm jest. Zapytani o to, czy chcą, by polityka gospodarcza stała się domeną rządu, jedynie w 10 proc. odpowiedzieli, że tak.

W swoim umiłowaniu wolności iGen jest konsekwentny: w tej grupie poparcie dla małżeństw jedнопłciowych jest najwyższe ze wszystkich generacji i przekracza 80 proc. Nie wynika to wcale z rosnącego promiskuityzmu, przeciwnie, doświadczenia seksualne nie są mocną stroną tego pokolenia – najmłodsi mają mniej partnerów niż generacje z lat 80., nieco podnieśli też wiek inicjacji seksualnej. Ale cenią wolność wyboru i hołdują przekonaniu, że innemu człowiekowi zwyczajnie nie należy stawiać barier. To widać w wypowiedziach nawet najbardziej religijnych reprezentantów młodego pokolenia.

„Każdy ma swój punkt widzenia i jeśli ktoś chce się kochać z osobą tej samej płci, to tak naprawdę niewiele można z tym zrobić, nie można go zmusić, żeby podołała mu się płęć przeciwna” – tłumaczy dziewiętnastoletni Mark, pobożny chrześcijanin z teksańskiego Fort Worth.

Jego tolerancyjne podejście to charakterystyczny rys młodego pokolenia, religijność – już nie. iGen laicyzuje się na potęgę, deklarując totalny brak zainteresowania tak przynależnością do jakiegokolwiek kościoła, jak i duchowością w ogóle.

Jak się połąpać w tym pełnym sprzeczności obrazie? Wychodzi na to, że w Stanach



Zjednoczonych dochodzą do głosu roczniki zależnych indywidualistów, zdzienniających orędowników wolności, odspołecznionych, przygnębionych, nienawykłych do bycia w grupie, a tym samym sceptycznych wobec partii politycznych organizacji religijnych i reguł uniwersyteckich. Chętnie wesprą inicjatywy bliskie ich poglądom, ale najlepiej zdalnie, w formie kilku. Jednocześnie trudno opisać ich jako całkowicie pasywnych – konflikty na uniwersytetach są najlepszym tego dowodem. Chcą jednak, by absolutną wolność i absolutne bezpieczeństwo – między którymi nie widzą chyba większej sprzeczności – zapewnił im ktoś inny, jakiś mityczny, nieodgadniony rodzic, którego w razie porażki można będzie za wszystko obwinić.

Ekrany ciemnieją – Twenge używa tego zwrotu do opisu coraz częstszych przypadków depresji wśród reprezentantów opisywanego pokolenia. Jeśli rzeczywiście doświadczeniem formacyjnym iGen jest poznawanie świata via smartfon, w zaciszu swojej sypialni i bez kontaktu z rówieśnikami, to wygląda to naprawdę niewesoło.

Zwłaszcza gdy nastroje, przekonania i nawyki młodzieży postrzegamy szerzej, jako swoisty rachunek kosztów zmian cywilizacyjnych. Okazałoby się wówczas, że z okresu gwałtownego rozwoju technologii komunikacyjnych w latach 90. oraz narcystycznego szału epoki start-upów wchodzimy w czas smętnego kaca.

ŻYCIE NA SELFIE STICKU

Pecet miał ludziom dać moce, o których nawet nie śnili, internet – wiedzę, wyszukiwarka – prosty dostęp do niej, serwisy społecznościowe – większą świadomość społeczną i zaangażowanie polityczne. Tymczasem patrząc na wychowane wśród tych wszystkich dobrodziejstw roczniki, trudno nie złapać się za głowę. Najpierw na scenę weszli narcystyczni millennialsi, potem – przerażony iGen zmagający się z rozmaitymi deficytami poznawczymi.

I choć sama Jean Twenge w swojej książce unika kasandrycznego tonu, zastępując biadolenie analitycznym dystansem, trudno nie zauważyć, że jej książka jest jednak wezwaniem do technologicznego odwyku. I to tak głębokiego, jak się da.

„Dorastają powoli – pisze w zakończeniu swojej książki Twenge – wychowywani w taki sposób, by cenić bezpieczeństwo; (...) dojrzewają w czasach, gdy główną formą aktywności społecznej jest gapienie się w mały prostokątny ekran, gdzie można zostać polubionym lub odrzuconym. Urządzenia, które trzymają w dłoniach wydłużyły im dzieciństwo i odizolowały od prawdziwych kontaktów między ludźmi. W wyniku tego, jest to fizycznie najbezpieczniejsze pokolenie w historii, ale najbardziej wrażliwe psychicznie (...) Jeśli tylko zerwą się z uwięzi swoich telefonów i zrzucą z siebie ciężki płaszcz swoich strachów, mogą jeszcze rozwinąć skrzydła i poszybować”.

Smartfon – według Twenge – ingeruje w ludzkie życie społeczne dalece bardziej, niż mogłoby się to nam wydawać. I tę ingerencję widać najlepiej po najmłodszych przedstawicielach społeczeństwa.



U nastolatków spędzających więcej niż trzy godziny dziennie przed urządzeniami elektronicznymi prawdopodobieństwo wystąpienia silnych objawów depresyjnych jest o 35 proc. wyższe niż u tych, którzy wybierają sport

”



U nastolatków spędzających więcej niż trzy godziny dziennie przed urządzeniami elektronicznymi prawdopodobieństwo wystąpienia silnych objawów depresyjnych jest o 35 proc. wyższe niż u tych, którzy wybierają sport.

Kontakty społeczne nastoletnich amerykańców stają się coraz bardziej wirtualne. Odsetki licealistów, którzy codziennie w swoim wolnym czasie spotykają się z przyjaciółmi spadły o 25 punktów procentowych

Ekrany ciemnieją – Twenge używa tego zwrotu do opisu coraz częstszych przypadków depresji wśród reprezentantów opisywanego pokolenia.

Według danych Ministerstwa Zdrowia ok. 900 tys. młodych Polaków boryka się z problemami, które wymagają pomocy psychiatrycznej. Jak tłumaczy Krystyna Szafraniec, powodem jest społeczna izolacja wobec przemian zachodzących w spo-

łeczeństwach Zachodu: „Młodzi ludzie pozostawieni sami sobie przestają wiedzieć, co jest dobre, a co złe, z czym zgadzać się nie powinni.” Czerpanie wiedzy głównie z internetu nie uczy krytycznego myślenia czy radzenia sobie w stresujących sytuacjach. ☹

Jakub Janiszewski

jest dziennikarzem Radia TOK FM, autorem książki *Kto w Polsce ma HIV? Epidemia i jej mistyfikacje*

Nie boję się rozpłynąć w świecie



CHYBA NORMAN MAILER POWIEDZIAŁ, ŻE
IM DŁUŻEJ CZŁOWIEK ŻYJE, TYM MNIEJ
BOI SIĘ KOŃCA. I TO JEST PRAWDA

z Tomaszem Venclovą, litewskim poetą, rozmawia Dominika Kardaś

Dominika Kardaś: W wierszu „Zarzecz” pisał pan o przeczuciu, że „już bliska jest pora nadejścia/ nowych plemion, pokoleń”. Czy te plemiona nadeszły?

Tomasz Venclova: Już od jakiegoś czasu stoją u steru. Wileńskie Zarzecz to część miasta zasiedlona – kiedyś bardziej, teraz przez hipisów i artystów, którzy pod koniec lat 90. założyli tam własne państwo, Republikę Zarzecz, już trochę mniej – przez młodzież. Mają nawet swoją konstytucję, którą bardzo lubię. Skonstruował ją m.in. mój przyjaciel, Tomas Čepaitis i to chyba najlepsza konstytucja na świecie. Zaczyna się tak: „Człowiek ma prawo mieszkać obok Wilejki, a Wilejka płynąć obok człowieka”. Wszystkich paragrafów jest ponad 30, ale mój ulubiony brzmi: „Kot nie musi kochać swego gospodarza, ale w trudnej chwili powinien mu pomóc”. Tę konstytucję Republiki Zarzecz przetłumaczono na różne języki, np. na polski, rosyjski, niemiecki, francuski, angielski, nawet na łacinę i tybetański. Przeczytali to i docenili papież Franciszek i Dalajlama.

Republika wydawała też swoje pismo i kiedyś jej dwóch młodych korespondentów robiło ze mną wywiad. Okazało się, że obaj są synami moich dawnych przyjaciół. Stąd wziął się ten wiersz, przyszły do mnie myśli o zmianie pokoleń, o tym, że to wszystko pozostaje dla tych ludzi, a ja odchodzę. Kiedy pisałem „Zarzecz”, miałem 71 lat. W tym roku kończę 82. Twierdząc w wierszu, że „mnie nie pozostanie nic, oprócz wolności”, mam na myśli wolność ostateczną, która jest śmiercią.

Boi się pan profesor tej wolności?

Chyba Norman Mailer powiedział, że im dłużej żyje, tym mniej się boi nadchodzącego końca. I to jest prawda. Boję się tylko trochę, że to będzie trudne w sensie fizycznym. Nie chciałbym tego. Ale samego zniknięcia, rozplnięcia się w świecie zupełnie się nie obawiam. Bardzo lękałem się go w młodości – bo chciałem coś jednak w życiu zrobić. Teraz zaś, po zrobieniu tego, co mogłem, jestem mniej więcej spokojny. Widzę swoje życie bardziej cało-

ściowo, jako pewną melodię mającą swój początek, swój rozwój, swój koniec. To raczej przyjemne uczucie.

To dla pana czas podsumowań, rozliczania się z przeszłością?

Oczywiście. Prowadzę dziennik i czytuję go regularnie, ponieważ właśnie jest przenoszony z rękopisu na komputer. Sprawdzam, czy w czasie przepisywania nie wkradły się jakieś błędy, i je poprawiam, dopisuję też w nawiasach, kto kryje się pod inicjałami. Może dla przyszłych historyków będzie ciekawe, co powiedział taki a taki człowiek w takiej a takiej sytuacji. Lektura dziennika to dla mnie swego rodzaju podsumowanie mojego życia.

I jak się pan profesor czuje, spoglądając wstecz? Jest pan zadowolony?

Dużo z tego, czego chciałem, spełniło się. Zawsze bardzo pragnąłem zobaczyć świat – i to mi się udało. Widziałem prawie wszystko, co jest na globie ziemskim, z niewielkimi wyjątkami. Nie byłem jeszcze na Kubie czy w Iranie, jako obywatel amerykański nie za bardzo mogłem. Ale wciąż chciałbym. Zobaczymy, co z tego wyniknie, bo zdrowie już nie zawsze mi dopisuje, w każdym razie nie tak, jak to było kiedyś. Chciałem zostać pisarzem – zostałem. Gorszym czy lepszym, nie wiem, ale mogę o sobie powiedzieć „zawodowy pisarz”. Chciałem wyklądać literaturę – przez wiele lat wykładałem, i to właśnie literaturę, którą lubię i którą znam dobrze. Czuję się także spełniony w życiu osobistym, chociaż to udało się nie od razu.

Z tak bogatym życiorysem może pan się czuć spełniony.

Przede wszystkim odczuwam wdzięczność do Pana Boga. Nie jestem specjalnie religijny, jestem katolikiem bardzo mało praktykującym. Ale jednak Bóg jest dla mnie ważny. Istnieje jakaś siła, która może nawet jest pustką (jak zresztą napisałem w swoim bardzo dawnym wierszu), ale w stosunku do której odczuwam wdzięczność. Częściowo też dlatego, że życie miałem udane – nawet zbyt



Tomas Venclova uchodzi za najwybitniejszego litewskiego poetę. Niektórzy uważają go za kandydata do literackiego Nobla

udane jak na moje czasy. Nigdy nie byłem więziony, nie odczuwałem prawdziwego głodu, biedy. Z tego powodu można odczuwać tylko wdzięczność.

A jak sobie pan wyobraża ten moment ostateczny? W wywiadzie, który prawie 20 lat temu ukazał się w „Tekstach Drugich”, mówił pan tak: „Ponieważ mam się jakoś usprawiedliwić przed Panem Bogiem, to zawsze Mu powiem, że napisałem parę wierszy”.

Człowiek nie jest sędzią własnych wierszy. Może moje są nic niewarte? Są czytane, tłumaczone, ktoś to nawet lubi, ale ja nie potrafię ich ocenić. Tym bardziej nie wiem, co o tym powie Pan Bóg.

Wiele lat temu rozmawiałem ze znaną rosyjską pisarką dysydemką, Nadieżdą Mandelsztam, wdową po Osipie Mandelsztamie. Powiedziała mi, że aby się usprawiedliwić przed historią, przed Bogiem albo przed sobą (a to ostatecznie na jedno wychodzi), trzeba napisać około 30 niezłych wierszy. Komuś udaje się napisać więcej – Miłoszowi się powiodło, Brodskiemu, tym bardziej Mickiewiczowi albo Puszkiniowi. Ale nam 30 wystarczy. Nie wiem,

czy mi się udało. Napisałem ich około 250, może da się z tego wycisnąć coś przyzwoitego.

Czego moje pokolenie może nauczyć się od pańskiego?

Żeby się czegoś dowiedzieć, chyba najlepiej czytać to, co napisaliśmy, poznawać historię, której byliśmy uczestnikami. A jeśli miałbym przywołać jakąś konkretną mądrość, która przyszła do mnie z wiekiem, wróciłbym do wiersza, od którego zaczęliśmy rozmowę. Napisałem tam, że na starość wiem, że „zło nie znika nigdy całkowicie” – suma zła na świecie jest zwykle taka sama. Jeżeli nie dostrzegamy tego zła na poziomie wielkich wojen, to objawia się ono na poziomie codziennych, małych spraw, nienawiści i pogardy, np. w rodzinie czy w ramach jednego narodu.

Ale napisał pan też w tym samym wierszu, że „Ślepemu można przywrócić, choć w części, wzrok”.

Tak, i to jest druga mądrość. Właśnie nieumiejętność dostrzegania pewnych problemów, pewnych zależności prowadzi do zła. Jedynym sposobem, żeby jakoś to zło



zniwelować, jest wskazywanie problemów, mówienie o nich. Wydaje mi się, że to działa. Należy to robić, staraliśmy się i wciąż staramy się robić. Wierzę, że młodsze pokolenia również tak postąpią.

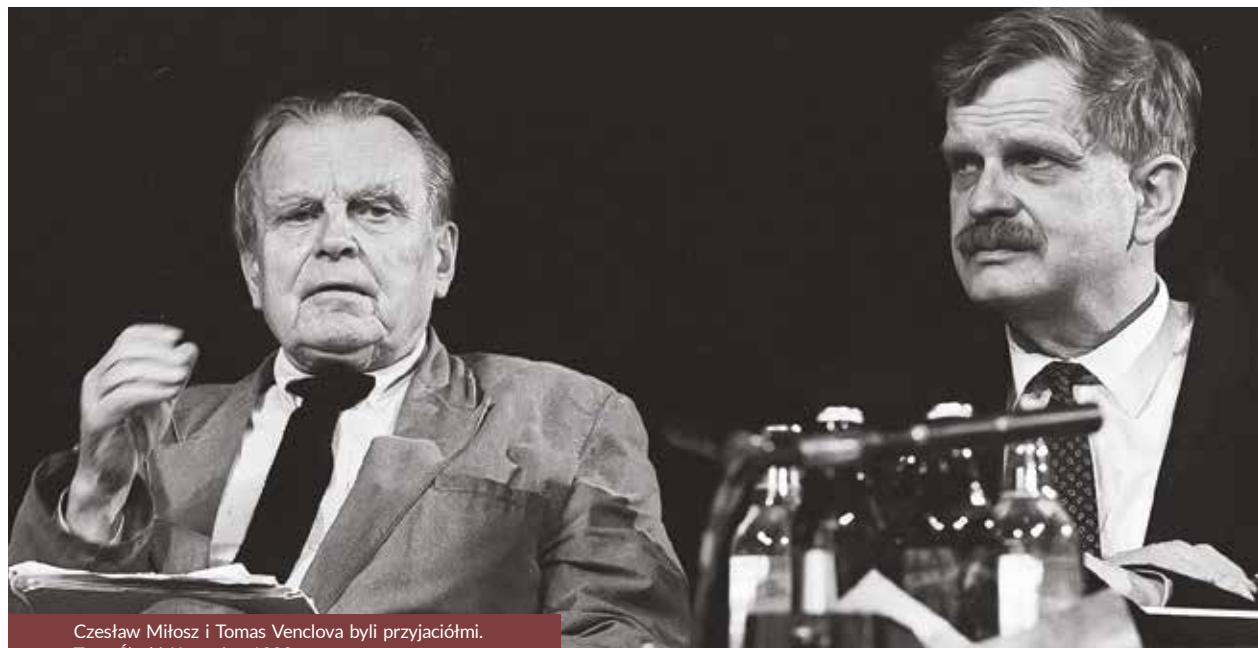
Nazywa pan siebie przecież optymistą historycznym...

To banalna fraza, którą powtarzam za każdym razem. Optymista historyczny to osoba, która mówi, że wszystko skończy się dobrze, ale ja tego nie doczekam. Choć nie mogę powiedzieć, czegoś oczekiwałem: niepodległej, wolnej Litwy, wolnej Polski. W porównaniu ze światem mojej młodości obecny jest wyraźnie lepszy.

Czy ma pan profesor poczucie, że świat, którego był pan świadkiem, odchodzi w przeszłość?

Oczywiście. Nikt już tak naprawdę nie pamięta, co to była komuna i o co chodziło. To sprawy bardzo skomplikowane, znacznie bardziej, niż się na ogół sądzi. Niektórzy mówią, że na Litwie była okrutna rosyjska okupacja i nic poza tym. Nie. Był także tak zwany „zniewolony umysł”, o którym pisał Miłosz. Dużo ludzi optowało za tym systemem nie ze strachu, lecz z przekonania. Ja nawet po swoim takich ludzi uważam, chociaż moim zdaniem byli w głębokim błędzie. Komuna była rzeczą ambiwalentną, w odróżnieniu od nazizmu. Tego już się teraz nie rozu-

Waldemar Kompała/Agencja Gazeta



Czesław Miłosz i Tomas Venclova byli przyjaciółmi.
Teatr Śląski, Katowice, 1993 r.

W eseju „Duszę” się z 2010 r. pisał pan: „Żyjemy (...) w świecie globalizacji, sceptycyzmu, wolności myśli i krytycznego podejścia do tradycyjnych wartości”. Czy jest pan przekonany, że teraz, prawie dekadę później, te filary świata są nadal stabilne?

Esej mówił głównie o wąskich horyzontach myślenia, o szowinizmie, nacjonalizmie, zacofaniu, a także o ciastym klerykalizmie. Wszystko to było wtedy silne na Litwie. Tekst wzbudził ogromną dyskusję – pojawiło się kilkanaście artykułów polemicznych. Niektórzy stanęli nawet po mojej stronie, choć mieli pewne zastrzeżenia, ale większość była przeciw, i to bardzo. W internetowych komentarzach było jeszcze gorzej: „Kiedy, psiakrew, się w końcu udusisz? Czekamy na to z niecierpliwością”.

Nawet mnie to trochę bawi, ale z drugiej strony myślałem, że skoro 95 proc. komentarzy jest tak radykalnie nacjonalistycznych, to piętnowane przeze mnie siły ujawnią się w końcu na scenie politycznej. Tymczasem właśnie mieliśmy wybory prezydenckie na Litwie i szowiniści litewscy nie uzyskali nawet 5 proc. głosów. Może nawet mój artykuł odegrał w tym jakąś rolę? Ale tego nie mogę wiedzieć.

mie, to sprawy dla historyków.

To niebezpieczne, że zapominamy?

Może i tak, bo to, co zapomniane, może się powtórzyć. A świat się zmienia bardzo szybko. Ostatnio – szczególnie szybko. Zmiany widać nawet w tak prozaicznej sferze jak technologia. W ciągu 10 lat powstały jakieś elektroniczne cuda, na których się po prostu nie znam. Z pewną trudnością nauczyłem się korzystać z komputera, ale smartfona już nie umiem obsługiwać i nawet go sobie nie kupiłem. Jestem w zbyt podeszłym wieku. No trudno.

Prawie tak szybko jak zmiany technologiczne postępują też klimatyczne. Australijski think tank Breakthrough. National Centre for Climate Restoration przedstawił analizę, z której wynika, że ludzkość przetrwa mniej więcej do 2050 r.

Sądzę, że to raczej straszenie, ale może straszyć trzeba, żeby ludzie trochę pomyśleli, że czas najwyższy działać. Zatruwamy świat i w końcu zatrujemy samych siebie. Mnie to już nie dotyczy, bo nie mam przed sobą wiele



czasu, ale kiedy myślę o swoich wnukach, które mają teraz 10, 13 lat, jestem zmartwiony. Myślę, jak oni będą żyli na tym świecie za trzy dekady, kiedy te problemy staną się nie tylko złowieszczą prognozą, ale po prostu codziennością ich pokolenia. Nie wiem tego, ale wcale nie jest mi z tą niewiedzą źle.

Jest pan profesor rozczarowany tym, jak dzisiaj wygląda świat?

O świecie, który teraz istnieje, trudno nam, pokoleniu starszemu, cokolwiek powiedzieć, bo nie jest już naszym światem. Przypomina mi się Stefan Zweig, który napisał książkę Świat wczorajszy, o państwie cesarsko-królewskim, tym w zasadzie spokojnym i dość wygodnym życiu, które zupełnie znikło po I wojnie światowej. Zweig nie mógł się z tym pogodzić i w końcu popełnił samobójstwo.

Jesteśmy w podobnym położeniu. Czasy po II wojnie światowej czy komunizmu i wojny polsko-jaruzelskiej, a nawet późniejsze wydarzenia – to już „świat wczorajszy”, który może być ciekawy, może być nawet momentami sympatyczny, ale zupełnie nie jest światem nowego pokolenia. W dzisiejszym świecie już jestem obcy, chociaż nie powiem, że bym czuł się z tego powodu źle. To nawet ciekawe być obserwatorem patrzącym z dystansu

Co ten dystans daje w ocenie rzeczywistości?

Daje poczucie, że może nie warto się zbyt denerwować. Ludzkość robi to od zawsze. Słyszałem – może to i żart – że najstarszy papirus, który pochodzi sprzed czterech albo więcej tysięcy lat, stwierdza: nastąpiły okropne czasy, młodzież nie słucha starszych, nie poważa bogów itd., itd. To przeświadczenie jest z nami od początku wieków i ludzkość jakoś nie zginęła. Przechodziła co prawda przez różne niespokojne okresy, ale jakoś się zawsze z nich wykaraskała. A młodzież w końcu stawała się starszym pokoleniem i zrzucała: w naszych czasach to było nie do pomyślenia. Staram się pamiętać, żeby tak nie robić, nie być takim komicznym starcem.

Mówi się teraz dużo o kryzysie wartości demokratycznych, o które walczyło pańskie pokolenie. Może jednak nie zmierzamy w najlepszym kierunku?

Ten kryzys można zaobserwować w niektórych państwach, ale chyba nigdzie nie jest aż tak źle, żeby zapowiadała się powtórka zbrodni faszystowskich i komunistycznych. Co prawda kiepsko jest na Węgrzech czy we Włoszech, niezbyt dobrze moim zdaniem także w Polsce, ale na Litwie sytuacja jest już lepsza.

W USA wybór Trumpa też o czymś świadczy, ale Amerykanie mają bardzo dobrą konstytucję, prawie tak dobrą jak Republika Złotego Wąsa. Nawet jeśli wybiorą złego prezydenta, mają odpowiednie mechanizmy państwowe, które mogą złagodzić jego niefortunne posunięcia. Moim zdaniem to wszystko rzeczy przejściowe. Po 10, 20 latach będziemy je wspominali z pobłażliwym uśmiechem.

Jakich wartości w takim razie potrzebujemy, żeby ten optymistyczny scenariusz, o którym pan mówił, doszedł do skutku?

Najważniejsze są ludzka godność i ludzka odpowiedzialność, zrozumienie, że bardzo wielu rzeczy jesteśmy winni my sami. Ważne też, żeby się nie izolować, nie ulegać wartościom zaściankowym, anachronicznym, które może kiedyś, w XIX w. miały sens, ale teraz już nie mają. Do tego się zalicza wiele wartości tak zwanych narodowych i tak zwanych religijnych.

O jakich konkretnie pan myśli?

Jedną z takich wartości „narodowych” jest przesadne dbanie o czystość narodu i obawa, że jak wpuścimy imigrantów, wszystko runie. Nic nie runie, Ameryka składa się prawie z samych imigrantów i jest państwem, które odnosi ogromne sukcesy w skali światowej. A jeśli chodzi o wartości „religijne”, to proszę spojrzeć np. na strach przed nietradycyjnymi modelami rodziny. To nie jest prawdziwa wartość religijna, ale „wartość” typowo zaściankowa. Tak wyglądała rodzina w XIX w. – teraz już nie musi. Sam mam bardzo tradycyjną rodzinę, ale nie widzę przeszkód, żeby ten model zmieniać, jeśli tylu ludzi się w nim nie odnajduje. Człowiek jest człowiekiem i zasługuje przede wszystkim na poważanie oraz empatię.

[Wyłączam dyktafon]

Pani się zgadza z tym, co powiedziałem?

Tak, chociaż ja jestem chyba większą pesymistką.

Nie trzeba być pesymistką, bo pesymizm, częściowo także optymizm to samospełniające się przepowiednie.

Skoro pan profesor jako zdeklarowany optymistę uważa się równocześnie za osobę spełnioną, zadowoloną ze swojego życia, to pewnie ma rację...

Nie jestem całkowicie zadowolony ze swojego życia, niektórych rzeczy żałuję. Nie jestem tutaj, żeby się spowiadać, ale mam też na sumieniu kilka ciężkich grzechów. Jeszcze to pani nagrywa?

Nie, już wyłączyłam.

Ale to też może pani napisać. ☉

Tomas Venclova

jest litewskim poetą, eseistą, tłumaczem.
Profesor języków i literatur słowiańskich.
Wykładał na Uniwersytecie Yale.

AMERYKA I CHINY NA KOLIZYJNYM KURSIE



CENTRALNE ZAŁOŻENIE POLITYKI USA BRZMI:
MUSIMY POZOSTAĆ ŚWIATOWYM LIDEREM. A SKORO
TAK, CHINY COKOLWIEK NIE ZROBIĄ, BĘDĄ WROGIEM

Ann Lee

Amerykańscy spece od polityki zagranicznej w ostatnich latach na potęgę straszą Chinami, przedstawiając je już nie tylko jako rywala, ale wręcz wroga, porównywalnego z ZSRR. Choć antychińska retoryka to w Waszyngtonie żadna nowość, administracja prezydenta Donalda Trumpa mocno ją nakręca. I to mimo silnych powiązań gospodarczych obu krajów, masy wspólnych przedsięwzięć naukowych czy żelaznej konsekwencji, z jaką Chińczycy nie mieszają się w amerykańskie sprawy.

LIDER WOLNEGO ŚWIATA

Wśród waszyngtońskich antychińskich grubych ryb są m.in. dyrektor FBI Christopher Wray, szef biura handlu Białego Domu Peter Navarro czy senator Marco Rubio. Jak za czasów zimnej wojny na całego demonizują Chiny, robiąc z nich państwo totalitarne, które rzekomo chce wywrócić cały świat – w którym Ameryka stoi na czele. Administracja Trumpa próbuje wręcz powstrzymać gospodarczy i geopolityczny rozwój Chin, sięgając po odradzanie sojusznikom kupowania chińskiej technologii albo sprzedawania Chińczykom własnej [patrz afera z Huawei; Ameryka domaga się od sojuszników, żeby nie podpisali z chińskim koncernem kontraktów na budowę sieci 5G, a Google niedawno ogłosił, że z powodu sankcji na telefonach Huawei nie będzie aplikacji absolutnie kluczowych dla każdego użytkownika Androida, takich jak Google Maps czy Play Store – red.].

Ci ludzie, choćby Pekin stanął na głowie, nie zmieniają nastawienia. Zupełnie jak w latach 80. i 90., kiedy Amerykanie traktowali Japonię jako wielkie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, tylko dlatego, że była szybko rozwijającą się gospodarczą potęgą. Mimo że była też demokracją, której nikt nie oskarżał nawet o naruszanie praw człowieka.

Tak samo dziś – dopóki Waszyngton będzie uważał Chińczyków za rywali, dopóty nieważne, co robią chińscy przywódcy; nie pomoże im nawet, jeśli pójdą Ameryce w tej czy innej sprawie na rękę. I tak będą uważani za zagrożenie.

Dobrym przykładem takiej postawy są negocjacje handlowe między oboma krajami. Jeśli Ameryka nie dostaje tego, czego się domaga, nakłada cła i karze sankcjami. W zasadzie

porzuciła już dyplomację na rzecz szafowania żądaniami nie do odrzucenia.

Prawdziwy powód tego wszystkiego? Niepisane założenie, które dzielą zarówno Republikanie, jak i Demokraci, że Ameryka musi pozostać światowym numerem jeden.

Kiedy skończyła się zimna wojna, amerykańscy decydenci stwierdzili, że agresywna polityka wobec Związku Radzieckiego była sukcesem. Odtąd jeszcze chętniej sięgają po siłę i uznają się za niezastąpionego lidera wolnego świata, któremu wolno działać, kiedy, gdzie i jak mu się podoba.

INWAZJE, NA KTÓRYCH DA SIĘ ZAROBIĆ

I choć amerykańskie elity twierdzą, że promują liberalne wartości, w rzeczywistości uprawiają rewizjonizm. Po prostu chcą się mieszać w wewnętrzne sprawy krajów na całym świecie. To dlatego Ameryka co rusz angażuje się w bezsensowne wojny, które kończą się upadkiem państw (jak w Libii) albo wieloletnią okupacją (Afganistan).

Jak zauważa Janine R. Wedel w książce *Shadow Elite*, ludzie, którzy decydują o amerykańskiej polityce zagranicznej, kurczowo trzymają się strategii liberalnego hegemonu. Dlaczego? Bo mile łechce ich ego, a przy okazji można na niej nieźle zarobić. To nie przypadek, że tzw. eksperci, którzy w amerykańskich programach telewizyjnych namawiają, by siłą zmieniać reżimy w różnych częściach świata, często powiązani są z koncernami zarabiającymi krocie na kontraktach zbrojeniowych.

To nie przypadek, że Ameryka jest dziś największym na świecie eksporterem broni i wydaje na armię bilion dolarów rocznie – więcej niż kolejnych dziewięć krajów razem wziętych. A te liczby nie obejmują przecież rzeczywistych kosztów wojen, które idą w kolejne grube biliony.

Żeby sprzedać opinii publicznej – w Ameryce i w krajach z nią zaprzyjaźnionych – cały ten interwencjonizm, potrzebne jest nakręcanie poczucia zagrożenia. Bo tylko ludzie przestraszeni, tacy, którym – przy pomocy bezwiednych mediów – odebrano poczucie bezpieczeństwa, zgodzą się na wojowanie z jakimś obcym „wrogiem”.



Ni Qin/Getty Images

W listopadzie 2017 r. prezydent Xi Jinping gościł Donalda i Melanię Trumpów w Pekinie

Nieliczni eksperci od polityki zagranicznej, którzy próbują się buntować przeciwko temu wszystkiemu, są szykanowani przez „partię wojny”. Nie mają wstępu do dużych mediów, nie są zapraszani na ważne spotkania. Jak choćby amerykański ekonomista Paul Craig Roberts. Traktuje się go prawie jak kongresmenkę Ilhan Omar, wyzywaną w Ameryce od antysemitki, bo publicznie zauważyła, że w amerykańskiej polityce zagranicznej duże wpływy mają zwolennicy Izraela.

Jeśli Ameryka permanentnie będzie przyjmować wobec Chin strategię żywca z zimnej wojny, popełni wielki błąd. Zaszko dzi światowej gospodarce, ograniczając wymianę handlową. Rozbudzi niezdrowy wyścig zbrojeń. Osłabi międzynarodową współpracę, niezbędną do rozwiązywania wspólnych, globalnych problemów, takich jak choćby zmiany klimatyczne.

A wreszcie wpadnie w pułapkę Tukidydesa, czyli samospełniającą się przepowiednię o nieuniknionej wojnie [w starożytnej Grecji w taką pułapkę wpadła Sparta, która nie mogła znieść rozkwitu Aten; efektem były wojny peloponeskie, które zrujnowały oba państwa – red.].

Żeby tego uniknąć, potrzebna jest zmiana sposobu myślenia. Dziś wszystko, co robią Amerykanie, oparte jest na założeniu, że Ameryka nie ma stałych przyjaciół, a jedynie stałe interesy. OK, niech im będzie. Ale jeśli amerykańscy przywódcy nie rozumieją, że w interesie Ameryki jest pomaganie w osiągnięciu wspólnych celów, jak choćby zrównoważonego rozwoju, przyczynią się do katastrofy.

Ameryka stanęła przed ważnym pytaniem: jak poradzić sobie z rosnącą potęgą Chin? Przy odrobinie realizmu, kreatywności i silnej woli jej przywódcy mogliby zapoczątkować nową erę stosunków międzynarodowych. Takich, w których wola utrzymania pokoju zawsze przebiję pokusę rozpętania wojny. Uda się? Raczej bym na to nie stawiała. 

©Project Syndicate, 2019

Ann Lee

jest profesorką na New York University i autorką książki *What the US Can Learn from China*. Urodziła się w Hongkongu

CHINY CZYLI INNOWACYJNY AUTORYTARYZM



NIE TYLKO INWIGILUJĄ SWOICH OBYWATELI. TAKŻE WYKORZYSTUJĄ TECHNOLOGIE, ŻEBY BUDOWAĆ SPRAWNE, NOWOCZESNE PAŃSTWO. TAK RODZI SIĘ ALTERNATYWA DLA ZACHODNIEJ DEMOKRACJI

Manuel Muñiz

Konflikt handlowy administracji Donalda Trumpa z Chinami podszyty jest lękiem, że Stany Zjednoczone zostaną z tyłu w globalnym wyścigu technologicznym. I nie chodzi wyłącznie o uprzedzenia samego prezydenta Trumpa. Chińska strategia „Made in China 2025”, której celem jest dominacja w nowatorskich branżach, jak cyfryzacja, sztuczna inteligencja czy aeronautyka, jest przez szerokie grono amerykańskich decydentów traktowana nie tylko jako gospodarcze wyzwanie, ale także jako geopolityczne zagrożenie. Chińczycy mają już zagrażać wszystkiemu – od amerykańskiej infrastruktury telekomunikacyjnej przez amerykańską własność intelektualną po amerykańską pozycję militarną w Azji Wschodniej.

GDZIE SĄ WSZYSTKIE JEDNOROŻCE?

Fakt, że technologia nakręca geopolityczne napięcia, nie jest sprzeczny z przewidywaniami różnych naukowców i decydentów. Jeszcze na początku XXI w. wieszczili, że już niedługo geografia kompletnie straci znaczenie dla funkcjonowania światowych rynków. Globalizacja i rozwój technologii doprowadzą do „płaskiego” świata, w którym umiejętności rozłożą się idealnie równo we wszystkich regionach, a granice zaczną się zacierać. W takim świecie będzie możliwa wolna konkurencja, a wykwalifikowani specjaliści będą mieć kontakt z procesem produkcji sporadycznie, i to wyłącznie w niezbędnych przypadkach.

Nic z tego. W XXI w. talenty rozsiane są bardziej nierówno niż kiedykolwiek. Kilka kluczowych ośrodków – Cambridge w stanie Massachusetts [gdzie znajduje się najlepsza amerykańska uczelnia techniczna MIT – red.], Dolina Krzemowa w Kalifornii i chińskie Shenzhen – skupia najwięcej najbardziej łebskich speców od cyfrowych technologii. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Mówi się, że ta koncentracja cyfrowych talentów wynika z roli „wiedzy tajemnej”: być może zyskuje wartość

wyłącznie w bardzo konkretnych warunkach, które są spełnione akurat w tych miejscach.

Podobna koncentracja dotyczy nie tylko wiedzy. Tak samo jest z badaniami nad technologią i komercyjnym wdrażaniem innowacji. Jeśli spojrzymy na liczbę jednorożców (start-upów, których wartość rynkowa to co najmniej miliard dolarów) na świecie, wydzie nam, że prawie cała globalna przedsiębiorczość i innowacyjność mieszczą się w Chinach i USA! Na tym obszarze szybko zmierzamy do świata G2 [aluzja do grupy G7, czyli siedmiu najbogatszych krajów świata – red.].

Także wzrost wydajności koncentruje się w firmach, które wiedzą, jak wykorzystywać cyfrowe technologie. Od dekady za niemal cały światowy wzrost efektywności odpowiada mała grupa takich firm – prekursorów. Cała reszta to maruderzy, którzy ani trochę nie poszli do przodu. W efekcie wydaje nam się, że wydajność rośnie coraz wolniej, gdy tymczasem problem tkwi w coraz większej segregacji.

BIG DATA, CZYLI SKARB DLA AUTOKRATÓW

Świat, w którym technologiczny know-how, innowacje i wzrost efektywności są tak mocno skoncentrowane, coraz bardziej zamienia się w grę o sumie zerowej [czyli jeśli ktoś zyskuje, to ktoś inny musi stracić – red.]. A tym samym staje się bardziej podatny na geopolityczną konkurencję. Bo regiony, które potrafią skutecznie przyciągać talenty, de facto wykluczają całą resztę z procesu transferu technologii.

Efekt? Zwycięzcy błyskawicznie zwiększają efektywność i zaczynają dominować. W takich warunkach zwyczajnie nie da się uniknąć rywalizacji między Amerykanami a Chińczykami – to wyścig, w którym nagrodą są najszybsze i najbardziej innowacyjne firmy.



Shenzhen to zbudowane w trzy dekady 10-mln miasto, które stało się chińską odpowiedzią na kalifornijską Dolinę Krzemową

W dodatku – i to jest kluczowe – Chiny nie są demokracją. Ale rząd korzysta z najnowszych technologii nie tylko do prześladowania opozycji i kontrolowania ludzi. Dzięki tym samym technologiom sprawnie odpowiada na potrzeby społeczeństwa i poprawia poziom usług publicznych. W ten sposób, wyposażając urzędników w narzędzie przydatne do skutecznego rządzenia i dobrej organizacji państwa, władze w Pekinie osłabiają siły, które mogłyby obalić autorytarny reżim, jak kiedyś ZSRR [który upadł, bo był fatalnie zorganizowany – red.].

Wychodzi więc na to, że technologie informatyczne, big data i sztuczna inteligencja to dla autorytarnych reżimów prawdziwy skarb.

Co z tego wynika? Otóż musimy się przygotować na nadchodzący konflikt. Jak w czasach zimnej wojny wyścig USA i Chin o technologiczną dominację odbije się echem na całym świecie. Może nasili sprzeciw wobec globalizacji, dorzucając do litanii skarg rzekome zagrożenia dla narodowego bezpieczeństwa. Może pojawi się pokusa zerwania z globalnymi rynkami i powrotu do osobnych, odizolowanych od reszty świata sojuszy czy regionów z własnymi danymi i własnymi technologiami [już dziś setki milionów Chińczyków surfują po osobnym internecie – red.].

Ameryka i Europa od dawna promują ideę wolnego rynku i swobodnej konkurencji [która napędza gospodarkę]. Teraz czeka je test. Czy zachodnie rynki pozostaną otwarte dla chińskich firm? Czy zachodnie urzędy antymonopolowe rozmontują technologiczne molochy [jak Google, Facebook, Amazon], ryzykując, że oddadzą pole chińskim megakorporacjom? Sporo zależy też od Chińczyków – czy zechcą uporządkować własne boisko, będą dążyć do liberalnego modelu i ograniczać mieszanie się państwa w gospodarkę? Na razie Chiny zdają się zmierzać raczej w przeciwnym kierunku.

Jeśli autorytarny reżim wygrywa wyścig na innowacje, a nowe technologie pozwalają mu sprawnie rządzić, dzięki czemu nie będzie musiał nawet dawać więcej wolności obywatelom, to cały świat jest w niebezpieczeństwie. Bo w starciu Ameryki z Chinami nie chodzi już tylko o technologię, gospodarkę i geostrategię. Podobnie jak w oryginalnej zimnej wojnie prawdziwą stawką jest przyszłość liberalnej demokracji. 

©Project Syndicate, 2019

Manuel Muñiz

jest dziekanem IE School of Global and Public Affairs w Madrycie. Wykłada również na Harvardzie

Dziesięć kobiet i jedna wojna



OBSTRZAŁ ZACZAŁ SIĘ Z SAMEGO RANA. GALA
SIEDZIAŁA WTEDY NA BALKONIE I ROBIŁA MAKIJAŻ.
BYŁO ZIMNO, ALE TAM JEST LEPSZE ŚWIATŁO

Magdalena Chodownik ze wschodniej Ukrainy



Tatjana, po dniu na służbie, odpoczywa wieczorem przed telewizorem

KOBIECA WOJNA MA SVOJE WŁASNE BARWY, ZAPACHY, WŁASNE OŚWIECZENIE I PRZESTRZEŃ UCZUĆ. WŁASNE SŁOWA. NIE MA TAM BOHATERÓW I NIESAMOWITYCH WYCZYNÓW, SĄ PO PROSTU LUDZIE, ZAJĘCI SWOIMI LUDZKIMI-NIELUDZKIMI SPRAWAMI. I CIERPIĄ TAM NIE TYLKO LUDZIE, ALE TAKŻE ZIEMIA, PTAKI, DRZEWA. WSZYSCY, KTÓRZY ŻYJĄ RAZEM Z NAMI NA TYM ŚWIECIE

Swietłana Aleksijewicz, WOJNA NIE MA W SOBIE NIC Z KOBIECY

ELENA

Elena Aleksandrowna martwi się o stan schronu przeciwbombowego. Ten mieści się w piwnicach przedszkola w miasteczku Nowogorodske. Jest tam dyrektorką. Nie ma w nim żadnych udogodnień — ciemna i wilgotna przestrzeń, podłoga to jedynie beton, który kurzy się niemiłosiernie. Nie ma też przywóitych toalet czy kąpika kuchennego na wypadek, gdyby przyszło dzieciom tam spędzić dzień, dwa czy miesiąc. Elena co i raz wybiera numery organizacji humanitarnych, szukając pieniędzy choć na podstawowy remont. Sprawdza w nternecie, kto i jakie projekty prowadzi we wschodniej Ukrainie. Ale nikt nie ma na to teraz funduszy. Ona jednak się nie poddaje. Wybiera kolejny numer i kolejny.

„Co i raz powtarzamy z dziećmi schemat ewakuacji i schodzenia do piwnicy. Tam mamy schron. Ale nie tak, żeby się bały, żeby wywołać panikę, choć one przecież słyszą te obstrzały i wybuchy. Organizujemy im takie zabawy, że trzeba zejść na dół, poszukać jakichś fantów, książek... One wiedzą, że muszą grzecznie się ustawić i spokojnie iść jeden za drugim. I tak razem schodzimy do tego schronu” — tłumaczy dyrektorka. „A co mamy zrobić? Przecież front jest tylko dwa i pół kilometra od naszego przedszkola”.

W praktyce już sprawdzali schron w 015 r., kiedy wojna dotarła do miasteczka. Pomieścił wtedy nie tylko przedszkolaków z personelem, ale i dzieci z pobliskiej szkoły oraz dorosłych z domu mieszkalnego obok. Elena wie, że nikt o nich wszystkich nie zadba, jeśli sama nie zorganizuje pomocy. I

jeśli przyjdzie im się ponownie chować, chciałyby, żeby dzieci czuły się możliwie komfortowo.

GALA

To było pierwszego dnia wojny. W małej miejscowości Mironowskiej zjawiła się ona 22 stycznia 2015 r. Obstrzał zaczął się z samego rana. Gala siedziała wtedy na balkonie i robiła makijaż przed pójściem do pracy. Było zimno, ale tam światło zawsze jest lepsze. Lubi się tam malować. Zdążyła nałożyć puder, cienie na powieki i grubo wytuszczać rzęsy jednego oka. Wtedy tąpnęło. Huk rozniósł się po całym mieście. Ziemia i szyby drżały.

Odruchowo schowała się w mieszkaniu. Nie wiedziała, co się stało. Zaczęła dzwonić do szefowej, w ręce wciąż trzymając tusz w gotowości. Raz, drugi, ale ta nie odbierała.

„Oszalałaś?” — krzyknął głos z drugiej strony słuchawki, kiedy wreszcie udało się połączyć. „Żadnej pracy dziś nie będzie! Nigdzie nie idź! I u nas zaczęła się wojna!”.

Gala odłożyła telefon, spojrzała w lustro i mimo wszystko dokończyła makijaż. „Bo co, jeśli trzeba będzie jednak wyjść...” — pomyślała.

ZINA

Zina, podobnie jak większość mieszkańców miasteczka, przeczekiwała obstrzał w domu. Za oknami słyszał było wybuchy, świszczące i uderzające w budynki pociski. A potem osypywanie się tynków, tłuczone szyby i szlochanie

sąsiadów. Tak przez pół dnia. Mąż Ziny też nie wychodził. Po obiedzie położył się na kanapie i czytał, żeby zająć czymś głowę. Koło trzeciej odgłosy ucichły.

„Póki jest cicho — powiedział do żony — wyjdę po chleb i papierosy”.

Zabrał się i poszedł.

„Daleko nie zaszedł, tylko tam, do garaży” — Zina wskazuje palcem na okno, ale nie odsłania firanki ani nawet nie patrzy w tamtą stronę. Oczy ma zapłakane, a po policzkach ciekim strumykiem cieknie łza za łzą. Głos się łamie, coraz trudniej wyrównać oddech. Słowa urywają się w połowie, przerywane łapczymym chwytniem powietrza. Jak tonący, który wie, że udało mu się wynurzyć tylko na moment, dlatego chce zachłysnąć się powietrzem, nim znów znajdzie się pod wodą.

Zina stara się przezwyciężyć ogarniający ją smutek, zebrać siły. Znowu. Bo widać, że robi to nie pierwszy raz. Podnosi grube szkła okularów i ociera policzki. Nie umie tego powstrzymać. Upłynęło już kilka lat, ale cierpienie wciąż jest silniejsze. Obezwładnia.

Mąż Ziny zdążył przejść dosłownie kilka metrów. Przy garażach spotkał znajomych i zatrzymał się, by z nimi porozmawiać. Wtedy znowu zaczął się obstrzał. Wszyscy rzucili się do ucieczki — do tych garaży, które miały ich ochronić przed kulami. Tylko że on ruszył ostatni. I nie zdążył dobiec. W jednej chwili rodzina straciła męża, ojca, partnera, opiekuna i karmiciela.

Do mieszkania Ziny przybiegł znajo-

my. „Twojego męża zabiło” — oznajmił przerażony. A ona stała nieruchomo, przerażona i zalana tymi samymi łzami, które płyną po jej policzkach do dziś. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

„Jak to zabiło?” — pytała. „Że nie żyje? Na śmierć?” — powtarzała bez sensu, w kółko.

Wystrzały mieszały się z niepewnością ciszy. Bo na wojnie cisza też jest niepewna — jedyne, co pewne, to że ktoś ją w końcu przerwie. Tylko nie wiadomo z której strony

Syn Ziny, Valera, właśnie wracał z pracy. Pobiegł w stronę garaży. Nie było tam już nikogo. Tylko ciało ojca na zimnym betonie. Przyniósł je do domu na własnych rękach. Położył na kanapie, na której jeszcze przed chwilą leżał żywy. I czytał. I chciał przynieść rodzinie chleb na kolację.

KOBIETA W KOSTNICY

Zina została przy ciele męża. Andrej, jej drugi syn, pobiegł do szpitala. Chciał sprowadzić lekarza. „W czasie obstrzału nie wyjeżdżamy” — usłyszał. Valera pobiegł do rady miasta. „Dopóki stwierdzi się zgonu, nie pochowacie ojca” — powiedzieli mu. „Wyślemy dziś do was kogoś”. Obaj synowie wrócili do domu. Do późnej nocy w kuchni paliło się światło. Czekali. Nikt nie przyszedł.

Następnego dnia Valera znów pobiegł do rady miasta:

„Mój ojciec już drugi dzień leży w domu!”

„Dziś już na pewno ktoś przyjdzie. Czekajcie”.

Valera znów wrócił do domu z niczym. Ale tym razem rzeczywiście przyszedł — mundurowy, z policji. Stwierdził zgon.

„To wszystko? Możemy pochować męża?” — dopytywała Zina.

„Nie, teraz musicie odwieźć go do kostnicy do Bahmutu”.

Do Bahmutu z maleńkiego Mironowskij jest 30 km fatalną, dziurawą drogą. Do tego walki wciąż nie ustawały. Głośne, groźne wystrzały mieszały się z niepewnością ciszy. Bo na wojnie cisza też jest niepewna — jedyne, co w niej pewne, to to, że ktoś ją w końcu przerwie. Tylko nie wiadomo kto i z której strony.

Mimo to Valera i tak pobiegł do lokalnego domu pogrzebowego. Ojca trzeba było w końcu pochować:

„Tatę trzeba odwieźć do kostnicy w Bahmucie...”

„Dobrze, odwieziemy” — powiedzieli mu. „To będzie 800 hrywien”.

Nie mieli wtedy takich pieniędzy, ani nawet w ogóle żadnych. Nie wypłacano wtedy ani rent, ani pensji. Skąd wziąć 800 hrywien?

Valera wyszedł z domu pogrzebowego i zobaczył żołnierzy. Opowiedział im o ojcu, który już drugi dzień leży martwy w domu na kanapie. I że nie mają pieniędzy na transport. Jeden z mundurowych zadzwonił do przełożonego. Po chwili dostali zgodę, by pomóc rodzinie. Wszyscy razem poszli do mieszkania Ziny, wzięli ciało i pojechali przez dziury w asfalcie do bahmuckiej kostnicy.

Kiedy dojechali, kobieta przyjmująca ciało tylko rozłożyła ręce. „Ciało będziecie mogli odebrać dopiero jutro, najwcześniej o 11” — oświadczyła. „Nie wyrobię się dzisiaj, mam za dużo pracy”.

Valera miał nadzieję, że wszystko uda się załatwić od ręki. Uzgodnił jednak z żołnierzami, że przyjadą z nim jeszcze raz następnego dnia.

„Połóż ojca tam” — kobieta wskazała drzwi w stronę ogrodu.

W kostnicy było tyle ciał, że nie mieściły się w środku. Zaczęto układać je na zewnątrz. Ciało przy ciele, kompletne i niekompletne, podziurawione, naderwane, blade-sine, kobiece, męskie, dziecięce...

„Ogród przypominał pole bitwy” — mówił Valera. „A ta kobieta pracowała dzień i noc. Starła się je wszystkie doprowadzić do najlepszych z możliwych stanów”.

Pochowano go w końcu trzeciego dnia. Potem Zina z synami spakowali walizki i wyjechali z miasteczka. Z początku nie chcieli, ale później znów zaczął się ciężki obstrzał. Okna w mieszkaniu wyleciały.

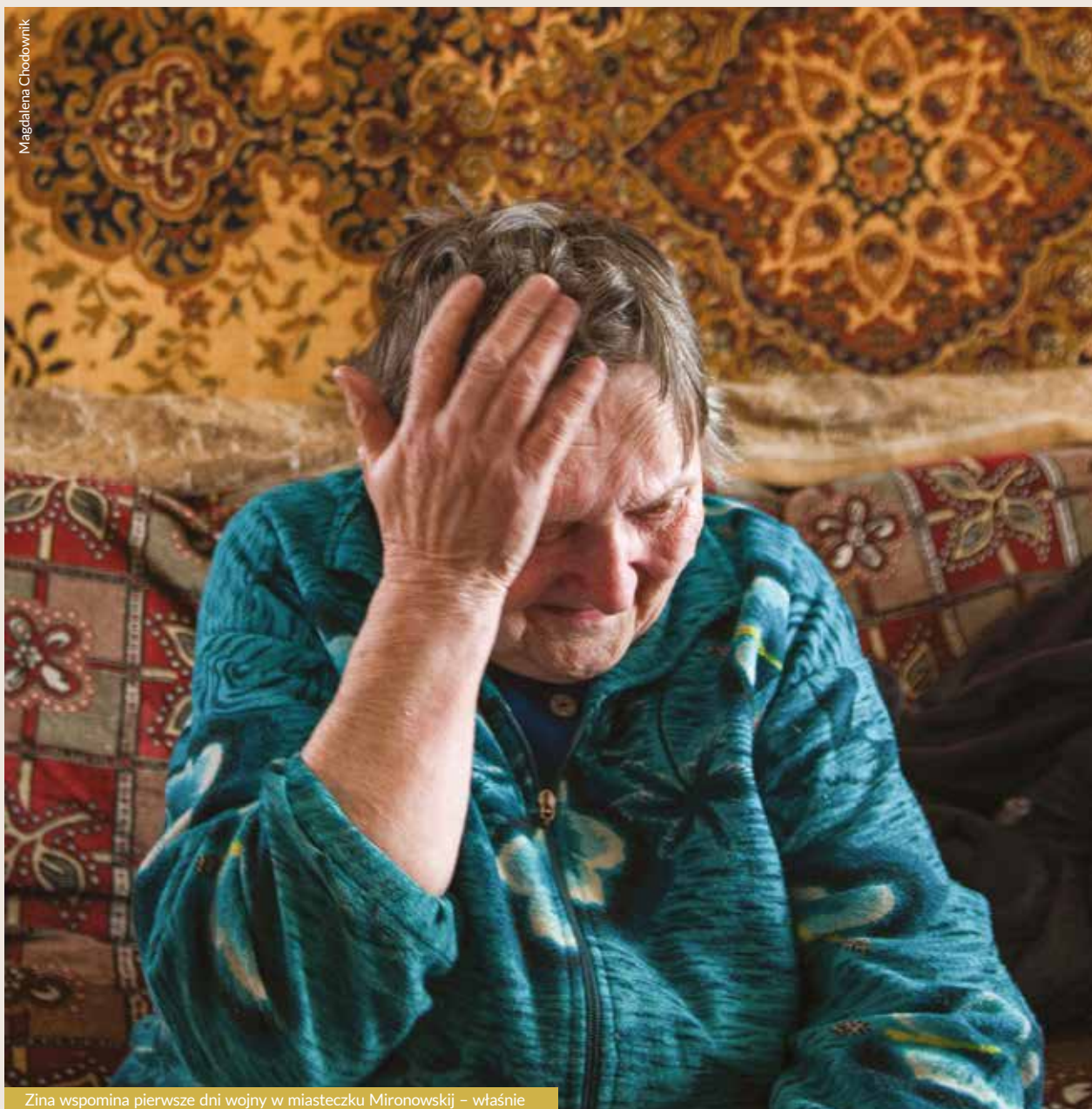
Wkrótce dopadły ich choroby. Zina długo leżała w szpitalu, do tego praktycznie straciła wzrok. Musiała nauczyć się na nowo żyć. Nie dość, że bez męża, to jeszcze w ciemności. Do tego i Andrej zachorował. Mimo licznych operacji stracił wszystkie pięć palców u lewej nogi. I jeszcze trauma, problemy psychologiczne, powracające obrazy wojny, ojciec leżący na kanapie, ogród w kostnicy... Obaj synowie popadli w depresję i alkoholizm.

Zina, praktycznie ślepa i schorowana, bez środków do życia, musiała uporać się z własnym bólem i zaopiekować się nimi. W końcu wrócili do Mironowskiego. Żeby związać koniec z końcem, próbowała starać się o odszkodowanie. Odsyłano ją z biura do biura, ale każdy odpowiadał to samo: „Za zabitych nie dajemy żadnej pomocy, pomagamy jedynie rannym”. Później Zina zaczęła dzwonić do organizacji humanitarnych. „Zbierzcie dokumenty ze szpitali, może dostaniecie kilka groszy na lekarstwa, bo my rodzinom zabitych też nie płacimy” — usłyszała.

Dziś wszystkie okna w mieszkaniu Ziny są pozastłaniane. Jedynie przez szczelinę między zasłonami przebijają niewielkie słoneczne promienie. Gdyby nie one, ciężko byłoby rozpoznać, czy jest dzień, czy noc. Zaduch. Para i zapach gotowanego w kuchni posiłku, które co dzień Zina gotuje dorosłym synom, miesza się z drażniącą wonią alkoholu i kurzem.



Magdalena Chodownik



Zina wspomina pierwsze dni wojny w miasteczku Mironowskiej – właśnie wtedy, od pocisku, zginął jej mąż i ojciec jej dwóch synów

Nie da się tu normalnie oddychać, najwyżej tak na pół gwizdka, tylko trochę, na rozruszanie płuc. W tym niewietrznym mieszkaniu powietrze zatrzymało się w miejscu. I stoi tak, nie uchodzi od dawna. I wisi ciężko.

Kanapa, na której trzy dni leżał nieżywy mąż Ziny, też stoi tak jak stała. Dziś sama na niej siedzi, przeglądając stare zdjęcia zmarłego. Ale nic nie widzi, tylko ociera łzy.

TATJANA

Do tej samej kostnicy w kwietniu przyje-

chały kolejne ciała. Dwoje żołnierzy, którzy zginęli w wybuchu pocisku. Wpadł prosto w okopy, kiedy poszli odpocząć. Zdążyli położyć się na pryczach, rozprostować nogi. Ot, szybki świst i tumany kurzu, które wzniosły się nad ziemię. Na nich też czekały dzieci i partnerzy. Nie doczekali się nawet ciał. Na pogrzebie, mimo przyjętego zwyczaju, trumien nie otworzono. Bo byli w takim stanie, że nikt się nie odważył.

Razem z tymi zabitymi chłopakami służyła Tatjana – w tym samym batalionie, tej samej rocie, nawet tych samych okopach. Miała szczęście, tego dnia

była dalej od miejsca wybuchu. Choć od dawna pomagała żołnierzom jako wolontariuszka, do wojska trafiła niespełna dwa lata temu.

„Kiedy zaczęła się wojna, moja najmłodsza córeczka nie miała jeszcze roku, wciąż karmiłam ją piersią. Potrzebowała mamy. Ale kiedy podrosła i poszła do przedszkola, wytłumaczyliśmy jej, że rodzice i brat od teraz będą razem na froncie. Bo mój mąż i syn już dawno ubrali mundury. Mała została z babcią, a ja wstąpiłam do armii”.

W wojsku zjawiała się bez żadnego tre-

ningu czy przygotowania i od razu podpisała kontrakt na trzy lata. Wysłali ją na drugą linię. Zajmowała się po trosze wszystkim: pomagała przy dokumentach albo w punktach medycznych. Po niespełna sześciu miesiącach napisała prośbę do przełożonych, żeby przenieśli ją do roty szturmowców. Na pierwszą linię.

„Wstąpiłam do armii, bo kocham swój kraj. I moje serce zawsze tu było, z żołnierzami, od samego początku” — wyjaśnia.

Prośbę rozpatrzone pozytywnie. Tatjanę przeniesiono na pierwszą linię frontu. Została strzelcem. „Zdaję sobie sprawę, że mój przypadek nie jest typowy, bo jestem starsza niż pozostałe dziewczyny w wojsku. Może gdybym była choć pięć lat młodsza, miałabym inne plany” — mówi. „Poszłabym na kurs oficerski. A jestem tu, gdzie jestem. Wierzę w los. Co ma być, to będzie”.

SASZA

Lekarka Sasza nie lubi opuszczać pozycji wojskowych i punktu medycznego w Nowozwanowce, w którym pracuje razem z Tatjaną. „Człowiek wyjedzie tylko na chwilę i już się zaczyna martwić, czy tam na froncie jest spokojnie, czy może trzeba jechać i ratować czyjeś życie” — mówi w karetce, którą jedziemy do sztabu oddalonego o 15 km, równocześnie przeglądając zdjęcia syna, które przysły pocztą z domu. Niby uśmiecha się do tych zdjęć i z dumą nam je pokazuje. Ale zaraz dodaje: „Myślami zawsze jestem z naszymi wojakami. Ciągłe się o nich martwię”.

NATALIA

„Różne są kobiety w armii i różne przyczyny, dla których tu przyszły. Jedna chce bronić kraju, inna zarobić pieniądze, jeszcze inna znaleźć męża albo zrobić karierę. Wszystkie jesteśmy bardzo różne” — mówi Tatjana.

„W końcu nie ma dwójki takich samych ludzi. Nie ma też wytycznych, kto może walczyć, a kto nie. Można prywatnie być bardzo wrażliwą osobą, a w ekstremalnych sytuacjach zachowywać się jak wytrawny żołnierz. Była u nas kiedyś taka dziewczyna, Natalia, instruktorka,



Uljana wyszła przed dom po całym dniu doglądania ogrodu i zwierząt. Dziś w Nowozwanowce jest cicho, może wypoczywać w spokoju

dużo ode mnie młodsza, maleńka, drobna, ważyła ze 40 kg. I jak raz, na granacie wyleciał jeden z naszych żołnierzy. Oderwało mu dwie nogi, a ona go nie dość, że wyciągnęła, to jeszcze zawiązała opatrunki uciskowe. Zrobiła kawał dobrej roboty, udzielając mu pierwszej pomocy, i to zupełnie sama. W tej ekstremalnej sytuacji zachowała się jak bardzo silny człowiek, choć w życiu prywatnym jest taka łagodna i spokojna. Powiedziałabym, że nawet jeszcze nie była kobietą, raczej dziewczyną. Ale bywają też chłopcy, na pierwszy rzut oka

tacy hop-siup-do-przodu, a tylko przeleci kula i zaczynają panikować. Krzyczą: »Mam dość, wszędzie strzelają, na co mi to?!« I uciekają, płacząc. Każdy z nas jest inny, nie da się nas tak prosto sklasyfikować czy porównywać. Trzeba to wszystko rozumieć”.

„Armia to nie jest męska czy kobieca sprawa. Armia jest po prostu człowiecza” — kończy opowieść Tatjana.

Sama często pada ofiarą stereotypów. Zdarza się, że kiedy na ich pozycje



Magdalena Chodownik

przyjeżdżają inni żołnierze, patrzą na nią i z śmiechem pytają: „O, a ty pewnie jesteś medykiem?”. „Nie...” — odpowiada krótko. „Ach, w takim razie kucharką?”

Z trudem wierzą, że jest strzelcem. A ona nie lubi, kiedy szufladkują ją tak szybko tylko dlatego, że jest kobietą. Uważają, że jak kobieta, to musi albo gotować, albo leczyć.

A Tatjana jest przede wszystkim żołnierzem. Kiedy trzeba, śpi w okopach i pilnuje pozycji strzeleckich; kiedy trze-

ba, strzela; kiedy trzeba, bierze młotek i naprawia pryczę. To fakt, zabiera na front swój ulubiony odcień farby do włosów, bo lubi być blondynką, lakier do paznokci i kobiece czasopisma. Ale to nie zmienia jej gotowości do działania. Wszystkie te kobiece gadżety stoją posłusznie obok jej karabinu i nabojów. „Nie, że zawód medyka czy kucharki jest gorszy. Ale na medycynie znam się słabo, a gotować, mimo iż wychodzi mi to ponoć smacznie, za bardzo nie lubię...”.

Mimo, że w wojsku jest zdecydowanie więcej mężczyzn, Tatjana czuje się wśród nich dobrze. Jest częścią żołnierskiej rodziny, w której wszyscy starają się pomagać sobie nawzajem. „Chłopcy rozumieją, że jak przychodzi do kopania okopów, to ja im dużo nie pomogę. Mam swoją łopatę, ale oni na mnie patrzą i uśmiewają się serdecznie. To za ciężka fizyczna praca dla kobiety” — tłumaczy. „Ja im za to pomagam przy dokumentach albo kiedy mają słabsze dni. Kiedy potrzebują wsparcia”.

Obecność kobiet w wojsku ma wpływ na zachowanie mężczyzn. Są łagodniejsi, spokojniejsi. Zamiast rywalizować i udowadniać swoją męskość, starają się tworzyć rodzinną atmosferę, namiastkę domu na frontowych pozycjach. „Traktuje ich jak moich synów, bo większość z nich właśnie tyle lat ma, co mój syn. Bardzo przeżywam, kiedy coś się z nimi dzieje. My tu żyjemy jak rodzina” — mówi Tatjana.

Najtrudniejsza do wytrzymania jest dla niej tęsknota za dziećmi. Czasami sytuacja na froncie jest tak napięta, że mimo ustalonych wakacji nie może wyjechać. W takich sytuacjach może do domu tylko zadzwonić i posłuchać, jak najmłodsza wydaje śmieszne dźwięki do telefonu. Ale to nie to samo, co ją zobaczyć i przytulić.

„Dziecku potrzeba mamy” — mówi. „Mimo wszystko nie żałuję ani jednej chwili tu spędzonej. Rozumiem, że nie będę żadnym wielkim bohaterem, ale nie o to chodzi. Ja nie przyszłam tu dla chwały, bohaterstwa. Jedyne, czego chcę, to pomagać naszej ojczyźnie”.

VALA

Vala szczerze przyznaje, że do wojska

poszła z powodu kredytów. Nabrała ich kilka, a innej, dobrze płatnej pracy, z której mogłaby je spłacać, nie mogła znaleźć. Jest z obwodu ługańskiego, a tam dziś trudno o wszystko. Dla żołnierzy gotuje już prawie rok — jest kucharką w Nowozwanowce.

„Gotuję z tego, co nam przywiozł — kaszę, tuszonkę, sardynki, kielbasę. Barszcz oczywiście być musi. Ale takie nam produkty dają, że nie wiadomo czymś, co z nimi zrobić. Te sardynki, bywa, że śmierdzą. Otwierasz wieczko i od razu się odechciewa. Mięso nie bardzo przypomina mięso. Nikt tego nie chce jeść...” — opowiada.

„Codziennie od rana do zmierzchu stoję przy tych palnikach. Gotuję i gotuję. Nie mam nawet wolnego dnia, żeby pojechać do sklepu po coś innego, świeżego. Musiałabym wstać o 3 w nocy, pojechać, wrócić i zdążyć ze śniadaniem”.

Vala mieszka w opuszczonym przez miejscowych domu razem z innymi żołnierzami, naprzeciwko kuchni i stołówki, w której codziennie pracuje. Zajmuje mały pokój, w którym mieści się niewiele więcej niż łóżko. Na półkach leżą jakaś książka, kolorowe kosmetyki. I zdjęcie córki.

„Ona też jest w wojsku, ale nie na froncie, tylko w Odessie” — wyznaje. „Ja jestem temu przeciwna. Zresztą, jak spłacam dług i zarobię na dom, też odejdę”.

ULJANA

Wieś Nowozwanowka opuścili już prawie wszyscy mieszkańcy. Pozostały po nich zbombardowane domy — bez dachów, z wybitymi szybami. I opustoszały sklep. Teraz we wsi nie ma już żadnego sklepu. Ludzie, którzy zostali, czasem jeżdżą na zakupy do miasta, ale przede wszystkim żyją z tego, czym obrodzą własne ogródki. I z przydomowej hodowli zwierząt.

Uljana ma krowy, dlatego żołnierze przychodzą do niej po mleko. Swoją pierwszą wojnę przeżyła, mając 20 lat. Dziś ma 96. Nigdy nie sądziła, że jeszcze przyjdzie jej się w życiu zmierzyć z takimi rzeczami. „Co jak co, ale nie spodziewałam się, że to właśnie z Rosją tak się wydarzy” — rozmyśla na głos.

„To przecież była nasza starsza siostra. A oni się tak przygotowywali po cichu, w tajemnicy. Hitler to chociaż nie nie ukrywał. Robił, co robił, ale przynajmniej otwarcie”.

W czasie II wojny światowej Niemcy zwerbowali Uljanę do pracy. Oddelegowano ją, wraz z innymi robotnikami, do kopania okopów. Nie było łagodniejszego traktowania kobiet — wszyscy mieli machać łopatą tak samo. Ale to nie było w tamtej wojnie najgorsze. Najgorszy był głód, który zamęczył tak wielu.

”

Ta dzisiejsza wojna nie jest dla mnie taka straszna jak tamta z hitlerowcami. Teraz przynajmniej wypłacają emerytury

„Nikomui nie wypłacano pensji ani emerytur. Sklepy były kompletnie puste, tak samo jak targi. Było bardzo ciężko. Nie było co jeść. My w ogrodzie mieliśmy trochę ziemniaków, ale ludzie wkładało na naszych oczach umierali z głodu” — opowiada Uljana.

„Było takie rodzeństwo. Chłopiec starszy, dziewczynka młodsza. I ten chłopiec pewnego dnia zmarł, właśnie z głodu. Kiedy jego siostra jeszcze spała, rodzice wynieśli jego ciało na balkon. Gdy córka się obudziła, poszła do mamy poprosić o coś do jedzenia. Była już bardzo głodna, błagała o cokolwiek. Ale w domu niczego nie było i matka nie wiedziała, co zrobić. A jak nie nakarmić swojego dziecka? To musiał być dramat dla matki. Pomyślała wtedy — synowi i tak już wszystko jedno. Odrębała kawałek,

ugotowała i podała córce. Mięso i tak było tak chude, ale chociaż z kości jakiś wywar był... Kiedy zdziwiona dziewczynka zapytała, skąd wzięło się w domu mięso, mama nie odpowiedziała. Ale to właśnie tym chłopcem, swoim synem, nakarmiła córkę”.

W 1943 r. wywieźli Uljanę do obozu pracy w Niemczech i wypuścili dopiero tuż przed samym końcem wojny w 1945 r. Do Nowozwanowki przeprowadziła

się kilka lat później, za mężem, który zatrudnił się w pobliskiej kopalni. Ich małżeństwo nie przetrwało — rozwiedli się, a ona została w niedużym, wiejskim domku.

Uljana właśnie skończyła doglądać zwierzęta i grządki. Usiadła na drewnianej ławeczce przed bramą wjazdową. Jej nogi nie chodzą już jak kiedyś, słuch ma coraz gorszy, na jedno oko oślepa już całkowicie.



Magdalena Chodownik



Po cotygodniowych próbach amatorskiego chóru kobiet w domu kultury w Krasnotorce, kobiety wracają autobusem do domów w Kramatorsku

Całe życie przepracowała — a to w kołchozach, a to później przy prywatnych gospodarstwach. To przyzwyczajenie pozostało jej do dziś, choć męczy jak nigdy dotąd. Ubrana w brązowy sweter i wzorzystą podomkę, wygrzewa na słońcu zmęczone nogi. Zamiast laską podpira się kijem prawie własnego wzrostu.

Teraz Uljana mieszka z córką, która wprowadziła się po wybuchu wojny,

żeby nie zostawić matki samej. Córka właśnie zagaduje żołnierza, który pomaga zagonić do ogrodu cielaka zerwanego ze sznura. Wierzga, skacze, wydając przy tym dziwne odgłosy. Dobrze, że mają te zwierzęta. Tylko pszczoły już nie takie jak wcześniej. Bo kiedyś się od nich zbierało miód garściami. Ale odkąd zaczęli strzelać po wsi, starcza najwyżej na stoik lub dwa.

Miały dużo szczęścia, bo mimo inten-

sywnych walk pociski omijały dom. Kilka kul trafiło w ich ogrodzenie i domowe mury, nie raniąc przy tym nikogo.

„Nigdzie nie chciałam wyjeżdżać, choć córka miała takie pomysły. Do kogo? I po co?” — pyta retorycznie. „Ta wojna, ta dzisiaj, nie jest dla mnie taka straszna. Teraz przynajmniej wypłacają pensje, dostaje się emerytury. W sklepach, choć drogo, ale można kupić podstawowe produkty. Jest ciężko, ale na Boga, nie ma już tego głodu!”

MARINA

Marina stoi przy oknie na klatce schodowej bloku, w którym mieszka. Zapala papierosa i patrzy przed siebie. Twarz ma zapuchniętą, oczy zmęczone całonocnym płaczem. Jej mężczyznę znów nagle wezwali na front. Miał zostać na kilka dni, ale kiedy przychodzi rozkaz, iść trzeba. A ona martwi się, bo takie nagłe wezwania nie wróżą nic dobrego. „A jak nie wróci? Co ja wtedy zrobię?” — denerwuje się Marina.

Wojna potrafi dopaść nawet tych, którzy nie widzą jej na co dzień. Wystarczy się zakochać w wojaku. Wtedy wojna w niewidzialny sposób sama przychodzi — reguluje rytm życia, zabiera sen i spokój.

Przy oknach mieszkania Mariny starsze kobiety powiesiły ikony, twarzą do szyb. Mają chronić przed pociskami, żeby już nigdy nie wpadły do środka, jak wpadały jeszcze kilka lat temu. Marina patrzy na nie, na krzyżyk, który nosi na szyi. Zapala kolejnego papierosa.

Dwie ulice dalej, na balkonie, odpala swojego papierosa Gala. Jej twarz ciągle w pełnym makijażu, ale smutna. „A jak mojego wezwą kiedyś do wojska? Jak mi go zabiorą?” — pyta.

Ona też dziś nie będzie spać.

Magdalena Chodownik

jest dziennikarką i fotoreporterką. Mieszkała i pracowała w Azji Południowo-wschodniej, Zatoce Perskiej, Europie Wschodniej, na Bałkanach oraz Kaukazie. Współpracuje z polskimi i zagranicznymi mediami

Indie czekają na kobiecą rewolucję



HINDUSKI, KTÓRE MARZĄ O EMANCYPACJI,
MUSZĄ ZACZAĆ OD PRZEŁAMANIA TABU
MENSTRUACYJNEGO

z Sindhują Sankaran rozmawia Anna Wilczyńska



SOPA/GETTY IMAGES

Pracownice humanitarne rozdają podpaski, które na hinduskiej
wsi są nieznanym luksusem, Agartala w stanie Tripura

Anna Wilczyńska: Co Ty – psycholożka i Hinduska – myślisz o dokumencie „Okresowa rewolucja”, który dostał w tym roku Oscara?

Sindhuja Sankaran: Ten film niezwykle wiernie oddaje rzeczywistość. Dotyka bardzo istotnych tematów, których kino indyjskie najczęściej nie porusza. Mówi nie tylko o problemie braku produktów higienicznych dla kobiet na indyjskiej wsi, lecz także o tym, że kobietom w Indiach brakuje wsparcia. Te dwa ściśle powiązane ze sobą problemy zostały w filmie pięknie przedstawione.

W pierwszych scenach dokumentu możemy z bliska obserwować twarze pytanych o menstruację mężczyzn i kobiet. Są sparaliżowani wstydem, nie potrafią odpowiedzieć na najprostsze pytania dotyczące funkcjonowania kobiecego ciała, czasem nie mogą wykrztusić nawet słowa. Dlaczego wśród mieszkańców Indii temat okresu wiąże się z tak wielkim wstydem?

Ściśle łączy się on z normami czystości, które są bardzo głęboko zakorzenione w indyjskim społeczeństwie i systemie kastowym. Moralność i czystość to jedno z najważniejszych norm społecznych. To zasady, które przekraczają granice reguł religijnych, wpływają na wiele dziedzin życia, mają ogromne znaczenie w kształtowaniu tożsamości kastowej i wielki wpływ na ludzkie zachowanie.

Miesiączka jest postrzegana jako „zła krew”, która sprawia, że kobieta staje się nieczysta. Krew uważa się za coś wstydliwego, a nawet obrzydliwego. Między innymi dlatego w reklamach podpasek – nie tylko w Indiach, ale na całym świecie – by zniwelować skojarzenie z krwią, używa się niebieskiego płynu zamiast czerwonego.

Jak bardzo normy czystości wpływają na zachowanie?

Nieczystość pociąga za sobą bardzo daleko idące konsekwencje, nie ograniczają się tylko do jednej sfery życia. W Indiach kobieta, która ma okres jest kobietą nieczystą: nie może wchodzić do kuchni, nie może gotować, nie może odwiedzać świątyni. Jest izolowana od innych, często przez kilka dni nie wychodzi z domu. Można powiedzieć, że to efekt działania patriarchy, ale to nie tylko mężczyźni odpowiadają za narzucanie kobietom tych norm. Także same kobiety każą je sobie nawzajem przestrzegać: matki córkom, teściowe synowym.

Mężczyznom jest jednak zdecydowanie łatwiej narzucać te normy kobietom, ponieważ sami nie mają okresu,

więc nie odczuwają ich konsekwencji. W filmie zdecydowana większość facetów nie ma zielonego pojęcia, czym w ogóle jest miesiączka.

Mężczyźni rzeczywiście najczęściej nie potrafią wytłumaczyć, jakie biologiczne procesy zachodzą w tym czasie w ciele kobiety. W Indiach niemal w ogóle nie uczy się na ten temat. Kiedy ja uczyłam się w Ćennaj – jednym z największych miast w Indiach – nie mieliśmy edukacji seksualnej. Z pewnością dzisiaj w wiejskich szkołach również brakuje takich zajęć. Brak wiedzy i wstyd dotyczy zarówno dzieci, jak i dorosłych. W mojej szkole nauczyciel biologii ominął w podręczniku cały rozdział dotyczący żeńskiego układu rozrodczego. Zupełnie jakby go nie było. Zrobił to prawdopodobnie nie dlatego, że nie miał o tym temacie pojęcia. Był raczej zbyt zażenowany.

Kto rozmawiał z tobą o pierwszym okresie? Mama?

W indyjskich rodzinach miesiączka nie jest tematem rodzinnych rozmów. Oczywiście w niektórych rodzinach może być inaczej, ale moja mama nie rozmawiała ze mną na ten temat. Powiedziała mi tylko, że miesiączka u kobiet ma jakiś związek z Bogiem, ale nawet jako nastoletnia dziewczynka nie byłam w stanie w to uwierzyć. Zapytałam więc tatę, ale on powiedział, że bym poszła o tym pogadać z mamą. Kiedy mu powiedziałam, że mama mówiła coś o Bogu, odpowiedział, że pewnie ma rację. Wszystko wytłumaczyła mi ciocia, z którą dzieli mnie mniejsza różnica wieku.

Czyli klasyczne: „idź, zapytaj kobietę”. Miesiączka jest przedstawiana jako babski problem, kobieca sprawa. Tymczasem wpływa na wiele obszarów życia całego indyjskiego społeczeństwa. Kiedy dziewczynka dostaje okres i nie ma dostępu do artykułów higienicznych, rezygnuje z nauki. Z tego samego powodu wiele kobiet na indyjskich wsiach nigdy nie zdobywa wykształcenia, nie idzie do pracy...

W Indiach nie tylko mierzymy się z menstruacyjnym tabu, ale jesteśmy jednym z tych krajów świata, gdzie ma miejsce rażąca nierówność płci. To że w społeczeństwie nie ma wiele uczących się i pracujących kobiet, że nie ma kobiet niezależnych, nie jest postrzegane jako problem. Na wsiach wiele osób powie ci, że gdy dziewczyna osiągnie stosowny wiek – czyli najczęściej, kiedy dostanie pierwszy okres i zaczyna się ją postrzegać jako w pełni rozwiniętą kobietę – nie musi się dłużej uczyć. Może wyjść za mąż i mieć dzieci, a w ten sposób spełnić swoją





Religijne Hinduski żądają podtrzymania zakazu wstępu do świątyni dla kobiet przechodzących menstruację, Ahmedabad, Indie

funkcję w społeczeństwie. W powszechnym mniemaniu nie jest to zjawisko, które pociąga za sobą poważne społeczne konsekwencje.

Czyli nieobecność kobiet w tak wielu aspektach życia społecznego – w świątyni, szkole, na rynku pracy – to standard.

Tak, ale to nie wszystko. Mam trzydzieści trzy lata, nie mam męża, nie mam dzieci, pracuję. W Indiach nie jest to normalne. Jeśli planowałabym zawrzeć aranżowane małżeństwo, miałabym duży problem ze znalezieniem męża. Mam za wysokie kwalifikacje. Ogłoszenia matrymonialne, które można przeczytać w indyjskich gazetach czy w internecie, brzmią mniej więcej tak: „Poszukuje się panny młodej – hinduski z wysokiej kasty, o jasnej karnacji...” i tak dalej. Często w tych anonsach pojawia się sugestia, żeby dziewczyna była wykształcona, „ale nie za bardzo”. Kobieta powinna umieć zająć się domem i gotować. Nie powinna intelektualnie przewyższać męża. Oczywiście mówimy teraz o konserwatywnej części społeczeństwa. Zdarzają się w Indiach także osoby, które nie przejawiają uprzedzeń ze względu na płeć.

Arunachalam Muruganantham, zwany w Indiach „człowiekiem od podpasek”, o którym opowiada oscarowy film, pierwszy w kraju złamał tabu. Stał się też pierwszym producentem tanich podpasek dla kobiet, które do tej pory nie mogły sobie na nie pozwolić.

Środowiska feministyczne starają się przerwać krąg

milczenia wokół tematu menstruacji, prowadzić zajęcia edukacyjne. Ale „okresowa rewolucja” musi dotrzeć przede wszystkim do osób z najmniej uprzywilejowanych warstw społecznych.

Pochodzę z dużego miasta, ale pamiętam, że kiedy dostałam swój pierwszy okres, umierałam ze wstydu. To stało się w szkole, podczas lekcji angielskiego. Nosiliśmy białe mundurki. Co jakiś czas zgłaszałam się do odpowiedzi i wstawałam, żeby odpowiedzieć na pytanie nauczyciela. Wszyscy zauważyli, że dostałam okres, tylko nie ja. Chłopcy, którzy siedzieli za mną w ławce, zaczęli chichotać. Dopiero później jedna z dziewcząt podeszła do mnie i powiedziała mi dlaczego. Zadzwoiłam po mamę, żeby zabrała mnie do domu. Przez kilka dni odmawiałam pójścia do szkoły, tak było mi wstyd.

Jak to zdarzenie na ciebie wpłynęło?

Nienawidziłam tego. Używałam podpasek, ale takich z materiału, które szybko przemakały. Więc nie tylko byłam nieczysta w sensie religijnym, ale też w fizycznym. To bardzo smutne, bo podobne zdarzenia mocno wpływają na to, jak człowiek postrzega sam siebie – zwłaszcza w tak młodym wieku. Dziewczyna zaczyna patrzeć na swoje ciało jak na coś, czego powinna się wstydzić. Nienawidziłam miesiączek tak bardzo, że zapytałam mamę, czy mogę sobie usunąć jajniki. Oczywiście wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jakie konsekwencje pociąga za sobą usunięcie jajników, ale to pokazuje, jak ogromna była presja społeczna.



Czyli z jednej strony mamy ogromny wstyd. A z drugiej... „okresowe imprezy”.

To brzmi jak szaleństwo, ale to bardzo stara tradycja. W Indiach, kiedy dziewczynka – jak mawiamy – „osiągnie ten wiek”, odbywa się wielka uroczystość. Bohaterkę wydarzenia stawia się na scenie i celebrować się, że od teraz może mieć dzieci. Dwunasto- i trzynastolatki dekoruje się kwiatami, rodzina i znajomi przynoszą prezenty i pieniądze. Kiedy wnuczka dyrektorki mojej szkoły dostała pierwszej miesiączki, wszyscy o tym wiedzieli, bo jej imprezę urządzone w szkolnej auli. Rodzice byli dumni, ale dla dziewczyny to było niesamowicie upokarzające.

W mojej rodzinie nie ma zwyczaju urządzania takiego przyjęcia, ale niektórzy krewni przyszli mi pogratulować. Cieszyłam się, że przynajmniej mam z tego trochę pieniędzy, ale to hipokryzja. Świętuje się pierwszą miesiączkę, a potem dziewczyna staje się dorosłą kobietą i o sprawie nigdy więcej się nie rozmawia. Następnie jesteś tylko nieczystym, krwawiącym człowiekiem.

Dla wielu dziewcząt, które nie mają dostępu do środków higienicznych, taka „impreza” jest ostatnim momentem przed rzuceniem szkoły. Zaczynają mieć miesiączkę, więc przestają wychodzić z domu ze wstydu. Używają starych ubrań jako podpasek, ryzykując zdrowie. Dla wielu z nich oznacza to także, że wkrótce wyjdą za mąż i będą mieć dzieci. A według statystyk tylko około 10 procent kobiet w Indiach ma dostęp do podpasek. Tampony w wielu kulturach na świecie w ogóle nie wchodzi w grę.

Kobiety nie mają dostępu do tych produktów najczęściej dlatego, że są bardzo drogie. Dlatego uważam, że wszędzie na świecie środki higieniczne dla kobiet powinny być wydawane darmowo lub powinny być subsydiowane. W ten sposób kobiety z nizin społecznych i grup wykluczonych będą miały do nich łatwiejszy dostęp.

Nam, żyjącym w dostatku, ciężko sobie wyobrazić, że mogłybyśmy nie mieć dostępu do takich podstawowych rzeczy.

Tymczasem tego braku doświadczają kobiety wszędzie na świecie, szczególnie te bardzo ubogie, wykluczone, ofiary klęsk żywiołowych. W 2014 r. moje rodzinne miasto nawiedziło tsunami. Informowano nas, że jeśli chcemy pomóc ofiarom, możemy przekazać podpaski dla kobiet. Pracowałam też jako wolontariusz w obozie dla uchodź-

ców Moria na greckiej wyspie Lesbos. Tam i w wielu innych obozach kobiety przez lata muszą radzić sobie bez podpasek, ponieważ nie mają ich skąd wziąć. W 2012 r. w Cennaj osiedlili się uchodźcy Rohingya, którzy uciekli z Myanmaru. Tam, gdy tylko dziewczynka dostanie okres, rzuca szkołę. W tej społeczności kobiety nie pracują, więc dziewczynki wychodzą za mąż i mają dzieci. Ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby otrzymały odpowiednią edukację i środki higieniczne. Ten problem dotyczy także bezdomnych kobiet wszędzie na świecie.

Z drugiej strony, kiedy kobiety zaczynają rozmawiać o swoim ciele i zdrowiu, tworzy się między nimi specjalna więź. Gdy bohaterki filmu zaczynają o tym rozmawiać, zaczynają się też wspierać, nawet śmiać, gdy widzą, że mężczyźni nie rozumieją, o czym mówią. Te babskie sprawy zamiast umacniać tabu, sprawiają, że kobiety odczuwają wzajemną solidarność.

Zwykle podpaski mogą zapewnić niezależność i wsparcie wykluczonym kobietom, które utknęły w swoich domach na skutek tabu związanego z okresem. I to nie tylko w Indiach, lecz także w innych krajach Azji Południowej. Nie jest oczywiście tak, że każda kobieta stanie się od razu niezależna, ponieważ role płciowe w takich społeczeństwach są z góry określone. Ale gdyby udało się pokazać kobietom, jak może wyglądać niezależność, wiele

z nich mogłoby pokochać to uczucie. Rozmawianie na te tematy daje kobietom poczucie sprawczości, poczucie kontroli nad rzeczami, które ich dotyczą. Przywraca im kontrolę nad ich własnym życiem. ●

Dla wielu 12- czy 13-latek dzień w którym dostają pierwszego okresu jest jednocześnie ostatnim ich dniem w szkole. Uznawane są za nieczyste, dorosłe kobiety, które powinny siedzieć w domu, służyć mężowi i bawić dzieci



Sindhuja Sankaran

jest psycholożką, badaczką na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Działa w Rethinking Refugees – ruchu społecznym na rzecz edukacji o migracjach w Krakowie



Zapraszamy do raju



**CO Z MILIONAMI SYRYJCZYKÓW, KTÓRZY KILKA LAT
TEMU UCIEKLI PRZED WOJNĄ? NASI REPORTERZY
ODWIEDZILI ICH W OBOZIE UCHODźCÓW W JORDANII**

Wiktor Cyrny i Karolina Anna Kuta z obozu Zaatari w Jordanii

Mustafa, 24 lata, tragarz mięsa w ammańskiej dzielnicy uchodźców

Al-Wehdar: „Na uchodźctwie możesz być, kim chcesz. Dokumenty polewasz naftą, patrzysz, jak płonie dawne życie. Podszycasz się pod cudze historie. Ludzie gadają bez przerwy, słuchasz i lepisz z tego wiarygodny przekaz. Skąd możesz wiedzieć, czy to, co powiem, jest prawdą? Zaczniemy grę w prawdę albo fałsz.

Urodziłem się w Damaszku, nigdy nie podróżowałem. Nie widziałem Aleppo przed bombardowaniem ani po nalotach: tylko na zdjęciach w sieci. Prawda.

Świat płacze za zabytkami, a mnie to nie obchodzi. Po tym, co przeszedłem, już chyba nic nie czuję. Fałsz.

Historia o ucieczce z kraju. Słyszałem setki wersji. Moja jest nudna: spod granicy syryjsko-jordańskiej przewieźli nas autobusem pod bramy obozu dla uchodźców. To prawie jak wycieczka uchodźców-emerytów. Brakowało głosu pilota: »Dzień dobry, dotarli państwo do hotelu Riad Allażina (riad allaljiyn z arabskiego: raj uchodźców). Zapraszamy na wypoczynek w imieniu rodziny królewskiej«. Fałsz.

Są tacy, co odnaleźli się w Zaatari. Dawni handlarze, ulicznicy, ludzie bez imion, teraz dostają drugą szansę. Żołnierze, którzy zabijali, dziś są wolontariuszami, matki, które porzuciły dzieci, opiekują się sierotami.

Może dlatego ludzie sobie nie ufają. Mówi się, że wszędzie jest pełno szpiegów Asada. Fałsz? Powiesz coś nie tak, a po powrocie czeka cię więzienie. Prawdą. Dlatego rozmawiamy o pogodzie i o tym, jak jest źle.

Uciekłem z Zaatari, przekupiłem strażnika. Prawdą. Do Ammanu dojechałem w nocy. Jordańczycy pozwalają nam tu mieszkać, jeśli nie pojawia się ze swoją biedą w dobrych dzielnicach. Prawdą.

Kiedyś zatrzymał mnie Jordańczyk, na oko w moim wieku, zabrał do domu i dał kilka swoich ubrań. »Może i jesteś uchodźcą, ale przynajmniej nikt się nie zorientuje« – powiedział. Prawdą.

»Nigdzie nie macie tak dobrze jak u nas« – dodał. Fałsz? Prawdą? Nie wiem, bo nigdzie indziej nie byłem».

TYLKO NIE ZAATARI

Mówią, że Syria jest zielona, rosną tam ogrody. Tak ją zapamiętali. W okolicach jordańskiego obozu Zaatari nie ma prawie nic. Na tej pustyni, 65 km od stolicy Jordanii, Ammanu, udało im się wyhodować kalafiory i pomidory. Rosną obok kontenerów. Władze obozu nie dowierzają.

Umm Ahmad, 32 lata, opiekuje się dwójką dzieci, nielegalnie przebywa w Ammanie: »A my żyjemy, bo od razu wiedzieliśmy z mężem, jak to się skończy. Pierwsze trupy na ulicy i miałam przeczuć, że z tych ulic nic nie zostanie. Mówią, że wojnę przeżyje ten, który pierwszy się o niej dowie. Miałam dylemat: czy da się uciekać z dziećmi wózkami przez pustynię?»

Rada, 41 lat, mieszkanka Zaatari: »Tylko nie Zaatari, tylko nie Zaatari« – powtarzałam setki razy, modląc się, żeby nas tu nie zabrali, jeszcze zanim wyruszyliśmy w drogę».

Nada, 25 lat, pracuje w przedszkolu dla dzieci z traumą powojenną w Ammanie: »Do dziś pamiętam pierwszą noc w Zaatari. Nie jadłam przez dwa dni, żeby głód mącił mi w głowie. Chciałam zapomnieć».

Jordania od dekad przyjmowała setki tysięcy uciekinierów z Palestyny, Iraku czy Egiptu, wyrabiając sobie reputację bliskowschodniej wyspy pokoju i miłosierdzia. Od początku wojny syryjskiej do Jordanii wjechało 650 tys. osób zarejestrowanych jako uchodźcy – uciekali pieszo, autobusami, na każdy sposób. To dane UNHCR, czyli agencji ONZ ds uchodźców. Jordański rząd dolicza się 1,3 mln osób. Część z nich umiejscowiono w obozach Zaatari i Azraq, ale większość próbuje przeżyć w miastach.

Rada: Kiedy wybuchła rewolucja i ludzie wyszli na ulice przeciwko Asadowi, wszystkie prawa zostały zawieszone. Tacy wierzący muzułmanie i żadnych ludzkich odruchów. Strzelali, gwałcili, bombardowali. Ale to już słyszeliście.

Umm Ahmad: »Na początku 2013 r. mąż kupił bilet na samolot do Jordanii. Poleciał. Miał jasne zadanie: znaleźć pracę, wynająć pokój, ściągnąć nas do siebie. Mieliśmy uciekać, gdy tylko będzie dokąd. Nie zdążyliśmy przed nalotami. W grudniu na Aleppo spadała bomba za bombą. Z miasta wyszliśmy razem z innymi. Na rękach dwuletni Adnan, za mną rodzinne mury w ogniu. Granicę z Jordanią przekroczyliśmy pieszo, w marcu 2014 r.».

OTO NOWA SYRIA

Obóz Zaatari. Rzędy tysięcy kontenerów. Z lotu ptaka wyglądają jak kartony czekające na wysyłkę w wielkiej firmie kurierskiej. »Syrio, twe serce bije tutaj!« – napisał ktoś na ścianie jednego z nich. Nadawca nieznan. Całe miasto do wysłania. Adresaci? UE, USA, Kanada.

Pola namiotowe pośrodku niczego, na sznurkach suszą się kolorowe ubrania przysłane z Zachodu, jakby pocztówki z obietnicą lepszego świata. Rada znalazła kiedyś karteczkę w kieszeni męskich spodni z darów: »Dear refugee! From Berlin, with love».

Rada: »Gdy pierwszy raz przekroczyliśmy bramy obozu, mieszkało w nim 150 tys. ludzi, choć budowano go dla 60 tys. Nadano nam numery potrzebne do odbierania żywności i zasiłków».

Umm Ahmad: »Tysiące samotnych kobiet z dziećmi na rękach płakało pośrodku pustyni. Ale nie ja. Bo przewidziałam wojnę. Miałam pieniądze, kilka dni zajęło mi znalezienie jordańskiego urzędnika. Przewiół nas do Ammanu, a na miejscu miał pomóc z dokumentami, załatwić stały pobyt. W końcu oszukał, był zwykłym przemytnikiem. Tak tu wyłudowałam: spleśniały pokój-więzienie, ale żyliśmy, ja i mój kochany Abu Ahmad al-Halabi. Choć nie sądziłam, że jeszcze go zobaczę. Do Jordanii uciekało tysiące ludzi dziennie. W tym chaosie nie było miejsca na uczucia. Choćbyś błagał, kiedy złapali – od razu zamykali w obozie. Co byś zrobił, gdyby na twoje miasto szło półtora miliona żebraków?».

Rada: »Od głównej bramy Zaatari odchodzi ulica. Nazywają ją tam Champs Élisées. Champs brzmi jak Szam, a



Kilka chwil po nalocie rządowego lotnictwa na miasto Idlib we północnej Syrii, maj 2019 r.

tak po syryjsku nazywa się Damaszek, nasza stolica. Wzdłuż Szam Elize ciągnie się bazar. Kontenery z fryzjerem, barberem, manicurem, znajdziesz tam wszystko. W ciągu dwóch lat od powstania obozu wzniesiono szkoły, sklepy, kliniki, biura, łaźnie, publiczne kuchnie i toalety, latarnie, a nawet meczety. Była też wojna. Nie dało się od tego uciec. Była w oczach i w sercu. We wspomnieniach. Ludzie przesiąkli przemocą. Na porządku dziennym działa się gwałty i rozboje, wyrównywanie wojennych porachunków”.

MĘTNA WOJNA DOMOWA

Osiem lat temu w czasie Arabskiej Wiosny Syryjczycy wyszli na ulice. Zbuntowali się przeciwko autorytarnym rządowi Baszara al-Asada. Woj-

sko strzelało do tłumów, torturowało niepokornych. Demonstracje zamieniły się w powstanie przeciwko reżimowi. Tworzono opozycyjne organizacje, do których dołączali buntujący się przeciwko Asadowi żołnierze. Później grupy rebeliantów rozpadały się i wzajemnie zwalczały.

Nada: „Zabierali mężczyzn, porywali kobiety, kto zniknął, ten nie wracał. Bałam się o nasze dzieci, więc ruszyliśmy”.

Kraj pogrążył się w wojnie domowej. W 2014 r. islamiści, korzystając z okazji, ogłosili powstanie na części terenów Syrii i Iraku kalifatu, który narzucił milionom ludzi brutalny religijny reżim. Było to możliwe, bo po 2011 r. rząd al-Asada stracił kontrolę nad większością terytorium kraju.

Rada: „Syna zakuli w kajdanki i wyprowadzili z domu. Mielśmy jeszcze dwie nastoletnie córki. Żołnierze dopadali kobiety i zabierali się za nie w kilku, rzadko w pojedynkę. Zrywali burki, hidżaby, nikaby. Gwałcili je, plamili, zarażali. Zostawały potem z tym grzechem same. Nie chciały wracać do męża, jak miały to powiedzieć? Jeszcze by się zabił. A trzeba mieć męża w czasie wojny, więc lepiej poprawić hidżab i wrócić do domu. »Musimy uciekać« – stwierdziliśmy”.

TYMCZASOWE ŻYCIE W AMMANIE

W Jordanii – kraju raju, o którym nawet jego rdzenni mieszkańcy mówią *substitute country* (państwo zastępcze) – wskaźnik bezrobocia wśród młodych ludzi sięga prawie 40 proc. (za Bankiem Światowym). W stołecznym



Ammanie istnieją dzielnice biedy, a po wyjeździe z miasta nie ma już prawie nic: tylko pustynia, zaschnięte rzeki, góry plastikowych śmieci i ciągnące się pustkowia.

Ali, dyrektor szkoły w ammańskiej dzielnicy Al-Wehdat: „Kiedy przyjechali, na mieszkania w mieście był taki popyt, że ceny szybko poszły w górę. Teraz czynsze w porównaniu do zarobków osiągnęły astronomiczne ceny”.

Zain Moien, Jordanka pracująca dla organizacji humanitarnej OXFAM: „Wcześniej opłaty wzrosły po migracji bogaczy z Iraku, którzy przyjechali i kupowali domy”.

Na co dzień Syryjczycy wtapiają się w barwny tłum Ammanu, sprzedając Jordanićcykom produkty w supermarketach, a turystom chusty na bazarach. Nie widać ich na pierwszy rzut oka, rozpoznać można po akcencie.

Umm Ahmad: „Mam 32 lata i kawał życia spędziłam w kryjówkach, schronach przeciwności, małych pokojach-oazach. »Tu będziecie bezpieczni« – zapewniali. Naprawdę? Dwie poprzednie kryjówki leżą pod gruzami Aleppo. Od 2013 r. prawie nie wychodzę z domu, choć mieszkam w Jordani, choć za oknem Amman – wymodlone życie, dni darowane przez Allaha. Bo jeśli wyjdę, złapią mnie i aresztują, znowu zamkną w Zaatari”.

Mustafa: „Jestem młody, silny, znam trochę angielskiego. Poszedłem na bazar, dostałem pracę w rzeźni. Odbieram mięso i wożę je taczkami do zamawiających. Załatwiłem też robotę ojcu. W Syrii był budowlańcem, więc nie było tak trudno. Obaj odłożyliśmy na wynajem klitki, dla nas, matki i dwóch młodszych sióstr. Ściągnęliśmy je z Zaatari. Już zaczynałem wierzyć w Jordan dream. Mówimy tu tak na Syryjczyków, którzy po ucieczce z ojczyzny wypracowali lepsze życie niż przed wojną. Dawniej mieszkali w slumsach, a teraz smażą kurczaki w fast-foodach, mają pracę, ubezpieczenie zdrowotne i coś na kształt normalnego życia”.

Zain (OXFAM): „Pracowałam z wieloma uchodźcami w obozie i mieście. Egzystencja poza Zaatari jest dużo trudniej-

szą: muszą płacić czynsz, wielu z nich nie wie nawet, że NGO oferują pomoc, więc nie mają regularnego wsparcia. Życie w Jordani do łatwych nie należy. Nasz rząd nie daje sobie rady z pomocą dla Jordanićczyków – więc jak ma wspierać innych?”.

Mustafa: „Teraz Jordan dream to dla mnie fałsz. Matka zachorowała na dziwną chorobę, przestała mówić i jeść, całymi dniami patrzy w jeden punkt. Ojciec jeszcze w Zaatari miał ataki drgawek. Ta wojna wychodzi bokiem. Dostał padaczki na budowie, efekt – dwie złamane nogi. Siostry są za młode, żeby wydać je za mąż. Muszę zarobić na wszystkich. Pracuję po 15 godzin dziennie. Po zasiłek nie ma co iść: »Nie macie pieniędzy? Zawieziemy was do Zaatari, tam was nakarmią za darmo i dadzą dach nad głową« – usłyszałem od urzędnika, gdy poszedłem po pomoc. A ty pojechałbyś na wczasy do więzienia? Dostają trochę mięsa z pracy, oszczędzamy na jedzeniu. Czy chcę wrócić do ojczyzny? Niby jak? Ojciec z matką nieruchomi. Na noszach ich przez granicę nie przeniosę”.

Umm Ahmad: „Pierwszy syn, Adnan, urodził się w Aleppo, drugi, Juda, tutaj. Juda ma mukowiscydozę, problemy z oddychaniem, nie przeżyłby w pyle i brudzie Zaatari. Siedziałam w spleśniałym pokoju i pisałam podanie, UNHCR odpowiedziało: »Wróćcie do obozu i czekajcie na urzędową legalizację pobytu«. Chciałabym mieć to za sobą. Nie wiem, co powiedzieć dzieciom. »Kochani, niespodzianka! Od jutra jedziemy na obóz. Będziemy zarażać się chorobami, wdychać pył. Adnanku, być może zabijemy twojego brata?«”.

POLITYKA JORDAŃSKIEGO RZĄDU

Gorzej niż w Ammanie sytuacja wygląda na przeludnionej prowincji: brakuje tam pracy i – dosłownie – miejsca. Jak pisze jordańska prasa, Mafraq i Ramtha, dwa senne miasteczka przy syryjskiej granicy, przemieniły się w skupiska przepelnionych, brudnych baraków. Ich władze i mieszkańcy narzekają na bezrobocie, poziom edukacji, brak opieki medycznej, biedę. Czekają, aż Syryjczycy wrócą do siebie.

Zain (OXFAM): „Odkąd rząd wprowadził pozwolenie na pracę dla Syryjczyków, mogą legalnie zarobić. Łatwiej jest też wyjść z obozu”.

Polityka Ammanu względem uchodźców zmieniała się przez osiem lat konfliktu.

Zain (OXFAM): „Teraz wielu z nich studiuje na jordańskich uniwersytetach”.

Półowa syryjskich uchodźców w Jordani jest w wieku szkolnym. Ale nauka to na razie dla wielu pobożne życzenie. Do szkoły nie chodzi milion dzieci uchodźców poza granicami Syrii i prawie dwa miliony w kraju.

Marek Krupiński, dyrektor generalny UNICEF Polska: „Według UNICEF mamy już do czynienia ze straconym pokoleniem. Jeśli my dzisiaj tak twierdzimy, oni kiedyś, wspominając traumę z dzieciństwa, wystawią nam rachunek. Trudno sobie wyobrazić przekreślenie świadomości i totalne zrujnowanie wrażliwości u młodych ludzi, którzy obserwują zabijanie swoich bliskich. To są tragiczne wyzwania przed którymi stoimy: edukacyjnie i finansowo”.

Nada: „Nad obozem przelatywały co najmniej cztery samoloty dziennie. Moje dzieci na ich dźwięk przybiegały do mnie z płaczem. »Czy lecą by nas zabić?« – pytały przerażone. Kłamałam i mówiłam im: »Nie płaczcie, to lecą dla was transporty z zabawkami«”.

SYRIĘ TRZEBA ODBUDOWAĆ

List z Syrii od Christophera pracującego dla UNHCR, do Hani – syryjskiego uchodźcy: „Zatrzymałem się dziś w twoim domu w Homs, ale cię nie było. Nikogo nie było. Twoich rodziców brakowało, aby mogli dołączyć do nas na herbatę i nie było też śladu twoich braci ani sióstr. Wasi sąsiedzi wyjechali. Zapukałbym, ale brakuje drzwi frontowych. Nie tylko drzwi, ale także zawiasów i ramy, na której kiedyś pewnie były przymocowane do ściany. Na twojej ulicy nie walały się żadne bezpieczne psy czy koty. Nawet ptaków nie było. Twoja okolica, Hani, jest miastem duchów”.





16-letni chłopiec postrzelony w Barguz, jednym z ostatnich bastionów kalifatu we wschodniej Syrii, luty 2019 r.

„Zachęcamy każdego Syryjczyka, żeby wrócił do kraju” – ogłosił w lipcu ubiegłego roku al-Asad. Zachęcał do powrotu nie tylko uchodźców, ale też biznesmenów. Syria potrzebuje rąk do pracy. Aleppo, Raqqā, Homs nie istnieją. Budynki przez lata walk zamieniły się w pokryte pyłem struktury z dziurami na przestrzał. Niebezpieczne stropy straszą, że zaraz runą.

Zain (OXFAM) zanosząc się śmiechem: „Jesteście mile widziani, nawet jeśli mieliście wcześniej jakieś kłopoty». Nie myśl, że ludzie wrócą, bo to zasadzka. Może Asad zostawił ich w spokoju na kilka miesięcy, żeby zachęcić innych. Ale znamy go. Nie jest łaskawy”.

Organizacje zajmujące się prawami człowieka zauważają, że wzywanie do powrotu może być też próbą przyciągnięcia międzynarodowych funduszy na odbudowę.

Marek Krupiński (UNICEF): „W Aleppo widziałem ludzi, którzy wracali z własnej woli. Jeden mężczyzna siedział na ciężarówce z całym dobytkiem. Obrazek jak

z 1945 r., kiedy ludzie wracali do zburzonej Warszawy. Ciągnęli za sobą tobołki. Tamten człowiek stał na ulicy i rozglądał się. Księżycowy pejzaż, wszędzie ruiny. Zapytałem, czy jest stąd. Odpowiedział: »Jestem, ale nie poznaję«.

Łukasz Fyderek, politolog i znawca Bliżniego Wschodu, mówił kilka miesięcy temu w rozmowie z Holistic News: „Wracając do Syrii, wracają do piekła innego, anarchicznego; do kraju wojny domowej, która jest konfliktem tylko przygaszonym. Syria jest trochę dyktaturą, a trochę anarchią, brakuje tutaj reguł – te są nawet w totalitaryzmach – których przestrzeganie daje szansę na przeżycie”.

Według organizacji Human Rights Watch syryjski rząd nieustannie łamie prawa człowieka – używając broni chemicznej, ograniczając dostęp do pomocy humanitarnej, jakkolwiek opór czy swobodę przemieszczania się. Ludzie ciągle znikają.

Jordania otworzyła przejście graniczne z Syrią Nassib-Jaber w paź-

dzienniku ubiegłego roku po tym, jak syryjskie wojska rządowe pokonały rebeliantów na większości terytorium kraju.

W lutym korespondentka telewizji BBC spędziła cały dzień na granicy. Stała tam długa kolejka samochodów i ciężarówek czekających na wjazd do Syrii. Yolande Knell podchodziła do ludzi, pytając, po co wracają. „Sprzedać pomidory, paprykę i biszkopty, spotkać się z matką pierwszy raz od ośmiu lat” – odpowiadali. Pewnie zobaczyć czy ich dom stoi.

Była też kolejka w drugą stronę, z Syrii do Jordanii. W kraju ciągle trwają walki. Ostatnio w prowincji Idlib w północno-zachodniej części Syrii, skąd uciekło kolejne 300 tys. ludzi.

Z sondaży UNHCR wynika, że trzy czwarte syryjskich uchodźców w Jordanii, Egipcie, Libanie i Iraku ma nadzieję, że „kiedyś wróci do kraju” Ale tylko 4 proc. planuje wrócić w ciągu roku. W 2018 r. wróciło zaledwie 37 tys. uchodźców.



Mohammed, 27 lat, sprzedaje chusty na Bazar Downtown, z pamiętkami dla turystów: „Tu, w Ammanie, mieszkańcy traktują mnie jak Jordńczyka, czuję jakbym był stąd. Do Syrii nie wrócę, bo boję się armii Asada. Mój ojciec umarł wiele lat temu, ale matka wciąż czeka w Maskana, na wschód od Aleppo”.

Rada: „Nie jestem patriotką. Nie chcę wracać do Syrii. Pójdę tam, gdzie będzie pokój. Córki wydaliśmy za Jordńczyków, żeby oszczędzić im życia w obozie. Jedną wziął starszy nauczyciel z Ammanu, drugą wydaliśmy za fotografa z Madaba. To dobre małżeństwa. Nie znali się dobrze, ale dziewczynki szalały z radości”.

ODDAJCIE NAM WASZE DOMY

W marcu jordańskie i libańskie władze donosiły, że nie są w stanie przyjąć więcej uchodźców. Jeśli wkrótce nie ruszy wielki plan reemigracji Syryjczyków do ojczyzny, dojdzie do wstrząsów i przewrotów społecznych.

Społeczność międzynarodowa rozważa wsparcie finansowe repatriacji,

przynajmniej częściowo. Ale konkretnie na razie brak. Tymczasem reżim al-Assada przyjął prawo, które stawia uchodźców pod ścianą. Jeśli właściciele nieruchomości znajdujących się w tzw. „strefach odbudowy” nie dostarczą w wyznaczonym czasie aktu własności do odpowiedniego urzędu – majątek ma przepaść na rzecz państwa. Brońcy praw człowieka alarmują, że uchodźcy stanęli właśnie przed wyborem: wracać do ojczyzny, gdzie wciąż nie jest bezpiecznie, czy stracić dorobek życia.

Marek Krupiński (UNICEF): „Trudno sobie wyobrazić, co może się wydarzyć, kiedy wracający poszkodowani uchodźcy i ludzie wspierający Asada spotkają się na miejscu”.

Według Human Rights Watch w 2017 r. Jordania blokowała granice z Syrią i deportowała średnio 400 syryjskich uchodźców miesięcznie. Jako przyczynę podawała konieczność utrzymania bezpieczeństwa na swoim terytorium.

Zain (OXFAM): „Niechęć Jordńczyków do uchodźców bierze się z sytuacji

ekonomicznej, nie z braku akceptacji. Nie ma otwartej komunikacji o pomocy finansowej. Ludzie wyobrażają sobie, że Syryjczycy dostają duże pieniądze, dziwne kwoty – a sami nic nie mają. Mówią: »Oni dostają, a my nie«”.

W sąsiednim Libanie, gdzie przebywa ok. 1,5 mln syryjskich uchodźców, rząd zachęca uchodźców, żeby wracali do domów, bo wojna domowa już się skończyła.

Mustafa: „Podobno nasz los jest ważny dla Libanu, Turcji, Jordanii i Europy. Skoro na miejscu nie możecie nam pomóc, to idziemy w waszą stronę. Prawda czy fałsz?”. ○

Wiktor Cyrny

jest reporterem, dziennikarzem, filmowcem. Pisał m.in. dla Newsweek, Wprost, Krytyki Politycznej, współtworzył dokumenty Canal+ Discovery

Karolina Anna Kuta

jest dokumentalistką i reporterką. Pisała m.in. dla Gazety Wyborczej i Krytyki Politycznej. Pracuje nad debiutem dokumentalnym w Bośni i Hercegowinie

Thierry Tronnel/Corbis via Getty Images



Od głównej bramy obozu Zaatari odchodzi ulica, którą mieszkańcy nazywają Champs Élysées

Najbardziej nieprzewidywalne



W PUCHARZE NARODÓW AFRYKI ZUPEŁNIE NIE WIADOMO
KTO WYGRA, GDZIE BĘDĄ GRAĆ I CZY PIŁKARZE PO
POWROCIE DO DOMU POZOSTANĄ NA WOLNOŚCI

Michał Zichlarz



Per-Anders Pettersson/Getty Images

Tysiące fanów kibicują drużynie RPA, która w finale Pucharu Narodów Afryki wygrała z Tunezją, 1996 r.

zawody piłkarskie na świecie



Z reprezentantem Gwinei Sekou Oumar Drame rozmawiałem w hotelu Khamsa Corinthia w Tunisie. Po polsku, bo ten zawodnik dobrze znał i wspominał nasz kraj. W latach 1995-2000 występował m.in. w Lechu Poznań, Dyskobolii Grodzisk i Petrochemii Płock.

To jednak odległe, nawet jeśli sympatyczne, wspomnienia. Teraz był 2004 r., a „Syli National”, jak nazywają reprezentację Gwinei, właśnie awansowali do ćwierćfinału Pucharu Narodów Afryki – takiego sukcesu nie osiągnęli przez prawie trzy dekady.

Z tego powodu Sekou drżał o zdrowie najbliższych.

ZESTRZELONE ORŁY

„Po meczu z Tunezją, który dał nam awans, rząd ogłosił dzień wolny od pracy. Czekam właśnie na telefon od najbliższych i mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, bo jak wygraliśmy z Kongiem, to radość była tak wielka, że na ulicach zginęły cztery osoby – mówił przestraszony zawodnik, który martwił się o żonę i dwóch synów.

Cztery lata później przeżyłem coś w rodzaju déjà vu – w Akrze, stolicy Ghany, po ćwierćfinałowym meczu gospodarzy z Nigerią. Starcie tych drużyn to w Afryce pojedynek wagi ciężkiej, coś jak mecz Anglia – Niemcy na Starym Kontynencie.

Czarne Gwiazdy, uskrzydłone dopinaniem 45 tys. kibiców, po dramatycznym meczu zwyciężyły 2:1, mimo że przez pół godziny musiały grać w osłabieniu – po czerwonej kartce dla swojego piłkarza. „The Eagles shot down, the Eagles shot down!”, dał się przez otwarte okno samochodu, którym jechaliśmy, mój

znajomy Ebenezer Aidoo, który pomógł mi zorganizować pobyt w Ghanie.

Tryumf miał niestety swoją cenę. Przynajmniej kilka osób w całym kraju zginęło w wypadkach, w tym 11-latek potrącony przez autobus. Kierowca tak bardzo cieszył się z zestrzelenia Orłów, że nie zauważył chłopca...

Bohaterem Ghany był wtedy napastnik Junior Agogo. W końcówce wbił Nigerii zwycięską bramkę. W nagrodę otrzymał... kandydatkę na żonę! Do hotelu w Akrze, w którym mieszkali piłkarze, przyszedł mężczyzna i zaoferował piłkarzowi rękę swojej wnuczki. Ten nie stracił rezonu i odpowiedział, że chce zobaczyć kandydatkę.

Taki właśnie jest Puchar Narodów Afryki.

TRENER WAGI PAŃSTWOWEJ

„Miałem okazję kilkakrotnie być w centrum tych wydarzeń. Właśnie przy okazji Pucharu Narodów Afryki szczególnie widoczna stała się tamtejsza odmienność i barwność, celebrowanie obrzędów, najrozmaitsze talizmany, czarownice czy zabobony. Wszystko to jest wpisane w krajobraz rywalizacji na boisku” – opowiada Henryk Kasperczak, jeden z najbardziej utytułowanych polskich szkoleniowców, który od trzech dekad pracuje w Afryce. Trzy trenowane przez niego drużyny – Wybrzeże Kości Słoniowej, Tunezja i Mali – dochodziły do półfinałów; dwie z nich stanęły na podium.

Pierwsze piłkarskie mistrzostwa Afryki rozegrano w Sudanie w 1957 r., kiedy dopiero zaczynała się dekolonizacja i jeszcze niewiele państw było niepodległych. Oprócz gospodarzy rywalizowały tylko dwie drużyny – Egipt i Etiopia.



Kibic z Burkina Faso czeka na rozpoczęcie półfinału, w którym jego drużyna zagra z Ghaną, 2013 rok

Miała grać jeszcze reprezentacja RPA, ale nie dopuszczono jej do rywalizacji. Dlaczego? Bo tamtejsza federacja odmówiła przysłania na turniej reprezentacji mieszanej, gdzie byłoby biali i czarni zawodnicy [w rządzonej przez białych RPA panował apartheid, czyli segregacja rasowa – red.]. „Jeśli nie mogą grać ze swoimi czarnymi, to jak chcą grać z naszymi?” – pytał Yidnekatchew Tessema, późniejszy szef Afrykańskiej Konfederacji Piłkarskiej (CAF).

Polityka i futbol są w Afryce nierozdzielnie związane – na dobre i na złe. Nawet w XXI w. I nie chodzi wcale o George’a Weah, kiedyś najlepszego piłkarza świata, a obecnie prezydenta Liberii.

Kiedy Kasperczak w 2006 r. podpisywał umowę z Senegalską Federacją Piłki nożnej, to widniały na niej podpisy obecnej głowy państwa, a wtedy premiera

Macky’ego Salla, a także ówczesnego ministra sportu Daouda Faye.

Tak jest prawie na całym kontynencie – zatrudnienie trenera to sprawa wagi państwowej. To rządy finansują piłkarskie federacje i wykładają wielkie pieniądze na zatrudnianie znanych w futbolowym świecie szkoleniowców.

Zaangażowanie władz ma zresztą racjonalne uzasadnienie. Porażka w ważnym meczu czy turnieju wiąże się bowiem ze sporymi konsekwencjami, także politycznymi. Niezadowoleni kibice mogą wyjść na ulice i zaprotestować. Nie tylko przeciwko słabemu wynikowi, lecz także, nie daj Boże, prezydentowi.

PUPILE DYKTATORÓW

W drugą stronę też to działa – sukces dodaje blasku afrykańskim dyktatorom

i poprawia nastroje społeczne.

Rozumieli to Mobutu Sese Seko w Zairze czy Idi Amin w Ugandzie. Obaj na potęgę inwestowali w piłkę. Piłkarze Zairu zdobyli Puchar Narodów Afryki, a potem – jako pierwsza reprezentacja z Afryki Subsaharyjskiej – awansowali do mistrzostw świata. Za ten awans zostali sowiec nagrodzeni przez prezydenta, który rządził krajem twardą ręką przez prawie 22 lata. Każdy dostał dom i samochód.

Niestety występ na mundialu w Niemczech w 1974 r. okazał się katastrofą. W drugim meczu w grupie Zair przegrał z Jugosławią 0:9. Mobutu Sese Seko wysłał do Niemiec swoich ochroniarzy, którzy mieli grozić zawodnikom, że jeżeli jeszcze raz przegrają tak wysoko, to stanie się im krzywda. W ostatnim grupowym meczu przegrali z Brazylią tylko 0:3.

Idi Amin, którego rządy okupione zostały śmiercią 300-400 tys. Ugandyjczyków, też wspierał narodowy zespół, żeby dodać sobie splendoru i popularności. Efektem było wicemistrzostwo kontynentu w 1978 r. Sukcesu powtórzyć się nie udało, być może dlatego, że piłkarze oskarżani o współpracę z opozycją byli zamykani w więzieniach. To spotkało dwójkę zawodników Express FC, Johna Ntensibe i Mike’a Kigandę. Niechybnie zginęliby zakatowani, jak wielu ich rodaków, gdyby nie ważny mecz z Zambią. Na to spotkanie zostali zwolnieni przez samego Amina.

OSTRZELANI PIŁKARZE

Niestety nie są to tylko historie z odległej przeszłości. Przed rozpoczęciem Pucharu Narodów Afryki w 2010 r., który rozgrywano na stadionach Angoli, ostrzelano autokar wiozący reprezentację Togo, w tym słynnego Emmanuela Adebayora, wtedy napastnika Manchesteru City.

„To było straszne! Po odprawie na granicy Angoli z Demokratyczną Republiką Konga jechaliśmy jakieś 15 km, aż nagle ktoś zaczął do nas strzelać. Trwało to około pół godziny. Pół godziny! Byliśmy bezsilni i bez pomocy. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego nikt nie pośpieszył nam ze wsparciem. To było jedno



z najgorszych przeżyć, jakiego doświadczyłem” – mówi Adebayor po wypadku, w którym zginęły trzy osoby z obsługi kadry Togo, a kilku zawodników zostało rannych.

Togijczycy zaatakowani zostali przez rebeliantów z Frontu Wyzwolenia Enklawy Kabindy (FLEC), który walczy o oderwanie się od Angoli. Postanowili wycofać się z turnieju. W odpowiedzi CAF ukarał tamtejszą federację wykluczeniem z dwóch następnych turniejów Pucharu Narodów, ale potem ta głupia decyzja została anulowana.

Nie zawsze polityka rujnuje futbol, zdarzało się w Afryce i odwrotnie, że futbol miał dobroczynny wpływ na politykę. Starsi kibice pamiętają wzruszającą scenę po meczu, w którym reprezentacja Wybrzeża Kości Słoniowej awansowała do finału mistrzostw 2006 r. Piłkarze ze słynnym Didierem Drogbą na czele, ukłękli na boisku i prosili o zaprzestanie walk pomiędzy chrześcijańskim południem a muzułmańską północą. Drogba, kiedyś wyborowy snajper londyńskiej Chelsea, zasiadał potem w Komisji Prawdy, która rozliczała w jego kraju okres 10-letniej, krwawej wojny domowej.

Podobny – a może nawet większy – zastrzyk pozytywnej energii zapewniły

mistrzostwa w 1996 r. Pierwotnie miały się odbyć w Kenii, ale – ze względu na opieszałość organizatorów – zostały przeniesione do RPA. Kraj ten przechodził okres wielkich przemian. Apartheid został zniesiony dwa lata wcześniej, ale między czarnymi, którzy zdobyli władzę, a białymi, którzy ją oddali, panowało ogromne napięcie. W składzie gospodarzy przeważali czarni piłkarze, ale byli też

Nelsona Mandelę, laureata pokojowej nagrody Nobla, pokonali prowadzoną przez Kasperczaka Tunezję 2:0.

Z CZARAMI NIE MA ŻARTÓW!

Często słyszy się komentarze, że Puchar Narodów Afryki nie stoi na tak wysokim poziomie, jak np. mistrzostwa Europy, a afrykańscy piłkarze grający w słynnych

Kiedy Henryk Kasperczak podpisywał kontrakt na trenowanie reprezentacji Senegal, widniały na nim podpisy premiera i ministra sportu

”

biali, jak np. bramkarz Andre Arendse. Dlatego drużyna była żywym symbolem narodowego pojednania. Cały turniej ułożył się jak w scenariuszu z Hollywood. W finale w Johannesburgu gospodarze, dopingowani przez prezydenta

zachodnich klubach traktują turniej jak wakacje. Nawet najwięksi malkontenci muszą jednak przyznać, że na afrykańskich turniejach wiele się dzieje.

Dobrze wiedzą o tym widzowie Euro-

Clive Brunsell/Allsport/Getty Images



Liberyjczyk George Weah (trzeci od lewej) – obecny prezydent kraju – kłóci się z sędzią podczas eliminacji mistrzostw świata, 1997 r





Didier Drogba, iworyjski piłkarz, zawodnik Chelsea w latach 2004-2012, został uznany najlepszym afrykańskim piłkarzem w latach 2006 i 2009

Nikt o tym głośno nie mówi, ale wielu piłkarzy z Afryki Subsaharyjskiej wciąż wierzy w magiczną moc szamanów

mu była piłka nożna. W tej sytuacji, nie po raz pierwszy i nie ostatni, mistrzostwa przeniesiono.

Odbyły się w Ghanie i Nigerii. W ćwierćfinale współgospodarze, Nigeryjczycy, przegrywali 0:1 z Senegalem, kiedy zdarzyła się nieoczekiwana i zdumiewająca rzecz. Na boisko wbiegł jeden z działaczy Nigeryjskiej Federacji

Piłkarskiej i popędził w kierunku pola karnego Senegalczyków. Gra została przerwana, a intruz nagle wyciągnął z trawki dziwny przedmiot. Był to fetysz, który miał pomagać Senegalczykom. Oficjel, zanim sam został usunięty z murawy, zabrał ze sobą ów fetysz, który

rzekomo przeszkadzał gospodarzom w grze.

Po tym incydencie Nigeryjczycy wyrównali, a w dogrywce Julius Aghahowa dołożył jeszcze jedną bramkę i to „Super Orły” cieszyły się z awansu do czołowej czwórki. [wydarzenie opisane jest w książce Michała Zichlarza „Afryka gola! Futbol i codzienność” – red.]

„Nikt o tym głośno nie mówi, ani się otwarcie nie przyznaje, ale zapewniam cię, że piłkarze w Nigerii i w krajach Afryki Subsaharyjskiej wciąż wierzą w moc szamanów. Jest to nadal praktykowany zwyczaj, choć może nie tak powszechnie jak dawniej, kiedy z pomocą tych „juju men” korzystała cała drużyna” – tłumaczył Quasim Elegbede, nigeryjski dziennikarz.

CO CZEKA PIŁKARZY W EGIPCIE?

Również obecne, egipskie mistrzostwa są przeniesione. Oryginalnie miały się odbywać w Kamerunie, ale pół roku przed imprezą afrykańska federacja uznała, że kraj jest zupełnie nieprzygotowany do przyjęcia 24 drużyn. O zastępstwo ubiegały się dwa kraje z najlepszą na kontynencie infrastrukturą piłkarską – Egipt i RPA. Wybrano ten pierwszy. Czy piłkarze i kibice będą w nim bezpieczni? Junta wojskowa, która sześć lat temu obaliła muzułmańskiego prezydenta wyniesionego do władzy przez rewolucję i od tamtej pory rządzi twardą ręką, zapewnia, że tak. Do ochrony turnieju oddelegowano 100 tys. policjantów.

Są jednak pewne powody do niepokoju. Na Synaju, który administrowany jest przez wojsko, od czasu do czasu dają o sobie znać fanatyczni bojownicy Państwa Islamskiego.

A polityczne konflikty w Egipcie czasami przenoszą się na stadiony. W lutym 2012 r. w Port Saidzie doprowadziło to do wielkiej tragedii. W zamieszkach po meczu tamtejszego Al-Masry SC z najbardziej utytułowanym klubem Afryki, ośmiokrotnym klubowym mistrzem kontynentu, kairskim Al-Ahli, zginęło 72 kibiców, a pół tysiąca zostało rannych. Głównie dlatego, że organizatorzy nie otworzyli bramek i kibice z Kairu znaleźli się w pułapce.

Spekulowano, że była to zemsta egipskich służb bezpieczeństwa na kairskich ultrasach, którzy rok wcześniej chronili rewolucjonistów na centralnym placu w stolicy. Jakkolwiek było, 21 osób – policjantów i działaczy z Port Saidu – skazano na śmierć (potem 11 z nich złagodzono wyroki).

Egipska liga nie dokończyła rozgrywek w sezonie 2011/2012, a mistrza nie



wyłoniono też w kolejnym roku. Potem, ze względów bezpieczeństwa, przez kilka lat mecze rozgrywano bez udziału publiczności. Fani na egipskie stadiony wrócili dopiero rok temu.

Kolejny potencjalny kłopot: latem w Egipcie jest 40 stopni w cieniu. Ale Eusebio Bancessi, reprezentant Gwinei Bissau, który grał w Polsce w takich klubach, jak Pogoń Siedlce i Olimpia Grudziądz, uważa, że piłkarze dadzą radę: „W Afryce gra się bez względu na porę i warunki atmosferyczne. Nie powinno być z tym problemów. Nawet lepiej też, że turniej odbywa się teraz niż na początku roku jak poprzednie mistrzostwa. Nieraz zawodnicy grający w europejskich ligach mieli problemy ze zdobyciem zwolnienia z klubu”.

OBY TYLKO WYJŚĆ Z GRUPY!

Jako faworytów turnieju, którego finał planowany jest na 19 lipca, wymienia się najczęściej gospodarzy, którzy mają w składzie najlepszego obecnie piłkarza Afryki, niesamowitego Mohameda Salaha, napastnika Liverpoolu. Dwa lata temu „Faraonowie”, którzy dotąd siedmiokrotnie triumfowali w afrykańskich mistrzostwach, przegrali mecz o złoto z Kamerunem 0:1.

Do walki o mistrzostwo może jednak włączyć się zawsze silna Nigeria; Sene-

gal, czyli pogromca Biało-Czerwonych z esztorocznego mundialu; Maroko albo Ghana. W Afryce mocnych drużyn ani niespodzianek nie brakuje.

Absolutny plan minimum dla wszystkich 24 drużyn to wyjście z grupy. Bez tego może być krucho. Kiedy w 2008 r. Senegal, trenowany wówczas przez Kasperczaka, przegrał dwa mecze i stracił szanse na wyjście z grupy, fani w Dakarze najpierw chcieli puścić z dymem centralny stadion, a kiedy im to uniemożliwiono, spalili siedzibę piłkarskiej federacji.

Z kolei piłkarze Wybrzeża Kości Słoniowej, którzy w 2006 r. odpadli w pierwszej fazie turnieju, po powrocie zostali umieszczeni w... bazie wojskowej. Tak zdecydował ówczesny dyktator kraju Robert Guei. Musieli ciężko pracować i wysłuchiwać pogadek na temat tego, jak należy godnie reprezentować swój kraj. Taka twarda lekcja dała efekt, bo potem przez wiele lat „Słonie” należały do najlepszych drużyn na kontynencie. ○

Michał Zichlarz.

Dziennikarz katowickiego Sportu i Interia.pl. Autor książki o afrykańskiej piłce *Afryka gola! Futbol i codzienność*



Triumfatorzy Pucharu Narodów Afryki

1957 - Egipt
1959 - Egipt
1962 - Etiopia
1963 - Ghana
1965 - Ghana
1968 - DR Konga
1970 - Sudan
1972 - Kongo
1974 - Zair
1976 - Maroko
1978 - Ghana
1980 - Nigeria
1982 - Ghana
1984 - Kamerun
1986 - Egipt
1988 - Kamerun
1990 - Algieria
1992 - WKS
1994 - Nigeria
1996 - RPA
1998 - Egipt
2000 - Kamerun
2002 - Kamerun
2004 - Tunezja
2006 - Egipt
2008 - Egipt
2010 - Egipt
2012 - Zambia
2013 - Nigeria
2015 - WKS
2017 - Kamerun

Issouf Sanogo/APP/East News



Szaman z Gabonu wędruje po stadionie podczas ćwierćfinału Pucharu Narodów Afryki w RPA, 1996 rok



Afganki nie wierzą w szarmanckich talibów



TALIBOWIE OBIECUJĄ, ŻE SIĘ ZMIENILI I KIEDY
WRÓCĄ DO WŁADZY, BĘDĄ DLA KOBIET LEPSI
NIŻ KIEDYŚ. ALE ONE PAMIĘTAJĄ TERROR
SPRZED 20 LAT I IM NIE WIERZĄ

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska z Afganistanu

Nie mogły używać kosmetyków, a za pomalowane paznokcie czasami karano obcięciem palców. Nie mogły uprawiać sportów, nosić krzykliwych kolorów, przez talibów określanych jako „wabiące seksualnie”, ani prac w rzece.

Publiczne chłosty były normą. Nazwy miejsc zawierające w sobie słowo „kobieta” zostały przemianowane, a okna domów kazano zamalować, by nikt z przechodniów nie widział, co dzieje się w środku.

Afgańskie kobiety zniknęły dla świata.

Był 2001 r. i Ameryka szykowała się do ataku na talibów, którzy w 1996 r., po wielu latach wojny domowej, przejęli kontrolę nad krajem. Roszan pamięta ten dzień bardzo dokładnie. Nie wiedziała, kim są Amerykanie. Miejscowi mówili, że są niewierni i nie znają ich języka. Z wyrwanych informacji przekazywanych przez radio BBC, jedyną stację nadającą w dari, dowiedziała się, że wkrótce przylecą odmienić jej świat.

Odmieniła go już pierwsza relacja radiowa po obaleniu rządów talibów: samolotem, który zaatakował bazę w jej rodzinnym Kabulu, sterowała kobieta.

„Byłam w szoku. Kobiety mogą być pilotami?! Mogą atakować talibów?!” — wspomina Roszan, siedząc nad filiżanką słodkiej herbaty w kawiarni w centrum Kabulu. Jej chusta luźno zarzucona głowę, co chwilę zsuwa się na ramiona, odsłaniając lśniące, czarne włosy.

„Talibowie stworzyli atmosferę, w której kobiety były bezwolne. Ale w tamtym momencie zrozumiałam, że mogę wszystko. Wiele nauczyłam się od tej kobiety” — mówi, wspominając amerykańską pilotkę.

AMERYKO, NIE ODCHODŹ!

Roszan pamięta pierwszy dzień w szkole i niebieski zeszyt z napisem UNICEF, który stał się dla niej symbolem zmiany. I ci mili ludzie, którzy, choć nie mówili w jej języku, uśmiechali się serdecznie. Wtedy, jak twierdzi, po raz pierwszy doszła do siebie, że świeci słońce.

Wykorzystała szansę, jaką dał jej nowy Afganistan. Skończyła prawo i politolo-

gię, przez lata udzielała się w organizacjach broniących praw człowieka i praw kobiet, a niedawno zarobione pieniądze zainwestowała w firmę budowlaną, w której jest pracownicą i partnerką biznesową. Jak podkreśla, całą edukację, wolność i wiarę w siebie zawdzięcza Amerykanom.

Sytuacja Roszan może jednak wkrótce ulec zmianie. Po 18 latach obecności amerykańskich wojsk w Afganistanie prezydent Donald Trump zapowiedział, że jego żołnierze opuszczą kraj w ciągu kilku lat. W październiku administracja USA rozpoczęła negocjacje z talibami, których nie udało się zwyciężyć militarnie — dziś są obecni na niemal 60 proc. terytorium kraju. Ich pozycja jest na tyle silna, że odmówili bezpośrednich rozmów z rządem w Kabulu, twierdząc, że jest marionetką w rękach Ameryki.

Negocjacje pokojowe z talibami i perspektywa odejścia Amerykanów na nowo obudziły dawne demony.

„Nie jestem optymistką. To zła wiadomość dla nas wszystkich, w szczególności dla kobiet. Nie ufamy talibom” — mówi Roszan z niepokojem w głosie. „Nie wierzę w negocjacje pokojowe, w których nie ma miejsca dla kobiet. Dobrze pamiętamy rządy talibów. Chcielibyśmy, by Amerykanie zostali, bo nasza demokracja jest nadal w powijakach, jak dziecko, które potrzebuje wsparcia”.

Roszan wtóruje Fatima, choć 28-latką nie miała w życiu tyle szczęścia. Naukę rozpoczęła późno; nigdy nie udało jej się skończyć szkoły. Za męża wysłała w wieku 16 lat i urodziła dwójkę dzieci.

„Nie wierzę, by jakkolwiek kobieta chciała powrotu talibów” — mówi mi, popijając herbatę. „W Afganistanie jest wielu radykałów, oni wierzą w inną wersję Islamu. Jeśli powrócą, stracimy wszystkie prawa, które uzyskaliśmy przez ostatnie 18 lat. Zostaniemy same”.

LEPIJ NIE ZNACZY DOBRZE

Pomimo znaczących zmian w prawie i poprawy sytuacji kobiet w wielu miejscach kraju — szczególnie w miastach kontrolowanych przez rząd — Afganistan trudno nazwać miejscem przyjaznym

Policjantka z sił specjalnych, Kandahar, 2007 r.

Roszan Gaznawi siedziała przypięta do radioodbiornika, w skupieniu wyczekując wieści. Ten dzień miał odmienić jej całe dotychczasowe życie. Choć miała już 13 lat, ale dopiero niedawno dowiedziała się, że istnieje świat poza jej rodzinnym Afganistanem. Nigdy nie była w szkole, nie miała kredek, nie widziała kreskówki.

Jej matka, ciotka i babcia nigdy nie wychodziły z domu bez męża, ojca, wuja czy kuzyna. Ani bez niebieskiej burki z drobną siatką na oczy - chroniącej mężczyzn przed ich grzesznymi spojrzeniami. Nie mogły się śmiać, samodzielnie robić zakupów i wychodzić na balkon.



Grupa afgańskich mężczyzn ubranych w burki protestuje przeciw przemocy wobec kobiet. Kabul, 2015 r.

kobietom. Przeciwnie, razem z Syrią przoduje w globalnych statystykach jako kraj, w którym najgorzej urodzić się kobietą. Zatrudnionych jest dziś jedynie 16 proc. Afganek, a 60 proc. pada ofiarą przemocy domowej. Dwie trzecie dziewczyn nie chodzi do szkoły, zaś odsetek analfabetyzmu wśród kobiet wynosi 32 proc.

Statystyki te, zestawione z milionami dolarów zainwestowanymi przez Zachód w poprawę sytuacji afgańskich kobiet, zakrawają na ponury żart.

Sytuacja aktywistek i feministek również nie napawa optymizmem. Groźby śmierci, napady czy wyrazy potępienia nawet

ze strony najbliższych nie są odosobnionymi wyjątkami.

I to jest sedno problemu - społeczeństwo pozostaje głęboko konserwatywne. Wedle sondażu organizacji Promundo i UN Women afgańscy mężczyźni nie chcą dawać kobietom więcej swobód. Dwóch na trzech uważa, że kobiety już osiągnęły wystarczająco dużo praw i są zbyt emocjonalne, by piastować pozycje liderów. Z tym stwierdzeniem zgadza się zresztą aż jedna na trzy kobiety. Ponad połowa mężczyzn twierdzi też, że więcej praw dla kobiet oznaczałoby pogorszenie sytuacji mężczyzn.

NOWI, LEPSI TALIBOWIE 2.0

Jest zatem bardzo ciężko, ale dopiero perspektywa powrotu talibów jawi się jako piekło. Nawet mimo tego, że od jakiegoś czasu starają się oni zerwać z wizerunkiem zacofanych fanatyków ziejących nienawiścią do kobiet.

Nowi talibowie nie zakazują już ani muzyki, ani telewizji, wręcz przeciwnie – sami nagrywają piosenki zagrzewające do walki o wspólny cel. W niektórych miejscach zniesiono zakaz golenia bród i, przynajmniej w teorii, edukacji i pracy kobiet.

Na konferencji pokojowej w Moskwie 5 lutego br. delegacja talibów w oficjalnej mowie podkreśliła swoje zaangażowanie w kwestie praw kobiet.

„Islam daje kobietom wszystkie fundamentalne prawa, takie jak prawa do biznesu i posiadania, spadku, edukacji, pracy, wyboru własnego męża, ochrony zdrowia oraz prawo do dobrego życia” – można przeczytać na internetowej stronie talibów.

Są tam jednak również słowa krytyki pod adresem aktywistek i reform pod amerykańską kuratelą: „Te tzw. aktywistki praw kobiet są w Afganistanie od 17 lat, w tym czasie zainwestowano u nas miliardy dolarów, ale Afganistan nadal jest jednym z krajów, gdzie najwięcej kobiet umiera w czasie porodu z powodu braku odpowiednich warunków medycznych”.

Talibowie twierdzą, że korupcja w kraju nie pozwala na prawidłową ochronę praw kobiet, gdyż pieniądze na szczytne cele często lądują w kieszeniach tych, którzy krzyczą najgłośniej. Oni natomiast pragną przestrzegać praw kobiet w sposób, który nie zagraża afgańskim i islamskim wartościom. Szeroko rozprzestrzeniony w dzisiejszym Afganistanie



Roszan Gaznawi



wpływ obcych kultur, nieprzystojność, w tym seriale telewizyjne przeczące podstawowym afgańskim zasadom — oto z czym nowi talibowie będą walczyć.

BARDZO MIŁE NEGOCJACJE

Masuda Sultan, aktywistka na rzecz pokoju i praw kobiet, miała okazję porozmawiać z wysłannikami talibami bezpośrednio. Swoje spotkanie podczas kwietniowej konferencji pokojowej w Katarze — która nie powiodła się ze względu na niedomówienie między talibami a afgańskim rządem co do składu delegacji — Sultan opisała w „The New York Timesie”.

„Negocjacje pokojowe z talibami, przy zapewnieniu ochrony praw kobiet, są możliwe i konieczne. Zaczęłam wierzyć w to po spotkaniu w Dausze w zeszłym miesiącu. Jest szansa, choć mała i krucha, by rozmawiać z nimi na temat praw i wolności kobiet” — pisze Sultan.

Podczas sześciogodzinnego spotkania z wierzuszką talibów Sultan i trzy inne kobiety zostały poproszone, by jako pierwsze wybrały miejsce przy stole. Jako pierwsze dostały również możliwość zabrania głosu. Podczas lunchu jedzenie najpierw zaproponowa-

no kobietom, które następnie otrzymały podarunki. Na koniec spotkania to kobiety poprowadziły modlitwę o pokój, mimo że w Afganistanie to zadanie należy do mężczyzn.

Talibowie mówili, że chcą pokoju, stabilności i praw dla kobiet. Choć zastrzegali, że jedynie w ramach islamu.

„To jedno spotkanie nie wymaże tego, jak traktowali kobiety, i nie naprawi terroru przeszłości, ale było to zaskakujące doświadczenie” — przyznaje Sultan. „Najpierw musimy się przekonać, że za słowami idą czyny. Ale rozmowy dały mi światło nadziei, że pokój jest możliwy”.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA

Jak na razie o czynach, które potwierdzałyby obietnice talibskich negocjatorów, nie słyhać. Wręcz przeciwnie. Z rejonów kontrolowanych przez talibów nad wyraz często dochodzą informacje o karach chłosty za nieodpowiedni ubiór czy za wyjście z domu bez męskiego członka rodziny. Ataki na siły rządowe i na cywilów nasilają się. Nawet jeśli przywódcy talibów mają szczerą intencję, to nie wiadomo, czy będą w stanie wpłynąć na wszystkich swoich podko-

mendnych rozproszonych po całym kraju.

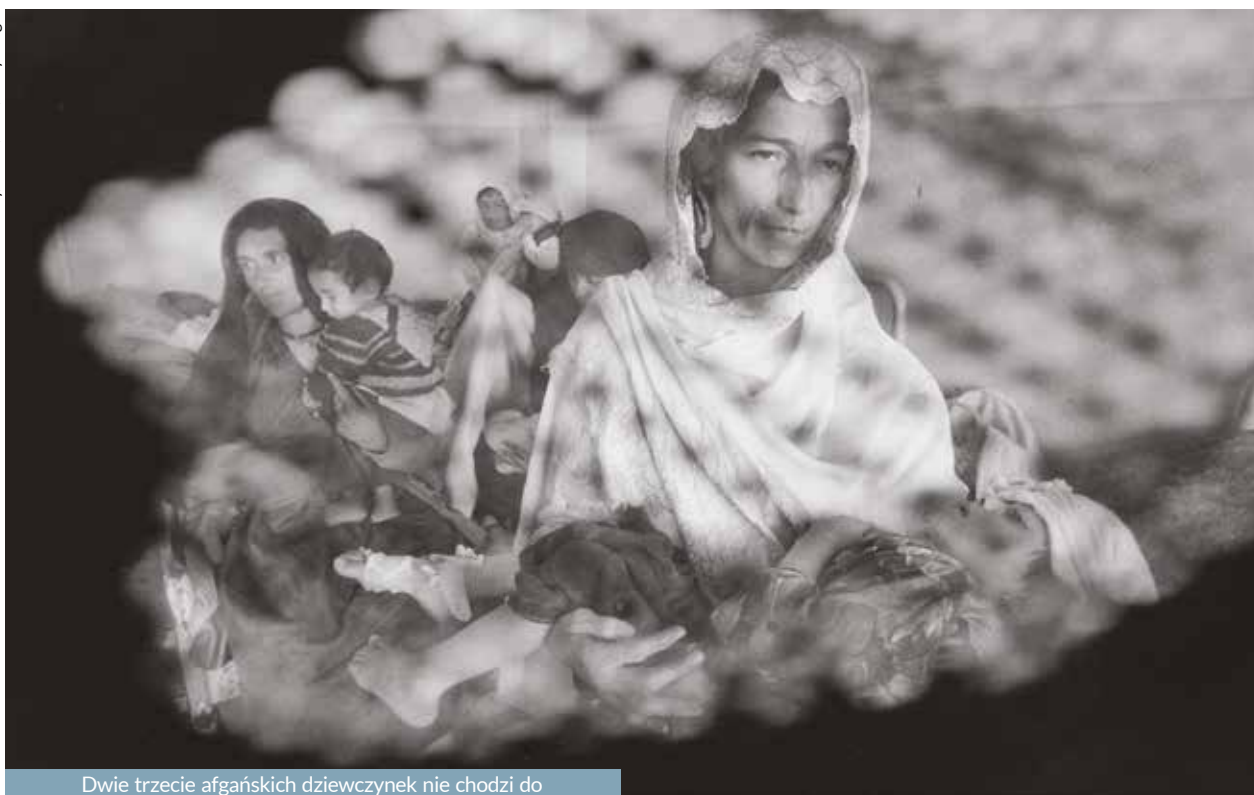
Fatima martwi się o dzieci. „Jesteśmy w trakcie rozmów pokojowych, ale konflikt się nasilił. Mam dwie córki i boję się, że nie będą mogły chodzić do szkoły” — mówi ze łzami w oczach. „Kiedy rano wychodzą z domu, nie wiem, czy wrócą. Gdy idę na bazar, nie wiem, czy ja z niego wrócę. Mam te wątpliwości już teraz, gdy ciągle jeszcze są Amerykanie... A co będzie, jak ich zabraknie?”

Dopijając słodką, herbatę Roszan dodaje na koniec, że problemem nie są tylko sami talibowie, ale również — może nawet przede wszystkim — ci wszyscy, którzy ich popierają. „Nie jesteśmy w stanie pozbyć się milionów ludzi, którzy uwierzyli talibom. Ale możemy postarać się zwyciężyć ich umysły, zmienić ich sposób patrzenia na świat” — stwierdza. „To mogą być nasi ojcowie, mężowie, przyjaciele. Tylko jeśli ich poglądy się zmienią, będziemy w stanie zmienić system”. ○

Agnieszka Pikulicka-Wilczewska

jest dziennikarką, zajmuje się Azją Środkową i krajami byłego ZSRR. Píše dla „Tygodnika Powszechnego” i anglojęzycznej wersji portalu Al Jazeera

David Turnley/Corbis/VCG/Getty Images



Dwie trzecie afgańskich dziewczynek nie chodzi do szkoły, a jedna trzecia kobiet to analfabетки

Franczyzy czarnej flagi



SAMOWWAŃCZY KALIFAT, KTÓRY ISTNIAŁ WE WSCHODNIEJ SYRII I PÓŁNOCNYM IRAKU, ZOSTAŁ ROZBITY. ALE JUŻ ODRADZA SIĘ W INNYCH KRAJACH

Paweł Pieniążek



W październiku 2017 r. filipińska armia po pięciu miesiącach oblężenia zdobyła miasto Marawi, w którym rządziła lokalna komórka Państwa Islamskiego

Abu Bakr al-Baghdadi ukazał się dwukrotnie. Dwukrotnie nie wróżyło to nic dobrego. Po raz pierwszy kamera zarejestrowała go pięć lat temu w meczecie, gdy ogłosił powstanie kalifatu Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii – tuż po tym, jak dżihadyści zajęli Mosul. Drugi raz w kwietniu 2019 r., gdy kalifatu już nie było. Al-Baghdadi oznajmił zwolennikom, że to bynajmniej nie koniec.

KALIF APELUJE

„Wojna islamu i jego ludzi przeciwko krzyżowi i jego ludziom jest długa” – powiedział w opublikowanym przez skrzydło prasowe Państwa Islamskiego Al Furkan 18-minutowym nagraniu. O ścianę oparł karabin, tak jak robił to Osama bin Laden – zapewne po to, by uwiarygodnić swoje słowa. Al-Baghdadi to najbardziej poszukiwany człowiek na świecie. Już wielokrotnie uznawano go za martwego, rannego lub obalonego przez zbuntowane otoczenie. Video ukazało się miesiąc po tym, jak Państwo Islamskie utraciło ostatnie terytoria we wschodniej Syrii, a samozwańczy kalifat przestał istnieć.

Gdy na pustyni Syryjskie Siły Demokratyczne – koalicja kurdyjskich i arabskich bojówek wspierana przez międzynarodową koalicję na czele ze Stanami Zjednoczonymi – ścigały czarne flagi dżihadystów i wieszały własne, Państwo Islamskie zapewne już szykowało kolejny zamach na dużą skalę. Były to ataki bombowe na Sri Lance z 21 kwietnia, które miano przeprowadzić w trakcie Wielkanocy. W ich rezultacie zginęło 258 osób. Celem byli głównie chrześcijanie i turyści. Jak mówił al-Baghdadi, zemszczono się za unicestwienie kalifatu. To jeden z wielu zamachów przeprowadzonych przez tę organizację w ciągu ostatnich lat.

„Bardzo mnie niepokoi łatwość, z jaką Państwo Islamskie jest w stanie koordynować swoje działania” – mówi analityk ds. terroryzmu w Azji Centralnej i Południowo-Wschodniej Paweł Wójcik.

Zaznacza, że do ataków na Sri Lance organizacja zaangażowała przynajmniej cztery komórki w różnych krajach.

„Zdolność Państwa Islamskiego do przeprowadzenia zamachów w różnych



Abu Bakr al-Baghdadi w 2015 roku był jednym z 8 kandydatów do tytułu człowieka roku magazynu „Time”

Al-Baghdadi wzywał do ataków na całym świecie. I wydaje się, że został wysłuchany

”

częściach świata stanie się jego znakiem rozpoznawczym” – dodaje. „To nieustające zagrożenie”.

Al-Baghdadi wzywał do ataków na całym świecie. I wydaje się, że apel został wysłuchany.

ROZPROSZONE ZAGROŻENIE

W szczytowym okresie Państwo Islamskie kontrolowało terytoria rozmiarów Wielkiej Brytanii, na których mieszkało do 12 mln ludzi. Zbudowali na nich instytucje, wprowadzili podatki i prawa, często bardzo brutalne, oparte na własnym rozumieniu szariatu. Na dżihad przyjechało 40 tys. bojowników z całego świata. Początkowo wydawało się, że siły kalifatu są nie do powstrzymania. Dżihadyści stopniowo jednak ustępowali na skutek zaangażowania zagranicznych państw i przegrupowania lokalnych sił zbrojnych. Największe szkody wyrządzały im zrzucone bomby. Tylko międzynarodowa koalicja przeprowadziła 34 tys. nalotów na pozycje Państwa Islamskiego.

Dżihadyści byli jednak przygotowani na to, że będą musieli zejść do podziemia, i konsekwentnie tę strategię realizowali przynajmniej od 2015 r. Dlatego analitycy zajmujący się tym ugrupowaniem

zgodnie przyznają, że sama utrata terytoriów nie przesądza o losie Państwa Islamskiego.

„Powinniśmy być bardzo ostrożni z używaniem słowa „pokonanie”. Oczywiście utracili możliwość rządzenia na terytoriach, które kontrolowali, ale ich siatki kontynuują działanie w podziemiu” – mówi analityk ds. bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie i wykładowca paryskiego Sciences Po Julien Théron. – Niewidzialny wróg jest zawsze bardzo niebezpieczny. W ciągu trzech lat Państwo Islamskie miało czas rozesłać pieniądze po świecie, podobnie jak swoich mężczyzn i kobiety.

Uważa, że zagrożenie jest rozproszone, ale tak samo poważne jak wcześniej.

PRZEPIS NA CHAOS

Potwierdzeniem jego słów jest raport Zespołu Monitorującego ds. Wsparcia Analitycznego i Sankcji ONZ. Państwo Islamskie wciąż posiada majątek w wysokości od 50 mln dol. do 300 mln dol. Jest on przechowywany w Iraku i Syrii, został także wywieziony za granicę oraz zainwestowany w legalne i nielegalne przedsiębiorstwa. Dla porównania przygotowanie i wykonanie zamachu na World Trade Center z września 2001 r.



Szyby naftowe w Kijarze na północy Iraku zostały przez bojowników kalifatu podpalone, kiedy w 2016 r. iracka armia odbijała miasto

kosztowało do 500 tys. dol.

Nie są też znane losy większości bojowników zagranicznych. W raporcie podany jest przykład zachodnich Bałkanów. Z tamtejszych krajów do Iraku i Syrii wyjechało walczyć po stronie Państwa Islamskiego ok. 1 tys. osób. Wiadomo, że 100 z nich zginęło, a 300 wróciło. Co się stało z resztą? Nie wiadomo. Dosadniej wyraża tę niepewność koordynator

oencetowskiego zespołu monitorującego ISIL (Daesz)/Al-Kaidę/Taliban Edmund Fitton-Brown. W wywiadzie dla miesięcznika „CTC Sentinel” wydawanego przez amerykańską uczelnię wojskową West Point mówi o bojownikach, którzy przybyli do Iraku i Syrii: „Nigdy nie słyszałem wiarygodnych informacji [które potwierdzałyby], że nie żyją trzy czwarte z tych ponad 40 tysięcy ludzi”. Zgodnie z jego słowami można założyć,

że przynajmniej połowa, a zapewne więcej, wciąż żyje.

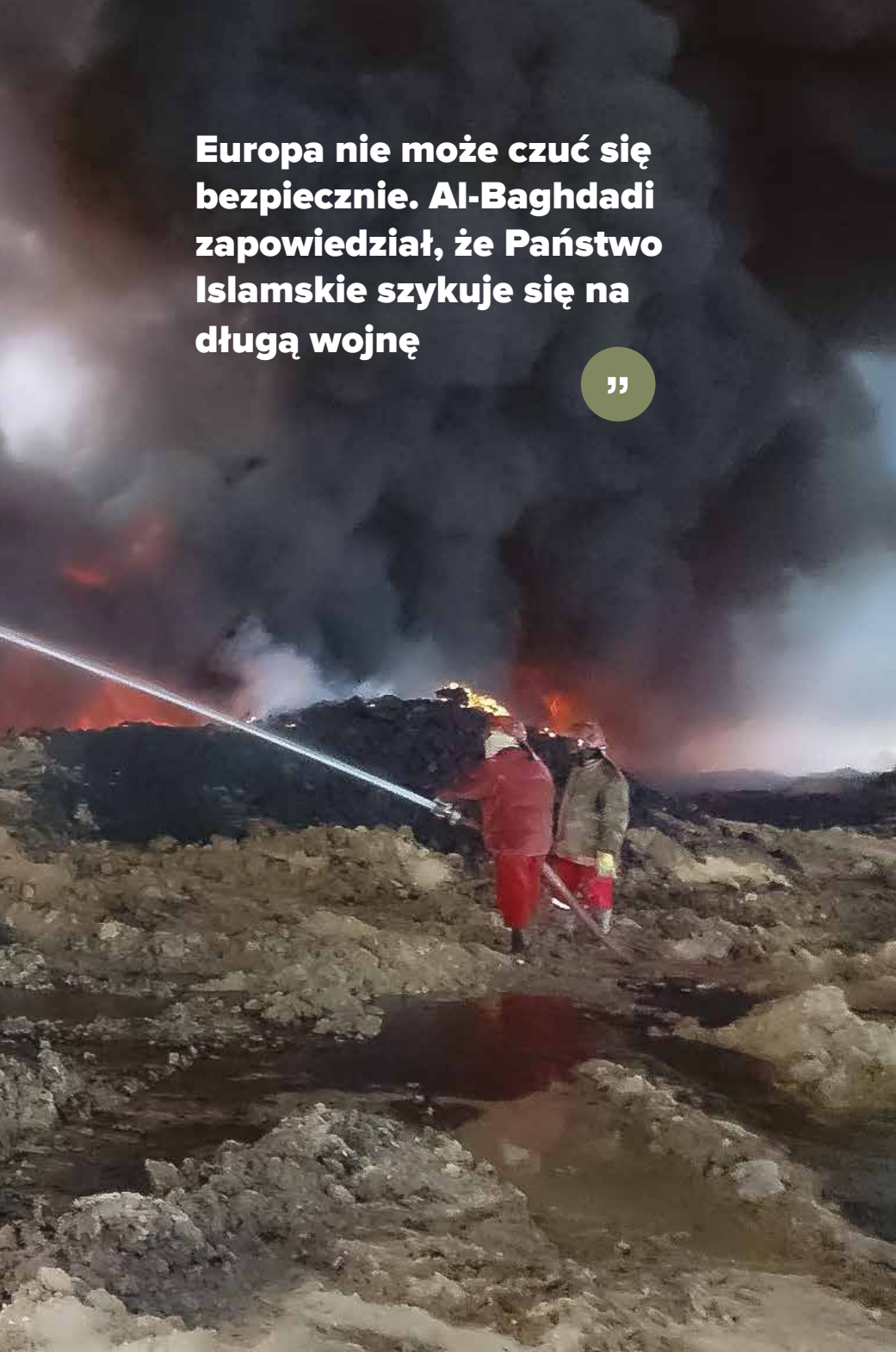
MOCNI JAK DAWNIEJ

W lutym ONZ szacowała, że w Iraku i Syrii wciąż znajduje się – odpowiednio – 14 i 18 tys. bojowników, w tym 3 tys. zagranicznych. W marcu specjalny wysłannik koalicji na rzecz pokonania Państwa Islamskiego James Jeffrey



Europa nie może czuć się bezpiecznie. Al-Baghdadi zapowiedział, że Państwo Islamskie szykuje się na długą wojnę

”



stwierdził, że w obu państwach znajduje się 15-20 tys. „aktywnych uzbrojonych zwolenników” tej organizacji. Wielu z nich to uśpione komórki, które czekają na rozkazy.

Nie znaczy to jednak, że Państwo Islamskie nic nie robi – od miesięcy prowadzi działania dywersyjne na utraczonych terenach. Bojownicy ukrywają się w jaskiniach, na pustyni, a także w

miejsowościach, w których znajdują się teraz wrogie im siły.

– Są mocniejsi niż wtedy, gdy byli prawie pokonani w 2008 r. Prawdopodobnie są tak samo silni jak w 2013 r., chwilę przed tym, jak zdobyli liczne terytoria – twierdzi niezależny analityk zajmujący się Syrią i terroryzmem Kyle Orton.

Dżihadyści są aktywni w środkowym

i północnym Iraku, a także w środkowej, północnej i wschodniej Syrii. Zgodnie z danymi na koniec maja w ostatnich miesiącach na terytoriach kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne zostały zabite 303 osoby. Wśród nich są bojownicy, lokalni przywódcy i żołnierze koalicji zagranicznej. Zazwyczaj ginęli na skutek egzekucji i zamachów. W Iraku dżihadyści skupiają się na mordowaniu starszości wioskowej, która się im nie podporządkowała.

W ostatnim czasie Państwo Islamskie wzięło także odpowiedzialność za wybuchające na masową skalę pożary na irackich polach uprawnych. Pod koniec maja władze w Bagdadzie ogłosiły, że w 11 prowincjach spłonęło ponad 6 tys. akrów użytków. W ciągu 18 dni odnotowano 136 przypadków podpażeń. Gdy rolnicy próbowali ugasić jeden z pożarów, wybuchła bomba. Zginęło 5 osób, a 10 zostało rannych. W Iraku, który w ostatnich latach zmaga się z poważnymi niedoborami wody, pożary mogą doprowadzić do destabilizacji kraju. Według Ortona destabilizacja to właśnie – obok rozwoju filii zagranicznych – jeden z głównych celów organizacji.

NOWE PROWINCJE

Globalny zasięg to prawdopodobnie największe osiągnięcie Państwa Islamskiego. Jego przedstawiciele są obecni w wielu krajach Azji i Afryki. Ich „marka” stała się rozpoznawalna na całym świecie i wiele grup zbrojnych ubiega się o prawo do walki pod czarnym sztandarem.

„Istnieje zagrożenie, że gdzie indziej ustanowią enklawy, takie jakie mieli w Syrii i Iraku” – twierdzi Thérion. „Trwające konflikty, upadłe, autorytarne i skorpumpowane państwa na tych terenach dają ogromne możliwości grupom terrorystycznym, bo mogą się one rozprzestrzeniać, rozwijać, rekrutować i rosnąć z łatwością”.

Przykładem jest Azja Centralna i Południowo-Wschodnia. Od 2015 r. we wschodnim Afganistanie, w prowincji Chorasán, funkcjonuje filia Państwa Islamskiego. Wojna w tym regionie toczy się z różną intensywnością od czterech dekad. W ostatnich latach znowu dochodzi do zacieklej starć. Państwo



Islamskie nie jest kluczowym graczem, ale mimo wszystko opiera się znacznie liczniejszym talibom i siłom rządowym wspieranym przez państwa zachodnie. Według ostatnich szacunków pod czarną flagą walczy w prowincji Chorasán jest około 5 tys. bojowników.

– Choć ponoszą ogromne straty, to cały czas są na tyle silni, by zagrażać prowincji Nangarhar, a także regularnie przeprowadzać duże zamachy w Kabulu – mówi Paweł Wójcik.

Według ONZ w 2018 r. grupa dokonała na terenie Afganistanu 38 ataków.

Co jakiś czas kolejne grupy talibów przysięgają wierność al-Baghdadiemu – chociaż to właśnie talibowie wygrywają wojnę. Według Wójcika oznacza to, że kalifat jest w stanie zaproponować im co najmniej pieniądze. Do wschodniego Afganistanu wciąż docierają środki finansowe, nowi bojownicy, a z prowincji do centrali wysyłane są informacje i materiały propagandowe.

W połowie maja Państwo Islamskie ogłosiło powstanie jeszcze dwóch swoich „prowincji” – w Pakistanie i Indiach. Na razie trudno jeszcze ocenić, czy jest to przejawem siły, czy słabości organizacji.

Pakistan od kilkudziesięciu lat jest ważnym zapleczem dla ruchów dżihadystycznych. W ostatnich tygodniach Państwo Islamskie przyznało się do kilku ataków w tym kraju. Nie wiadomo natomiast, na ile poważnym zagrożeniem jest działalność ugrupowania w Indiach. Miejscowe władze twierdzą, że to tylko propaganda.

Żołnierze al-Bagdadiego i ich sojusznicy są obecni także w Bangladeszu, Indonezji, Malezji, Sri Lance. Działają również na Filipinach, gdzie przez jakiś czas kontrolowali 200-tysięczne miasto Marawi. Po pięciu miesiącach walk jest ono zniszczone tak jak iracki Mosul czy syryjska Rakka.

PROTOPAŃSTWO DŻIHADYSTÓW W AFRYCE

Państwo Islamskie i jego sojusznicy są też aktywni w Afryce. Jednym z nich jest Prowincja Afryki Zachodniej, która w 2016 r. odłączyła się od innej okrytej wątpliwą sławą bojówki – Boko Haram. Operuje ona w okolicach rzeki Czad – głównie w Nigerii, ale też w Czadzie i Kamerunie. To obecnie jedna z najistotniejszych filii dżihadystów.

Międzynarodowa organizacja International Crisis Group w swoim niedawnym

raporcie posuwa się nawet do stwierdzenia, że w Afryce Zachodniej może powstać nowy kalifat. Miejscowy odłam Państwa Islamskiego zbudował nie tylko silne ramię zbrojne (według różnych danych od 1,5 tys. do 5 tys. bojowników), ale także instytucje parapaństwowe. Zapewniają bardzo ograniczoną pomoc medyczną, kopią studnie, przeciwdziałają kradzieży bydła i czasami karzą bojowników, którzy pozwalają sobie na zbyt wiele wobec ludności cywilnej. Do tego zbierają podatki, które są raczej akceptowane przez mieszkańców, bo w zamian otrzymują w miarę zarządzany teren i szansę pracy. Piszący dla amerykańskiego portalu Long War Journal analityk Caleb Weiss twierdzi, że nie jest to tak rozwinięta organizacja parapaństwowa, jak miało to miejsce w przypadku Iraku i Syrii, ale spośród grup, które przysięgły wierność al-Baghdadiemu, ta rozwija się najszybciej w regionie, a może i na całym świecie.

To jednak niejeden odłam Państwa Islamskiego. Grupa ma mocną pozycję na egipskim Synaju i w Libii. W tym ostatnim kraju po porażkach sprzed trzech lat znowu rośnie ona w siłę ze względu na wznowienie działań zbrojnych. Wpływy zdobywa też Prowincja Wielkiej Sahary, która działa w Mali, Nigrze i Burkina Faso. W Somalii od trzech lat odłam



Leżąca na noszach kobieta została ranna w serii zamachów na kościoły w Sir Lance, kwiecień 2019 r.



Foto: Reuters/Contrasto

Państwo Islamskie i powiązane z nim grupy zbrojne są obecne także m.in. w Bangladeszu, Indonezji, Malezji, Czadzie, Kamerunie, Sri Lance, na Filipinach.

Bojownicy kalifatu - podając się za cywiliów - razem z rodzinami opuszczają miasto Baguz, jeden z ostatnich swoich bastionów w Syrii, luty 2019 r.

”

grupy funkcjonuje w różnych częściach kraju, chociaż nie jest tam znaczącą siłą. W kwietniu grupa ogłosiła powstanie Prowincji Afryki Środkowej i przeprowadziła pierwszy atak w Kongo, gdzie kolejne konflikty następują po sobie od końca XX w.

CISZA PRZED BURZĄ

W ostatnich kilkunastu miesiącach Europa nie doświadczyła zamachów na dużą skalę. Wpływ na to miało poprawienie bezpieczeństwa i współpracy między europejskimi służbami, ale prawdopodobnie też dżihadyści czasowo zrezygnowali z ataków w tym regionie. Są one trudniejsze, wymagają więcej środków, planowania i pieniędzy. Łatwiej jest

inwestować i organizować kolejne grupy w państwach o słabych instytucjach, toczących konflikty zbrojne, trawionych przez napięcia wewnętrzne i korupcję. To one są główną pożywką dla dżihadystów spod czarnej flagi.

Nie znaczy to jednak, że Europa może czuć się bezpiecznie. Al-Baghdadi zapowiedział, że Państwo Islamskie szykuje się na długą wojnę. Odpowiedź na nią również powinna być długofalowa i przemyślana. Theron uważa, że rozbrojenie Państwa Islamskiego musi mieć wymiar globalny. Składać mają się nań nie tylko działania militarne, ale też edukacja, prewencja, walka z korupcją, machlojkami finansowymi i zapędami autorytarnymi, a przede wszystkim działania na rzecz

rozwiązywania lokalnych konfliktów. Dopóki to się nie zmieni, dżihadyści w dalszym ciągu będą z łatwością podminowywali państwa i zdobywali poparcie miejscowej ludności w różnych zakątkach świata.

Nie wojna, tylko pokój i stabilizacja mogą pokonać Państwo Islamskie.

Paweł Pieniążek

jest dziennikarzem, pisze dla „Tygodnika Powszechnego”. Relacjonował wydarzenia m.in. z Afganistanu, Iraku, Syrii i Ukrainy. Autor książek *Po kalifacie*, *Wojna, która nas zmieniła* i *Pozdrowienia z Noworosji*

Taniec atomowych kogutów



OSOBLIWA CEREMONIA ODGRYWANA CODZIENNIE PRZEZ
ŻOŁNIERZY INDII I PAKISTANU MNIEJ POKAZUJE ICH
WROGOŚĆ, BARDZIEJ – WSPÓLNOTĘ LOSÓW I BLISKOŚĆ

Piotr Chałubiński z granicy Indii z Pakistanem

Rosły hinduski żołnierz macha nogą wysoko do góry. Siła kopnięcia jest tak duża, że niemal zrzuca sobie z głowy czapkę z kolorowym pióropuszem. Strażnik wydaje z siebie ryk, tupie nogą i z groźną miną patrzy w stronę Pakistanu. Publiczność wpada w ekstazę – klaszcze, bije brawo i skanduje nacjonalistyczne hasła. Po transgranicznym stadionie niesie się głośnie: „Hindustan! Hindustan!”. Pakistańczyk nie chce być gorszy i również stara się dotknąć nogą nieba. Brawa i oklaski, nieco cichsze, dobiegają z drugiej strony granicy.

Trwa ceremonia opuszczania flagi na przejściu granicznym Wagah-Attari między Pakistanem a Indiami – jeden z bardziej dziwacznych rytuałów wojskowych na świecie, który odbywa się codziennie od 60 lat

I LOVE MY INDIA

„Fajna czapeczka!” – zagaduje rozbawiony Hindus, kiedy idziemy długą, asfaltową ulicą w kierunku stadionu. „Pochodzę z Kaszmiru i jestem za Pakistanem. Tylko nie mów nikomu...” – dwuruje sobie mój nowy znajomy, konfidenjonalnie zniżając ton. Uspokajam go, że to będzie nasza tajemnica.

Rzeczywiście wyglądam nieco dziwnie. Mam na głowie bejsbolówkę z napisem: „I love my India”. Jakby się zastanowił, to ani ich przesadnie nie „kocham”, ani nie są one „moje”. Czapkę kupiłem od jakiegoś ulicznego naganiacza na 100 rupii (5 zł) wierny dewizie „Jesteś w Rzymie, to zachowuj się jak Rzymianie”. Teraz trochę mi głupio z powodu tego małego, patriotycznego kamuflażu.

Tymczasem atmosfera wokół jak przed meczem piłkarskim. Tłumy Hindusów

z policzkami pomalowanymi w narodowe barwy cisną się do bramek, bo przed wejściem na ogromny stadion trzeba przejść przez kontrolę. Można mieć przy sobie jedynie podręczną elektronikę, dokumenty i wodę.

Między czekającymi kibicami skacze tłum sprzedawców. Najlepiej schodzą czapeczki oraz napoje – remedium na upał, który przekracza 40 stopni. Można oszaleć z gorąca.

TRUDNY ROZWÓD

Wyznawcy różnych religii żyją wspólnie na Półwyspie Indyjskim od setek lat, które obfitowały w liczne wojny i krwawe podboje. Animoszje utrzymywały się także pod jarzmem brytyjskiej korony (od końca XVIII w.). To był trudny okres zwłaszcza dla muzułmanów, którzy w kolonialnych Indiach byli traktowani jak obywatele niższej kategorii. Drzwi do wielu szkół były dla nich zamknięte, podobnie jak do co bardziej intratnych zawodów. Oznaczało to stygmatyzację, wykluczenie i biedę. Hindusi, zwykle lepiej wykształceni i sprawniej władający angielskim, szybciej adaptowali się do warunków narzuconych przez brytyjskich najeźdźców, znajdując miejsce w kolonialnej administracji. Różnice w statusie powodowały liczne napięcia, często z rozmysłem podsycane przez Brytyjczyków.

Po II wojnie światowej osłabiona Wielka Brytania nie była w stanie już zatrzymać swej „perły w koronie”. W 1947 r. wicekrólestwo Indii rozpadło się na dwa niepodległe i zwaśnione państwa: Pakistan i Indie. Ich narodzinom towarzyszyły pogromy i przesiedlenia. Granice w obu kierunkach przekraczali wystraszeni ludzie uciekający przed prześladowaniem



foto. Piotr Chałubiński

Indie i Pakistan to jedyne kraje mające bombę atomową, które stoczyły między sobą regularną wojnę. A nawet kilka wojen

”



Ceremonia powtarzana jest codziennie od 60 lat, z przerwami na cztery wojny



Kto wyżej machnie nogą? Indie (pióropusz czerwony) czy Pakistan (pióropusz czarny)?

i śmiercią: muzułmanie do Pakistanu, Hindusi do Indii.

Specjalne wagony, którymi podróżowali uchodźcy, nie rzadko docierały do celu wypełnione martwymi ciałami pasażerów. Nazywano je krwawymi pociągami lub pociągami śmierci. „Zbyt często składy przekraczały granicę w pogrzebowej ciszy, a krew sączyła się spod drzwi wagonów” – pisał o tych okrutnych czasach Nisid Hajari, autor książki *Midnight's Furies*, o powstaniu Indii w 1947 r.

Zginęło około miliona osób, wśród nich ojciec niepodległych Indii Mahatma Gandhi, zabity przez fanatycznego hindusa za to, że działał na rzecz pojednania z muzułmanami. W następnych

latach pokojowe przesłanie Gandhiego zostało zaprzepaszczone; granice, nieudolnie wytyczone na mapie, korygowano w serii kolejnych wojen w 1947, 1965, 1971 i 1999 r. Kością niezgody był szczególnie księstwo Kaszmiru – przez wieki zamieszkałe głównie przez muzułmanów, lecz rządzone przez hinduską dynastię.

SZTAFETA Z FLAGĄ

Z głośników lecą taneczne przeboje z bollywoodzkich filmów. Publiczność krzyczy, śpiewa, klaszcze. Powiewają chorągiewki. Tłum co jakiś czas wznosi okrzyki: „Niech żyją Indie!” oraz „Hindustan!”. Trwa patriotyczny ceremoniał, który wpisuje się w promowaną przez rządzącą Indyjską Partię Ludową

ideologię hindutwy – skrajnej doktryny nacjonalistyczno-religijnej.

Pakistańczycy po drugiej stronie płotu nie pozostają dłużni i odpowiadają z podobnym zaangażowaniem. Okrzyki „Pakistan” czy „Allah, Allah” giną jednak w hinduskiej wrzawie. Trybuny u rywala są mocno przerzedzone: jest tam trochę żołnierzy w ciemnych okularach, kilku turystów, a w osobnych sektorach garszka kobiet.

Na ulicy prowadzącej do granicy ustawia się tłum kobiet w różnym wieku: od przedszkolaków do emerytek. Zaczyna się patriotyczna sztafeta. Każda z uczestniczek biegnie kilkadziesiąt metrów, z indyjską flagą w rękę, do narysowanej na asfalcie linii i przekazuje



sztandar kolejnej osobie w kolejce. Niektóre z kobiet starają się dotknąć rękami ziemi i symbolicznie przekroczyć terytorium wroga.

Kiedy sztafeta się kończy, a na drogę wylewa się grupa roztańczonych dziewczyn. Z głośników leci skoczny indyjski pop, który po raz kolejny elektryzuje tłum. Granica zamienia się w taneczny parkiet. To znowu zabawa tylko dla kobiet. Są jednak małe wyjątki...

„Możesz mi pomóc?” – zagaduje mnie jedna z kobiet, która bawi się w tłumie za barierkami. Przytakuję i już za chwilę przenoszę z trybun na przygraniczny parkiet wszystkich jej synów (kilkuletnich, więc lekkich). Surowa pani oficer, która wielokrotnie wcześniej groziła mi palcem za uchybienia wobec regulaminu, tym razem uśmiecha się życzliwie.

MAMY BOMBĘ

Pakistańsko-indyjskie wojny bardziej zainteresowały świat dopiero, kiedy pojawiła się obawa, że przerodzą się w konflikt nuklearny. Władze w Delhi zasiadły w „klubie atomowym” już w 1974 r., kiedy na pustynnym Radżastanie dokonały udanej próby jądrowej pod frapującym kryptonimem „Smiling Buddha”.

„Nawet jeśli mielibyśmy jeść trawę przez tysiąc lat, to będziemy mieli własną bombę” – odgrażał się premier Pakistanu Zulfikar Ali Bhutti. Nie rzucał słów na wiatr. Po drugim indyjskim teście w 1998 r. Pakistan odpalił na próbę własną atomówkę, nad którą potajemnie pracował (m.in. kupując technologie z komunistycznej Korei Północnej).

Wiosną 1999 r. oba kraje znowu stanęły na progu wojny. Wspierani przez Pakistan separatysty przekroczyli granicę Indii i obsadzili przygraniczny rejon Kargilu w Kaszmirze. Wspierani byli przez pakistańskie wojska specjalne i piechotę. Bitwa o kaszmirskie wzgórza, która potem nastąpiła, trwała trzy miesiące. Był to jedyna w historii otwarta konfrontacja atomowych potęg. Na szczęście żadna z nich nie zdecydowała się sięgnąć po najmocniejszy argument, a konflikt nie wylał się poza granice Kaszmiru.

Szacuje się, że oba kraje mają po ok. 150 gotowych do użycia głowic nuklearnych. Ale Indie zdobyły znaczną przewagę, bo posiadają m.in. tzw. triadę nuklearną, czyli możliwość uderzenia z ziemi, powietrza i morza (Pakistan tylko z ziemi i powietrza).

Choć stosunki między Pakistanem a Indiami pozostają bardzo wrogie, to, zdaniem wielu ekspertów, obecność broni jądrowej w arsenalach ma dla regionu działanie stabilizujące. Strach przed użyciem głowic (a tym samym wzajemnym unicestwieniem) już wielokrotnie skłaniał jednych i drugich do powrotu do negocjacyjnego stołu.

JAK KOGUTY

Siedzę uwięziony w sektorze dla obcokrajowców. Nadzorują nas żołnierze, którzy pilnują, aby spektakl nie wymknął się spod kontroli. Przy każdej próbie podejścia do barierek jestem zatrzymywany i palcem odsyłany na swoje miejsce.

Właściwa ceremonia będzie dopiero po tańcach i patriotycznej sztafecie. W rolach głównych wystąpią żołnierze. Są jak koguty – starannie wyselekcjonowani i gotowi do śmiertelnej walki. Każdy (zarówno po stronie hinduskiej, jak i pakistańskiej) ma czapkę z wysokim pióropuszem oraz elegancki paradny mundur i zakręcony do góry wąs. To obowiązkowa część kreacji, za którą żołnierze pobierają dodatkowy żołd.

Owi wąsacze dynamicznie, acz nie zawsze zgrabnie, maszerują w kierunku nieprzyjaciela. Rozpoczyna się spektakl na groźne miny, dziarskie okrzyki, prowokacyjne pozy oraz unoszenie nóg wysoko nad głowę. Im wyżej – tym lepiej. W tej synchronicznej musztrze, niemal identycznej po obu stronach, powaga zamienia się w kicz, a patriotyzm – w napuszoną krzykliwość.

Tymczasem na trybunach wodzirej zagrzewa publikę do dopingowania swoim. „Hindustan!” – zdziera gardło. „Na wieki!” – odpowiada tłum. I tak w kółko. Strażnicy wracający spod bramy dzielącej dwa kraje, nagradzani są brawami i gromki okrzykami.

NA KRAWĘDZI WOJNY

26 lutego br. Indie dokonały nalotu na terytorium Pakistanu – po raz pierwszy od niemal 50 lat. Celem były obozy Armii Mahometa, która przeprowadziła zamach w indyjskiej części Kaszmiru. Zdaniem New Delhi rząd w Islamabadzie udzielał terrorystom schronienia. Dzień później, czyli 27 lutego, Pakistan stracił indyjski samolot i pojmał jego pilota, który katapultował się ze spadającej maszyny. Szybko wyrósł on na narodowego bohatera Indii, a kiedy wracał do ojczyzny – uwalniany przez Pakistańczyków – na granicy witały go tłumy.

Narendra Modi, premier Indii, który ubiegał się o reelekcję w majowych wyborach, pokazał się jako silny i zdecydowany przywódca. Postawił w stan pogotowia jednostki strategiczne, m.in. nowy okręt podwodny wyposażony w jądrowe pociski balistyczne.

Jeśli konflikt z Pakistanem miał wywołać patriotycznie wzmożenie i przechylić szalę wyborów, to plan powiódł się. Modi odniósł zdecydowane zwycięstwo.

OSOBNÓ, ALE RAZEM

Graniczne widowisko rozpoczęło się w 1959 r. Początkowo miało być gestem dobrej woli, ale szybko przerodziło się w teatralną namiastkę wojny. Jeśli relacje między oboma krajami układają się gorzej, to nogi żołnierzy wyrzucane są wyżej w powietrze, miny robią się bardziej przerażające, a tupnięcia nogą stanowiącze i głośniejsze.

Z czasem jednak nacjonalistyczna, konfrontacyjna zmiana warty stała się – jakkolwiek dziwnie to brzmi – symbolem bliskości i wspólnoty losów obu narodów. Kiedy zachodzi słońce, dwie flagi – indyjska i pakistańska – są opuszczane jednocześnie. Potem oficerowie wrogich mocarstw podają sobie ręce.

I to już koniec – żelazna brama zatrzaskuje się z hukiem. Następnego dnia ceremonia zacznie się na nowo. ○

Piotr Chałubiński

Politolog. Interesuje się krajami byłego ZSRR oraz Indiami. Pracował w TVP i TVN. W wolnych chwilach podróżuje, trenuje judo i BJJ.

Na wschód od Europy, na zachód od Azji



NIEBEZPIECZEŃSTWO REWANŻU SIŁ
PROROSYJSKICH JEST REALNE. ALE Z KURSU
NA ZACHÓD UKRAINA JUŻ NIE ZAWRÓCI

Serhij Żadan

Vladimir Shtanko/Anadolu Agency/Getty Images



W czerwcu 2017 r. unia europejska zniósła wizy dla ukraińców. Mieszkańcy Kijowa namalowali wtedy największą na świecie flagę UE

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie wywołują wiele pytań. Przede wszystkim – wśród samych Ukraińców. Mało kto tak naprawdę rozumie, co dzieje się w kraju, tak jak mało kto może dzisiaj z pełnym przekonaniem stwierdzić, że wie, jaki będzie dalszy bieg wypadków. Zmiana władzy i zwycięstwo aktora Wołodymyra Zeleńskiego w wyścigu o fotel prezydenta wywołuje u części Ukraińców niepokój przed rewanżem prorosyjskich sił. U innych budzi nadzieję, że do rewanżu dojdzie. Wszystkich interesuje zaś kierunek, w jakim będzie zmierzał kraj pod wodzą nowego prezydenta.

NA ZACHÓD – BEZ ZMIAN

Twierdzenie, że Ukraina odrzuciła swój proeuropejski kurs, jest przedwczesne. Co więcej, ktokolwiek by dzisiaj doszedł do władzy i jakkolwiek odległe byłyby mu idee euroatlantyckie, Ukraina już na tyle mocno związała się z Zachodem, że kolejna próba wypisania jej z europejskiego kontekstu i przywrócenia do strefy wpływów Kremla nie doprowadziłaby do kompletnego demontażu jej niezależności.

Nie trudno bowiem przewidzieć, jak ukraińskie społeczeństwo zareagowałoby w takiej sytuacji. Ostatnia próba pozbawienia kraju niezależności wywołała burzliwy uliczny sprzeciw i kosztowała ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza utratę urzędu.

Zwycięstwo Zeleńskiego nie oznacza wcale, że większość wyborców nowego prezydenta to agenci Kremla, którzy marzą o powrocie w objęcia „starszego brata”. Należy mówić przede wszystkim o wewnątrzukraińskiej sytuacji, a nie o zmianie ogólnego kursu. Nawet ewentualne ryzyko prorosyjskiego rewanżu więcej mówi o podziale sił wewnątrz systemu politycznego, społecznej układance aniżeli o zmianie zewnętrznych priorytetów.

Charakterystyczne jest to, że początek prezydentury Wołodymyra Zeleńskiego w kwestiach zagranicznych wprost przypomina politykę Petra Poroszenki z jego orientowaniem się na Waszyngton i Brukselę, powtarzaniem, że Ukraina prowadzi wojnę z Rosją. I jeżeli nawet ludzie z otoczenia nowego prezydenta pozwalają sobie na „odważne” wypowiedzi na temat Rosji, Putina czy wariantów zawieszenia ognia w Donbasie, to przynajmniej na razie prezydent Zeleński pozostaje całkiem stonowany w swoich wystąpieniach. Wywołuje to zresztą pierwsze rozczarowanie i niezadowolenie wśród jego wyborców.

Mam nadzieję, że obecne otoczenie prezydenta dobrze odrobiło lekcję Wiktora Januko-

wycza i swoimi działaniami nie będzie prowokować obywateli do protestu siłowego. Chociaż oczywiście niebezpieczeństwo wspomnianego rewanżu sił prorosyjskich jest całkiem realne. Tak samo jak całkiem realna może być zmiana politycznej retoryki na bardziej koncyliacyjną względem Rosji. Wątpliwe jednak, by język nowych władz mógł być antyeuropejski. Przynajmniej na razie nic na to nie wskazuje.

JAKI KANAŁ, TAKI POGLĄD

Nawet jeżeli dopuścimy możliwość, że nowa ukraińska władza zacznie w tym czy innym formacie rozmowy z Rosją, a nowy prezydent spróbuje zawrzeć jakieś porozumienie z Kremlą, wątpliwe, by zmieniło to proeuropejski kurs Ukrainy.

Pojęcie owego kursu jest dosyć umowne, jednak co do zasady – prawidłowe. Powstrzymanie zimą 2013/2014 przez ukraińskie społeczeństwo (albo raczej jego proeuropejską część) procesu stopniowego przejmowania kraju przez Rosję ostatecznie wyznaczyło priorytety Ukrainy w polityce zagranicznej. Lepsza niedoskonała, ale oparta na pewnych standardach i mniej więcej stabilna Unia Europejska niż – choćby i „bratnia” – całkowicie niekontrolowalna i nieprzewidywalna Rosja.

Lepsza niedoskonała, ale oparta na pewnych standardach i mniej więcej stabilna Unia Europejska niż – choćby i „bratnia” – całkowicie niekontrolowalna i nieprzewidywalna Rosja



Ogólnie rzecz ujmując, Ukraina obecnie specjalnego wyboru po prostu nie ma. Czym mogą zakończyć się „bliskie relacje” z Rosją, Ukraińcy przekonali się w marcu 2014 r., kiedy sąsiad w bezpardonowy sposób anektował Krym. I nawet jeśli przypuścimy, że dojdzie do „ocieplenia stosunków”, to tak czy inaczej trudno sobie w najbliższym czasie wyobrazić normalne relacje między Kijowem a Moskwą. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich pięciu lat – wojnie w Donbasie, zestrzeleniu na ukraińskim niebie malezyjskiego Boeinga, iłowajskim kotle, Debalcewie, donieckim lotnisku.

Wątpliwe, by stosunek Ukraińców do Unii Europejskiej uległ jakiegś kardynalnej zmianie, nawet przy uwzględnieniu wszystkich kosztów poniesionych przez Ukrainę w ciągu ostatnich pięciu lat wojny. Ukraińskie społeczeństwo jest spolaryzowane w podstawowych kwestiach światopoglądowych i ideologicznych. Kwestia integracji europejskiej nie jest tutaj wyjątkiem.

Ukraińcy zawsze mieli bardzo zróżnicowane podejście do Europy. Sytuacja ta nie zmieniła się nawet po wprowadzeniu ruchu bezwizowego. Ci, którzy widzieli i widzą w Europie część swojej życiowej i kulturowej przestrzeni, przyjęli zniesienie wiz do UE jako symboliczne zwycięstwo. Trudno jednak sądzić, że bezwiz gruntownie zmienił podejście

całego ukraińskiego społeczeństwa do integracji europejskiej. Olbrzymia część Ukraińców nigdy nie myślała (i nie myśli) o Europie w kategoriach swojej przestrzeni kulturowej. Zresztą to nie jest nawet kwestia własnego doświadczenia, ale raczej prezentowanego im obrazka telewizyjnego. Dla wielu moich współobywateli Rosja nadal – i to pomimo wojny, agresji i okupacji – pozostaje czymś bliskim i całkiem zrozumiałym, choć jednocześnie tak samo abstrakcyjnym (i poznawanym przede wszystkim przez media) jak Europa. Problem nie leży w tym, czy Ukraińcy wybierają europejskie wartości, czy oddają się wizji „ruskiego świata”. Polega on na tym, że wybór ów zasada się bardzo często na braku osobistego doświadczenia i zależy od kanału telewizyjnego, jaki ktoś ogląda.

GNIJE, ALE PIĘKNIE PACHNIE

Prywatne doświadczenia wyjazdów do Europy są wśród Ukraińców na tyle różne, że trudno powiedzieć, czy jakkolwiek „socjologia” potrafiłaby je ustrukturyzować i przebadać. Jak Ukraińcy odkrywają dla siebie Europę? Ktoś (bardzo często pozostając przy tym eurosceptykiem) wybiera turystykę i shopping toury (w Ukrainie już dawno temu zaczęto szydzić z prorosyjskich polityków za to, że ich wille, jachty i inne dobra znajdują się na tak zniechwilonym przez nich Zachodzie oraz że

mieszkają tam ich dzieci). Ktoś inny stawia na kontakty kulturalne (wygląda na to, że jest to najbardziej produktywny sposób współpracy Ukrainy ze zjednoczoną Europą). Jeszcze inne osoby wyjeżdżają uczyć się do jednego z krajów Unii Europejskiej.

Ukraińcy do Europy wyjeżdżają jednak przede wszystkim zarabiać. Rosyjskiej propagandzie trudno zakłamać osobiste doświadczenie człowieka, który popracował czy to we Włoszech, czy w Hiszpanii, czy w Portugalii. Ci mieszkańcy ukraińskich wsi i miasteczek nie będą potem słuchać rosyjskich bajek o „gniciu Europy”.

Inna sprawa, że duża część Ukraińców w ogóle nie wraca: imigracja jest realnym i dużym problemem, przy czym trudno mówić tu o równomiernym i cywilizowanym procesie integracji. W oczach wielu Europejczyków Ukraina nadal pozostaje mało zrozumiałym obszarem, który znajduje się gdzieś na wschód od „prawdziwej” Europy. Tymczasem wielu ukraińskim migrantom Europa kojarzy się przede wszystkim z wielkim rynkiem pracy, wielkimi możliwościami. Właśnie, możliwościami – a nie wartościami. O nich ostatnio mówi się coraz mniej.

Nawet ta fala eurooptymizmu, która wywiodła na place miast tysiące Ukraińców zimą 2013/2014, nie była jednoznaczna i jednorodna. Europejski wybór zwolenników ukraińskiej rewolucji bazował na różnych przesłankach: ktoś faktycznie wspierał europejskie wartości, idee liberalizmu i demokracji; ktoś traktował prozachodni ruch integracyjny jak realną możliwość oderwania się od Rosji (chcącej narzucić sąsiadom postkolonialny status). Na innych działały proste, populistyczne hasła w stylu „europejskiego standardu życia”. Sama idea eurointegracji nie była w żadnej mierze główną siłą napędową ukraińskiej rewolucji. Należy traktować ją raczej jako pewną formalną podstawę dla stworzenia dużego, antykolonialnego ruchu społecznego.

Poza tym w warunkach rosyjskiej okupacji i ostrego zbrojnego konfliktu z Rosją to właśnie Europa, mimo całej umowności i rozmytości tego terminu, stała się dla Ukrainy głównym partnerem. To właśnie z przedstawicielami Unii Euro-



Nowy prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski pochodzi z Krzywego Rogu, miasta leżącego na południowym-wschodzie kraju. Dla wielu jest obietnicą nadejścia trzeciej Ukrainy, narracji łączącej wrażliwość mieszkańców wschodu i zachodu państwa.



Rewolucja godności rozpoczęła się w 2013 r., kiedy prezydent Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską

Ukraińskie władze raz na zawsze zostały pozbawione możliwości całkowitego lekceważenia społecznych oczekiwań

”

pejskiej musieliśmy zasiąść do stołu rozmów i to w europejskich politykach widzimy głównych gwarantów naszego wsparcia i bezpieczeństwa.

EUROPA UREALNIONA

Ukraińcy w swoich proeuropejskich aspiracjach już dawno zostali pozbawieni romantycznych iluzji czy nadmiernych oczekiwań. W ciągu pięciu lat wojny przywykliśmy do tego, że działania naszych europejskich sojuszników wymagają naszej nieustannej obserwacji. A do tego potrafią być one – delikatnie rzecz ujmując – kontrowersyjne. Gotowość niektórych europejskich polityków do pójścia na kompromis z Kremlm, który naruszył wszystkie możliwe reguły i zasady europejskiej równowagi politycznej, w sposób

oczywisty działa otrzeźwiająco – nawet na największych euroromantyków nad Dnieprem.

To, że Ukraińcy są coraz bardziej pragmatyczni w stosunku do Europy, powinno wszak cieszyć – romantyzm daje natchnienie, ale nie zawsze skłania do wytężonej pracy. Wyzbyć się iluzji, że Europa zawsze jest gotowa bezkompromisowo trwać przy naszym boku i realizować wszystkie złożone obietnice, powinno przypominać Ukraińcom jedną prostą rzecz: Europa nie jest magicznym remedium na wszystkie nasze bolączki. Europejscy liderzy nie muszą (i nie będą) rozwiązywać naszych problemów za nas. Wszystko pozostaje w naszych rękach, również stworzenie nowych, pogłębionych relacji ze zjednoczoną Europą.

Właśnie tak konstruowane są równoprawne, cywilizowane relacje międzynarodowe – poprzez samouswiadomienie sobie własnej odpowiedzialności i wyznaczenie własnych priorytetów. Tego ostatniego brakuje nam dzisiaj szczególnie. ●

Przełożył Tomasz Piechal

Serhij Żadan

jest ukraińskim pisarzem i poetą, laureatem wielu nagród, m.in. Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, autorem tłumaczonych na polski powieści m.in. *Internat*, *Woroszytówgrad* czy *Mezopotamia*

Co dalej z Unią Europejską



OBYWATELE KRAJÓW UNII MAJĄ UZASADNIONE
POCZUCIE, ŻE POLITYCY ZAJMUJĄ SIĘ NIMI TYLKO
PRZED WYBORAMI. TO SIĘ MUSI ZMIENIĆ

z Ivetą Radičová, byłą premier Słowacji, rozmawia w Bratysławie Łukasz Grzesiczak

Vernon Yuen/NurPhoto via Getty Images



Nowy mural Banksy'ego namalowany w Dover nad kanałem La Manche

Łukasz Grzesiczak: Czy coś zdziwiło panią w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego?

Iveta Radičová: Dwa zjawiska. Po pierwsze, silnie obecne głosy eurosceptyczne przyczyniły się do zwiększenia frekwencji wyborczej. To nie jest paradoks, przeciwnie – mobilizacja sił eurosceptycznych sił wywołała także mobilizację wyborców proeuropejskich, czego skutkiem była wysoka frekwencja.

Drugie zjawisko, które mnie cieszy, to tocząca się podczas kampanii dyskusja. Szczególnie ważny jest temat ochrony środowiska naturalnego, który stał się dziś ważniejszy niż najgłośniejsza jeszcze niedawno kwestia migracji.

Populiści wygrali we Francji, mają wielu wyborców choćby we Włoszech. Dlaczego?

Zacznę od tezy lekko prowokacyjnej, ale prawdziwej. Każdy polityk musi do pewnego stopnia być populistą, inaczej nie zdobyłby głosów. Pan ma na myśli ekstremę, kiedy za populizmem nie idą żadne treści z wyjątkiem koncepcji antysystemowej krytyki i uników.

Zapytam zatem inaczej. Dlaczego takie żniwo przynosi głoszenie haseł ksenofobicznych i antysystemowych?

To, co się dzieje w demokracjach liberalnych – zresztą nie tylko w Europie – ma dwa charakterystyczne rysy. Jeden

jest naturalny, drugi stanowi wynik złego funkcjonowania polityki.

Zacznijmy od tej naturalnej przyczyny...

Jeśli spojrzymy – oczywiście ujmując to w ogromnym uproszczeniu – na ostatnie sto kilkadziesiąt lat, Europa co około cztery dekady przechodziła zasadniczą przemianę.

Najpierw była najbogatszym kontynentem z największymi koloniami na całym świecie. W ciągu następnych 40 lat Europa popełniała samobójstwo – mam na myśli dwie wojny światowe – i w efekcie bardzo zbiedniała. Z własnej winy. Bo nie opanowała ekstremizmu, nacjonalizmu i oddała się bratobójczym walkom.

Przez ostatnie 40 lat obserwujemy z kolei znowu tendencję wzrostową, a zawdzięczamy ją projektowi łączenia i integracji w ramach Unii Europejskiej. Kluczowy zdaje się być upadek żelaznej kurtyny i koniec zimnej wojny. Europa znów stała się silnym graczem na arenie międzynarodowej, ale po raz kolejny jest na rozdrożu – przede wszystkim z powodu zasadniczych wyzwań, z którymi najbogatszy kontynent musi się mierzyć.

Jakie wyzwania ma pani na myśli?

Pierwsze to społeczne nierówności i wycena wartości ludzkiej pracy. Podam przykład. W Stanach Zjednoczonych pewnego razu śmieciarze przestali wywozić śmieci. Nie mieli związków zawodowych, które broniłyby ich praw, więc rozpoczęli strajk. Po dziesięciu dniach Nowy Jork był na kolanach, wszędzie zalegało pełno odpadów. Trzeba było ustąpić i zrealizować postulaty śmieciarzy, bo ich profesji nie da się zastąpić.

Z drugiej strony proszę sobie wyobrazić bunt bankowców. Na lokalnym poziomie – np. w miejscowej gospodarce – pojawiłby się natychmiast system mikropożyczek oferowanych poza wielkimi instytucjami finansowymi. Bowiem zawód bankiera można zastąpić, a śmieciarza – nie.

Czego to dowodzi?

Niezbędne zawody są najniżej opłacane, a w tych „zbędnych” [które nie wytwarzają namacalnych, materialnych produktów – red.] – jak agenci ubezpieczeniowi, bankowcy, konsultanci, eksperci finansowi – zarabia się najlepiej. W ten sposób w systemie powstaje nierówność. Obywatele odczuwają ją bardzo mocno, a różnice między regionami dodatkowo ją pogłębiają.

I z tym właśnie muszą się dziś zmierzyć wszystkie liberalne demokracje. To kwestia sprawiedliwości, rozumianej w sensie możliwości rozwoju dla każdego człowieka. Ogromna część europejskiej populacji nie ma równych szans, bo np. ktoś rodzi się w biednym regionie. Na to poczucie niesprawiedliwości nakłada się niepewność jutra, wynikająca z sytuacji społeczno-ekonomicznej.

I nagle w tej sytuacji pojawia się ktoś, kto oferuje szybkie i proste rozwiązania...

...A im większe są nierówności, niepewność i grupa wykluczonych, tym większa przestrzeń dla alternatyw. Tego właśnie jesteśmy świadkami we Włoszech, które mają problemy z budżetem, a w których różnice między północą i południem się pogłębiają. Widzimy to też w Hiszpanii, gdzie bogata Katalonia coraz silniej dąży do autonomii.

W przypadku podatków i innych zagadnień ekonomicznych można znaleźć kompromis, ale w sporze o tożsamość – już nie. To otworzyło drogę ekstremistom oraz nowym bytom na scenie politycznej.

Co dalej? Co to znaczy dla Unii Europejskiej?

Unia Europejska to największy sukces wśród dotychczasowych projektów europejskich. Nie chodzi tylko o wymiar ekonomiczny, ale także społeczny. Co dalej? Na pewno należy otwarcie mówić o problemach.

Nie robimy tego?

Nie. Otacza nas dezinformacja, konspiracja i kłamstwo. Jeśli spojrzymy na zasięg przemysłu dezinformacyjnego, to zobaczymy, że jest dziś o wiele silniejszy niż dawniej. Jego celem jest osłabienie Unii Europejskiej. Jeśli pozwolimy się osłabić, sami będziemy winni.

Fakty przegrywają, bo kłamstwo jest zbudowane na emocjach. Jak wygrać ten bój przy pomocy racjonalnych argumentów? To niemal niemożliwe. Jeśli nie połączymy faktów z emocjami i nie wzbudzimy zaufania, przegramy. Musimy stworzyć opowieść, która pomoże wzbudzić silne zaufanie.

Jak tego dokonać?

Tylko wielcy mężowie stanu to potrafili, nawet kiedy mówili niepopularne rzeczy. Gdy Churchill jako jeden z pierwszych wystąpił przeciwko niebezpiecznej ideologii narodowego socjalizmu, wszyscy go krytykowali. Wytrwał. Mąż stanu to ten, który pójdzie za swoją wizją i nie ulegnie wpływowi opinii publicznej. Masy nie wskażą, co warto zmienić – one reagują doraźnie, na to, co tu i teraz.

Dziś mamy do czynienia ze zderzeniem dwóch stylów uprawiania polityki. Ten, który jest obecnie silny, opiera się na dwóch prostych rzeczach: obiecywać wszystko i stworzyć wyimaginowanego wroga.

Soros, uchodźcy, społeczność LGBT, Żydzi...

To dobre przykłady. Jakim wrogiem jest Soros? Przecież to nonsens. Wystarczy pomyśleć. Wszystko jedno, kogo wskażemy jako wyimaginowanego wroga – raz są to Żydzi, raz Romowie, kiedyś u nas na Słowacji byli to Węgrzy... Jeśli wroga powołaliśmy do życia, możemy go też

zlikwidować, lecz nie zawsze. Ferment społeczny, który jest efektem naszej retoryki, po pewnym czasie rządzi się własnymi prawami. Jeśli obudzimy falę nacjonalizmu, nie uda nam się jej zatrzymać.

Zdaniem pani profesor jesteśmy już w tym miejscu?

Nie. Jeśli spojrzymy na wyniki eurowyborów, widzimy, że wciąż dominują siły antynacjonalistyczne, patriotyczne, proeuropejskie, z jasną wizją, czego potrzebujemy w najbliższych latach.

Nacjoniści jeszcze nie wygrali, na razie są w mniejszości. Inna sprawa to przestrzeń, jaką mają w mediach – moim zdaniem nieproporcjonalnie większą, niż wynikałoby z ich rzeczywistej siły. Z tego powodu się umacniają. Nie mówię, że nie powinno być dla nich miejsca. Niech je mają, ale należy weryfikować ich prawdziwość; upubliczniać, kto stoi za ich komunikatami itd.

A oprócz nacjonalizmu i nierówności? Jakie jeszcze wyzwania stoją przed Unią Europejską i, szerzej mówiąc, przed liberalną demokracją?

Jest ich kilka. Na przykład państwo prawa. Jesteśmy świadkami poważnego zachwiania jego reguł, nasze rodzime instytucje demokratyczne zawodzą.

Inne wyzwanie to jakość życia: środowisko naturalne, ale także opieka zdrowotna i emerytalna. Społeczeństwo błyskawicznie się starzeje. Stoimy przed ogromną potrzebą solidarności międzypokoleniowej. Problem w tym, że my już tę solidarność zniszczyliśmy. Zużywamy zasoby naszych wnuków i prawnuków, to nie jest w porządku.

I wreszcie kolejnym wyzwaniem jest samo uczestnictwo obywateli w sprawach publicznych. Dziś obywatele krajów UE mają uzasadnione poczucie, że politycy zajmują się nimi tylko przed wyborami. Jeśli nie okażemy im zainteresowania, stworzymy przestrzeń dla tych, którzy demokrację uważają za przeżytek i zaoferują inne rozwiązania.

Kiedy szedłem na studia, wszędzie słyszałem tylko jedno słowo: „rozszerzenie”. Dziś zewsząd dochodzi do mnie tylko exit. Słyszę o brexicie, czexicie. Czy to już koniec integracji europejskiej?

Jest różnica między rozszerzaniem UE a integracją. Dotychczas dominowało to pierwsze. Było to uzasadnione, bo jeśli mamy zapewnić spokój i dobrobyt, trzeba zgromadzić w jednej strukturze jak najwięcej państw, aby zapobiec konfliktom. Wciąż o członkostwo w Unii ubiegają się kolejne kraje, ale nauczeni kryzysem wymagamy, aby spełniały określone kryteria, zanim je przyjmimy.

Integracja to zupełnie inny temat. Wymaga przekazania narodowych prerogatyw instytucjom unijnym w dwóch sferach – budżetu i spójności społecznej. We wszystkich innych obszarach kraje zachowały niezależność.

Czy to optymalne rozwiązanie?

Istnieją w tej kwestii różne koncepcje. Część przywódców np. francuski prezydent Emmanuel Macron mówi o większej federalizacji, czyli oddaniu Brukseli kolejnych kompetencji – takich jak podatki i polityka socjalna. Inni popierają ograniczoną federalizację – chcą, by wspólne były rynek, obronność i polityka zagraniczna. Jeszcze inni uważają, że to, co już oddały Brukseli, jest wystarczające. Ta ostatnia grupa jest najliczniejsza.

Spojrmy na Grupę Wyszehradzką. Neofaszystowska partia Mariana Kotleby na Słowacji zdobyła ok. 12 proc. W Czechach ksenofobiczne ugrupowanie Tomio Okamury cieszy się ok. 10-procentowym poparciem. Na Węgrzech zwyciężył Orbán, a w Polsce Kaczyński. Na Słowacji frekwencja była jedną z najniższych, a Czesi uchodzą za większych eurosceptyków niż Brytyjczycy. Co to wszystko o nas mówi?

Każde z państw, które pan wymienił, ma nieco inny stosunek do demokracji. Czeski premier Andrej Babiš otwarcie mówi, że nie interesuje go „głos ulicy” i w zasadzie sprywatyzował państwo.

Co do Słowacji – gdyby spytał mnie pan 30 lat temu, nie przewidziałabym, że partia, która jest otwarcie antysystemowa i której członkowie otwarcie wiążą się z faszyzmem, zdobędzie tak dobry wynik. Ale trzeba też pamiętać, że wybory wygrała liberalna Progresywna Słowacja, siła proeuropejska i prodemokratyczna. Dlatego nie potrafię sobie wyobrazić, aby u nas mogło dojść do tego co w Czechach. Nowa prezydent Zuzana Čaputová wyznaje inne wartości, a protesty obywateli traktuje się bardzo poważnie.

Jeśli idzie o Polskę, Czechy i Węgry, problemem jest brak atrakcyjnej oferty sił wyznających wartości demokratyczne i europejskie [na Słowacji taką ofertę uosabia Čaputová – red.].



**Iveta
Radičová**

jest socjolożką. W latach 2010-2012 była premierką Słowacji, w wcześniej pełniła m.in. funkcję minister pracy, rodziny i polityki społecznej. Obecnie jest dziekanem Wydziału Środków Masowego Przekazu w bratysławskiej szkole wyższej Paneurópska vysoká škola.

NIEPOWETOWANA STRATA CZASU



PAŃSTWO NOTORYCZNIE MARNUJE LUB ZABIERA NASZ CZAS. TO NIEJAWNY PODATEK, Z KTÓREGO CZĘSTO NIE ZDAJEMY SOBIE SPRAWY. CZAS Z TYM SKOŃCZYĆ

Michał Niepytalski



Tak sobie stoję w tym korku. I stoję, i stoję, i stoję. Raz na jakiś czas wrzucam jedynkę i toczę się 30 m dalej. Pomiar spalania na wyświetlaczu pokazuje straszne liczby. Oczyma wyobraźni widzę, jak na trasie z Radomia do Warszawy umieram ze starości. Jak umęczonymi starcami są ci, którzy w końcu ją opuszczają. Wracają do rodzin, które już nie spodziewały się ich zobaczyć, a skrępowane żony wbijają wzrok w podłogę, bo rzeczy zaginionych w korku mężów już dawno zostały oddane, a w ich pokojach zrobiono pomieszczenia do majsterkowania.

Zerkam na kierowcę na sąsiednim pasie. Z rękami na kierownicy zastęgl w bezruchu. Jakby czas się u niego zatrzymał. Ale czas się nie zatrzymał, biegnie nieubłagane, zabierając nam kolejne cenne minuty życia.

I tak w tym korku w okolicach Białobrzegów spędziłem ponad godzinę. Wszystko przez uszkodzony most i wyłączony z tego powodu pas jezdni.

Moja przerwa w życiorysie miała miejsce latem, ale utrudnienia trwały przez wiele tygodni. Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad starała się naprawić przeprawę, ale na drodze stały przeszkody instytucjonalne, m.in. procedury zamówień publicznych. Choć w pierwszym terminie przetarg został rozstrzygnięty, to trzeba go było unieważnić z przyczyn formalnych. Ostatecznie kolejny zakończono w sierpniu, umowę podpisano we wrześniu.

Otwarcie pasa ruchu nastąpiło w październiku, inwestycja kosztowała 327 tys. zł.

Tyle oczywiście kosztowała GDDKiA. A ile zamknięty pas jezdni kosztował obywateli? Pomijając już zużyte paliwo podczas długotrwałego stania w miejscu, to przecież każda godzina naszego życia da się realnie przeliczyć na pieniądze.

„Jest wiele metod wyceny czasu wolnego, także na poziomie makroekonomicznym” – wyjaśnia prof. Małgorzata Bombol, ekonomistka z SGH. „Można wyceniać czas wolny poprzez założenie, że odsprzedajemy go po określonej stawce godzinowej płacy” – tłumaczy. Popularną metodą jest też wycena subiektywna.

„Można np. w badaniach sondażowych zapytać: za jaką stawkę oddałby/-aby Pan/Pani swój weekend, urlop? Sama robiłam takie badania. Co do weekendu ludzie stosują osobiste wyceny poprzez własną stawkę godzinową mnożoną razy dwa albo trzy. Z kolei dwa tygodnie urlopu jesteśmy skłoni oddać przeciętnie za miesięczną pensję”.

6 ZŁOTYCH ZA GODZINĘ

Chyba najprostszą metodą zaproponowaną przez prof. Bombol jest – jak to określiła – metoda produkcyjna.

„Można wycenić czas wolny poprzez kategorię PKB wytworzonego w ciągu godziny pracy na jednego zatrudnionego albo na jednego mieszkańca”.

Ponieważ stanie w korku dotyka nie tylko pracujących, ale też bezrobotnych, emerytów, rencistów i dzieci, przyjmiemy właśnie tę metodę, żeby policzyć, ile kierowcy stracili, stojąc w Białobrzegach.

Zgodnie z takimi regułami godzina czasu wolnego mieszkańca Polski kosztuje niecałe 6 zł (dokładnie 5,89 zł, ale dla ułatwienia dalszych kalkulacji zaokrąglamy).

Zatory w Białobrzegach – jak podaje prasa lokalna – tworzyły się codziennie, szczególnie w godzinach szczytu. „Stoję w tym korku od 15, jest 17.20, a przejechałem 2 km, mam jeszcze 3,5 km” – to wypowiedź kierowcy cytowana przez portal Echo Dnia. Nawet jeśli poirytowany zmotoryzowany był świadkiem jakiejś wyjątkowej aberracji komunikacyjnej w Białobrzegach, to liतोściwie uznajmy, że tylko przez dwa weekendowe dni tygodnia tworzyły się korki o długości – powiedzmy – 3 km. W ich przeciętny kierowca spędzał 2 godziny. Przy uwzględnieniu jazdy „na jedyne” założmy, że auto, uwzględniając dystans od kolejnego, zajmowało 6 m jezdni. Wyjdzie nam, że na jednym pasie stało w korku jednocześnie ok. 500 samochodów. A jest to droga dwupasmowa. Jeśli więc nawet w każdym samochodzie siedziała tylko jedna osoba, to mamy tysiąc osób, które tracą 2 godziny dziennie.

Zatem łącznie straciły tego dnia 12 tys. zł. Przez weekend – 24 tys. zł. W okresie od maja do końca września, kiedy utrudnienia miały miejsce, były 22 weekendy. To daje nieco ponad pół miliona zł.

To oczywiście bardzo prowizoryczne, zakładające minimalistyczny (optymistyczny) wariant wyliczenia. W rzeczywistości



Zack Blanton/Getty Images



korki tworzyły się zapewne częściej, trwały dłużej, a w wielu autach było po kilka osób. Czy 0,5 mln zł to kwota, o którą warto kruszyć kopie? Przypomnijmy: firma, która wygrała przetarg na naprawę drogi, zaoferowała, że zrobi to za 327 tys. zł.

To było oczywiście zamówienie publiczne, a więc każdy zrzucił się na tę kwotę za pośrednictwem różnego rodzaju danin – podatków, akcyz itp.

A czy czas nie jest taką samą daniną publiczną? Mówiąc ściślej – podatek czasowy, którego państwo nie mierzy, i bierze, ile tylko potrzebuje.

Oczywiście organizatorzy państwowych przetargów mają możliwość, by czas wykonania zamówienia był jednym z kryteriów wyboru wykonawcy. Różne firmy proponują cenę i termin, w którym robota zostanie wykonana. Tym sposobem państwo może wybrać oferenta, który zobowiązuje się do najszybszej pracy. Ale cóż z tego, skoro czas jest kryterium drugorzędnym! W przypadku remontu w Białobrzegach stanowił tylko 20 proc. punktacji. Cena: 60 proc. Gdyby znalazła się firma, która zobowiązałaby się do wykonania naprawy nie w ciągu miesiąca, ale dwóch tygodni, choć za wyższą cenę niż konkurenci, to i tak by przegrała. A dla podatnika to właśnie – drożej, ale dużo szybciej – mogłoby być bardziej opłacalne masowo, uwzględniając stratę czasu kierowców i pasażerów aut.

„Wszelkie decyzje makroekonomiczne są co prawda podejmowane przez ludzi i – teoretycznie – dla ludzi, ale są w dużej mierze podejmowane bezrefleksyjnie. A kogo to obchodzi, że ktoś będzie stał w korkach? – stwierdza prof. Bombol. I dodaje: – Klóci się to z misyjnością dbania o obywateli”.

ZA CZYM TA KOLEJKA?

Kolejna scenka rodzajowa – miejsce akcji: warszawski szpital, ostry dyżur. Niedzielny poranek i smutni ludzie w poczekalni, którym nagły wypadek zepsuł weekend. Ambitne plany dotyczące spacerów, odwiedzin u krewnych, wizyt w muzeach itp. zepsute przez problemy ze zdrowiem.

Z każdą kolejną minutą czekania na lekarza smutek ustępuje zniecierpliwieniu, zniecierpliwienie irytacji, a irytacja wściekłości.

„Przepraszam panią bardzo, co ja mam teraz zrobić, żeby lekarz mnie przyjął?” – pyta pacjent w zaawansowanym stadium desperacji. „Musi pan czekać” – odpowiada pielęgniarka w oknie rejestracji. „Ale proszę pani, ja tu już czekam od godziny. Inni pacjenci też, a lekarza nie ma! Przecież to jest ostry dyżur!”

Głos mężczyzny z każdą chwilą jest bardziej podniesiony. Pomstuje na szpital, służbę zdrowia – ni to w powietrze, ni to do pielęgniarki. Kobieta spokojnym, choć zmęczonym tonem tłumaczy mu, że nic nie poradzi. Po prostu – lekarzy w szpitalu jest za mało. A czy ktoś się przejmuje, ile pieniędzy tracą pacjenci oczekujący w kolejkach?

Następnym naczelnym marnotrawcą czasu są koleje. Poziom punktualności (wyłączając opóźnienia poniżej 5 minut) to w naszym kraju ok. 90 proc. W pierwszym półroczu tego roku

koleje obsłużyły 200 mln pasażerów. Z tego można wyciągnąć wniosek, że 20 mln doświadczyło poważniejszych opóźnień – średnio ok. 10-minutowych. A więc spółki kolejowe zmarnowały czas swoich pasażerów na sumę ok. 20 mln zł.

„Są też pozytywne przykłady. Na przykład w urzędach w Warszawie nastawienie się zmieniło. Widać, że ktoś myśli o czasie człowieka” – pociesza Małgorzata Bombol.

Faktycznie z reguły w stolicy w urzędach są systemy „numerkowe”, a na spotkanie w niektórych placówkach można umówić się na konkretną godzinę przez internet.

Ekonomistka tak wyjaśnia przyczyny poprawy: „W urzędzie szybko widać frustrację obywatela. A czy ktoś dostrzega czy odczuwa frustrację ludzi stojących w korkach?”.

POLICZYĆ STRACONY CZAS

Jeśli spojrzeć wstecz, to nieraz fundamentalne polityczne przemiany zachodziły na skutek nieodpowiedzialnej polityki podatkowej państw. Na przykład rewolucja amerykańska wybuchła, bo mieszkańcy kolonii nie chcieli, by korona brytyjska mogła samowolnie na ich mieszkańców nakładać podatki.

Obecnie w Polsce i innych krajach demokratycznych podatki nakładane są decyzją władz pochodzących z wyborów i są jednoznacznie określone w ustawach. Niestety nie wszystkie. „Podatku czasowego” władze zabierają sobie tyle, ile im potrzeba.

Może pora na zmianę podejścia? Na pokojową i bezkrwawą rewolucję? Pierwszy krok: musimy uświadomić sobie, jak państwo, jak władze na różnych poziomach okradają nas z czasu lub lekceważą nasz czas. Drugi krok: zacząć rządzących z tego straconego naszego czasu rozliczać. Może warto zacząć od przeprowadzenia ogólnokrajowego audytu marnowania czasu, choć jak przekonuje prof. Bombol, byłoby to niezwykle kosztowne.

Można by za to pożenić to z koncepcją spisów powszechnych. Wystarczyłoby zadać kilka dodatkowych pytań, np.: ile czasu traci Pan/Pani codziennie w korkach? Potem stracony czas należałoby konsekwentnie uwzględniać w budżetach i w planowaniu. Do kosztów szpitali dodawać czas stracony w poczekalniach (przeliczony na złotówki), do kosztów przebudowy dróg koszty stania w korkach itp.

Jak wyegzekwować od polityków zmianę myślenia? Najsukcesowniejszym sposobem są wybory. Dlatego przy kolejnych może warto zażądać od kandydatów, żeby zadeklarowali, co zamierzają zrobić, by obniżyć „podatek czasowy”. Jeśli sami się o to nie upomniemy, to nic się nie zmieni. ●

Michał Niepitalski

jest dziennikarzem, specjalizuje się w nowych technologiach i ich społecznym oddziaływaniu. Zafascynowany eksploracją kosmosu i tym wszystkim, co jeszcze niedawno wydawało się domeną science-fiction, a staje się częścią codzienności

Afryka bezgotówkowa



PIERWSZE NAPRAWDĘ BEZGOTÓWKOWE
SPOŁECZEŃSTWA? WCAŁE NIE W EUROPIE. MOBILNE
PŁATNOŚCI BŁYSKAWICZNIE ROZPRZESTRZENIAJĄ SIĘ
NA KONTYNENCIE KOJARZONYM Z ZACOFANIEM

Tadeusz Michrowski

Shashank Bengali/MCT/MCT/Cetty Images



Kenijczycy gromadzą się wokół jednego z popularnych sklepów: Safaricom M-Pesa w Ntulele, w którym można płacić aplikacją EcoCash

Droga, która półpustynnym krajobrazem biegnie pod horyzont. Na koniec długiego marszu głodny i spragniony wędrowiec dostrzega starego farmera, który zbiera owoce do plastikowych skrzynek. Chwilę później wędrowiec trzyma w rękach butelkę wody i kilka bananów. Nie ma tylko gotówki. Obaj mężczyźni wyjmują telefony komórkowe. Mija kilka sekund i dźwięk przychodzącego SMS-a informuje, że pieniądze przeszły z konta na konto.

Bez prowizji, bez dodatkowych formalności. Bez gotówki.

To nie wizja przyszłości ani nawet reklama nowej usługi w wysokorozwiniętym

kraju Zachodu. To codzienność w Zimbabwie, państwie znanym na świecie przede wszystkim z upadającej gospodarki i hiperinflacji.

STO BILIONÓW ZA BOCHENEK

Historia mobilnych płatności w Zimbabwie to historia kryzysu. Napędzana rządowym impasem gwałtowna inflacja w Zimbabwie osiągnęła apogeum w 2008 r. Jej wysokość liczono w miliardach procent, a świat obiegły zdjęcia ludzi, którzy do sklepu spożywczego chodzili z taczkami pełnymi banknotów.

Rosła przemoc na ulicach, ludzie odmawiali komentarzy dla zachodniej prasy

w obawie przed zemstą służb bezpieczeństwa, a ówczesny premier ogłosił na konferencji, że jeśli rząd nie zakupi 800 tys. ton kukurydzy, obywatele będą głodować. W kraju, który jeszcze niedawno był największym eksporterem żywności w Afryce, Czerwony Krzyż szacował, że do końca roku połowa ludzi pozostanie bez jedzenia. Na przełomie 2008 i 2009 r. 80 proc. obywateli żyło poniżej granicy ubóstwa, a gospodarka skurczyła się o połowę w porównaniu z poprzednią dekadą. W obliczu utraty kontroli nad walutą i brakiem zaufania ludzie zaczęli przerzucać się na handel wymienny.

Kraj pogrążył się w chaosie.





Większość pieniędzy, które posiadają Zimbabwczycy jest bezwartościowa

Wkrótce rządzący uznali, że jedynym remedium będzie zastąpienie krajowej waluty amerykańskim dolarem. Nie rozwiązało to problemu do końca. Brak możliwości kreowania pieniędzy sprawił, że nie sposób było zapłacić za coś mniej, niż wynosił najniższy nominał banknotu USA, czyli jeden dolar, co oczywiście paraliżowało, stanowiące podstawę wymiany walutowej, drobne transakcje.

Na dodatek banknotów zwyczajnie brakowało. Zaczęto je więc drukować. Tak oto Bank Rezerw Zimbabwe zaczął drukować (a banki kreować) własnego, amerykańskiego dolara. Którego oczywiście nie akceptował nikt na świecie, a obywatele traktowali z dużym dystansem.

Wtedy na scenę wkroczył Strive Masiyiwa.

BANK NA TELEFON

To on stoi za sukcesem płatności mobilnych w tej części Afryki. Ten urodzony w Zimbabwe przedsiębiorca za młodu wyemigrował do Wielkiej Brytanii, by w latach 80. wrócić do kraju i – jak

opowiada na licznych konferencjach – z 75 dolarami kapitału założyć własny biznes. Powstała firma Econet Wireless. Strive połączył wyniesioną z Zachodu ekspertyzę technologiczną z doskonałym zrozumieniem lokalnego rynku. Ale najpierw przez pięć lat walczył o zniesienie państwowego monopolu telekomunikacyjnego w Zimbabwe.

Tak oto mieszkańcy jednego z najbiedniejszych krajów świata mogą korzystać z opieki, dotąd dostępnej tylko dla obywateli bogatego Zachodu

”

„Zatrudniliśmy 300 młodych osób i kazaliśmy im jeździć lokalnymi minibusami, co najmniej 15 razy dziennie” – mówił na organizowanym przez Mastercard symposium w 2014 r. „Mieli rozmawiać z pasażerami busów o nowej usłudze, jaką oferowaliśmy” – dodał.

Historia zaśmiała się ze sporu o państwowy monopol – dziś Econet Wireless ma 99,8 proc. udziałów w krajowym rynku telekomunikacji. Niedługo po kryzysie waluty i przejściu kraju na dolara zaoferowała dotychczasowym klientom nową usługę: EcoCash. Łatwy, pozbawiony opłat system transferów pieniężnych.

Wkrótce w piętnastomilionowym Zimbabwe 8 mln ludzi posiadało mobilne „konta”. Cztery razy więcej niż tradycyjne rachunki bankowe. W rozmowie z Guardianem Masiyiwa twierdził, że ponad połowa PKB przepływa przez jego firmę.

CAŁY KONTYNET UCIEKA NAPRZÓD

Korzyści wynikające z włączenia się do sieci EcoCash są oczywiste: brak opłat za tradycyjne transfery, a zatem moż-



liwość dokonywania najdrobniejszych, choćby wyrażonych w centach transakcji. System jest powszechny i działa na najstarszych telefonach.

Oznacza to, że pracujący w miastach młodzi mogą bez problemu przesyłać pieniądze mieszkającym na wsiach rodzicom. Niepewnych przekonuje ponad 40 tys. placówek, w których możliwa jest zamiana mobilnej gotówki na prawdziwą. Zdaniem niektórych komentatorów zmniejszyło to przestępczość w krajach, gdzie mobilna waluta się przyjęła. A tych jest wiele.

Model EcoCash nie był wyjątkowy. Sam Masiyiwa zlecił jego opracowanie jeszcze w 2005 r., by umożliwić transfer pieniędzy dla uchodźców po wojnie w Burundi. Wkrótce potem pionierem na wielką skalę stało się południowoafrykańskie Vodafone, które oferowało usługę M-Pesa we wschodniej Afryce („Pesa” oznacza w suahili „pieniądze”). Kluczem do sukcesu była sieć agentów; u nich można wypłacać gotówkę przelaną za pomocą SMS-ów. W samej Kenii M-Pesa ma dzisiaj 17 mln użytkowników; dostępna jest również poza Afryką, np. w Rumunii, Albanii, Indiach czy Afganistanie.

Według GSM Association (organizacji zrzeszającej operatorów telefonii komórkowej) dziś na świecie istnieje 850 mln kont, z których robi się płatności komórką – poza tradycyjnymi bankami – z czego połowa w krajach subsaharyjskiej Afryki (dane z 2016 r.). To właśnie tam system po raz pierwszy został wykorzystany przez ONZ – do przekazywania pieniędzy w ramach programów FAO (agenda ONZ ds. Wyżywienia i Rolnictwa).

Nigdzie jednak mobilne płatności nie rozwinęły się tak, jak w ojczyźnie Strive’a Masiyiwy.

SPÓŁCZEŃSTWO PRZYSZŁOŚCI

„Z biegiem lat EcoNet rozszerzyło zasięg działalności” – komentuje dla Holistic News prof. Albert Makochekanwa, przewodniczący Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Zimbabwe, najbardziej prestiżowej placówki naukowej w kraju. „Jest właścicielem banku, posiada też udziały w wielu firmach, w tym na platformach

międzynarodowych przekazów pieniężnych i telekomunikacyjnych” – dodaje.

Już ponad tysiąc firm w Zimbabwe wypłaca wynagrodzenia pracownikom właśnie w EcoCash, a opłacanie studiów, opieki medycznej, zakup książek, uiszczanie opłat administracyjnych czy ceł – o rachunkach nie wspominając – to w zasadzie codzienność. EcoNet uruchomił także własną usługę tanich mikroubezpieczeń.

Tak oto mieszkańcy jednego z najbiedniejszych krajów świata mogą korzystać z opieki, dotąd dostępnej tylko dla obywateli bogatego Zachodu.

Sukces EcoCash napędza całe Zimbabwe. Firma pomaga skuteczniej ściągać daniny dla państwa, dzięki przejrzystości zmniejsza korupcję, a nawet emancypuje kobiety (tzn. odsetek kobiet, które posiadają konta EcoCash, jest znacznie wyższy niż procent kobiet, które posia-

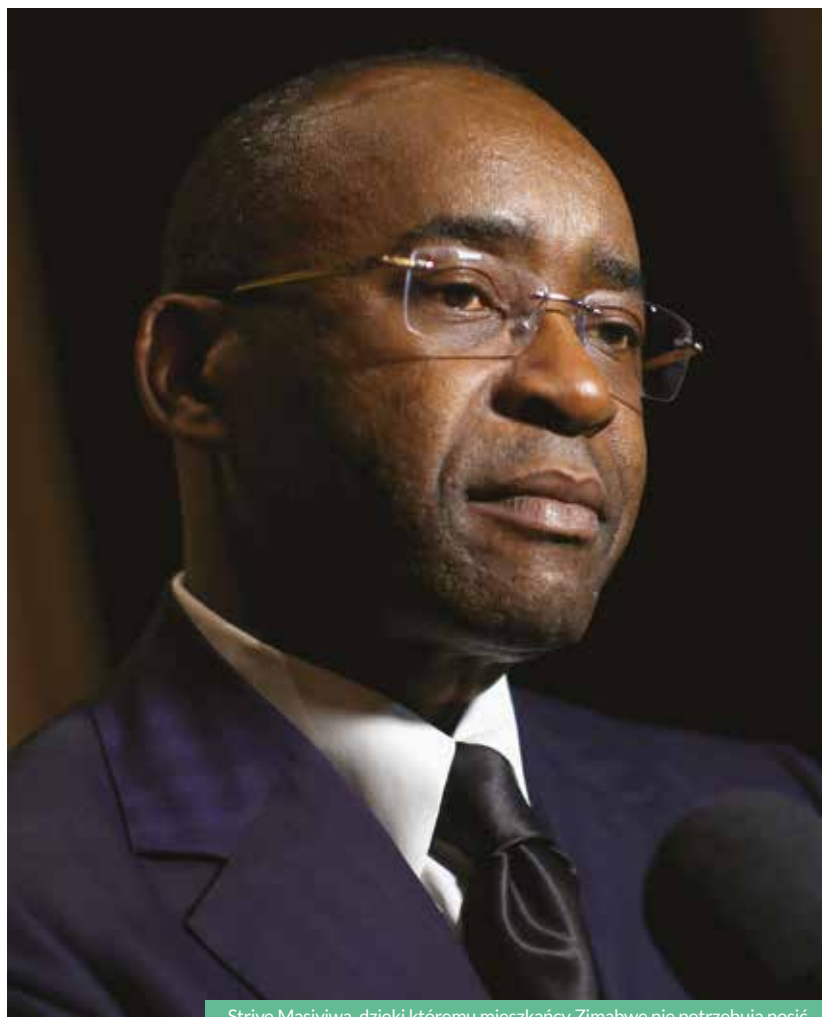
dają konta w tradycyjnym banku). Włączyła do systemu finansowego ponad półtora miliona ludzi, którymi zwykle banki nie byłyby zainteresowane z racji zbyt niskich dochodów.

W przypadku najuboższych siła modelu pokazuje się w pełni. ONZ i wiele organizacji pozarządowych korzysta z EcoCash, by dostarczać środki pomocowe dla ponad 90 tys. beneficjentów.

Były minister finansów Zimbabwe Patrick Chinamasa mówił w mediach, że „nie wie, co kraj zrobiłby bez EcoCash”, a jego twórcę obsypano wieloma nagrodami, wymieniano wśród największych światowych liderów oraz najbardziej wpływowych ludzi kontynentu i globu.

FILANTROP WE WŁASNEJ SŁUŻBIE

Strive Masiyiwa finansuje stypendia dla ponad 100 tys. dzieci, a w lutym tego



Strive Masiyiwa, dzięki któremu mieszkańcy Zimbabwe nie potrzebują nosić portfeli, podczas gali rozdania nagród Freedom Award Benefit

Jemal Countess/International Rescue Committee/Getty Images



Robert Mugabe był prezydentem Zimbabwe od 1987 do 2017 roku. Został usunięty z urzędu w wieku 93 lat

roku obiecał przekazać 100 mln dolarów na wsparcie dla drobnych przedsiębiorców z regionów wiejskich. Jest hołubiony w kraju i za granicą, stał się ikoną nowoczesnej i nieskorumpowanej Afryki.

Na ikonę padł jednak cień. Kilka lat temu Masiyiwa opuścił kraj, rzekomo w wyniku sporu z rządem. Sporu o tyle nieoczywistego, że – według przedstawicieli niezależnych mediów – afrykański pionier postępu zaczynał karierę od lobbingu w otoczeniu Roberta Mugabe, prezydenta Zimbabwe w latach 1987-2017. Sukces EcoNet ma być więc silnie powiązany z partią rządzącą.

Przed wyborami w 2018 r. – kiedy sędziwy Mugabe został obalony w wyniku wewnątrzpartyjnego przewrotu – EcoNet rzekomo udostępniła rządowi dane o swoich klientach. A przedstawiciele Masiyiwy domagają się, żeby autorzy negatywnych informacji nie mogli publikować nic na temat EcoNet i jej założyciela również w przyszłości.

Podobnemu szantażowi nie ulegnie

raczej „Wall Street Journal”. Amerykański dziennik szeroko opisywał szemrane próby pomnożenia kapitału przez głównego udziałowca firmy: w tym zamianę długów nabytych przez Masiyiwę za 28 mln dolarów na akcje warte ponad półtora miliarda oraz stworzenie spółki córki, by wyłączyć EcoCash poza główną grupę kapitałową i większą część oddać w ręce twórcy.

Cień jest na tyle długi, że pada nie tylko na założyciela EcoCash, lecz także na jego produkt.

CIEMNA STRONA ROZWOJU

Łatwość i szybkość przesyłu pieniędzy dzięki M-Pesa i EcoCash to nie tylko szansa dla dotychczas wykluczonych, lecz także raj dla przestępców.

W 2016 r. działające na zasadzie piramidy finansowej MMM Zimbabwe Global naciągnęło ponad 60 tys. klientów. Oszuści łatwo znajdują naiwnych w społeczeństwie, które dopiero nabiera doświadczenia w obcowaniu z elektronicznymi płatnościami. Zawodzą też

instytucje państwa.

Na inny problem zwraca uwagę również ACAMS – organizacja, która przeciwdziała praniu brudnych pieniędzy. Transakcje bez limitów, które finalizować można u kilkudziesięciu tysięcy agentów w całej Afryce, często przy szczątkowej weryfikacji tożsamości – to umożliwia wpompowanie do systemu niemal dowolnych sum, bez tłumaczenia się, skąd trafiły do wpłacającego. I pozwala na przesyłanie pieniędzy w sposób niemal niepodlegający kontroli.

Terrorysty, którzy w styczniu 2019 r. zabili 21 osób w ataku na kenijski hotel DusitD2, otrzymali ponad milion dolarów USA dzięki transferom M-Pesa. Zamieszany był także jeden z agentów firmy, który stworzył kilkadziesiąt fikcyjnych kont.

DO KOGO NALEŻY WALUTA

Innym problemem jest ogrom władzy, którą zdobyli operatorzy mobilnych płatności. Nachodzi ona na obszary, które zwykle są zarezerwowane dla państwa.



„Z ekonomicznego punktu widzenia to, że EcoNet ma własny bank oraz udziela kredytów, oznacza, że posiada zdolność kreowania pieniądza” – mówi prof. Makochekanwa.

W praktyce ponad 80 proc. wszystkich płatności w Zimbabwe odbywa się za pomocą jednej aplikacji. Czy państwo zachowuje jeszcze jakąkolwiek kontrolę nad rynkiem? Odpowiada profesor Makochekanwa:

„Od 2009 r. Bank Rezerw Zimbabwe ma ograniczony wpływ na walutę w kraju. Ale to dlatego, że przestawiliśmy się na dolary. To jest główna przyczyna, a nie silna pozycja EcoCash w gospodarce”.

Co nie oznacza, że monopol nie jest kłopotliwy. Ostatnim razem, gdy pojawiły się kłopoty techniczne w EcoCash, sprawa trafiła do wieczornych wiadomości, a zarząd EcoNet został wezwany przez ministra. Powstaje pytanie: jak głęboki kryzys dotknąłby kraj, gdyby ktoś zdecydował EcoCash „wyłączyć”?

PRZYSZŁOŚĆ ZACOFANYCH

Paradoksalnie, wizja wędrowca płaćącego telefonem za banana i butelkę wody ma największą przyszłość w społeczeństwach biedniejszych i mniej rozwiniętych technologicznie. Największym atutem tej koncepcji jest bowiem niska bariera wejścia. Wystarczy nawet najstarszy telefon, a dostęp do internetu nie jest wymagany. Raport GSM Association na wielki rynek, na którym mobilne płatności mogą zrobić furorę – Indie.

Korzyści są ogromne, daleko większe niż tylko sprawny transfer gotówki. W Zimbabwe, kraju, którego PKB na głowę wynosi – w przeliczeniu – 4 tys. zł (rocznie!), ubezpieczenie od wypadku i kosztów leczenia wymaga mniej formalności i jest kilka razy tańsze niż w USA.

Z drugiej strony, firmy takie jak M-Pesa czy EcoNet operują w krajach, w których struktury państwa są bardzo słabe, kontrola jest praktycznie niemożliwa,

a ryzyko malwersacji i korumpowania urzędników największe. Dlatego mobilne płatności, które rozwiązują jedne problemy, mogą – jako skutek uboczny – przyczyniać się pomnażania innych.

EcoNet w Zimbabwe może zostać wkrótce wystawiony na próbę. Na początku roku Bank Rezerw oficjalnie przyznał, że narodowy dolar nie jest już wymieniały na amerykańskiego. Inflacja urosła do ponad 60 proc. i wszystko wskazuje na to, że znowu nabiera rozpędu. Obecna waluta może wkrótce podzielić los poprzedniczki. ●

Tadeusz Michrowski

jest internacjologiem, dziennikarzem i pisarzem. Autor książek Gra w Yoté i www.afgan.com.pl. Współpracownik Polskiego Centrum Studiów Afrykanistycznych. Pracował w RPA w biednych dzielnicach Kapsztadu

JAK TO DZIAŁA?

Sposób działania EcoCash (i innych systemów tego rodzaju) nie mógłby być prostszy. Najłatwiejszą metodą włączenia się w system jest zdeponowanie gotówki u jednego z dziesiątek tysięcy agentów na terenie kraju – zupełnie jak w banku. Z tym że zamiast do tradycyjnej placówki, podchodzi się do „kiosku” przypominającego budkę z hot dogami. Wpłaty odbywają



Mieszkanca zimbabweńskiego Harare wykorzystuje aplikację EcoCash podczas zakupów

się dokładnie w ten sam sposób. By założyć konto wystarczy kserokopia dowodu osobistego, a na żadnym etapie (łącznie z prowadzeniem „rachunku”) nie są pobierane żadne opłaty – jedynie za aktywne korzystanie (np. transfery). Przelewy poniżej dolara są w EcoCash darmowe, a M-Pesa pozwala na bezpłatne transakcje aż do 100 dolarów. To wielki atut, gdy

minimalna opłata za podobną usługę u zimbabwejskiego lidera bankowości, Stanbic Banku, wynosi dwa dolary. System mobilny można również bez problemu podłączyć do istniejącego rachunku bankowego. Wysłanie komuś pieniędzy jest niewiele bardziej skomplikowane niż wysłanie SMS-a – pod warunkiem, że odbiorca również ma konto w EcoNet.



POLITYKA I MAMONA. OD ARYSTOTELESA DO OLIGARCHÓW



JAK FILOZOFOWIE CHCIELI
ODDZIELIĆ POLITYKĘ OD WIELKICH
PIENIĘDZY I CO Z TEGO WYSZŁO

Jan Hartman

Powiadają, że światem rządzi pieniądź. Kto ma pieniądze, ten ma władzę. Bo przecież samo sprawowanie władzy polega w dużej mierze na dysponowaniu pieniędzmi. Wydaje się, że związek między władzą polityczną a władzą ekonomiczną jest nierozrwalny.

Jednak jeśli tak jest naprawdę, to pewnie nie ma co rozrywać go na siłę (gdyż będzie to daremne), a lepiej jest poddać go kontroli i sprawiedliwym regułom.

W najbardziej cywilizowanych krajach nie wystarczy być bogatym, żeby móc sięgnąć po władzę, choć z pewnością bogactwo nadal ułatwia karierę polityczną oraz wywieranie zakulisowych wpływów na rząd. Jednocześnie jednak w tych samych krajach sprawowanie władzy nie ułatwia pomnażania majątku, a wręcz przeciwnie.

Wydaje się, że to dość rozsądny układ.

Byłby on jednak niepełny, gdyby nie dodać jeszcze jednego warunku: status majątkowy wyborców nie może być silnie i bezpośrednio powiązany z decyzjami rządu. Politycy przekupujący ludzi chętnych, by dać się przekupić, a następnie odpłacający swych wyborców z kasy publicznej to również „władza

pieniądza”, tyle że zamiast rekinów biznesu sprawują ją wówczas populiści.

Wynika z tego, że dla zachowania równowagi pomiędzy władzą i bogactwem potrzebny jest wolny rynek, bezpieczeństwo socjalne obywateli, rygory finansowe nałożone na działalność organizacji politycznych, kontrola lobbingu oraz ograniczenia swobody działalności gospodarczej polityków. No i właśnie tak to współcześnie na Zachodzie wygląda.

KTO WYNALAZŁ POLITYKĘ

Przeszliśmy długą drogę do takiego właśnie uregulowania stosunków polityczno-ekonomicznych. Bo historia trwającego do dziś mariażu polityki i pieniądza rozpoczęła się już u zarania polityki, 2,5 tys. lat temu.

Rzadko myślimy o polityce jako wynalazku cywilizacji. Bo przecież od kiedy istnieją jakiekolwiek ponadplemienne formy organizacji społecznej, nie mówiąc już o państwach, to tym samym istnieje też chyba polityka? I tak, i nie.

Umiejętności zarządzania i rozmaite wynalazki prawne oraz instytucjonalne znane były, rzecz jasna, i Sumerom, i Babilończykom, i Egipcjanom.



Jednak dopiero Grecy wymyślili coś, co nazywa się dziś sferą publiczną, czyli przestrzeń komunikacji, debaty i działania, służącego pomyślności państwa i jego ochronie. Przełomowe znaczenie miała tu reformatorska działalność Peryklesa [jego popiersie na zdjęciu obok - red.] i jego rządy w Atenach w okresie wojen peloponeskich w V w. p.n.e. W tym okresie, wzorem Aten, wiele miast greckich zaczęło eksperymentować z reformami ustrojowymi, których projekty powierzano mędrcom i filozofom.

Czy to na modłę bardziej autorytarną (arystokratyczną), czy też bardziej demokratycznie, w tej nowej przestrzeni publicznej, którą nazwaną politeią, toczyły się procesy, w wyniku których nieustannej ewolucji podlegało prawo, a władza kształtowała swoją politykę.

Działo się to, przynajmniej częściowo, w sposób jawny, z udziałem wielu ludzi, a szczególną rolę odgrywała w tym nowym „życiu politycznym” dyskusja. Z czasem debata publiczna zaczęła w Atenach i innych rozsmakowanych w polityce miastach Grecji odgrywać coraz większą rolę, na niekorzyść autorytetu wynikającego ze znakomitości rodu oraz majątku.

Czynnik oligarchiczny, czyli naturalna władza bogatych, w warunkach „polityczności”, i to nie tylko demokratycznej, częściowo ustępuje na rzecz wartości dobra publicznego, a więc pomyślności całego społeczeństwa (państwa) i na rzecz polityków formułujących argumenty i postulaty odwołujące się do tych wartości.

Polityczność i – powiązana z nią – coraz powszechniejsza namiętność do prowadzenia debat i sporów, komentowania wydarzeń, a nawet uczestniczenia w grze sił, które decydowały o biegu spraw publicznych, wzmacniały państwo. Dawały mu przewagę nad archaicznymi królestwami, w których panował konserwatywny marazm.

Napędem greckiej polityki stał się spór między demokratami a konserwatystami, którzy podając się za strażników cnót i tradycji (aristoi – najlepsi), domagali się przywilejów i utrzymania większej władzy dla siebie. Ciągłe utarczki

między możnymi i co ambitniejszymi mieszkańcami miast prowadziły do powstawania najrozmaitszych wersji ustrojów mieszanych, w których rządowi towarzyszył jakiś parytet przywilejów i uprawnień pomiędzy grupami społecznymi. I dotyczy to zarówno demokratycznych Aten, jak i pół tysiąclecia późniejszego imperium Rzymu. Tu konserwatyści, sprzymierzeni z kapłanami i bogaczami, a tam mniej zamożni, lecz asertywni przedstawiciele jakiegoś stanu trzeciego, klasy średniej, jak byśmy to dziś ujęli – ich rywalizacja wyznaczała rytm życia politycznego świata antycznego.

Ale nie tylko antycznego.

REGRES POLITYKI

Owszem, w katolickim, feudalnym imperium średniowiecznej Europy polityczność w dużej mierze zanikła, gdyż zastąpiła ją bardziej archaiczna, a więc regresywna forma organizacji życia społecznego polegającego na rywalizacji dwóch władz – świeckiej i kościelnej. Jedna i druga stanowiła dość zamkniętą kastę, a komunikacja tych elit z ogółem społeczeństwa była bardzo ograniczona. Na żadną debatę publiczną ani swobody obywatelskie nie było w tej teoarystokracji miejsca.

Jednakże w XVI w. we Włoszech, a potem w całej Europie zaczęły się odradzać antyczne formy ustrojowe, na czele z republiką miejską, przypominającą grecką polis, a po pewnym czasie narodziły się nowe – państwo narodowe, w postaci monarchii absolutnej bądź monarchii konstytucyjnej, nowoczesne imperium, a wreszcie nowoczesne państwo demokratyczne w formie republikańskiej lub monarchicznej.

Czasy nowożytne to istna erupcja polityczności. Właśnie dzięki niej,

dzięki dynamice życia publicznego – angażującego nieporównanie większą liczbę ludzi niż tradycyjna satrapia – historia cywilizacji doznała tak spektakularnego przyspieszenia.

Nawet niewielki przyrost wolności i aktywizacja pewnej liczby obywateli powoduje gwałtowny wzrost ekonomicznej i poli-





tycznej ruchliwości społeczeństwa, a w konsekwencji cykl zmian, które w jakimś sensie zawsze są postępem czy rozwojem, posuwaniem czegoś na przód. I od kiedy tak jest, my wszyscy (nawet konserwatyści!) tego rozwoju zaczęliśmy pragnąć, nawet jeśli różnie go sobie wyobrażamy.

Tam, gdzie jest polityczność, tam też występuje pragnienie zmian na lepsze. Polityczność jest z natury postępową, choć jej kanwą jest spór między siłami zachowawczo-reakcyjnymi a siłami działającymi na rzecz zmiany.

ETYCZNE PAŃSTWO

System „polityczności” – ustrojowo chroniący bardziej czy mniej rozległą przestrzeń dla debaty publicznej i wolnej gry sił społecznych – w dużej mierze został wymyślony przez filozofów i opiera się na pewnym zestawie wartości, bez których polityczność jest całkiem niemożliwa do utrzymania.

Tymi filozofami byli nieco rebelianccy sofiści, tacy jak Protagoras czy Gorgiasz, lecz przede wszystkim ci najbar-dziej „mainstreamowi” – Sokrates, Platon i Arystoteles. Jakkolwiek mieli różne poglądy, łączyło ich jedno – apoteoza państwa wyrażająca się w etosie wspólnej pracy wszystkich obywateli, na czele z rządzącymi, na rzecz pomyślności ogółu.

Wtedy właśnie powstała idea państwa jako ojczyzny, ostoji tradycji, cywilizacji i wspólnego życia toczącego się z pokolenia na pokolenie – państwa, które nas wychowuje, czyni nas istotami etycznymi i oświeconymi i któremu jesteśmy winni swe najlepsze siły oraz poświęcenie.

Idea państwa jako najwyższego dobra to republikanizm, w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jest ona, rzecz jasna, konserwatywna w swej istocie, podkreślając majestat władzy i tradycji, lecz służy też utwierdzeniu wolności, wzywając wszystkich (mężczyzn, niestety) do obywatelskiego zaangażowania, władzy zaś przypominając, że ograni-

czają ją prawa i zobowiązania wobec społeczeństwa, którego dobro musi przeważać nad interesem rządzących.

Właśnie ten wolnościowy potencjał i ten nacisk na rządy prawa przesądziły o tym, że antyczny ideał ojczyzny jako najwyższego dobra okazał się tak przydatny również w naszych czasach. To dzięki niemu wciąż może odnawiać się proces poszukiwania równowagi pomiędzy warstwami uprzywilejowanymi, z zasady konserwatywnymi, a masami domagającymi się zmian poprawiających ich warunki życiowe i pozycję polityczną. W atmosferze republikanizmu ponad wszelkimi politycznymi sporami unosi się bowiem zawsze „dobro państwa” i całego „społeczeństwa politycz-

RZADKO MYŚLIMY O POLITYCE JAKO WYNA- LAZKU CYWILIZACJI. BO PRZECIEŻ OD KIEDY ISTNIEJĄ FORMY ORGA- NIZACJI SPOŁECZNEJ TO TYM SAMYM ISTNIEJE TEŻ POLITYKA

nego”, czyli narodu. Temu dobru mamy nieodmiennie służyć, niezależnie od tego, po której stronie walczymy w gorących politycznych sporach.

PRZECIW OLIGARCHOM

Arystoteles był najbardziej subtelnym teoretykiem polityczności. Napisał (nie-dokończony) traktat, którego tytuł – *Polityka* – dał początek polityce.

To ta książka przyczyniła się najbardziej do wypromowania terminu „polityka”, który z biegiem stuleci przesłał odnosić się do nauki o życiu społecznym, tak jak widać je z perspektywy działania instytucji i władzy, przenosząc się na przedmiot tej nauki. Dziś więc nazywamy polityką życie polityczne, a za to naukę o polityce nazywamy politologią.

Otóż w swej słynnej pracy Arystoteles twierdził, że każde państwo musi dobrać sobie odpowiednią dla siebie mieszkankę instytucji demokratycznych i arystokratycznych. Bo niedobór wolności szkodzi i a jej nadmiar prowadzi do chaosu, a nawet do dyktatury demagogów, manipulujących emocjami mas.

Ponadto twierdził Arystoteles, że o powodzeniu państwa decyduje liczebność i siła tej warstwy społecznej, która znajduje się pomiędzy biednymi i bogatymi, czyli tych, których współcześnie nazywamy klasą średnią. Bogaci mają bowiem interes głównie w utrzymaniu przywilejów i władzy, biedni nie mają głowy do spraw publicznych, zajmując się bez reszty zdobywaniem środków do życia, za to ci średni mogą być motorem napędowym państwa.

W taki oto sposób powiązał Arystoteles politykę z pieniędzmi.

Gdy rządzą pieniądze i ich posiadacze, czyli oligarchowie, państwo więdnie. Nie można też oddawać władzy w ręce biedoty, bo i ona – podobnie jak bogacze – myśli głównie o sprawach materialnych i własnym interesie.

Tymczasem państwo ma się dobrze, gdy jest traktowane jako niematerialny ideał, jako wspólnota życiowa, której należy służyć nie dla pieniędzy i nie z powodu pieniędzy, lecz dla wartości moralnej, jaką ono stanowi. Tym same pieniądze okazują się czymś dla polityki niebezpiecznym. Pragnienie bogacenia się jest z natury egoistyczne, a tymczasem polityka powinna opierać się na ideałach i bezinteresownej służbie wspólnocie.

LUTER, OJCIEC KAPITALIZMU

Nieco lepszą reputację polityczną uzyskały pieniądze dopiero w dobie reformacji, gdy okazało się, że tworzenie autonomicznych wobec papieża wspólnot polityczno-religijnych wymaga siły ekonomicznej. Aby uzyskać niezależność polityczną, gminy protestanckie musiały ciężko pracować na



wspólne bogactwo, służące wszystkim wiernym. Bogacenie się stało się sprawą i stawką politycznego przetrwania, a jednocześnie dowodem przychylności Boga. Etos pobożnej pracy związał się w jeden węzeł z etosem oszczędności i bogacenia się dla dobra całej gminy.

I w takich to okolicznościach narodził się polityczny kapitalizm – idea systemowego powiązania działalności gospodarczej, nastawionej na pomnażanie zysku, z działalnością polityczną, nastawioną na budowanie pomyślności narodu.

Nie ma w tym nic dziwnego; w końcu względny dobrobyt to podstawa pomyślności. Wystarczy zbudować system sprzyjający bogaceniu się i powiązać go z systemem redystrybucji, gwarantującym, że na bogaceniu się przedsiębiorców czy innych możliwych w końcu zyskają też biedni, a zaraz zaplanuje powszechne zadowolenie i sprawiedliwość.

Niestety okazało się bardzo szybko, że wspólna praca i gromadzenie dóbr dla całej gminy czy wspólnoty, jest mniej atrakcyjne i mniej efektywne niż tworzenie firm–spółek będących własnością czysto prywatną.

Kapitalizm klasyczny wygrał ze wszystkimi pięknymi projektami kapitalizmu wspólnotowego, nie mówiąc już o systemach ograniczających wolną konkurencję, na czele z socjalizmem. Okazało się, że w chciwości jest siła największa i że pragnienie pomnażania majątku osobistego bardziej motywuje przedsiębiorców do ciężkiej pracy, do innowacyjności, oszczędności i podejmowania ryzyka niż praca kolektywna.

Dlatego w Europie zaczął rządzić kapitalizm prywatny, a cały proces demokracji – od Wiosny Ludów roku 1848 aż do I wojny światowej – podporządkowany był utwierdzeniu politycznych wpływów posiadaczy kapitału, czyli kapitalistów wypierających w roli warstwy uprzywilejowanej dawną arystokrację rodową.

Niestety, szukając przewagi konkurencyjnej i oszczędności, kapitaliści musieli utrzymywać płace pracowników najemnych na jak najniższym pozio-

mie, skutkiem czego kapitalizm bardzo szybko stał się systemem wyzysku. Wytworzył społeczeństwa biedy, czyli wielkie rzesze proletariatus. W dzisiejszych czasach ich miejsce zajęli ludzie konsumenci, ciężko pracujący, by móc zaspokajać coraz to nowe sugerowane im przez system potrzeby.

LIBERAŁOWIE KONTRA SOCJALIŚCI

Tak to właśnie zaczęła się i trwa władza pieniądza. Kapitaliści już w XIX w. tworzyli partie polityczne, manipulowali wyborami i rządami, które z czasem w pełni zaczęły kontrolować, odbierając wpływy arystokracji i duchownym. System demokratyczny niewiele mógł w tej sprawie zdziałać, bo i tak wybory wygrywał ten, kto miał najwięcej pieniędzy na prowadzenie agitacji lub wręcz przekupywanie wyborców.

Zresztą obietnice wyborcze zaciągano na koszt państwa, które musiało ściągać coraz wyższe podatki i podejmować się coraz większej liczby zadań, takich jak powszechna edukacja czy ochrona zdrowia. W rezultacie liberalna demokracja wytworzyła osobliwy mechanizm, w którym władza nadal należała do warstw uprzywilejowanych, niemniej za utrzymanie supremacji kapitaliści musieli płacić rosnącą redystrybucją, która również ich samych obciążała poprzez wyższe podatki.

Dawny spór polityczny pomiędzy demokratami i konserwatystami w coraz większej mierze ustępował – począwszy od rewolucji 1905 r. – sporom o udział państwa w gospodarce i zakres redystrybucji.

Tak narodził się nowy duopol polityczny –liberałowie gospodarczy (dziś zwani neoliberalami) vs. socjaliści (lewica, w USA zwana liberałami).

Pierwsi dążyli do tego, by utrzymać wolny rynek w jak najszerszym zakresie, a drudzy dążyli do oddzielenia władzy od pieniędzy i jednocześnie do bardziej podmiotowego powiązania państwa z systemem gospodarczym. Spór trwa do dziś, niemniej jednak toczy się na gruncie czegoś, co można nazwać kompromisem socjaldemokratycznym:



Miasto Centerville pod Waszyngtonem. American dream w wersji dla niższej klasy średniej

wolna konkurencja nie jest ograniczana tam, gdzie uderzałoby to w pracowników najemnych, zwłaszcza tych najbardziej biedniejszych.

I tak machina kapitalistyczna – po modyfikacjach – działa nadal, bo nic bardziej produktywnego dotychczas nie wynaleziono. Jednak co począć, aby kapitaliści przestali zawłaszczać dla siebie władzę polityczną?

CZY FINANSOWAĆ PARTIE

Oderwanie polityki od kapitału to trudna operacja. Może bowiem doprowadzić do tego, że władzę przejmą biedni, by natychmiast rozdzielić między siebie zasoby państwa, doprowadzając je do dramatycznego zadłużenia, a nawet bankructwa.

Takie rzeczy się zdarzają.



Dlatego wymyślono system zabezpieczeń i równowagi pozwalający jakoś pogodzić politykę z gospodarką, zachowując wystarczająco dużo miejsca dla wolnego rynku i autentycznej demokracji, niepodatnej na przekupstwo ze strony kreuzów i oligarchów. System ten działa jako tako na Zachodzie, jakkolwiek nikt już nie jest w pełni z niego zadowolony. Ludzie chcą bowiem coraz więcej demokracji i coraz więcej wpływu niezamożnych na bieg spraw w polityce.

Zabezpieczanie praw politycznych uboższych warstw społecznych zaczęło się już w XIX w., od likwidacji cenzusu majątkowego jako warunku posiadania praw wyborczych. Potem przyszły prawa wyborcze i polityczne dla kobiet oraz prawa socjalne, dzięki którym biedni przestali być zakładnikami swoich pracodawców i ich politycznych kuratorów.

Kluczowe znaczenie miały ustawy ograniczające możliwości finansowania partii politycznych przez wielki biznes oraz prowadzenia działalności gospodarczej przez wysokich rangą funkcjonariuszy państwowych. W wielu krajach dla uniknięcia korupcji finansowanie partii politycznych spoczywa w dużym stopniu na barkach państwa. Niestety nie dotyczy to USA, dzięki czemu wielki biznes zachował tam wpływy polityczne, jakich od II wojny światowej nie ma już w Europie.

Dopełnieniem systemu regulującego relacje między polityką a prywatnym sektorem gospodarki są przepisy narzucające rządowi dyscyplinę budżetową. Chronią one państwo przed bankructwem, a jednocześnie uniemożliwiają przekupywanie wyborców tzw. transferami socjalnymi. Czy to wszystko wystarczy?

Niestety nie.

Niezależnie od nakazów jawności i ograniczeń nakładanych na lobbying bogacze zawsze znajdą sposób, by dotrzeć do rządzących i w jakiś sposób wyegzekwować na nich swoją wolę. Owszem, podobnie jest z masami. Tylko że tę samą siłę, którą ma jeden miliarder, po stronie społecznej może mieć organizacja (np. związek zawodowy) zrzeszająca miliony ludzi. Polityka zawsze była i pozostanie terenem, na którym komunikują się ze sobą, rywalizują, a wreszcie układają ze sobą biedni i bogaci. I tak też będzie w przyszłości. ☉

Jan Hartman

jest filozofem, bioetykiem, felietonistą tygodnika „Polityka”

Homo sapiens w gabinecie optogenetyka



BYĆ MOŻE NIEDŁUGO NAUCZYMY SIĘ WYMAZYWAĆ ZŁE
WSPOMNIENIA I NA RÓŻNE SPOSOBY USPRAWNIAĆ
NASZE MÓZGI. ALE CZY NAPRAWDĘ TEGO CHCEMY?

Tadeusz Michrowski



Pacjent musi skoncentrować się na konkretnym wydarzeniu.

Grzechot klucza w drzwiach, miękka faktura spodni wujka, na które ściągał dziecięce dłonie. Rechot przyjaciół rezonujący o wnętrze wozu bojowego i metaliczny smak krwi w ustach, kiedy ciemność zamkniętego pancerza przeszła w jaskrawą biel eksplozji. Wilgotny oddech gwałciciela i jego drapiący po szyi zarost.

Rzeczy, których nie da się zapomnieć. Które wrzynają się w świadomość i nie dają spać w nocy.

Nagle klik! Wspomnienie znika. Zostaje wymazane precyzyjnie, bez cienia uszczerbku dla innych wspomnień i funkcji umysłu. Z tworzącej osobowość układanki zabiera się kilka zepsutych puzzli. Człowiek, który wychodzi z gabinetu, nie pamięta wydarzeń, które dotąd niszczyły mu życie.

NARODZINY NOWEJ TECHNIKI

Opisana powyżej wizyta u „lekarza ludzkich dusz” na razie pozostaje wizją przyszłości, ale zapewne aż nie takiej odległej, jak mogłoby się wydawać. Od ponad dekady naukowcy pracują nad niezwykle precyzyjnym sposobem zrozumienia procesów w mózgu i wpływania na nie. Ich osiągnięcia już dzisiaj przewyższają wyobraźnię.

Zacząło się w 2005 r. artykułem w prestiżowym czasopiśmie „Nature Neuroscience”. Profesor Karl Deisseroth, wspólnie z dwoma innymi pracownikami Uniwersytetu Stanforda, opisał w nim eksperyment polegający na umieszczeniu w komórce mózgowej martwego szczura pewnego specjalnie zaadaptowanego białka.

Białko pochodziło z żyjących w oceanicznych głębinach alg – prostych organizmów, którym służyło do nawigacji. Należało do tzw. grupy opsyn. Opsyna ta działała jak mała bateria słoneczna – pod wpływem światła wydalała ładunek elektryczny. Ponieważ opsyna jest białkiem zakodowanym w DNA, umieścić w organizmie można ją za pomocą nośnika kodu genetycznego. 

Niektórzy obawiają się sztucznej inteligencji, ale co jeśli sami — ulepszając swoje mózgi i ciała — staniemy się perfekcyjnymi, optymistycznymi cyborgami pozbawionymi indywidualności i wolnej woli?

”

Świetnie nadają się do tego wirusy (te bowiem od milionów lat wzbogacają nasz kod genetyczny). Naukowcy ze Stanforda wykorzystali więc jednego z nich, by umieścić DNA opsyny w neuronie mózgu szczura.

Neuron o tak wzbogaconym DNA wkrótce sam dodał do swojej błony komórkowej szereg maleńkich „baterii słonecznych”, które reagowały na niebieskie światło. Efektem tej reakcji był impuls elektryczny i uruchomienie neuronu — zupełnie jak w normalnym procesie funkcjonowania mózgu.

Cóż niezwykłego oznaczało to dla nauki?

W dużym uproszczeniu oznaczało to, że autorzy eksperymentu zdołali zasymulować coś, co — z braku lepszego słowa — moglibyśmy nazwać przepływem myśli. Za pomocą wiązki światła na ich żądanie neuron uruchamiał się. Co więcej: mogli to zrobić nawet z pojedynczą komórką, nie martwiąc się o jej sąsiadów.

Tym sposobem Deisseroth i jego współpracownicy postawili pierwszy krok na drodze do kontrolowania mózgu. I to ogromny krok — nawet jeśli szczur, który im posłużył, był martwy, a jego komórki znajdowały się na szalce Petriego.

Stopień skomplikowania, liczba i złożoność problemów, które wciąż stały na drodze oraz — przede wszystkim — potencjał odkrycia uświadomił twórcom, że oto stoją w obliczu całkowicie nowej techniki naukowej, łączącej optykę (wiązkę światła jako przekaźnik), genetykę (wpływ na DNA komórek) i bioinżynierię (inżynieria mózgu).

Nazwali ją optogenetyką.

FLUORESCENCYJNY MÓZG

Jak dziesięć lat później napisał sam Deisseroth w opublikowanym w „Nature America” komentarzu do historii optogenetyki, tamten pierwszy artykuł był początkiem niezwykle dynamicznego rozwoju.

Szybko oprócz opsyn uruchamiających neurony odkryto takie, które (tym razem pod wpływem żółtego światła) je dezaktywują, domykając pełnię możliwości. Tak oto naukowcy stworzyli przycisk ON/OFF dla mózgu. Pozostawało jeszcze odpowiedzieć na pytanie, gdzie dokładnie ów przycisk umieścić, by osiągnąć żądane rezultaty.

Jeszcze przed eksperymentem z 2005 r. — również za pomocą wirusa — umieszczano w mózgu fluorescencyjne białko, które sprawiało, że gdy następowało przesyłanie informacji między neuronami te... świeciły się. Każda „myśl”, każde działanie i każdy impuls w obrębie mózgu rozświecał natychmiast komórki za niego odpowiedzialne, pozwalając śledzić „fale”, którymi podążały.

Pionierzy optogenetyki mieli zatem do dyspozycji coś na kształt muzealnej makiety, która podświetla się, gdy przewodnik opowiada o kolejnych fragmentach miasta — basztach obronnych, porcie rzeczonym czy starym mieście. Tylko że ich „makieta” była żywa, dała się obserwować bez przerwy i opisywała jeden z najbardziej skomplikowanych systemów znanych człowiekowi. Umysł.

To odpowiadało na pytanie, które części mózgu są odpowiedzialne za określone

zachowania. Wciąż jednak najskuteczniejszą metodą dla zrozumienia działania konkretnych neuronów było — jak na konferencji w Long Beach w 2011 r. ujął to jeden ze współautorów pierwszego eksperymentu, Edward Boyden — „włączać i wyłączać różne rodzaje komórek i przez obserwację próbować pojąć, które zawiadują konkretnymi funkcjami”.

Wkrótce rozpoczęły się pierwsze próby na żywych organizmach. Jak zwykle w takich przypadkach poświęcono legion myszy i szczurów, a oprócz nich kilka rybek danio, muszek owocówek, ptaków, a nawet naczelnych.

OD ŚWIATŁO-SNU DO MYSZY MORDERCY

Owocem tych badań było wyjaśnienie — na poziomie mózgu — mechanizmów wielu zachowań społecznych, w tym rodzicielskich i płciowych, agresywnych, obronnych, motywowanych strachem, głodem czy nagrodą.

Udało się np. tak przeprogramować układ nerwowy muszki owocówki, że ta — zależnie od koloru światła — natychmiast budziła się albo zasypiała. U ptaków, konkretnie zeberki, zdołano zmienić konkretne sylaby w pieśni godowej, a u rybek danio zmieniać sposób radzenia sobie z napotkanymi problemami — z pasywnego na aktywny.

Prawdziwy potencjał optogenetyki widać jednak przy badaniach na myszach. Pierwsze eksperymenty pozwoliły sprawić, że gryzonie chodziły w kółko aż do czasu wyłączenia światła. Potem udało się określić i stymulować ośrodki odpowiedzialne za objadanie się, ból, a nawet zlokalizować i „wyłączyć” neurony, które powodowały kokainowy głód u zwierząt uzależnionych od tego narkotyku. U myszy cierpiących na chorobę, której objawem jest ślepotą, zdołano przywrócić wrażliwość na światło.

Sukcesy eksperymentów były tak wielkie, że postronnego obserwatora mogłyby wprawić w konsternację.

Niepokojący scenariusz udało się zrealizować naukowcom z Yale. W styczniu 2017 r. opisali oni wyniki badań, w których udało się zlokalizować, a następnie nasilić działanie części mózgu myszy



Naukowcy z MIT wszczepili pewnej myszy fałszywe, traumatyczne wspomnienie innego osobnika, które powodowało strach

odpowiedzialnej za agresję. W efekcie zwykle wyjątkowo spokojne stworzenia zaczęły gwałtownie atakować inne osobniki, a nawet „atrapy”, jak zwykły korek od butelki, i gryźć je nieustannie, aż do wyłączenia wiązki światła.

Z kolei amerykańsko-japoński zespół badawczy zdołał usunąć pamięć świeżo nauczonej pewnej czynności myszy, a naukowcy z MIT wszczepili jej fałszywe, traumatyczne wspomnienie innego osobnika, które powodowało strach.

OD MYSZY DO CZŁOWIEKA

Choć 92 proc. kodu DNA myszy jest nie do odróżnienia od ludzkiego, to jej liczący ok. 100 mln komórek mysz mózg jest mały w porównaniu z ludzkim, który ma ich ponad 100 mld, w dodatku podzielonych na dziesiątki tysięcy typów.

A jednak to oczywiste, że głównym celem optogenetyki jest człowiek.

I-han Chou, redaktorka „Nature Asia”, mówiła o potencjale nowej gałęzi nauki na forum w Davos w 2014 r.: „Mam nadzieję, że jeśli będzie ona działała u ludzi, pozwoli rewitalizować funkcje mózgu”.

Rzeczywiście, dotychczasowe odkrycia świetnie rękują dla wszelkich zaburzeń w jego obrębie. A ich ofiarami — mniejszych lub większych — jest dziś ponad miliard osób. Wszystkim optogenetyka daje nadzieję realnego wyleczenia, a nie łagodzenia objawów.

Warto podkreślić, że dostępne obecnie leki — oparte na związkach chemicznych — działają w zasadzie tylko objawowo, nie likwidując przyczyn. Jak ujął to Edward Boyden, „po prostu topimy nasze mózgi w chemii”.

Optogenetyka daje nadzieję na leczenie bez skutków ubocznych, skierowane nie — tak jak dziś — na cały rejon mózgu, ale na konkretne komórki odpowiedzialne za chorobę. Na dodatek leczenie takie może trwać nie tygodnie, miesiące czy

lata, jak obecnie, tylko mniej niż sekundę. Koniec migren i problemów ze snem i pamięcią. Uzależnieni nie będą musieli walczyć z głodem narkotykowym. Otyli przestaną odczuwać potrzebę obsesyjnego jedzenia, ludzie w depresji odzyskają radość z życia. Choroby Alzheimera, Parkinsona, epilepsja czy schizofrenia odejdą do przeszłości. Poradzimy sobie nawet z autyzmem.

Stres pourazowy? Złe, niechciane, destruktywne wspomnienia będzie można usunąć, obwody uszkodzone ich wpływem odnowić — odsyłając psychologów na bezrobocie. Ukoronowaniem snów o przyszłości optogenetyki jest wizja niewidomych, którzy odzyskują wzrok.

Ale nawet to nie wszystko. Skoro mózg da się naprawić, nasuwającym się naturalnie pytaniem jest to, czy da się go poprawić.

„Będziemy mogli np. dodać sobie czujniki ultrafioletu — mówiła I-han Chou



w Davos — albo dwutlenku węgla, jak u muszek owocówek. Sprawilibyśmy wtedy, że będziemy posiadać sensory pozwalające określić jakość naszego powietrza”.

I to jeszcze nie koniec. A gdyby dało się przyspieszyć działanie mózgu? Poprawić pamięć do poziomu międzynarodowych mistrzów szachowych? Dać refleks dostępny tylko najsukuteczniejszym drapieżnikom? Zaimplementować niespotykaną odporność na stres?

„Niemał cała dyskusja po moim wystąpieniu koncentrowała się nie na optogenetyce i tym, co moglibyśmy zrobić — skomentowała I-han Choud — ale na tym, czy powinniśmy”.

Gdzie jest granica tego, co etyczne? Kiedy przestajemy leczyć, a zaczynamy wymazywać tożsamość i indywidualność pacjenta, z jego zaletami oraz wadami, i zamieniamy go w udoskonaloną maszynę?

Niektórzy obawiają się sztucznej inteligencji (AI), czyli doskonałych robotów, które przejmą kontrolę. Ale co jeśli to my sami zamienimy się w takie roboty? Które zawsze czują się świetnie, a ewentualne nieprzyjemne wspomnienia wymazują podczas krótkiej wizyty u optogenetyka? Co jeśli na własne życzenie, w pogoni za postępem i nowymi możliwościami, sami staniemy się udoskonaloną, wyzbytą indywidualnością i człowieczeństwa sztuczną inteligencją?

Pytania o moralne granice nauki i medy-



cyny mogą okazać się bezcelowe, gdy przeważą pragmatyka i polityka.

Najludniejszy kraj świata, Chiny, już dziś całkowicie otwarcie buduje elektroniczny, powszechny system inwigi-

lacji, którego efektem będzie ranking obywateli. A gdyby tak pokusić się o przejęcie kontroli nad ich mózganii? Dyktatorzy z całego globu najpewniej z radością przywitaliby taką wizję. Obywatel postępuje niezgodnie

Dalsze próby, by uczynić świat lepszym, będą musiały obejmować nie tylko zmiany świata, ale również zmiany ludzkości. W konsekwencji być może my, bądź nasi potomkowie, przestaniemy być ludźmi w znaczeniu, w którym teraz rozumiemy to pojęcie

John Harris
brytyjski bioetyk i filozof



GETTY IMAGES

W filmie *Zakochany bez pamięci* bohater (Jim Carrey) dowiaduje się, że jego wieloletnia dziewczyna chce wymazać wszystkie wspomnienia z nim związane

z ustalonymi przez władze regułami? Włączamy mu depresję! Żołnierze są niewystarczająco wojowniczy? Włączamy im agresję!

Optogenetykę można wykorzystać również w demokracji — w dobrych intencjach — ze skutkiem nie mniej przerażającym. Pojawia się bowiem pokusa modelowania społeczeństwa zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami. Chociażby „poprawianie” mózgów przestępców, usuwanie niebezpiecznych skłonności itp. Po co wymazywać wspomnienia z umysłów molestowanych dzieci, skoro można prewencyjnie wymazać pedofilskie skłonności u ich potencjalnych prześladowców. Profilaktyka jest — jak powszechnie wiadomo — lepsza niż leczenie...

Więzienia przestaną być potrzebne — wystarczy poddać więźniów umoralnia-

jącej terapii optogenetycznej i wypuścić ich na wolność jako prawomyślnych i posłusznych obywateli.

Czy jednak fakt, że jednostka nie wpisuje się w akceptowalne normy społeczne i prawne, automatycznie daje nam prawo do grzebania w jej mózgu i osobowości?

Jeśli tak, to gdzie wyznaczyć granicę: pedofil, morderca, złodziej, nieuczciwy współpracownik? Czy po alternacji neuronów odpowiedzialnych za złe skłonności, skazańca należałoby puścić wolno, czy kazać mu dokończyć wyrok?

I wreszcie pytanie o sprawiedliwość społeczną: jeśli najbogatsi będą mogli „kupować” ulepszenia mózgu nieosiągalne dla reszty, to czy ludzkość nie podzieli się na dwie rasy, nadludzi i podludzi?

Wszystkie te pytania rodem z opowia-

danias science fiction czy serialu „Black Mirror” mają wspólny mianownik.

KIM JESTEŚMY? CZYM JESTEŚMY?

„Przed nami wciąż wiele tajemnic. Myślę, że miną dziesięciolecia, nim rozwiążemy te największe. Jedną z nich będzie odpowiedzenie na pytania o nasze subiektywne postrzeganie tego, co uważamy za wolną wolę, a nawet właściwe sformułowanie tych pytań” — mówił w zeszłym roku prof. Deisseroth podczas wizyty w Trinity College w Dublinie.

Ten ostatni element jest szczególnie fascynujący i często pojawia się w wypowiedziach ojca optogenetyki.

Mózg to zbiór miliardów komórek — ogromne „mrowisko” neuronów. Jak wszystkie one tworzą spójny twór? Jak rozmaite ośrodki — np. nagrody, rodzicielski i obronny — „negocjują” ze sobą to, co my postrzegamy jako decyzję? Gdzie leży to, co nazywamy „osobą”, „duszą” czy „tożsamością”?

Na odpowiedź poczekamy kilka dekad, ale gdy następcy Deisserotha włączą się do dyskusji, zrobią to nie z filozoficznym esejem ani nie intelektualnymi przypuszczeniami, tylko potężną bazą danych. Każę nam ona zweryfikować to, co dziś jeszcze postrzegamy jako metafizyczną istotę człowieka.

W kręgach naukowych już od kilku lat mówi się, że Deisseroth jest mocnym kandydatem do Nagrody Nobla. W jego wieku podobna ilość cytowań i wskaźnik wartości dorobku (tzw. wskaźnik Hirscha) wydają się niemal nieosiągalne. Optogenetyka, do której powstania się przyczynił, da mu być może nieśmiertelną sławę, a nam pomoże lepiej zrozumieć siebie.

Pytanie tylko, czy nie lepiej, niż byśmy chcieli. ○

Tadeusz Michrowski

jest internacjologiem, dziennikarzem i pisarzem. Autor książek *Gra w Yoté* i *www.afgan.com.pl*. Współpracownik Polskiego Centrum Studiów Afrykanistycznych. Pracował w RPA w biednych dzielnicach Kapsztadu

Własny samochód to zło



METROPOLIE PRZYSZŁOŚCI MOGĄ WYGLĄDAĆ
PODOBNIIE JAK W XIX W. – PRAWIE BEZ SAMOCHODÓW,
Z ULICAMI ODDANYMI PIESZYM I ROWERZYSTOM

z prof. Raulem Rojasem rozmawia Katarzyna Goszcz

Volvo/Ferrari Press Agency/East News



Szwedzki producent samochodów Volvo zaprezentował, jak może wyglądać życie dzięki autonomicznemu pojazdowi 360c

Katarzyna Goszcz: Czy to prawda, że już niedługo nie będziemy potrzebować prawa jazdy?

Raul Rojas: Może nie w najbliższej przyszłości, ale za 30–40 lat – jak najbardziej. Posiadanie prawa jazdy nie będzie konieczne, ponieważ będziemy mieli autonomiczne samochody. Jak dzisiejsze taksówki, zawiozą cię, gdziekolwiek zechcesz. Ale taksówkarzem będzie komputer – to jedyna różnica. Ty będziesz tylko pasażerem, zapewne jednym z kilku.

Nie chodzi tylko o komfortowe przemieszczanie się z jednego miejsca w drugie, lecz także o zabieranie po drodze innych osób. O dzielenie się pojazdem.



Czemu tak?

Ponieważ w dużych miastach, takich jak Berlin, średnie wykorzystanie pojazdów wynosi 1,3 pasażera na samochód. Przez większość czasu w samochodzie przebywa tylko jedna osoba, czasami dwie. Dlatego mamy w mieście zbyt wiele pojazdów. Po Berlinie jeździ ich 1,3 mln! To powoduje korki, brak miejsc parkingowych itd.

Poruszanie się po mieście tylko autonomicznymi taksówkami drastycznie zmniejszyłoby całkowitą liczbę użytych aut. Obliczyliśmy, że wszystkich mieszkańców Berlina można przewozić – bez utraty mobilności! – używając zaledwie 10 proc. samochodów, którymi jeździmy dzisiaj. I dotarlibyśmy do celu szybciej, bo bez korków. Mniej byłoby zanieczyszczeń i odzyskalibyśmy wielką powierzchnię wzdłuż ulic, przeznaczoną dotąd na miejsca parkingowe.

Zasadniczo potrzebowalibyśmy tylko specjalnych miejsc dla taksówek. I parkingów na noc. W ciągu dnia auta krążyłyby po ulicach i służyły mieszkańcom.

Chcemy, by miasto wyglądało prawie jak w XIX w., gdy nie mieliśmy jeszcze samochodów, ulice były puste, poruszali się nimi tylko piesi i rowerzyści. W tamtych czasach były też wprowadzone konie, ale teraz ich nie mamy, więc wystarczy pomyśleć o pieszych i – poprzez radykalne zmniejszenie liczby samochodów – oddać im miasto.

Na Freie Universität Berlin pracuje pan nad projektem autonomicznego samochodu. Jeden z waszych modeli został nazwany Spirit of Berlin.

Pierwszy nosił taką nazwę, następny – Made in Germany. Mamy również Einsteina. W ramach tego projektu opracowaliśmy technologię sterowania, wykrywania pieszych i innych pojazdów, sytuacji na ulicy. To wszystko należy opanować, by mieć autonomiczny samochód.

Jaki jest obecnie status projektu?

Od 2011 r. posiadamy już prawo jazdy w Berlinie i całych Niemczech. Codziennie udoskonalamy też możliwości naszych samochodów. Na przykład rozpoznajemy sygnalizację świetlną – wiemy, czy włączyło się zielone, czy czerwone światło. Chcemy to skomunikować z miejskim systemem komputerowym, byśmy mogli sprawdzić – gdy tylko nasza kamera wykryje zielone światło – czy jest to prawdziwy stan świateł drogowych.

Samochody autonomiczne zmieniają nie tylko miasta, ale też rynek pracy, wpłyną zwłaszcza na zatrudnienie kierowców.

Ich wejście pociągnie za sobą wiele skutków społecznych, zaczynając od tych dobrych. Jak już wspominałem: jeśli liczbę samochodów w Berlinie zredukujemy do 1/10, nie będzie już pojazdów zaparkowanych wzdłuż chodników. Uwolnimy ulice dla pieszych i rowerzystów.



Zrobi się miejsce dla zieleni?

Tak, posadźmy więcej drzew. Drugim dobrym efektem jest to, że wzrośnie średnia prędkość samochodów w mieście. Obecnie – z powodu korków – wynosi ona w Berlinie ok. 23 km/h. Jeśli wszystkie pojazdy będą skomputeryzowane i zsynchronizowane, to pojadą szybciej; ich średnia prędkość będzie wynosiła 40 km/h. Tym sposobem – paradoksalnie – będziemy jeździć prawie dwa razy szybciej i bezpieczniej.

Kolejna sprawa to zanieczyszczenie środowiska. Gdy będzie w miastach dużo mniej samochodów, możemy pomyśleć o tym, by wszystkie były elektryczne. Obecnie jest to trudne, ponieważ samochody elektryczne są droższe niż benzynowe. Ale jeśli samochody są taksówkami, to ich cena przestaje być już tak dużym problemem, ponieważ pojazd staje się dobrem wspólnym.

Pasażer nie musi mieć samochodu, myć samochodu, naprawiać samochodu – nic nie trzeba przy nim robić. Samochód staje się środkiem transportu publicznego. Takie są czynniki pozytywne.

Teraz negatywne: kierowca taksówki czy ciężarówki to jeden z głównych zawodów w Europie. Nie możemy więc wprowadzić tych wizjonerskich zmian w ciągu jednego dnia, ponieważ miliony zawodowych kierowców nagle zostałoby bez pracy. To długotrwały proces, powinien zachodzić na przestrzeni – powiedzmy – 30 lat. Żeby stare pokolenie kierowców mogło przejść na emeryturę, a nowe – zostać przekwalifikowane.

Jak na razie ludzie są bardzo sceptycznie nastawieni do autonomicznych aut. W Niemczech w niedawnym sondażu tylko 30 proc. respondentów zgodziło się z tezą, że poprawią bezpieczeństwo.

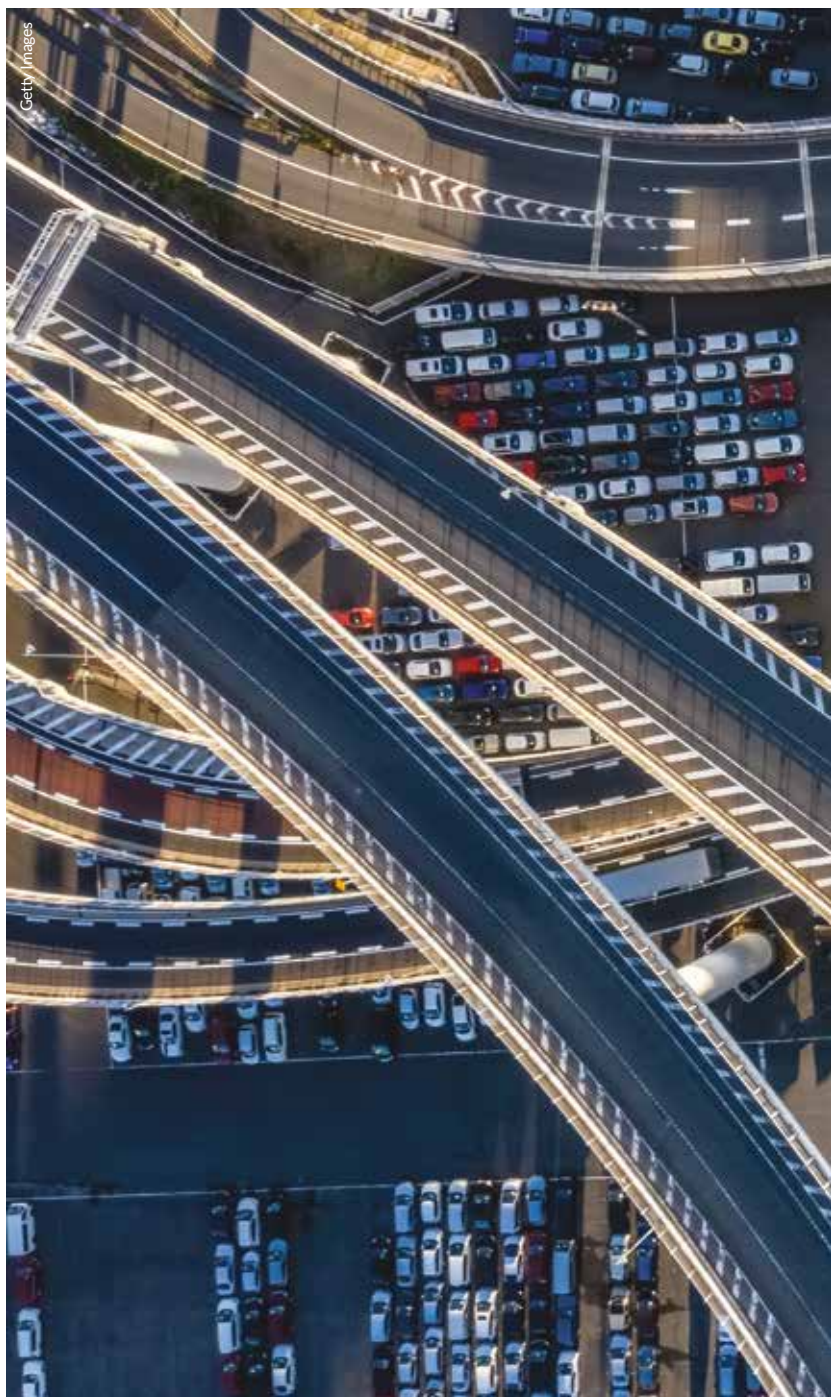
Nie jestem zaskoczony.

Dlaczego?

Wiele osób pragnie mieć własny samochód, nie chcą się z nikim dzielić. Niektórzy wręcz kochają swoje auta. Chodzi zatem o transformację społeczną. Oczywiście nie zamierzamy nikomu odbierać samochodu, chcemy po prostu, by ludzie zdawali sobie sprawę, że korzystanie – przynajmniej na co dzień – z autonomicznych, dzielonych aut jest tańsze i wygodniejsze.

Jeśli mieszkasz pod Berlinem, to jazda do pracy i z powrotem zabiera ci dwie godziny. Każdego dnia tracisz aż dwie godziny życia, bo nie robisz wtedy żadnych innych rzeczy, tylko prowadzisz auto! Ale jeśli jesteś pasażerem – tak jak w pociągu – i możesz podczas podróży czytać, pisać, korzystać z telefonu komórkowego lub robić cokolwiek innego, to odzyskujesz te dwie godziny.

Tak więc dzięki autonomicznym pojazdom w pewnym sensie żyjesz dłużej. Ten martwy czas, tracony na prowa-



dzenie auta, staje się dla ciebie czasem społecznym.

Myślę, że to kwestia tego, by ludzie doświadczyli podróży samochodem autonomicznym, by zobaczyli, jak działa. Z biegiem lat osiągniemy tę społeczną transformację.

Rok temu w Arizonie miał miejsce śmiertelny wypadek – autonomiczne auto testowane przez Ubera zabiło człowieka.

Ten wypadek pokazał, że mogą być złe samochody i złe programy, a Uber przoduje w ich produkcji. W przypad-



W Unii Europejskiej na tysiąc mieszkańców przypada ponad 500 samochodów

ku wielu innych firm jest inaczej. Na przykład Google testuje autonomiczne samochody od ok. 10 lat i nigdy nikogo nie zabił. Oni są znacznie bardziej ostrożni. Na filmie z kamer auta Ubera widać, że pieszy był wyraźnie widoczny dla kamer i czujników samochodu, które mają zasięg 100 m. Ale samochód nawet nie próbował się zatrzymać. Był to więc ogromny błąd oprogramowania!

Sztuczna inteligencja zawiodła.

Zawsze, choć niezwykle rzadko, będą zdarzać się takie przypadki. Bo sztuczna inteligencja jest sztuczna. Zapew-

ne już niedługo będziemy mogli porozmawiać z naszą zmywarką, np. zapytać, jak długo powinien trwać program zmywania. Ale musimy być jednak świadomi, że te urządzenia nie są naprawdę inteligentne. Udzielają odpowiedzi, mogą zrozumieć ograniczony zestaw słów i opcji, ale tak naprawdę nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Nie idzie za tym żadne poznanie kognitywne. Ludzie, słysząc mówiące przedmioty, często ulegają złudzeniu, że są one o wiele bardziej inteligentne, niż to jest w rzeczywistości. A to przecież tylko maszyny.



No ale inteligentne maszyny będą znacznie szybsze niż ludzie, bardziej precyzyjne, wydajniejsze. Czy powinniśmy się czuć zagrożeni? Stephen Hawking przestrzegał przed sztuczną inteligencją.

Wiele osób dyskutuje, czy powinniśmy w maszynach programować etykę. Ale w większości realistycznych scenariuszy nie mamy do czynienia z etyką maszyny, lecz etyką ludzi programujących tę maszynę. Urządzenia nie mogą być etyczne, złe ani dobre. Problem jest inny: jak sprawić, by programista lub producent zachowywali się etycznie.

Pozostaje problem społeczny. Wspomnieliśmy już o kierowcach, którzy nie będą potrzebni. Podobnie kasjerzy w sklepach. Nie jest to przyjemna praca. Cały dzień skanuje się przedmioty. Ale jeśli zautomatyzujemy tę czynność, nagle pojawią się miliony bezrobotnych.

Znamy wiele przypadków, gdy automatyzacja jest potrzebna, np. w pracach niebezpiecznych. Lakierowanie samochodów w fabryce było kiedyś wykonywane ręcznie. Ludzie, którzy to robili, wdychali toksyczne opary z lakieru. Teraz zastąpiły ich roboty. W ten sposób wyeliminowaliśmy problemy zdrowotne lakierników.

Formy zatrudnienia i zajęcia ludzi stale się zmieniają. W USA tylko nieco ponad 10 proc. wszystkich zatrudnionych produkuje coś realnego, namacalnego – żywność, lodówki itp. Pozostali, prawie 90 proc., wykonują usługi – są to profesorowie, dziennikarze, księgowi itp.

To dobrze, że stawiamy na automatyzację. Ale musimy mieć sensowny harmonogram, iść krok po kroku, by społeczeństwo mogło się rozwijać w tym samym czasie. Nie można automatyzować natychmiast. ☉

Mieszkańców Berlina można przewozić – bez utraty mobilności – używając 10 proc. samochodów, którymi jeżdżą dzisiaj

”



Prof. Raul Rojas

Profesor na wydziale informatyki Freie Universität Berlin. Jest kierownikiem niemieckiego programu autonomicznych aut, poza tym specjalizuje się w sieciach neuronowych i sztucznej inteligencji.

XINHUA/EASTNEWS



Od marca 2018 r. samochody autonomiczne koncernu Baidu są testowane w normalnym ruchu ulicznym w Pekinie



DOBRA AKUSTYKA TWORZY DOBRE WNĘTRZE

Uwolniliśmy biura od ścian, ale w warunkach open space'u niekiedy trudniej się skoncentrować. Bo na dużej przestrzeni pojawia się hałas. Dlatego we współczesnych biurach instaluje się budki telefoniczne czy inne rozwiązania poprawiające warunki akustyczne. A ustawodawcy regulują decybele w przestrzeni publicznej.

Od 2018 r. obowiązuje w Polsce norma akustyczna, która przewiduje, że w nowo powstających lub remontowanych budynkach użyteczności publicznej – biurach, szkołach czy urzędach – poziom hałasu ma być obniżony. Hałas szkodzi zdrowiu tak samo

jak smog i inne czynniki środowiskowe. Jego skutkiem mogą być braku koncentracji, ból głowy, obciążenie psychiczne i negatywny wpływ na kompetencje społeczne.

Komfort akustyczny zależy od aranżacji wnętrza. W przypadku budynków użyteczności publicznej, opracowanie kompleksowego rozwiązania wymaga specjalistycznej analizy, a następnie zastosowania materiałów i układów przestrzennych gwarantujących odpowiednią chłonność akustyczną. Kluczowe jest połączenie tych właściwości z atrakcyjną aranżacją.

Największym wyzwaniem są realizacje przestrzeni takich jak studia nagrań czy duże sale koncertowe. Takie jak zrealizowane przez firmę Office Plus **Narodowe Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego we Wrocławiu**.

Z naszego doświadczenia i wiedzy korzystamy również w biurach, którym oferujemy najlepsze rozwiązania akustyczne. Często są to figury geometryczne, które można układać w elegancie, nowoczesne kompozycje. Doskonale pochłaniają dźwięk np. obiekty umieszczone w miejscach odbijania się fal – np. stojące lub wiszące prostopadłości lub walce.



Zapraszam do rozmowy o akustycznej aranżacji Państwa biura, szkoły, biblioteki, lotniska czy galerii handlowej. Podołamy każdemu wyzwaniu! Konrad Mołski
Office Plus Kraków, tel. 795 055 017
krakow@officeplus.pl

AMERYKAŃSKI ŚLAD W CZARNOBYLU



OD SKAŻONEGO MLEKA, KTÓRE W POLSCE SPOŻYWAMY
DO DZIŚ, PO EKSPERYMENTY NA OFIARACH KATASTRO-
FY CZARNOBYLSKIEJ – EKSPLOZJA Z 1986 R. TO SPRA-
WA WCIĄŻ NIEWYJAŚNIONA I AKTUALNA

Jakub Janiszewski

„Postrzegają mnie jako partyzantkę, ale wiarygodną” – mówiła o sobie Kate Brown, profesor historii z Massachusetts Institute of Technology, gdy sześć lat temu w Stanach Zjednoczonych ukazywała się jej „Plutopia”. Tamta książka była podwójnym portretem zamkniętych atomowych miast: amerykańskiego Richland położonego na północy stanu Waszyngton oraz radzieckiego Oziorska w obwodzie Czelabińskim. W obu produkowano pluton, pierwiastek niezbędny do zimnowojennej zmasowanej produkcji bomb jądrowych. Doprowadziło to do ciężkich skażeń środowiska, a w konsekwencji zrujnowało zdrowie tysięcy ludzi (ci ostatni nie mieli pojęcia o strategicznym znaczeniu ich miast).

„Przez kilkadziesiąt lat istnienia każde z nich [miast – przyp. red.] wpompo- wało w otoczenie dwukrotnie większą ilość radioaktywnych izotopów niż ta, którą uwolniła katastrofa w Czarnobylu” – pisał o książce Brown recenzent dwumiesięcznika „Foreign Affairs”. Tym razem Brown wzięła na warsztat właśnie katastrofę z 1986 r.

WYPRAWA DO ZONY

Eksplozja czarnobylskiego reaktora nr 4 (słup radioaktywnych gazów wyrzucony do atmosfery miał 3 km wysokości) wyznacza punkt zwrotny w globalnym myśleniu o energii atomowej. Porównuje się z nią wszystkie późniejsze, jak i wszystkie wcześniejsze awarie i katastrofy, zupełnie jakby wiedza o tym, co

zdarzyło się w ukraińskiej elektrowni, była powszechna, a zarazem kompletna – bez znaków zapytania, niedopowiedzeń. Tymczasem tak naprawdę nie całkiem rozumiemy, co znaczy „dwa razy więcej niż w Czarnobylu”. Dwa razy więcej czego? Izotopów cezu, jodu, czy strontu? I gdzie trafiły? Do wody? W powietrze? Strefa Wykluczenia wokół Czarnobyla obejmuje wszystkie tereny w promieniu 30 km od elektrowni. Czy znaczy to, że wokół Richland i Oziorska też należałoby narysować jakiś okrąg, tyle że o dwa razy większym promieniu? I właściwie dlaczego mielibyśmy się tym martwić?

Raporty tzw. Forum Czarnobylskiego – specjalnej grupy powołanej przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej, Światową Organizację Zdrowia i parę innych agend ONZ – twierdzą, że nawet jeśli Ukraińcy i Białorusini chorują częściej, to bardziej ze stresu związanego z przesiedleniami (po katastrofie przymusowo ewakuowano w sumie ok. 400 tys. ludzi) niż za sprawą zwiększonego promieniowania. Całkowitą liczbę ofiar śmiertelnych katastrofy szacuje się na 54 przypadki. Niewiele. Dlaczego mielibyśmy dzisiaj zawracać sobie głowę katastrofą sprzed 30 lat? Przecież już wszystko wiadomo.

Historyczka-partyzantka Kate Brown postanowiła udzielić odpowiedzi na powyższe pytania w swojej kolejnej książce. Przez pięć lat krążyła między Kijowem, Moskwą, Mińskiem, Waszyng-

tonem, Wiedniem, Florencją, Amsterdamem i Genewą. Pojechała wszędzie tam, gdzie znajdowały się kluczowe dla sprawy archiwa: ONZ, Greenpeace'u, federalnych władz amerykańskich czy Unii Europejskiej. Rozmawiała też z ludźmi z ukraińskiego Sławutycza, Czernihowa, Berdyczowa, Żytomierza. Była w prawie nieistniejącej już wsi Nedanczycki na skraju Strefy Wykluczenia. Ubrana w kombinezon z tyteku – ten słynny biały kostium, obecny w niemal każdym filmie o katastrofach ekologicznych – spacerowała po Czerwonym Lesie, obszarze, o którym mówi się, że przyjął największą dawkę promieniowania po eksplozji reaktora. Tam towarzyszyła Timowi Mousseau i Andersowi Møllerowi, parze biologów, którzy od lat prowadzą badania nad stanem ekosystemów w rejonach podwyższonego promieniowania. Innym razem sama, bez kombinezonu, za to z licznikiem Geigera, udała się na poszukiwanie białoruskiej wsi Wiepryn. Znalazła kupę gruzów: mieszkańców ewakuowano w latach 90. i to dopiero po tym, gdy spośród 70 miejscowych dzieci lekarze tylko sześcioro uznali za zdrowe. Reszta cierpiała na liczne, przewlekłe schorzenia, z nowotworami tarczycy na czele.

GDY ROZUM SIĘ BUNTUJE

Efektom tego wielkiego podróżniczo-badawczego wysiłku jest „Czarnobyl: Instrukcje przetrwania”, 400-stronnicowa książka, miejscami przypominająca polityczny thriller. Co ciekawe, klimat



Sasza z Mińska na Białorusi urodził się rok po katastrofie w Czarnobylu.
Chorował na białaczkę. Zmarł w wieku 7 lat

grozy obecny niemal w każdym rozdziale, wynika tutaj nie tylko z opisywanych wypadków, lecz także z samego zestawienia źródeł: sowieckich archiwów i ródeł zachodnich, oficjalnych i ukrytych, międzynarodowych raportów i pominiętych, choć powinny prowadzić do dalszych, być może bardziej wnikliwych badań.

W efekcie powstało coś, przed czym racjonalny umysł instynktownie się wzbrania: poważna, obudowana dziesiątkami przypisów i odniesień bibliograficznych publikacja, pełna opisów czegoś, co najchętniej uznalibyśmy za teorie spiskowe. Chcemy wierzyć w oświeceniowy dyskurs naukowy: ktoś coś ustalił, ktoś inny powtórzył badanie, wnioski końcowe trafiają do najważniejszych, międzynarodowych opracowań, tworząc fundamenty wiedzy. Chcemy wierzyć, że autorytet płynie z doświadczenia, a ryzykowne sytuacje zawsze zostaną zbadane i przeanalizowane. Chcemy wreszcie wierzyć, że jest jakaś prawda i jakiś etos, na straży których stoją zachodnie, liberalne demokracje. Kate Brown pozbawia nas tych złudzeń, drobiazgowo opisując nie tylko reakcje sowieckich władz na kryzys czarnobylski, lecz także nie mniej szokujące inicjatywy Zachodu. Oto prawdziwe trzewia władzy, nie grosze niż te znane z „Gry o tron”.

UMRĄ ALBO BĘDĄ ŻYLI

Na podstawie „Czarnobyla” Brown dałoby się nakręcić iście szekspirowski serial poruszający kilka kwestii. Pierwszą były eksperymenty medyczne przeprowadzane na ludziach.

Doszło do nich tuż po katastrofie, gdy do moskiewskiej kliniki medycyny radiacyjnej w Szpitalu nr 6 trafiło kilkuset pacjentów zaangażowanych w akcję gaszenia pożaru czarnobylskiego reaktora. Kliniką kierowała Angielina Guśkowa, neurołożka zatrudniona najpierw w zakładach produkcji plutonu, później przeniesiona do Moskwy. Przez 30 lat badała napromieniowanych pacjentów, mając bardzo ograniczoną wiedzę: klauzula tajności nie pozwalała przekazywać lekarzom, w jakich okolicznościach doszło do ekspozycji. Nie wiedzieli nawet, czy szukają objawów choroby popromiennej, czy czegoś innego, nauczyli się to ustalać

sami, w oparciu o przeprowadzane autopsje. Z czasem wypracowali unikalną metodę diagnozowania pacjenta na podstawie objawów zewnętrznych i badań krwi. Ich doświadczenie przegrało jednak z rosnącymi wpływami zagranicznego kapitału, którego słabnący Związek Radziecki dramatycznie potrzebował. Gdy do kliniki Guśkowej trafiło pierwszych 148 napromieniowanych mężczyzn, na specjalne zaproszenie

dostęp do napromieniowanych pacjentów i zaordynował lek w przedklinicznej fazie badań, a więc nieprzebadany na ludziach. Tak zwany GM-CSF, powstający w laboratoriach szwajcarskiego koncernu Sandoz, miał odbudowywać uszkodzony szpik kostny. By osłabić opory komunistycznych władz, Gale wstrzyknął samemu sobie dawkę dziesięciokrotnie wyższą niż ta, którą podawano małpom.



Wkrótce po katastrofie nad najbardziej skażonym terenem latały helikoptery rozpylające lepki płyn. Miał zniwelować skażenia

Michała Gorbaczowa zjawiał się tam także Robert Gale, specjalista od białaczki z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Jak to zrobił? Kluczowe okazały się jego kontakty z amerykańskim milionerem Armandem Hammerem, który jako jeden z nielicznych handlował w tym czasie z sowietami. Hammer przyobiecał Gorbaczowowi pomoc medyczną o wartości 600 tys. dolarów w zamian za zaproszenie zaprzyjaźnionego lekarza. W efekcie doktor Gale uzyskał

Przeżył i to bez większych konsekwencji zdrowotnych, ale złamał wszelkie medyczne standardy. O eksperymencie nie wiedzieli pacjenci, nikt też nie pytał ich o zgodę. Gorzej: Gale rekomendował też inne drastyczne metody leczenia. Przeszczepy szpiku u osób napromieniowanych to działania skrajnie ryzykowne, zwykle kończyły się fatalnie. Większość leczonych jego metodami pacjentów nie przeżyła kolejnych trzech miesięcy. Podopieczni Guśkowej, prowadzeni inaczej, przeżywali zwykle kolejnych kilka lat.



CZARODZIEJE OD DESZCZU

Inną szokującą sprawą było opisane przez Brown wywołanie zjawisk atmosferycznych prowadzące do celowego „przekierowania” skażenia na teren południowej Białorusi.

W takich akcjach specjalizowały się rosyjskie siły powietrzne i to już od 1941 r. Gdy pierwsze informacje o eks-

rowano bombowce Tu-16 rozpylające smugi kondensacyjne nad terenami białorusko-ukraińskiego pogranicza. Rozprowadzany w ten sposób jodek srebra miał wywołać deszcz. I wywołał, sprawiając tym samym, że to nie na Ukrainie, nie w Strefie Wykluczenia, a 400 km od Czarnobyla znajdują się najciężej napromieniowane wskutek katastrofy z kwietnia 1986 r. miejscowości. To zresztą naturalne: radioaktywny opad niesiony

r. wywołały pięciomiesięczną suszę. Brown pisze, że ukraińscy piloci, „robiąc osiemdziesięciokilometrową pętlę wokół elektrowni, rozpylali po dziewięć ton cementu 600, mieszanki cementu z chemikaliami, które wysyszały wilgoć z chmur”, i podaje liczne przypisy prowadzące do rosyjskich, ukraińskich i białoruskich archiwów. Jeśli wierzyć tym rewelacjom „chemtrailsy”, których istnienie potwierdził onegdaj Edward Snowden, nie są wcale fikcją.



plozji w ukraińskiej elektrowni dotarły do Moskwy, najważniejsze okazały się prognozy pogody. Skażenie trafiło do chmur, a stamtąd, wraz z deszczem, mogło wrócić na ziemię.

Najgorszym scenariuszem dla władz byłby wiatr przepędzający radioaktywny obłok nad Moskwę, Kijów lub Mińsk i deszczowe wiosenne chmury. Zbliżało się święto 1 Maja, dzień o kluczowym dla radzieckiej propagandy znaczeniu. Do walki z nieprzychylną naturą skie-

prądami powietrza nie prowadzi do jednolitego skażenia danego terenu. Tworzy promieniotwórcze wyspy. W Europie dużo bardziej odczuły to Grecja i Austria niż na przykład położone bliżej Niemcy lub Skandynawia.

Radzieckie samoloty nie tylko umiały sprowadzić deszcz, umiały go także zatrzymać: nad Kijowem i Moskwą nie padało. Cotygodniowe operacje lotnictwa prowadzone od maja do czerwca i od września do grudnia 1986

Czarnobyl wyznacza punkt zwrotny w globalnym myśleniu o energii atomowej. Porównuje się z nim wszystkie późniejsze i wcześniejsze katastrofy i awarie

”

Trudno dać wiarę niektórym doniesieniom Brown. Łatwiej uwierzyć w niszczenie dokumentacji medycznej przez sowieckie służby specjalne.

ZNIKAJĄCE KARTOTEKI

Chodzi o wydarzenia z 1990 r., gdy do ZSRS zaczęły przyjeżdżać delegacje Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Latem w mińskim Instytucie Medycyny Radiacyjnej doszło do tajemniczego włamania. Strażnika ogłuszono ciosem w głowę, zabrano mu klucze, skradziono dwa komputery i stos dyskietek. Znajdowały się na nich dane z badań medycznych 134 tys. Białorusinów, a przede wszystkim informacje o pochłoniętych przez nich dawkach radioaktywnych izotopów. Gdy milicja zdołała je odzyskać, zawartość była już wykasowana. Druga tego typu





Badacz na brzegu sztucznego jeziora chłodzącego turbiny obserwuje ryby zdechłe na skutek promieniowania



Młoda Rosjanka Walia Woronkowa straciła nogę na skutek powikłań zdrowotnych po katastrofie w Czarnobylu



Pracownicy zabezpieczający teren po katastrofie nosili kombinezony, które w niewielkim stopniu chroniły przed promieniowaniem



baza danych zniknęła z komputera w Moskwie, razem z zeszytami, brudnopisami. Zawierała informacje o dawkach promieniowania przyjętych przez ukraińskich pacjentów hospitalizowanych w stołecznych szpitalach. Włamanie dzieliło zaledwie parę tygodni.

Trzecia baza danych, zaginiona w 1991 r., powstała na użytek Greenpeace'u, który w pierwszych latach po katastrofie bardzo aktywnie dążył do utworzenia w Kijowie centrum medycyny dziecięcej. Pracująca dla organizacji techniczka Anne Pellerin zebrała wyniki badań hematologicznych 2400 napromieniowanych dzieci. Ale i ta baza zniknęła w niejasnych okolicznościach. W którymś momencie tak komputery, jak i dyskiety przestały działać, także te zawierające kopię zapasową. Brown sugeruje, że to sprawka KGB, według niej komuś najwyraźniej bardzo zależało, by międzynarodowi eksperci nigdy nie dowiedzieli się, czym było życie na terenach skażonych.

Ostra choroba popromienna to bowiem jedno (w tym przypadku rzeczywiście, jeśli bardzo się uprzeć, można ograniczyć wyliczenia do 54 ofiar); jednak przewlekłe, długotrwałe wystawienie na obecne w glebie, wodzie i żywności promieniowanie to coś zupełnie innego. Brown cytuje rosyjskiego hematologa Andrieja Worobjowa: „Ostra choroba popromienna to wypadek. Zespół chronicznego napromieniowania to zbrodnia”.

TRZY MĄDRE MAŁPY

I choć Brown formułuje tezę o włamaniach sowieckich służb, to twierdzi jednocześnie, że raporty powstałe w wiekańskiej siedzibie ONZ miały na celu celowe bagatelizowanie negatywnego wpływu katastrofy na zdrowie publiczne – „Zachód” miał negować i odrzucać posiadane dowody.

W 1992 r. Walacina Drozd i jej szefowa Łarysa Astachawa – dwie białoruskie lekarki pediatry – przywiozły do podmonachijskiego Neuherberga 20 preparatów z biopsji dziecięcych tarczyc. Były to dowody na nagły wzrost zapadalności na nowotwory tego organu, do tej pory niezwykle rzadko występujące. Białoruś przed katastrofą odnotowywa-

ła niespełna dwa przypadki rocznie, a po katastrofie, w 1991 r. – już 54. Dowody nie przekonały jednak zaproszonych przez WHO specjalistów, krzywiących się na kiepską jakość preparatów wykonanych ze szkła okenego, wycinanego własnoręcznie przez lekarki.

Dowód wraz z pieczołowitym raportem z badań Walaciny Drozd został przekazany Fredowi Mettlerowi, amerykańskiemu profesorowi radiologii, który miał dokonać jego weryfikacji w swoim laboratorium w Nowym Meksyku – zdecydowanie lepiej wyposażonym niż najnowocześniejsze ośrodki medyczne ówczesnej Białorusi.

Zdaniem Brown Mettler weryfikację przeprowadził, odnotował wystąpienie owych 20 nowotworów w raporcie Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, ale w samych wnioskach – zupełnie rzecz pominął. W efekcie zarówno w oenietowskich publikacjach z kolejnych lat (1991, 1996 i raporcie finalnym z 2006 r.) wciąż można było lansować tę samą, choć pozostającą w sprzeczności z resztą dokumentu, tezę: promieniowanie jest w gruncie rzeczy nieszkodliwe, a konsekwencje zdrowotne przesadzone. To, że już wówczas było to stwierdzenie fałszywe, potwierdza obecnie nawet sam Fred Mettler, choć, jak można wnioskować z książki Brown, dalej niekonsekwentnie. Raz twierdzi, że o materiale przekazanym przez Białorusinki zapomniął, raz że nigdy niczego takiego nie powiedział.

Dość, że cała awantura o nowotwory tarczycy u napromieniowanych dzieci ma swoje głębsze dno i nie ogranicza się bynajmniej do osoby samego Mettlera. Chodziło najprawdopodobniej o wyciszenie sprawy. W USA zaczynały się właśnie spory sądowe o choroby tarczycy u pracowników zakładów plutonowych w Hanford oraz poligonu testowego w Nevadzie. Podgrzanie tematu nie było w interesie zwycięzców Zimnej Wojny. Zbyt wnikliwe badanie konsekwencji Czarnobyla uderzyłoby rykoszetem także w Amerykanów. Najbardziej ucierpiałby Departament Energetyki Atomowej, agenda, zdaniem Brown, bezpośrednio odpowiedzialna za „wystawienie na działanie promieniowania milionów Amerykanów i niepodjęcie żadnych działań, by ich chronić”.

Ukraińskie grzyby i jagody trafiają do przetwórstwa, nawet jeśli poziom skażeń przekroczy dopuszczalne normy. Wymieszane z tymi mniej skażonymi rozjadają się z Ukrainy na wszystkie strony świata, w tym do Polski

”

ROZPROMIENIONE GRZYBY

Ukrywanie niewygodnych faktów przez instytucje międzynarodowe to nie wszystko. Dużo większe wrażenie na czytelnikach zrobią informacje o wprowadzaniu do obiegu handlowego skażonej żywności.

Jako że radioaktywne deszcze skażyły glebę, trawa, która z niej wyrosła, również była radioaktywna. Napromienowane zostało także bydło hodowlane. W efekcie ZSRS, przy coraz większych niedoborach, zmagając się z masą niedających się do spożycia produktów rolnych. Brown opisuje podróżujące koleją po Ukrainie wagony-chłodnie wypełnione radioaktywnym mięsem, przedstawiane z bocznicą na bocznicy oraz przemysłowe głąplarnie, w których radioaktywna wełna piętrzyła się tonami, wcześniej doprowadzając do masowych zachorowań wśród pracowników.

Inaczej poradzano sobie z produktami mlecznymi. Skażone mleko mieszano ze spełniającym normy. Mieszkanki te trafiały do sklepów. Czytelnika, który sądzi, że to wszystko ponure anegdotki sprzed 30 lat, czeka rozczarowanie. Podobne reguły obowiązują i dziś.



Ukraińskie grzyby i jagody (choć w punkcie skupu testowane spektrometrem promieni gamma) trafiają do przetwórstwa, nawet jeśli poziom skażeń przekroczy normy. Kupuje się je od zbieraczy za niższą cenę. Wymieszane z tymi mniej napromieniowanymi rozjadają się z Ukrainy na wszystkie strony świata, w tym do Polski i innych krajów Unii Europejskiej.

To nie tylko synonim wszechobecnej korupcji i łamania reguł; ale także - metafora kosztów epoki atomu, które wszyscy ponosimy.

OBSZARY NIEPEWNOŚCI

Kate Brown umie pisać i stopniować napięcie niczym rasowa scenarzystka filmowa, lecz to nie sensacja jest jej celem. Chodzi jej przede wszystkim o szukanie szczelin w dominujących narracjach. Czy politykę działania Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej da się wyjaśnić imperialną polityką USA? Tylko do pewnego stopnia. Jednym z celów Agencji naprawdę jest „promowanie bezpiecznej energii jądrowej” i przy takim mandacie zawsze będzie próbowała robić dobrą minę do złej gry. Atom miał być odpowie-

dzią na kryzys energetyczny, Czarnobyl okazał się znakiem zapytania. Złożoność narracji Brown czyni z niej raczej kiepską konspiracjonistkę. Gdyby naprawdę chciała nas przekonać, że światem rządzi amerykański spisek jądrowy, byłaby zdecydowanie bardziej monotematyczna. Wnioski końcowe płynące z lektury „Czarnobyła” są tym bardziej przykre. Energią jądrową nie rządzą ani mocarstwa, ani organizacje, ani nawet procedury, lecz doraźny, krótkoterminowy interes polityczny lub ekonomiczny. To niekoniecznie obszar racjonalnego namysłu, bardziej upor. Czarnobylski

Igor Kostin/Sygma/Getty Images



Pochówek w wiosce Kopaczi, siedem kilometrów od wybuchu reaktora jądrowego



reaktor eksplodował nie z powodu błędu techników lub awarii. Wybuchł, bo został zaprojektowany tak, by pozyskiwać pluton. Miało to swoją cenę: w określonych sytuacjach reaktor stawał się niestabilny i to właśnie wydarzyło się na Ukrainie. Eksplozja, skażenie środowiska i choroby popromienne okazały się ceną za krótkoterminową logikę wyścigu zbrojeń.

Owa logika – patrząc na najnowszą historię Korei Północnej lub obecne ostrzeżenia Iranu przed powrotem do programu atomowego – wbrew pozorom wcale nie należy do przeszłości.

W zakresie bezpieczeństwa energetyki jądrowej również nie uczyniliśmy wielkiego postępu: dowodzi tego katastrofa Fukushima. Czy w rejonie aktywnym sejsmicznie elektrownia atomowa nie powinna być bezpieczniejsza? Nie była. Radioaktywne skażenie splukały wody oceanu, coraz bardziej zanieczyszczone.

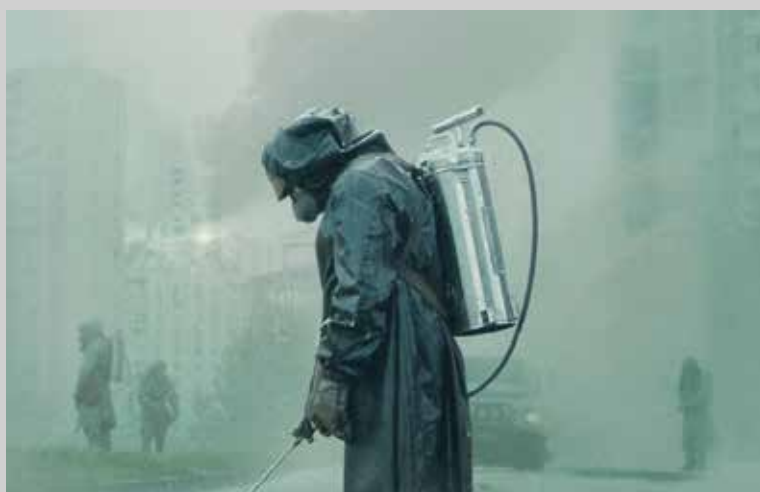
Koszt epoki atomowej ponoszą wszystkie ekosystemy, w tym ludzie. Gorzej: po latach prób jądrowych i katastrof nie istnieje już nic takiego jak „promieniowanie naturalne” – za sprawą ludzkiej działalności wszystko jest mniej lub bardziej

skażone. Tymczasem „lekcje płynące z Czarnobyla” to w gruncie rzeczy głównie metody zakłamywania sytuacji i tuszowania faktów.

„Trzydzieści lat po awarii wciąż brakuje nam odpowiedzi, za to obszarów niepewności jest aż nadto” – kończy swoją książkę Kate Brown. ○

Jakub Janiszewski

jest dziennikarzem Radia TOK FM,
autorem książki *Kto w Polsce ma HIV?*
Epidemia i jej mistyfikacje



SERIAL WSZECHCZASÓW

„Czarnobyl” w rankingu najlepszych seriali amerykańskiego portalu IMDB rządzi niepodzielnie, zostawiając w tyle takie hity jak „Gra o tron”, „Breaking Bad” czy „Rodzina Soprano”. Na polskim Filmweb jest podobnie.

Fabularyzowana opowieść o czarnobylskiej katastrofie z 1986 r. podbiła serca widzów w różnych zakątkach świata. Szacuje się, że liczba turystów w czarnobylskiej Strefie Wykluczenia wzrosła na fali zainteresowania serialem o 30 procent. W internecie pojawiają się ich zdjęcia – często w nieprzystojnych pozach. Twórcy apelują o opamiętanie.

Na pierwszy rzut oka sukces ten może dziwić: ot osadzona w siermiężnych realiach schyłkowego Związku Radzieckiego produkcja, której głównymi bohaterami jest dwójka szarych aparatczyków.

Tymczasem pięcioodcinkowy miniserial urzeka fabułą, estetyką, ale też trafnością diagnozy problemów społecznych. Pokazuje, jaka jest cena kłamstwa i jak systemy potrafią gardzić jednostkami. Diagnoza ta nie straciła zresztą wiele na swojej aktualności przez 33 lata, które dzielą nas od tej jednej z największych wywołanych przez człowieka katastrof w dziejach.

JAK PRZESTAĆ SIĘ BAĆ I POKOCHAĆ ENERGIĘ ATOMU



DWA WYPADKI – CZARNOBYL I FUKUSHIMA – SPRAWIŁY, ŻE BEZSENSOWNIE REZYGNUJEMY Z NAJLEPSZEGO, NAJBEZPIECZNIEJSZEGO I NAJBARDZIEJ PRZYJAZNEGO ŚRODOWISKU ŹRÓDŁA ENERGII, JAKIE MA DO DYSPOZYCJI LUDZKOŚĆ

Wade Allison

Na całym świecie demonstranci żądają ograniczenia energetyki opartej na węglu, bo chcą chronić środowisko. A jednak niemiecka Energiewende, czyli wielka transformacja energetyczna, która miała taki właśnie cel, nie była w stanie zmniejszyć emisji dwutlenku węgla. Niestety z powodu wieloletnich uprzedzeń do wszystkiego, co nuklearne, światowi decydenci nadal stronią od energii jądrowej, inwestując za to na potęgę w odnawialne źródła, jak wiatr czy słońce.

Jasne, dzięki ujarzmieniu energii wiatru, wody czy ognia (powstałego z palenia liści i drewna), czyli korzystaniu z tego, co dziś nazywamy odnawialnymi źródłami, naszym przodkom udało się okiełznać naturę. Ale ich źródła energii od początku były słabe, nieefektywne i dostępne tylko przy dobrej pogodzie [kiedy świeci słońce albo wieje wiatr – red.].

Efekt? Ludzi było niewiele, żyli krótko i w kiepskich warunkach.

Zmianę przyniosła dopiero rewolucja przemysłowa. Ludzie nauczyli się napędzać silniki węglem, a później zaczęli używać oleju i gazu. Miarą użyteczności paliwa jest jego gęstość energetyczna, czyli ilość energii, którą można wyprodukować z danej masy. W przypadku paliw kopalnych jest to 1–7 kWh na kilogram, czyli 1 tys. razy więcej niż w przypadku źródeł odnawialnych. W dodatku taka energia jest dostępna wszędzie, o każdej porze, bez względu na pogodę.

To właśnie dostęp do tych potężnych źródeł energii kształtował cały polityczny i gospodarczy rozwój świata w ciągu ostatnich 250 lat. W tym czasie światowa populacja zwiększyła się ośmiokrotnie, długość życia się podwoiła, a jego jakość – gwałtownie wzrosła.

A jednak dziś stoimy na rozdrożu, u progu nowej rewolucji energetycznej. Bo zalety paliw kopalnych nie dorównują już kosztom, a odnawialne źródła energii nadal są słabe i zawodne jak przed rewolucją przemysłową [wg danych Międzynarodowej Agencji ds. Energetyki z wiatru i słońca mamy zaledwie 1 proc. energii produkowanej na całym świecie, a wg jej prognoz udział ten do 2040 r. wzrośnie do 4 proc.].

Żeby pozyskać wystarczającą ilość energii, przedindustrialne paliwa potrzebują ogromnych i bardzo szkodliwych inwestycji, które w ogóle nie są ekologiczne. Potrzebują wielkiej liczby paneli solarnych, gigantycznych pól pełnych wiatraków, wreszcie rozległych, zatopionych dolin rzek. To wszystko nie dość, że musiałoby zajmować ogromną ilość miejsca – bo energetyczna efektywność słońca i wiatru jest słaba – to jeszcze działa tylko 30 proc. czasu. Czyli, jak zresztą dowiodła niemiecka Energiewende, takie paliwa zwyczajnie nam nie wystarczą.

Chciecie PRAWDZIWEJ zielonej rewolucji? W takim razie potrzebna jest strategia nie tylko realistyczna, ale i sensowna z naukowego punktu widzenia. Mamy ją na wyciągnięcie ręki od prawie stu lat, tutaj niespodzianek nie będzie. Najbardziej efektywnym i łatwo dostępnym źródłem energii jest paliwo nuklearne, które nie tylko daje multum energii na każde żądanie, lecz także najmniej szkodzi środowisku!

Każde paliwo, żeby zaczęło dawać energię, musi zostać naładowane potężniejszym jej źródłem – w przypadku paliw kopalnych milionami lat fotosyntezy. Te same prawa fizyki, które tłumaczą, dlaczego gęstość energetyczna paliw kopalnych jest 1 tys. razy większa niż paliw przedindustrialnych, tłuma-



czą też, dlaczego gęstość paliwa jądrowego jest większa aż 5 mln razy!

Paliwo uranowe i torowe, jakie mamy dziś na Ziemi, zostało naładowane w wyniku procesu grawitacyjnego zapadania się (kolapsu) materii. Dziś astronomowie obserwują ten proces w różnych miejscach we wszechświecie.

Kilogram paliwa nuklearnego, które powstaje w jego wyniku, zapewnia jednemu człowiekowi całą energię, jakiej będzie potrzebował przez całe swoje życie. W dodatku wytworzenie tej energii nie wymaga ani emisji 1,8 tys. t dwutlenku węgla, ani przepuszczenia przez tamę 10 mln t wody. Tak minimalna ilość paliwa generuje równie niewielką ilość odpadów, a w dodatku – wbrew powszechnemu przekonaniu – nie są one groźne [nie było wypadków z odpadami z reaktorów – red.].

Energia nuklearna jest szczelnie zamknięta w pojedynczych jądrach, które nigdy się nie zderzają, chyba że w środku Słońca czy innych gwiazd. Nie są zatem w stanie uwolnić energii przedwcześnie, bo są zamknięte; jedynym istniejącym kluczem do nich są swobodne neutrony. Tyle że ten klucz wyjątkowo szybko się dematerializuje: ich okres połowicznego rozpadu to zaledwie 10 min! [czyli po każdym 10 min jest ich dwa razy mniej niż było – red.].

Efekt? Energia jądrowa może zostać uwolniona wyłącznie wewnątrz działającego reaktora. I dlatego jest taka bezpieczna. Straszak z filmów i książek

Mało tego, sama natura wie, jak chronić życie przed promieniowaniem. Miała 3 mld lat, żeby przystosować się do natu-

ralnego promieniowania ze skał i z kosmosu. W efekcie takie naturalne, umiarkowane promieniowanie jest praktycznie nieszkodliwe. Nie mówiąc już o tym, że w nieco większych dawkach promieniowanie może być – jak wiemy dzięki Marii Skłodowskiej-Curie – lekarstwem. Stosuje się je w diagnozowaniu i leczeniu raka.

Skoro więc godzimy się korzystać z nuklearnej technologii dla ratowania zdrowia i życia, to dlaczego nie wykorzystać jej dla ratowania zdrowia i życia naszej planety? Niestety ludzie się jej boją, w filmach i literaturze odgrywa rolę straszaka, choć jest bezpieczniejsza niż energia pochodząca z wszelkich innych źródeł, a lęk nie ma żadnego naukowego uzasadnienia.

Nasza przyszłość, nasze zdrowie i nasze środowisko wymagają zmiany podejścia. Musimy zacząć na dużo większą skalę korzystać z energii jądrowej. Żeby tak się stało, potrzebna jest edukacja – trzeba uczyć wszystkich, ale szczególnie młodych, którzy kiedyś będą budować i nadzorować elektrownie jądrowe na całym świecie. No i przydałoby się pozbyć całej zachowawczej biurokracji rodem z czasów zimnej wojny, która blokuje rozwój energetyki.

Nie ma źródła energii bardziej bezpiecznego, efektywnego, dostępnego i przyjaznego środowisku. Bez jego wykorzystania zielona rewolucja, której świat potrzebuje, po prostu się nie wydarzy.

© Project Syndicate 2019

Wade Allison

jest emerytowanym profesorem fizyki cząstek elementarnych z Uniwersytetu w Oxfordzie i autorem książki *Nuclear is for Life*



Trzynastozgłoskowiec na końcu internetu



SPRÓBUJ WPISAĆ W GOOGLE HASŁO „POKEMONY”. KTÓRYŚ Z WYNIKÓW BĘDZIE DOTYCZYĆ TEGO, ŻE GENERAŁ BŁASIK WSZEDŁ DO KOKPITU. TAK DZIAŁA TA PLATFORMA. ROZPOZNAJE NASZE ZWYCZAJE I POTRZEBY. DLA TEGO NASZ GOOGLE JEST UNARODOWIONY

z Piotrem Mareckim rozmawia Jan Bińczycki

Jan Bińczycki: Wyobraźmy sobie, że ktoś kupuje tom *Niepodległa Google* w księgarni. Dla czytelnika, który znajdzie twoją książkę na półce z poezją, istotne będzie, czy znajdzie tam wiersze.

Piotr Marecki: To istotne pytanie, które zresztą zawiera się w samej pracy. *Niepodległa Google* to flarf. Gatunek powstał pod koniec lat 90. w Stanach Zjednoczonych, gdzie także najbardziej się rozprzestrzenił.

Kiedy rozpowszechniły się wyszukiwarki internetowe, autorzy zaczęli do nich wpisywać różne hasła i tworzyć teksty, korzystając z efektów wyszukiwań. Wysyłali je do siebie e-mailami, publikowali w grupach dyskusyjnych, przetwarzali, zmieniali, dopisywali. Wytworzyła się wokół tego społeczność autorów i autorek.

Flarf nigdy nie jest gotowy, ukończony. Jeśli wydaje się go w książce, niejako zabija się ducha tego typu tekstu. To sprzeniewierzenie się idei lub ewentualnie dokumentacja procesu. Twórcy wychodzili z założenia, że wobec natłoku i powszechnej dostępności rozmaitych tekstów i informacji nie warto pisać własnych, że lepiej bawić się istniejącymi. Do selekcji danych z kolei mogą posłużyć m.in. algorytmy wyszukiwarek.

Żadne awangardy nie poszły tak daleko. Dotąd raczej wierzono w finalną wersję utworu ogłoszoną drukiem. Ostatnio jeden ze znajomych poetów opowiadał mi, że przez dwa tygodnie zastanawiał się nad wykorzystaniem jednego przecinka. Z flarfem jest dokładnie na odwrót.

Z reguły jest kiczowaty, kampowy. To taka tekstowa miazga z tysiącami błędów, zapis tego, jak działa nasza językowa świadomość, a nie domknięte dzieło, w którym wykorzystano środki obliczone na konkretny efekt.

Kim byłeś, pisząc *Niepodległą*? Piotrem Mareckim – teoretykiem kultury, praktykiem, inżynierem Mareckim czy memowym trollem – MaremXD?

Przede wszystkim jestem naukowcem, który zajmuje się mediami cyfrowymi. Interesują mnie działania eksperymentalne. Mam „laboratoryjne” podejście. W nauce i eksperymentach artystycznych w obszarze owych mediów chodzi mniej więcej o to samo: o przesuwanie granicy. Dzieła sztuki traktuje się jak naukowe referaty, projekty, a nie tradycyjnie pojęte utwory. Istotny jest nie tylko efekt, ale także sam proces, wybór technologii. A to, co dzieje się po drodze, często bywa ciekawsze od finalnej formy. Dlatego też w książce zamieściłem historię mojej przeglądarki z czasu pisania flarfu.

Poeta pracuje za pomocą metafor, porównań, epitetów, a twórca mediów cyfrowych tworzy tropy także na poziomie technologii, platform, języków programowania.

Napisałeś wiersze za pomocą fraz pojawiających się w wyszukiwarce Google. To „rosnące trendy”, wyszukiwania dotyczące bieżących spraw z życia społecznego i politycznego. Efekt przypomina trochę prawiersze – prawdziwie prawicowe prawie wiersze, które w radio Tok FM czyta Tomasz Piątek.

W 2017 r. byłem w Googleplexie, głównej siedzibie Google w kalifornijskim Mountain View. To całe miasto z własnym lotniskiem, infrastrukturą, systemem komunikacji. Później wylądowałem w Warszawie na jakimś spotkaniu dotyczącym mediów cyfrowych. Siedziałem przy stoliku z grupą młodych ludzi, którzy rozmawiali o tym, że na zlecenie jednego z ministerstw opracowują polską narodową wyszukiwarkę. Zacząłem sobie wyobrażać, jak wyglądałaby taka prawdziwie polska przeglądarka.



Mamy ambicje na poziomie Google, ale z drugiej strony mnóstwo krajowych platform – Biuletyn Informacji Publicznej, strony uczelni czy innych instytucji – są strasznie siemiężne, nieintuicyjne, bez przerwy się zawieszają. Za-inspirowałem się tym projektem, wymyśliłem narodową przeglądarkę. A w Polsce akurat działa się sporo w sferze publicznej, pojawiało się mnóstwo nowych słów: terytorialsi, repolonizacja, ciamajdan, homoharem...

Koniec komunizmu

Tydzień temu w Serocznym w Bengalu Zachodnim upadł najdłużej utrzymujący się legalny komunizm w sporcie. Do anegdoty przeszedł fakt, że z ekranu telewizora ogłosił to aktor, przyboczny grabarz demokracji, To warzysz Minister. Na te słowa szybko zareagowała na profilu na Facebooku aktorka, a prezydent Andrzej Duda zapowiedział, że podpisze nieuprawnione, ale wygodne dla obozu rządzącego ustawy. Jego wypowiedź chwilami daleka była od standardów kultury. „To, co stało się po wyborze Karola Wojtyły na papieża, nie mieściło się w wyobrażeniach peerelowskiego zjadacza chleba. Był to wielki niesmak” – dodał polityk totalnej opozycji, którego z pomocą straży i policji wyniesiono na zewnątrz. Jako odpowiedź na ten deficyt intelektualny, Błaszczak malował kredkami przeciw terrorystom po obiektach budowlanych o charakterze nieużytkowym, np. pomnikach gloryfikujących ustrój totalitarny. Czy wymiar sprawiedliwości wyszedł z tego o-

48

Heart_PlotzMarcini_NiepodleglaGoogle_25.09.2018.indd 48

2018-09-25 12:12:01

Mój ulubiony wiersz z tego tomu nazywa się Poczęcie terytorialistów...

...Wstawiałem na przykład w sobotę rano przeglądałem prawicowe media pod kątem nowych wyrazów.

A czemu właśnie prawicowe?

Gdyż prawica w ostatnich latach zaproponowała nowy dyskurs w sferze publicznej, wiele nowych słów, których wcześniej nie było, własny światobraz.

W narodowej wyszukiwarce jakieś dane musiałyby się pojawiać częściej i wyżej w polu wyników. Na pewno sporo zmian zaszłoby w sferze popkultury. Na przykład pokemony pewnie by były gdzieś na marginesie, o ile w ogóle wypływałyby je narodowa wyszukiwarka. Poza tym akurat zbliżało się stulecie odzyskania przez nas niepodległości, więc chciałem pracować na danych, które będą się wpisywały w ten kontekst. Tym projektem opisuję zbiorową wyobraźnię, dominujący dyskurs w Polsce

w czasie stulecia niepodległości. Ten proces wykonany kilka lat później byłby na pewno zupełnie inny.

Zacząłem wyszukiwać terminy, całe zdania i frazy. Mieszałem je z innymi, wrzucałem do wyszukiwarki. By flar się udał, należy używać fraz z różnych biegunów dyskursu. Takie kontrastowe połączenie daje ciekawy efekt. Wpisywałem różne słowa i związki frazeologiczne, doszedłem prawie do „końca internetu”. Potem kopiowałem je do plików w Wordzie i układałem z nich teksty. I tak mniej więcej przez rok. Posługiwałem się wyłącznie tym, co znalazłem. Nie dodawałem nic od siebie.



Ile w tych zestawieniach twojej inwencji?

Każde zdanie to efekt rzeźbienia gotowych danych (fraz, słów). Użyłem trzynastozgłoskowca, szukałem specyficznych, często niepoprawnych językowo wypowiedzi. Pojawiają się np. takie zdania: „Lu-/dzie leżą i odpoczywają, a grażyna z tom-/kiem od razu nap\$?##\$#ają głośno k?@?a-/mi ...”. Chciałem pogłębić kiczowatość tekstu. To nie było trudne, zważywszy na dobrany słownik i to, że trzynastozgłoskowca używałem w sposób dość barbarzyński, upychając wyrazy tak, by mieściły się w wersie, i nie bawiąc w subtelności.

W Niepodległej wszystko jest celowo źle zrobione. Michalina Mosurek zaprojektowała książkę, nie przestrzegając reguł warsztatu, a Bolesław Chromy wykonał ilustracje, które nawiązują do polskiej wyobraźni, ale są złe, kostropate, niedokończone.



Mam wrażenie, że mimo kempowych zabiegów w tych tekstach przetrwały duch polszczyzny i nasza zbiorowa wyobraźnia. Manifestują się choćby poprzez patos w wierszu Bojówki niepełnosprawnych za kotarą: „Monarcha zadowala się czczymi obietnicami, po czym łapie dorożkę i tam dopiero wybucha śmiechem (...) Wyjścia zakazane, podarte, kinkiety potłuczone”.

Spróbuj wpisać w Google hasło „pokemony”. Któryś z wyników na pewno będzie dotyczyć tego, że generał Błasik wszedł do kokpitu. Tak działa ta platforma. Rozpoznaje ona nasze zwyczaje, użycia i potrzeby. Polacy piszą tak dużo o Smoleńsku, że także nasz Google jest unarodowiony. Klikając nawet w najpopularniejsze i niepolityczne hasła, dociera się do aktualnych sporów.

Nie jestem autorem tego tekstu. Pisałem go wraz z wyszukiwarką i jej użytkownikami. Moja rola polegała na tym, że stałem z boku i obserwowałem. Na tym polega strategia uncreative writing, którą się posługiwałem. To pisanie

pod przymusem, praca na bazie danych i przetwarzanie gotowych tekstów. W tym sensie jest to literatura post-tożsamościowa. W tym przypadku nie stoi za nią jeden nadawca, ale nadawca zbiorowy – naród z jego dominującym słownikiem z chwili realizacji projektu.



Jak efekt twoich badań przedstawia się w świetle popularnych teorii akceleracjonistycznych? Mam wrażenie, że uchwyciłeś moment, w którym konserwatywna mentalność rozsadza lub chociaż nagina logikę kapitalizmu.

Żyjemy w czasach „kapitalizmu platformowego”. Informacja, która do nas dociera, nie jest surowa. To nie człowiek jest nadawcą. To algorytmy, działanie technologii. Wielkie biznesy i wielkie zyski opierają się na softwarze: aplikacjach, serwisach internetowych. Google, Uber, Airbnb, Twitter rządzą światem.

To nie jest tradycyjny kapitalizm oparty na fabrykach i sile roboczej, ale zarządzanie zasobami i akumulacja kapitału za pomocą narzędzi informatycznych. Świat sztuki próbuje przejmować te technologie i komentować sytuację za pomocą ich języka. Cała masa krytycznych zjawisk funkcjonuje w obrębie tych wielkich platform. Akty krytyczne i polemiki odbywają się wewnątrz Twittera i Facebooka wedle ich własnej logiki.

W początkach sztuki nowych mediów dostęp do technologii był ograniczony i wymagał sporych umiejętności. Nawet w latach 90., kiedy pojawił się internet, trzeba było mieć pewne kompetencje (na przykład znać adresy stron internetowych). A dziś powszechna jest opinia, że nawet on sam w sobie jest przestarzały, że wielkie platformy kapitalizmu, takie jak Facebook czy Instagram, mogą go zastąpić. Można za ich pomocą publikować teksty, zdjęcia i filmy, nadawać komunikaty, wyszukiwać informacje itd. Bardzo łatwo się z nich korzystać.

By stworzyć utwór cyfrowy, nie trzeba jechać do specjalistycznego laboratorium czy potrafić programować. Można publikować instapoezję, memy, tworzyć boty na Twitterze, czym ostatnio się zajmuję.

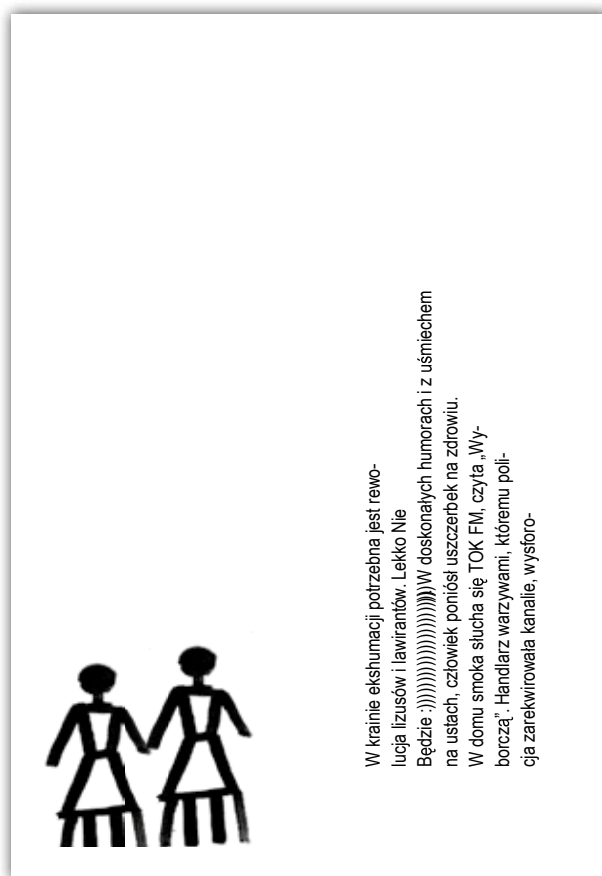


Jesteś też wydawcą konwencjonalnych książek. Proces produkcji i dystrybucji to kawał roboty, nawet w przypadku tekstów awangardowych. Weźmy Finnegana Trena Jamesa Joyce’a: tłumacz Krzysztof Bartnicki pracował nad tekstem przez dekadę, prace redakcyjne też pochłonęły sporo zasobów. Jednocześnie w Ha!art skrzydła rozwijali Orbitowski, Witkowski, Szczerek czy Chutnik. Nie czujesz się rozdarty pomiędzy fascynującym, trochę dekadentckim światem sztuki nowych mediów a pracą

w konwencjonalnej kulturze, którą rządzą kanon, logika historyczna i trwanie?

Nie. W Polsce prawie nie ma społeczności zajmujących się flarzem. Chciałem pokazać to zjawisko. Kiedy wyciąga się takie praktyki z forów internetowych, grup dyskusyjnych, e-maili i wydaje w formie książki, to one zyskują nowy kontekst.

Żyjemy w czasach posthumanistycznych, w których technologia zyskuje podmiotowość. Ta książka jest właśnie o tym. Autorstwo ograniczone tylko do człowieka przestaje być niezbędną kategorią. Od paru lat w ramach działalności wydawniczej Korporacji Ha!art podejmujemy różne eksperymenty, wydając teksty posthumanistyczne. Tak było w przypadku książki Sezon grzewczy poświęconej smogowi, którą napisało miasto. W tekście pojawiają się ankiety, wywiady, transkrypcje pogody, zapisy sesji obserwacji smogu z różnych punktów miasta.



Parę lat temu wspólnie z Aleksandrą Małecką zrobiliśmy tłumaczenie Ubu Króla Alfreda Jarry’ego za pomocą Google Translate. To utwór, który wprowadził na scenę literacką absurd i dotąd nieakceptowany język mas. Zaskługiwał na absurdalne i potoczne tłumaczenie. Zwykle na polski przekładają go inteligenci jak Tadeusz Boy-Żeleński czy Jan Gondowicz, a zatem przekład za pomocą Google, który na bieżąco magazynuje potoczny język Polaków, jest tym najwierniejszym.

Tłumaczenie chwyciło, wzbudziło zainteresowanie i dyskusję, bo wyszło jako książka. Gdybyśmy wystawili je w sieci jako plik PDF, to zginęłoby wśród mnóstwa innych podobnych projektów.



Nabywcy zgłaszali reklamacje czy wstydziła się przyznać, że nie rozumieją, o co chodzi?

Dokładnie tłumaczyliśmy, na czym polega to wydanie. Jego popularność przekroczyła nasze oczekiwania. Sprzedaliśmy cały nakład i musieliśmy zrobić dodruki. Powstało co najmniej kilka prac magisterskich na temat tłumaczenia.

Ciamaidan ośmiorniczkowy

Naród ma pracować, a nie leżeć w paszteto-wo-zniczowej z nutką seksu i złodziejstwa restauracji (nomen omen) „Sowa&Przyjaciele”. Kiedy propaganda wejdzie za mocno w wykonaniu towarzyszy niezadowolonych z przegranej wyborów, zacznie się ucieczka szczurów z tonącej łajby na piasek. Kaczyński ofiaruje Polakom Niemlandy, bo parę osób siedzi w Sejmie (choć nikt nie wie po co), a parędziesiąt ucieka w popłochu przed własnym cieniem i je zupy przed Sejmem. Lepiej by się nawrócili, albo by ich Bóg wcześniej pozabierał z tego świata, gdyby było trzeba. Polacy już poznali wszystkie te bohater-skie karty opozycyjne sługusów karakana, po prostu poznali i z wymiotów dostali, ale generalnie mają rację. W pogawędce z towarzyszami z PZP-R lepszy duszpasterz gangsterów niż amant 6-ciokrólów niedouczonej lub cwaniaczki z teoretycznego państwa na pokładzie samolotu. Nie wierzę w taką ilość przypadkowych zbiegów

45

Haart_PiotrMarecki_NiepodleglaGoogle_25.09.2018.indd 45

2018-09-25 12:12:01

Grasz wraz z algorytmem czy przeciwko niemu?

Moje prace są krytyczne.

Tak było też w przypadku mojej poprzedniej książki poetyckiej „Wiersze za sto dolarów”, w której także nie napisałem ani słowa od siebie. Wykorzystałem crowdsourcingową usługę firmy Amazon. Wpłaciłem sto dolarów, a pracę poetycką wykonały tzw. mechaniczne Turki, czyli nisko wynagradzani pracownicy i pracownice z samego dołu hierarchii kapitalizmu cyfrowego. Choć jednocze-

śnie taka usługa plasuje się o poziom wyżej niż rzecz napisana przez bota, bo na przykład zamówiona u mechanicznych Turków recenzja produktu jest jednak jakoś spersonalizowana. Tego jeszcze nie da się zrobić za pomocą botów.

Zapłaciłem anonimowym autorom z różnych stref czasowych, którzy na co dzień nie posługują się polszczyzną, za napisanie wierszy po polsku. Nie zwracałem uwagi na jakość ich pracy i eliminowałem tylko te teksty, które ewidentnie były kopiami przepuszczanymi przez programy do tłumaczenia. Chciałem stworzyć wiersze o rozproszonym autorstwie i jednocześnie skomentować sytuację współczesnych poetek i poetów oraz działanie maszyny wykorzystującej ludzi do niskopłatnej pracy. Polskie poetki często otrzymują zapłatę równą kwotom, które oferuje się amazonowym Turkom.

Wiersze za sto dolarów to opowieść o cyfrowym wyzysku. Niepodległa Google mówi raczej o starciu lokalności z globalnymi praktykami rynkowymi i kulturalnymi.

Przyznam, że kwestie technologii i estetyki pochłaniają mnie bardziej niż tak zwane wielkie pytania współczesności. Ale mam pewne skojarzenie z działaniami poetów nowej fali, którzy próbowali ujawnić mechanizmy propagandy, posługując się językiem gazet.



Z Niepodległej czy raczej ze zgromadzonego przez ciebie słownika przebija potrzeba wzniosłości, intensywności, „prawdziwego dramatu”, o której pisał Maciej Gdula, analizując życie polityczne w małych miastach. A może Niepodległa Google to ostatni przejaw polskiej literatury romantycznej?

(Śmiech) Pisanej wymuszonym trzynastozgłoskowcem. ☉



**Piotr
Marecki**

jest wydawcą, producentem i wytwórcą utworów cyfrowych. Pracuje jako adiunkt na UJ. Współtwórca i szef wydawnictwa Korporacja Ha!art. Ukończył studia postdoc na Massachusetts Institute of Technology. Autor szeregu książek

The background of the page is a complex, abstract network diagram. It consists of numerous small, light gray nodes connected by thin, light gray lines. Overlaid on this network are several larger, more prominent nodes. These nodes are represented by concentric circles in various colors: red, blue, orange, and purple. Some of these colored nodes have a solid inner circle and a hollow outer circle, while others are solid. The overall effect is a sense of interconnectedness and complexity, suggesting a global or systemic perspective.

Edukacja



Po co nam historia w spódnicy?



z Anną Dziewit-Meller rozmawia Dominika Kardaś



Retrorocket/Getty Images

Dominika Kardaś: Jesteś autorką dwóch części książki dla dzieci *Damy, dziewczuchy, dziewczyny*, w których prezentujesz odpowiednio sylwetki niezwykłych Polek i podróżniczek z całego świata. Po co dziewczynki miałyby porzucić dobrze znane bajki o Śpiącej Królewnie czy Roszpunkce i zacząć czytać o reporterce Nellie Bly albo o tajnej agentce Krystynie Skarbek?

Anna Dziewit-Meller: Popkultura już dawno zdała sobie sprawę, że dziewczynki i kobiety to publiczność, która chętnie odbiera treści skrojone pod siebie. Tak powstał cały rynek filmów adresowanych do kobiet i cała „literatura kobieca”. Tylko że niekoniecznie te treści, które kultura popularna tak skwapliwie kobietom sprzedaje, służą im samym. Często zamiast emancypować, utrwalają wzorzec księżniczki czekającej na księcia z bajki.

Myślę, że i ja, i wiele innych kobiet zdałyśmy sobie sprawę, że trzeba zacząć pokazywać inne ścieżki życiowe. A możliwych dróg jest bardzo dużo i mamy mnóstwo bohaterek z przeszłości, które już je przetrwały. Pisząc obie części *Dam, dziewczuch, dziewczyn*, chciałam wspólnym dziewczynom inne wzorce pokazać

A czy dziewczynki nie mogą się identyfikować z męskimi postaciami z historii?

Mogą, oczywiście. Ale przecież nie muszą. Po co mają to robić, skoro mogą zainspirować się kimś, kto ma doświadczenia bardziej podobne do ich własnych? Tylko żeby się zainspirować, muszą mieć najpierw dostęp do informacji o takich osobach, dowiedzieć się, że one w ogóle istniały. Kiedy zaczęłam się zastanawiać nad tematem książki dla dzieci, po raz pierwszy w życiu odczułam, że brakuje ogólnodostępnej wiedzy o kobietach, które zapisały się w dziejach. Tak jakby ktoś te wszystkie postaci wrzucił do czarnej dziury historii.

Sama dorastałam w czasach, kiedy w szkole o postaciach wybitnych kobiet czy o sytuacji kobiet w społeczeństwie nie uczono prawie niczego. Wszystko, co wiem o tych kobietach, zawdzięczałam własnym poszukiwaniom albo mądrym ludziom, których spotkałam na swojej drodze. Miałam marzenie, żeby moja córka nie musiała wyważać otwartych drzwi, przeprowadzać poszukiwań, które ja już raz robiłam. Stwierdziłam, że warto podzielić się tym, co znalazłam, aby ona mogła zająć się innymi problemami.

Na rynku książki jest coraz więcej historii wybitnych kobiet. Na świecie furorę zrobili *Opowieści na dobranoc dla młodych buntowniczek* Eleny Favilli i Franceski Ca-

vallo, w Polsce niedawno wyszła *Brakująca połowa dziejów* Anny Kowalczyk ilustrowana przez Martę Frej. Czy wynalazczynie, działaczki i podróżniczki mają szansę wejść do historycznego mainstreamu?

Wierzę, że pewne procesy dziejowe już się rozpoczęły i nie da się ich zawrócić. Na razie mówimy o niszy, o listach, które zaczynają sobie zdawać sprawę z braku informacji na temat ogromnie ważnej części naszej historii. Sama po sobie widzę, jak zmieniło się moje myślenie o świecie. Jeszcze kilka lat temu nie zauważyłabym niczego niewłaściwego w spocie wyborczym Koalicji Europejskiej, w którym wśród rzeszy mężczyzn występuje jedna kobieta – przez półtorej sekundy. Kiedyś ten spot byłby dla mnie zupełnie przezroczysty, dzisiaj mnie bulwersuje. I mam całkowitą pewność, że nie jestem jedyną oso-

bą, która zaczyna widzieć tę ogromną dysproporcję w opowieści o świecie.

Na razie feministki robią glosy do „męskiej” historii. Czy jest możliwe, by „brakująca” kobieca połowa dziejów została uwzględniona jako integralna część obowiązującej narracji historycznej?

Niestety ogromną przeszkodą jest brak dostępu do wielu informacji na temat życia i dokonań kobiet z przeszłości. Siłą rzeczy heristoria przybiera formę glosy czy palimpsestu. Powoli odkrywamy biografie kobiet i nakładamy je na narrację, która już istnieje. Wiele osób może

mieć poczucie, że teraz bardzo się eksploatuje ten temat, ale myślę, że dopóki nie nastąpi zrównanie proporcji, to „jedna nóżka musi pracować bardziej”.

Bardzo bym chciała, żeby przepisano podręczniki do historii, bo krzywdy, które się wyrządzane są przez ich trwanie w obecnym brzmieniu są niezwykle duże. Nie chodzi tylko o kobiety, ale też o inne mniejszości – etniczne, seksualne, rasowe. Chciałabym, żeby młodzież poznawała coś więcej niż tylko dominujący jak dotąd nurt o wojnach, generałach i traktatach, ale wydaje mi się, że z wielu względów jest to w tej chwili niemożliwe.

Co tracimy, zostając przy tej zdominowanej przez wielkich mężczyzn wersji historii?

Ja i ty jakoś sobie poradzimy. Mamy kompetencje, więc doczytamy, dopytamy. Mamy kapitał społeczny, który nam to umożliwia. Cieszę się, że są świadomi rodzice, którzy kupują takie książki dzieciom, pracują nad ich wrażliwością kulturową i społeczną. Niestety wiele dziewcząt i chłopców, którzy nie mają takich możliwości, tracą na







zawsze szansę zrozumienia procesów historycznych i zrozumienia tego, kim jesteśmy dziś. Ucząc się historii bez tła społecznego, bez losów kobiet, nie będą w stanie szeroko i komplementarnie myśleć o naszych dziejach. Jeśli historia jest podawana tak, żeby nie budziła żadnych wątpliwości, uczniowie tracą też umiejętność zadawania pytań, kontestowania. A wiadomo, że pewnie większość z nich po zakończeniu edukacji już do historii nie wróci i nie będzie miała okazji poznać losów kobiet, których – poza kilkoma wyjątkami – nie znalazła w podręcznikach.

Czy jest jakaś inna droga, żeby dzieci i młodzież zapoznały się z kobiecymi wzorcami i z nich korzystały?

Może popkultura zorientuje się, że inwestycja w kobiecie bohaterki to dobry biznes, a przy okazji sprytnie posunięcie pod względem wizerunkowym? Tak stało się już w filmach Disneya, gdzie np. wprowadzono Meridę Waleczną, bohaterkę, która nie potrzebuje wątku romansowego, żeby być spełnioną. Wątpię, że zrobiono to, kierując się szczytnymi ideałami; po prostu wybadano, że jest publiczność, która taką historię kupi.

Poza Meridą Waleczną pojawiły się też inne bohaterki kultury popularnej wychodzące poza stereotypy: mamy siostrzaną przyjaciółnię Elzy i Anny w Krainie lodu, w filmach superbohaterskich Wonder Woman i Kapitan Marvel w kreacji Brie Larson, czy kobieca inkarnacja Doctora Who. Być może rynekodpowie na ten brak kobiecych historii prędzej niż szkoła?

To trochę straszna wizja, bo nie rynek powinien nam rozwiązywać tego rodzaju problemy, ale przy tym, jakie Polacy mają obecnie sympatie polityczne, jakie tendencje obserwujemy w reformowaniu szkolnictwa, nie widzę innej szansy. Jesteśmy konserwatywnym społeczeństwem przywiązany do tradycji, które nie utrudniają wprowadzenia zmian w tym zakresie. Nie mamy innego wyjścia, jak powoli rąbać tę skamielinę i „przesuwać” świadomość społeczną o kolejne milimetry.

To, co można robić, to próbować – narażając się na krytykę, na łatkę zwariowanej feministki. Bohaterki moich książek też ośmieszano, ich inicjatywy traktowano mało poważnie, ale one się na to nie oglądały i robiły swoje. Ich determinacja doprowadziła do tego, że dzisiaj rozmawiamy o tym, o czym rozmawiamy. Jesteśmy im winne, by o nich przypominać. Napisałam Damy, dziewczuchy,

dziewczyny, żeby już najmłodsze dzieci mogły dowiedzieć się, że to wszystko, co mamy, nie spadło z nieba, że ktoś na to musiał zapracować albo to wywalczyć.

Idziemy do przodu, ale nadal są obszary, w których jest dużo do zrobienia. Przykładem niech będzie wciąż obecna nierówność wynagrodzeń. Czy dziewczynki, które wychowują się na historiach o silnych kobietach, mają szansę lepiej poradzić sobie na rynku pracy?

Nie wiem, czy poradzą sobie lepiej. Być może samo pokazywanie przykładów silnych kobiet nie jest wystarczające, ale to już jakaś baza, którą możemy im dać i z której będą mogły czerpać.

Oczywiście zmiany społeczne zachodzą długo i mają swoją siłę inercji, ale gołym okiem widać chociażby, że świat po #metoo się zmienił. Wystarczyło, że nagle ktoś głośno powiedział o pewnych rzeczach, które dotąd wszyscy uważali za normalne albo je lekceważyli. To dało wielu osobom siłę, żeby powiedzieć „nie”, a innym pozwoliło zorientować się, że coś jest nie tak. Wierzę, że jeśli nie nadejdzie jakaś super konserwatywna kontrewolucja rodem z Opowieści podręcznej, to są to zmiany, których nie da się już zatrzymać. I choćby nie wiem, jaka była ta reakcja – a ona zawsze będzie – to my się tocimy do przodu.

Czego jeszcze potrzebujemy, żeby wykształcić silne, niezależne kobiety?

Solidarności. Słyszałam kiedyś anegdotę, jak do grupki siedmiu małych Szwedek,

podszedł jakiś pan i zapytał: „A co wy, dziewczynki, tak tutaj same siedzicie?”. A one odpowiedziały: „Ale my nie jesteśmy same, nas jest siedem”. To dla mnie taka piękna metafora wspólnoty – ona nie będzie istniała bez jednostek, które ją tworzą, ale zarazem w grupie każda z tych jednostek jest dużo silniejsza niż w pojedynkę. O to mi chodzi: żeby dziewczyny miały poczucie, że jest ich siedem.

Ja bardzo dużo korzystam z kobiecej solidarności, jestem otoczona świetnymi kobietami. Dzięki nim mam poczucie wsparcia i zrozumienia pewnych kwestii, które tylko one są w stanie zrozumieć. Dlatego uważam, że potrzebujemy więcej solidarności i wiary, że każda z nas może zrobić to, do czego dąży. Nie możemy bać się chwalić siebie nawzajem. Wydaje mi się, że czasem same jesteśmy swoimi największymi wrogami, podkopującymi wła-

Bardzo dużo naszych zahamowań wynika z wychowania: siedz grzecznie, kolanka razem, masz ładnie wyglądać, a nie zabierać głos. Potem dorosłym kobietom jest trudniej

”



sne możliwości i szanse. Oczywiście to wszystko wynika z nierówności, bo miejsc dla kobiet w polityce, w życiu publicznym, na stanowiskach kierowniczych wciąż jest niewiele i w wyścigu po te trofea każda chce być pierwsza.

Instytut Spraw Publicznych opublikował w marcu raport o kobietach w polskiej polityce zagranicznej. Pogłębione wywiady z profesorkami, dyplomatkami czy polityczkami pokazały, że kobiety, które odniosły sukces, zdają się zapominać o tej solidarności albo wręcz uważają, że skoro one sobie poradziły, to ich młodsze koleżanki też mogą. Dlaczego tak się dzieje?

Mnie się kiedyś też tak wydawało: o co kruszyć kopie, skoro w sumie wszystko jest w porządku? Skończyłam studia, mam pozycję, dużo osiągnęłam. Ale to wcale nie oznacza, że problem nierówności płci nie istnieje. Napisałam niedawno do „Tygodnika Powszechnego” tekst o wymazywaniu kobiet z ich sukcesów. Zaobserwowałam to m.in. na przykładzie moich trzech koleżanek, które działają w Inicjatywie Wolne Sady. Na zdjęciu z przyznania Nagrody TOK FM im. Anny Laszuk trzy prawniczki, Maria Ejchart-Dubois, Paulina Kieszkowska-Knapik i Sylwia Gregorczyk-Abram, zostały przedstawione jako tło jedynego mężczyzny w zespole.

Po tym, jak na Facebooku opublikowałam swój komentarz do tej sytuacji, napisało do mnie wiele znanych i nieznanymi mi kobiet, które też doświadczyły podobnego „wymazywania”. Niejednej z nich zdarzyło się, że na zebraniu kolega przedstawił jej pomysł jako swój, a reszta mu przyklasnęła, chociaż kiedy autorka pomysłu prezentowała go wcześniej, nikt się nim nie zainteresował.

Twój pierwszy felieton dla „Tygodnika Powszechnego” rozprzestrzenił się po sieci w błyskawicznym tempie. Pisałeś w nim, że kobiety często rezygnują z zabrania głosu publicznie z obawy, iż nie mają wystarczających kompetencji. Może są niewidoczne w historii, bo same się chowają?

Bardzo dużo naszych zahamowań wynika z wychowania: siedz grzecznie, kolanka razem, masz ładnie wyglądać a nie zabierać głos. Do dzisiaj mam tak, że jakieś moje wystąpienie publiczne wydaje mi się gorsze, jeśli jestem w ubraniu, w którym źle się czuję. Staram się takie myśli odrzucać, bo wiem, że mam do zaoferowania znacznie więcej niż mój wygląd.

Jako osoba kojarzona ze wspomnianym tekstem z „TP” czuję, że muszę być teraz ambasadorką poczucia kompetencji. Zawsze chwalę swoje koleżanki, jeśli zrobią coś, co mi się spodoba. Czasem nawet piszę do nieznanych osób, żeby pogratulować im, że zrobiły coś fajnego, wartościowego. W ten sposób chcę budować w nich poczucie, że są kompetentne do tego, żeby zabierać głos i zajmować swoje miejsce w historii. Jak będziemy się wspierać, ingerować, kiedy ktoś próbuje uciszać koleżankę przedstawiającą swój projekt albo przywłaszczać sobie jej pomysł, będzie łatwiej. Najgorsze, kiedy boimy się, że ktoś, kogo

Retrorocket/Getty Images



weźmiemy w obronę albo pochwalimy, zajmie nasze miejsce.

A co z tego wszystkiego mają chłopcy i mężczyźni?

To bardzo ważne, żeby chłopcy jak najwcześniej mieli możliwość zetknięcia się z kobiecą perspektywą w głównych nurtach narracji o świecie. To nam pozwoli zrozumieć siebie nawzajem – w związkach, w życiu społecznym, w pracy. A jeśli chodzi o samo poznawanie przeszłości, to ważne jest też, żeby chłopcy zrozumieli, że niewidoczność kobiet w historii nie wynikała z ich rzekomej wrodzonej ułomności. Muszą mieć świadomość panujących jeszcze do niedawna konwenansów i zabobonów



społecznych, których widmo ciągle obserwujemy w stereotypowych wzorcach męskości i kobiecości.

Przecież mężczyźni też są ofiarami tych stereotypów: musisz zarabiać tyle, żeby utrzymać rodzinę, nie masz prawa do chwili słabości. Chcę, żeby chłopcy wiedzieli, że nie muszą i że mają prawo nie być supermenami. Że można być wrażliwym chłopcem i twardą dziewczynką. Wolna wola człowieka pozwala na bardzo wiele i możemy wykorzystywać nasz potencjał także poza kolejnymi wytyczonymi przez patriarchalny porządek. Dla mnie o tym jest feminizm – o byciu sobą, byciu kim chcesz i jak chcesz. ●



**Anna
Dziewit-Meller**

jest pisarką, dziennikarką, felietonistką „Tygodnika Powszechnego”. Autorka m.in. *Góry Tajget* i bestsellerowych książek dla dzieci z cyklu *Damy, dziewczuchy, dziewczyny*, współautorka książki *Gaumardżos. Opowieści z Gruzji*. Nominowana do nagrody Grand Press za wywiad w 2016 r.

Jesteś dziewczyną? To współczuję



TAKI WNIOSEK PŁYNIE Z RAPORTU UNICEF O SYTUACJI KOBIET NA ŚWIECIE. PROBLEM ZACZYNA SIĘ W DZIECIŃSTWIE, KIEDY DZIEWCZYNKOM WGRYWA SIĘ ROLE KOBIECE: SPRZĄTANIE, GOTOWANIE I PRANIE

Martyna Słowik



W popularnym polskim serialu – z rodziną w tytule – widzimy taką oto scenę: kobieta siedzi w salonie połączonym z kuchnią i czyta gazetę. Stara się odpocząć. Po chwili do kuchni wpada najstarszy z trzech synów. Zaczyna przygotowywać sobie jajecznicę. Z minuty na minutę dookoła robi się coraz większy armagedon: porozrzucone skorupki jajek, umorusane blaty, otwarta lodówka. Syn zmierza do wyjścia z jajecznicą na talerzu, zostawiając kuchnię w opłakanym stanie. Matka nieśmiało zwraca mu uwagę, że może by tak posprzątać, na co słyszy zuchwałą odpowiedź: „przecież patelnia musi wystygnąć!”.

Syn wychodzi, matka wstaje i sama zaczyna sprzątać. Gdy tylko upora się z zadaniem i wraca do gazety, wchodzi starszy syn. Wszystko się powtarza – jest głodny, robi sobie jajecznicę, nie sprząta, wychodzi. Tym razem matka już nawet nie zwraca mu uwagi. Bez słowa wstaje i sprząta sama, ale widać, że jej wewnętrzny spokój ulatuje. Gdy tylko skończy, do salonu z kuchnią wchodzi najmłodszy syn, który ogłasza, że jest głodny i chciałby naleśniki.

Zaraz za nim w drzwiach pojawia się mąż i ojciec, od progu krzycząc o swoim głodzie oraz demonstracyjnie pytając: „Co dziś będziemy jedli na kolację?”. W domyśle: co nam robi żona i matka, bo to ona odpowiada za przygotowanie pożywienia, sprzątanie i obsłużenie wszystkich domowników. Żona i matka wywraca oczami, scenka kończy się zabawnym dżinglem.

Mnie ta scenka jakoś wcale nie śmieszy. I nie jest żadnym pocieszeniem to, że są miejsca na świecie, gdzie kobiety mają jeszcze dużo, dużo gorzej.

MILIONY PRZEŚLADOWANYCH DZIEWCZYN

Na świecie żyje obecnie ok. 1,1 mld dziewczyn poniżej 18. roku życia. Więcej niż połowa z nich w Azji, a jedna czwarta w Afryce. Według raportu UNICEF sprzed trzech lat (*Harnessing the Power of Data for Girls: Taking stock and looking ahead to 2030*) dziewczynki od wczesnego dzieciństwa są grupą, która doświadcza nie tylko nierówności względem chłopców, lecz także wielu nadużyć będących niejednokrotnie żą-



cym łamaniem praw człowieka.

Zaczyna się jeszcze, zanim przyjdą na świat. Albo tuż po. Na przykład w Indiach dokonuje się masowej eksterminacji żeńskich płodów i noworodków.

Jak podaje „The Washington Post”, według spisu ludności opublikowanego przez indyjski rząd, w kraju brakuje 63 mln kobiet.

Okolo jedna trzecia wszystkich dziewcząt w wieku 15-19 lat (sic!) została poddana klitoridektomii, czyli okaleczeniu narządów płciowych polegającemu na całkowitym lub częściowym wycięciu łechtaczki, czasami również warg sromowych mniejszych. To barbarzyństwo praktykuje się powszechnie w 27 krajach, głównie w Afryce, a także w Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Jemenie, Omanie, Pakistanie, Afganistanie, na Filipinach, w Indonezji i Indiach. W krajach najsłabiej rozwiniętych co czwarta młoda

kobieta rodzi dziecko przed 18. rokiem życia. I prawie co czwarta doświadczyła przemocy od swojego partnera w ciągu 12 miesięcy (poprzedzających ankietę UNICEF).

Główną przyczyną śmierci wśród dziewcząt w wieku 15-19 lat są samobójstwa; największy ich odsetek odnotowano w Azji Południowo-Wschodniej. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że część z nich jest pozorowana, żeby ukryć „zabójstwa posagowe” (tzn. mąż czy jego rodzina zabijają żonę, żeby przejąć jej posag) lub „honorowe” (np. ojciec zabija córkę, która „zhańbiła” rodzinę w ten sposób, że straciła dziewictwo przed ślubem).

RÓWNOŚĆ PŁCI ROZWIJA

Takie przerażające statystyki można mnożyć. Nic dziwnego, że ONZ zdecydowała się w 2010 r. stworzyć oddział ds. równości płciowej i upodmiotowie-





nia kobiet (United Nations Entity for Gender Equality and the Empowerment of Women). Obrona praw kobiet została również wpisana do Zrównoważonych Celów Rozwoju zawartych w ONZ-owskim dokumencie pt. *Przekształcanie naszego świata: Agenda na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju – 2030*.

„Generalnie na świecie sytuacja wielu chłopców i dziewcząt jest bardzo trudna. Dzieci są w takim samym stopniu narażone na choroby, niedożywienie, śmierć na skutek działań wojennych czy katastrof naturalnych. Są jednak wyzwania, które dotyczą o wiele bardziej jedną lub drugą płć” – mówi Monika Kacprzak z UNICEF Polska. „Dziewczęta są o wiele częściej zmuszane do wczesnych małżeństw, mają ograniczony dostęp do edukacji czy są ofiarami okaleczania żeńskich narządów płciowych. Z kolei chłopcy są bardziej narażeni na rekrutację do grup zbrojnych”.

Przyczyny dyskryminacji? Skrajnie konserwatywne tradycje; kultura patriar-

chalna oraz systemy wierzeń, w których kobieta uznawana jest za własność najpierw rodziny, a później mężczyzny; traktuje się ją jak przedmiot, którym można handlować. Sprowadza się ją do funkcji rozrodczej i opiekuńczej, a jej ciało należy do wspólnoty, w której żyje, nie do niej samej.

W świecie, w którym kobieta jest przedmiotem, nie mówi się o takich kwestiach jak równe wynagradzanie obu płci za tę samą pracę czy równy podział obowiązków domowych. To dalszy etap. Ale nie do końca, bo właśnie wychowanie w domu jest jedną z kluczowych przyczyn nierówności i utrzymującej się męskiej dominacji. I to nie tylko w krajach najbiedniejszych czy zacofanych.

WGRYWANIE RÓL „KOBIECYCH”

Jak czytamy w raporcie UNICEF, na całym świecie dziewczęta w wieku 5–9 lat i 10–14 lat poświęcają odpowiednio 30 i 50 proc. więcej czasu na

pomaganie rodzicom w domu niż chłopcy w tym samym wieku. W niektórych regionach dysproporcje są jeszcze dużo większe: na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej oraz w regionach Azji Południowej dziewczęta w wieku 5–14 lat spędzają prawie dwa razy więcej czasu na pracach domowych niż chłopcy. Do ich obowiązków należą m.in.: gotowanie, sprzątanie, robienie zakupów, zbieranie drewna opałowego, pranie oraz opieka nad innymi dziećmi.

„To niebeztroskie dzieciństwo i taki kierunek socjalizacji mają ogromny wpływ na dalsze losy dziewczynek” – podkreśla Anju Malhotra, główna doradczyni ds. płci i rozwoju UNICEF. Coraz bardziej obciążane obowiązkami domowymi tracą okazję i zapał do nauki czy po prostu szansę, żeby cieszyć się młodością.

UNICEF zastrzega, że obowiązki domowe – przy założeniu, że wykonywane w odpowiednich warunkach i pod nadzorem opiekunów – są normalną częścią życia rodzinnego i jako takie nie są dla dzieci szkodliwe. Ale rodzaje zajęć domowych powszechnie zlecanych dziewczętom – robienie posiłków, sprzątanie i dbanie o innych – przygotowują grunt pod nierówne obciążenia w późniejszym życiu, a także ograniczają perspektywę i potencjał dziewcząt.

Niejako wgrywa im się do głów przekonanie, że prace dla domu to jedyne role, do których się nadają. To ogranicza ich marzenia i zawęża ambicje. W dużej mierze to wzorce i nawyki wyniesione z dzieciństwa kształtują przecież dorosłe życie, przekonania i wybory.

Problem występuje także w krajach, które od kilku dekad formalnie gwarantują równość płci. Okazuje się, że społeczeństwo i kultura (a nieraz i pełne luk prawo), przesiąknięte ideą „naturalnego” podziału ról, skutecznie hamują szybkość i głębokość przemian.

„W Polsce odsetek dziewcząt deklarujących stałe obowiązki w domu jest większy niż chłopców” – mówi dr hab. Joanna Mazur, kierowniczka Zakładu Zdrowia Dzieci i Młodzieży Instytutu Matki i Dziecka, koordynatorka krajowa międzynarodowych badań nad zachowaniami zdrowotnymi młodzieży (Health Behaviour in School-aged Children).



Z ankiety przeprowadzonej w roku szkolnym 2017/2018 wynika, że więcej niż cztery godziny w tygodniu na obowiązki domowe poświęca 42 proc. dziewcząt i 31 proc. chłopców w wieku 13-15 lat.

Ze stereotypami walczą kampanie reklamowe i społeczne realizowane przez międzynarodowe korporacje oraz organizacje pozarządowe. W Polsce tego rodzaju przedsięwzięcia wciąż raczkują – jest ich mało, a jeżeli już, to porusza się w nich takie tematy jak bezpieczeństwo na drodze, ochrona środowiska czy niepełnosprawność i choroby dzieci. O problemach dotyczących równości płci raczej się milczy. A szkoda.

ŁADUJEMY PO RÓWNO!

Na początku 2019 r. Ariel India, marka należąca do koncernu Procter & Gamble, wypuściła spot reklamowy proszku do prania. Widać w nim indyjską kobietę w średnim wieku, która z telefonem przy uchu krząta się w pośpiechu po domu: podaje naleśniki leżącemu w łóżku synowi, sprząta jego rozrzucone na podłodze ubrania. A jednocześnie rozmawia przez telefon z córką. Słyszymy, że córka zrezygnowała z pracy w biurze. Matka dowiadując się o tym przerywa krzątanie. Jest niezadowolona. Zapewnia, że rodzice byli z niej dumni i dopytuje o powody odejścia. Mówi: „Córko, liczba obowiązków domowych rośnie po ślubie, ale nie jesteś sama, twój mąż może ci pomóc, prawda?”.

Równocześnie obserwujemy, jak syn wstaje z łóżka, podchodzi do szafy i czegoś szuka, rzucając ubrania na podłogę. Kobieta mówi dalej do słuchawki: „Co masz na myśli, mówiąc, że mąż nie umie wykonywać domowych obowiązków?”. W tym momencie patrzy na syna i jego bałagan, a na jej twarzy pojawia się wyraz refleksji. Odpowiada córce: „Rzeczywiście, może tego nie wiedzieć. To nasz błąd. Uczymy nasze córki, jak stać na własnych nogach, ale nie uczymy synów, jak mają im pomagać”. Po zakończonej rozmowie matka wręcza synowi kosz pełen rzeczy do prania ze słowami: „Popęłiłam błąd, czas go naprawić”. Uczy go, jak posegregować i nastawić pranie.

Ten spot nie był pierwszym pod hasłem #ShareTheLoad (co można przetłuma-

czyć jako „podziel się załadunkiem” albo „podziel się obowiązkami”) wypuszczonym przez indyjski oddział Procter & Gamble.

Można oczywiście kampanii Ariela zarzucić fundamentalny błąd: jej przekaz jest taki, że mężczyzna pomaga kobiecie w obowiązkach domowych, czyli: robi JEJ pranie, wynosi JEJ śmieci, sprząta JEJ kuchnię. Takie stawianie sprawy utrwala przekonanie, że dbanie o dom jest kobiecym obowiązkiem, a mężczyzna może tylko „pomóc”. Tak jakby czyste ubrania, jedzenie w lodówce czy porządek nie były wspólnym celem w małżeństwie, partnerstwie czy rodzinie. Należy jednak pamiętać, że spot zrealizowano na rynek indyjski – zatem w kulturze mocno patriarchalnej i konserwatywnej, w której wielu milionom mężczyzn (i pewnie kobiet) idea aktywnego włączenia się mężczyzny w obowiązki domowe wydaje się przełomowa czy nawet rewolucyjna.

Ten sam Procter & Gamble przed Dniem Kobiet w 2017 r. odpalił globalną kampanię #WeSeeEqual. W tle dwuminutowego spotu słyszymy piosenkę „What’s up?” zespołu 4 Non Blondes. Na ekranie pojawiają się różne sceny z życia rodzinnego, m.in. ojciec przytulający niemowlaka w łóżeczku czy zmieniający dziecku śmierdzącą pieluchę itd. To zwraca uwagę widzów na podział obowiązków domowych i zmusza do zastanowienia się nad stereotypami – np. że czułość jest domeną kobiet.

Podobnych kampanii na świecie jest mnóstwo; zaczęło się od #MeToo, która była reakcją na aferę Harveya Weinsteina, jednego z czołowych producentów w Hollywood, który oferował aktorkom role w filmach za seks. Potem było #TimesUp (przeciw dyskryminacji i nierównościom w miejscu pracy), #HeforShe (zainicjowana przez ONZ, mająca zaangażować mężczyzn i chłopców w walkę o równość płci), #EndFGM



(przeciwko okaleczaniu żeńskich narządów płciowych), #PovertyIsSexist (jej celem jest działanie na rzecz dziewczyn i kobiet w najbardziej niebezpiecznych krajach świata).

Ktoś może powiedzieć, że wszystkie te kampanie poruszają problemy dalece ważniejsze niż nierówny podział obowiązków domowych. Szczególnie jeśli przypomnieć sobie przerażające statystyki z raportu UNICEF. Bo jakie znaczenie ma, kto pozmywa naczynia po obiedzie, jeśli miliony dziewczyn na całym świecie nadal jest okaleczanych tylko dlatego, że między nogami mają waginę? A kolejne miliony dziewczyn są regularnie bite i gwałcone?

Otóż takie stawianie sprawy, tzn. dzielenie przejawów nierówności płci na ważniejsze i mniej ważne, nie ma sensu. Każdy obszar nierówności ma znaczenie, wiele z nich jest ze sobą powiązanych, a jeden wynika z drugiego. Przeciw wszystkim trzeba protestować i działać jednocześnie. Może dzięki temu nasze córki albo dopiero wnuczki, będą mogły poczuć się pełnoprawnymi, równymi mężczyznom, obywatelkami świata. ○

Martyna Słowik

jest dziennikarką. Píše o kulturze i społeczeństwie. Jej teksty ukazały się m.in. w Tygodniku Powszechnym, Plusie Minusie, Krytyce Politycznej

Nigdy nie spłacaj długów wdzięczności



W DZIAŁALNOŚCI DOBROCZYNNEJ NIE WOLNO ULEGAĆ
ODRUCHOM TAKIM JAK WDZIĘCZNOŚĆ ALBO LITOŚĆ.
TRZEBA ROZDAWAĆ SVOJE PIENIĄDZE W TAKI SPOSÓB,
ŻEBY BYŁY JAK NAJEFEKTYWNIEJ WYKORZYSTANE

Peter Singer



AP Photo/Steven Senne/Getty Images

Michael Bloomberg, największy darczyńca w historii wyższej edukacji, odbiera honorowy doktorat na Harvardzie. Maj 2014 r.

W listopadzie ubiegłego roku Michael Bloomberg wpłacił największy w historii świata jednorazowy datek na szkolnictwo wyższe – podarował 1,8 mld dolarów dla John Hopkins University, swojej alma mater, z przeznaczeniem na stypendia dla najbiedniejszych studentów.

Bloomberg jest wdzięczny swojej uczelni, bo – jak wyjaśnia – przyznając mu kiedyś stypendium, „otworzyła przed nim drzwi, które inaczej pozostałyby zamknięte, i pozwoliła mu śnić na jawie amerykański sen”. W pierwszym roku po ukończeniu studiów wpłacił na rzecz uczelni zaledwie 5 dolarów, bo na więcej go nie było stać. Ale od tego czasu, dzięki sukcesowi jego firmy Bloomberg L.P., która od 1981 r. dostarcza światu informacji finansowych, podarował uniwersytetowi Johna Hopkinsa w sumie 3,3 mld dolarów.

Ludzie często wpłacają datki z wdzięczności. Nie tylko swoim uczelniom. Dają na podstawówki i szkoły średnie, do których chodzili, albo na szpitale, gdzie się leczyli. Jasne, że to szlachetne pobudki, ale jednak całkowicie sprzeczne z zasadą efektywnego altruizmu, która brzmi: rozdawaj każdego dolar tak, żeby przynosił największe możliwe dobro. Bloomberg tak uzasadnia swoją olbrzymią darowiznę: „Żaden absolwent szkoły średniej, który kwalifikuje się na studia, nie powinien być odrzucany wyłącznie dlatego, że jego rodzina ma za mało pieniędzy na koncie”.

A jednak w Stanach Zjednoczonych, w przeciwieństwie do innych zamożnych krajów, wielu uczniów nie idzie na wymarzone studia, bo nie mają na czesne. Są co prawda studenckie kredyty, ale po studiach trzeba je spłacić. Dziś niezwykle prezent Bloomberg zwiększa małą listę amerykańskich uczelni, które niezamożnym studentom fundują stypendia i całkowicie pokrywają wydatki na życie (na tej liście jest też zresztą mój pracodawca, Princeton University).

Bloomberg jest filantropem, który zrobił bardzo wiele dobrego. Trzykrotnie był wybierany na burmistrza Nowego Jorku, a jego administracja uratowała wielu ludziom życie, zakazując palenia papierosów w knajpach i w pracy. Doprowadził do poprawy jakości powietrza i o 19 proc. zredukował emisję gazów cieplarnianych w mieście. Walczył też o ograniczenie dostępu do nielegalnej broni, m.in. ufundował organizację, która się tym zajmuje (Everytown for Gun Safety).

Według magazynu „Forbes”, który od tego roku prowadzi ranking najbogatszych ludzi świata w kategorii dobroczynność, Bloomberg rozdał już ponad 5,5 mld dolarów. Daje mu to trzecie miejsce – za Warrenem Buffettem i małżeństwem Gatesów, Billem i Melindą. Co więcej, Bloomberg podpisał zobowiązanie (tzw. Giving Pledge), że do końca życia rozda co najmniej połowę majątku. Napisał wręcz, że „w najbliższych latach niemal cały mój majątek netto zostanie rozdany albo pozostawiony mojej fundacji”.

A jednak jakoś nie potrafię przyklasnąć datkowi Bloomberg dla uczelni, która ma kapitał 3,8 mld dolarów, a mimo tego od swoich studentów inkasuje po 54 tys. dolarów rocznie. Już bardziej podobało mi się, jak w 1992 r. Hank Rowan dał 100 mln na Glassboro State College, publiczną uczelnię w New Jersey,

której kapitał to skromne 787 tys. dolarów, a czesne – 9 tys. dolarów rocznie. Choć Rowan ukończył MIT, jedną z najlepszych uczelni świata, a jego darowizna nie jest przejawem wdzięczności. Po prostu chciał pomagać najbardziej, jak się da, inaczej mówiąc: najbardziej efektywnie. I uważał, że ważniejsze jest wzmacnianie najsłabszych ogniw systemu edukacji niż dawanie tym, którzy i tak już dużo mają.

Czynienie największego możliwego dobra powinno być ważniejsze niż osobista wdzięczność, ale nie musimy całkowicie ignorować własnych odruchów. Bloomberg mógł z wdzięczności dać swojej uczelni, powiedzmy, milion dolarów. W ten sposób spłaciłby zawiązką dług, jaki – jego zdaniem – kiedyś zaciągnął wobec swojej alma mater. A pozostałe 1,799 mld poszłyby na bardziej efektywne formy dobroczynności.

Na szczęście nie jest za późno. Od 2014 r. majątek Bloomberg podskoczył o 50 proc., do 48 mld dolarów. Jeśli więc nadal chce wyrównywać szanse studentów na dobrą edukację, zawsze może pójść za przykładem Rowana i poszukać uczelni w potrzebie.

Jednak najsłabszych punktów na globalnej mapie edukacji nie znajdzie w USA. Nie bez powodu George Soros, kolejny imponujący filantrop, założył Uniwersytet Środkowoeuropejski. Chciał dać szansę studentom z całego świata, ale najbardziej z dawnych komunistycznych krajów Europy.

Edukacja jest dziś najbardziej potrzebna w krajach rozwijających się, gdzie mnóstwo dzieci nie kończy nawet podstawówki. W Kenii pensja nauczyciela szkoły podstawowej zaczyna się od 2 tys. dolarów rocznie. Czyli za 1,8 mld dolarów 18 tys. nauczycieli mogłoby pracować 50 lat.

Zresztą dobro można czynić nie tylko w edukacji. Dylan Matthews, który dla portalu Vox pisze o efektywnym altruizmie, wziął pod lupę datek Bloomberg. W oparciu o dane GiveWell, organizacji analizującej wydajność w dobroczynności, policzył, że gdyby te 1,8 mld dolarów dać Fundacji Przeciwko Malarii (Against Malaria Foundation) na zakup moskitier, można by uratować życie 400 tys. ludzi!

Jest cała masa organizacji, które efektywnie i relatywnie niewielkim kosztem pomagają ludziom w potrzebie. Warto je wspierać. I żeby podarować im swoje pieniądze, wcale nie trzeba być miliarderem. ●

© Project Syndicate 2019

Peter Singer

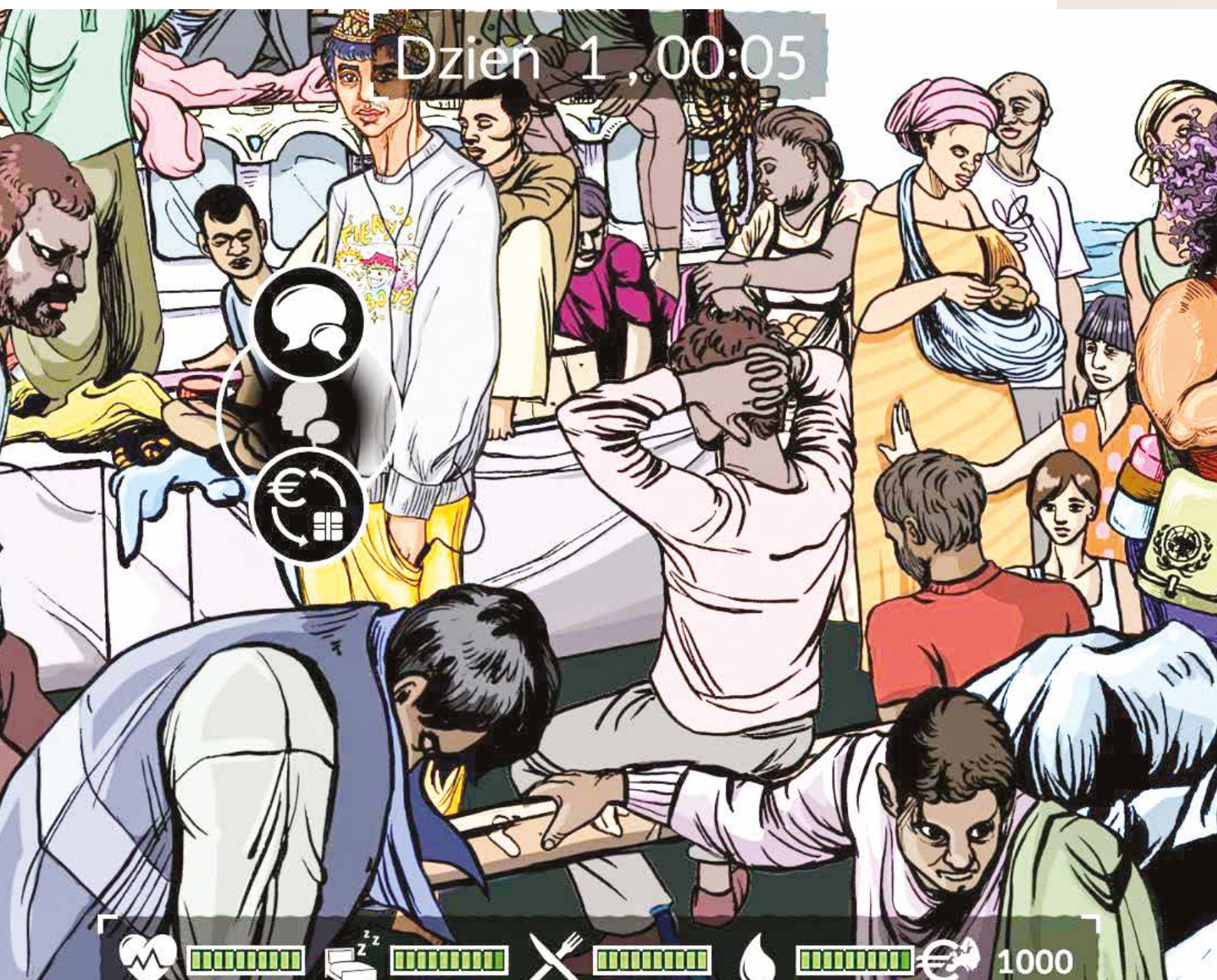
jest filozofem, który od kilku dekad propaguje rygorystyczne stosowanie etyki w praktyce. Wykłada na Princeton University.

Napisał wiele książek, z których najbardziej znane to *Practical Ethics*, *Animal Liberation* i *The Most Good You Can Do*

Twoja łódź tonie. Game Over



Wiktor Cyrny



Czy doświadczenia uchodźców można przełożyć na język gry komputerowej? Podjąłem to wyzwanie z lekkim niedowierzaniem, że kiedykolwiek uda się doprowadzić projekt do końca. Był rok 2015, nasze „spotkanie założycielskie”. Grupka 10 osób, koc na Polach Mokotowskich, większość popijała piwo, składaliśmy podpisy pod deklaracjami produkcyjnymi (kartka w kratkę, pismo odręczne). Wtedy wydawało się to wszystko bardzo naiwne. – Tak zaczynał facebook – żartował ktoś z nas.

Mineło kilka lat i oto pracujemy na pełnych obrotach. Zbieramy dokumentację w europejskich obozach dla uchodźców, spędziliśmy w nich wiele godzin i dni. Nawet teraz, kiedy jestem w Warszawie, rozmawiam z ich mieszkańcami prawie codziennie przez telefon czy skajpa. Którejś nocy dostałem email, a w nim straszne zdjęcie: samobójca powieszony na linii wysokiego napięcia. Uchodźcy mają potrzebę dzielenia się swoimi horrorami - albo nawet skrawkami smętnej obozowej codzienności – ze znajomym dziennikarzem z Europy. Wtedy czują, że są wysłuchani. Że ich cierpienie zostało zauważone.

To jest najważniejszy cel gry, również od drugiej strony. Żeby gracze poczuli, że rozmawiają z uchodźcami. Że słyszą ich historie

Jędrzej Napiecek wymyślił to wszystko jeszcze zanim w 2015 r. ruszyła na Europę największa fala uchodźców z Afryki i Bliskiego Wschodu i zanim wszyscy zobaczyli słynne, wstrząsające zdjęcie małego topielca, trzyletniego chłopca z Syrii, którego ciało, popychane falami, leżało na plaży.

„To było pięć lat temu, trwała wojna w Donbasie” – wspomina. „W jakimś reportażu przeczytałem o kobiecie, która codziennie przez 45 minut chodziła do sklepu po bułki pod ostrzałem artyleryjskim. Krótka wzmianka. 10 sekund lektury. Pomyślałem o drodze, która doprowadziła mnie do tych kilkunastu sekund refleksji: reporter pracował w Donbasie przez tydzień, może dwa. Zapewne przeprowadził kilkadziesiąt wywiadów. Pół roku życia bohaterki zostało sprowadzone do esencji trzech zdań. Wydało mi się to niewspółmierne

i ubogie doświadczenie. Zastanowiłem się – jak lepiej opowiedzieć o emocjach tej kobiety? Wyobraziłem sobie jej historię w formie gry. Gdybyśmy rozmawiali bezpośrednio z nią, tak jak dziennikarz, o wiele trudniej byłoby przejść obojętnie obok jej opowieści. Razem z nią przeszlibyśmy odwzorowanymi ulicami Donbasu. To pozwoliłoby nam zobaczyć jak czują się ostrzeliwani cywile, jak uciekają przez artylerię, jak ukrywają się przed patrolami wojsk. Ta perspektywa umożliwia pełniejsze zrozumienie ludzkich doświadczeń i uczuć. I właśnie w tym dostrzegam niesamowitą przewagę gier nad innymi rodzajami sztuki”.

GRA BEZ PUNKTÓW

Jędrzej pomysłem zaraził młodego game-designera Macieja Stańczyka, który doświadczenie zdobywał w CD Projekt (wydawcy najslawniejszej polskiej gry – „Wiedźmina”). Przejmujące grafiki - patrz wszystkie obok - rysuje artystka Natalia Jura. Muzykę tworzyć będzie Wiktor Mielczarek, producent muzyki elektronicznej, znany jako Souvenir de tanger. Do zespołu dołączyłem również i ja; zostałem jednym ze scenarzystów gry.

Wreszcie znalazł się również inwestor, który uwierzył w Jędrzejową wizję. Po niespełna rocznej współpracy postanowiliśmy pójść własną drogą. Dlatego założyliśmy ACT-ZERO, czyli firmę game-designerską. Fundusze staramy się pozyskiwać z grantów Unii Europejskiej, od przedsiębiorców czy sponsorów.

W naszej grze nie zbiera się punktów, nie wchodzi się na kolejne poziomy wtajemniczenia prowadzące do zwycięstwa. Prawie wszystko rozgrywa się na łodzi. Celem jest bezpieczne dotarcie do Europy, choć na pierwszy plan wychodzi drugi człowiek i jego historia. Podczas pobytu w obozie dla uchodźców na wyspie Lesbos dowiedzieliśmy się, że w trakcie niebezpiecznej przeprawy do Europy pasażerowie prowadzą rozmowy, by dodać sobie otuchy w jednym z najtrudniejszych momentów życia.

Rozmowa została więc materiałem, na którym pracujemy. Często po godzinach, za darmo, motywowani nie tyle wizją zarobku, co naszą idee fix. Szu-

kamy sposobu na opowiedzenie historii uchodźców również osobom generalnie niechętnym czy nawet wrogim względem „obcych”.

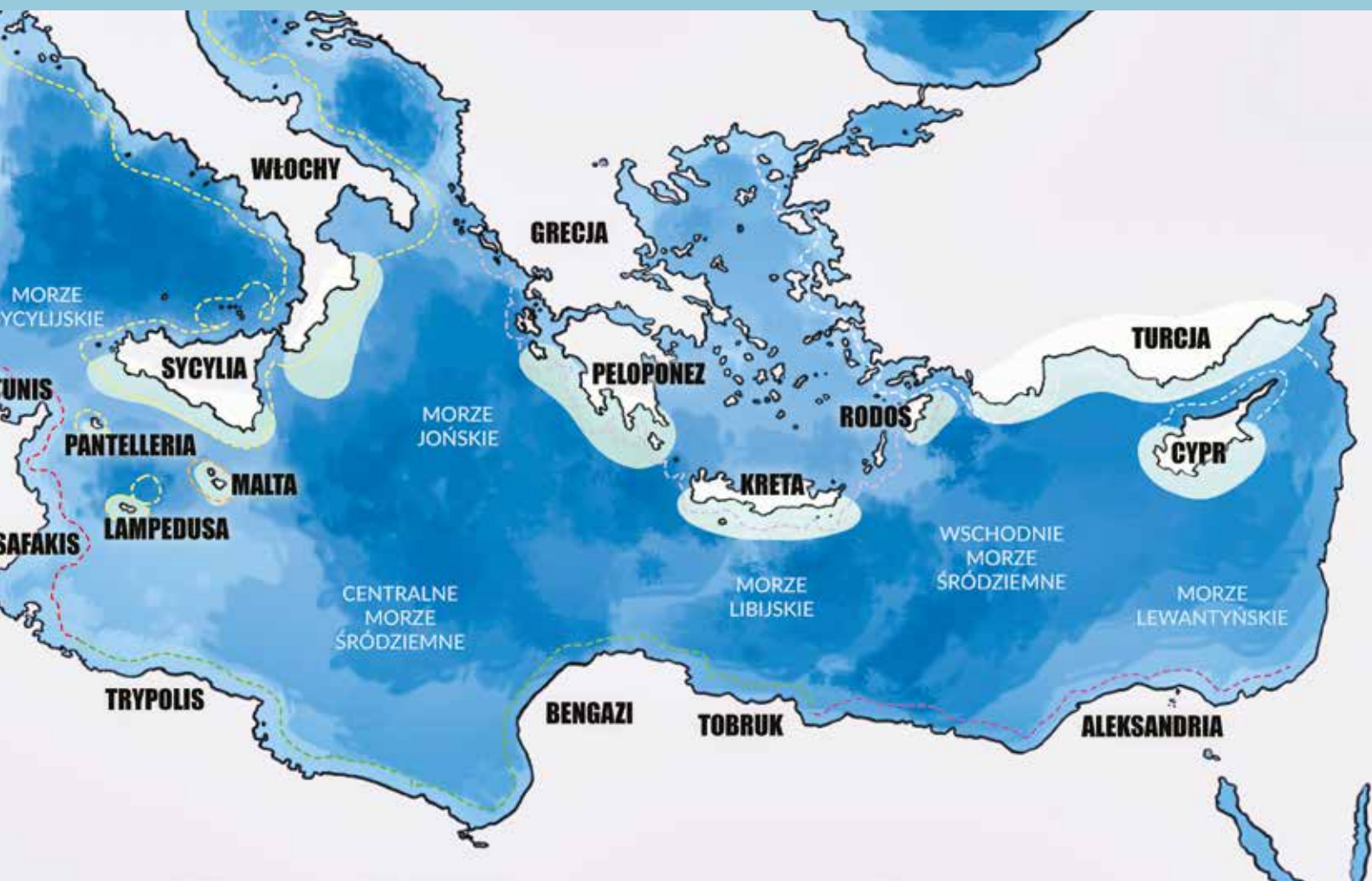
To bardzo ważne, bo większość uprzedzeń bierze się z niewiedzy i lęku przed innością.

NIE CHCESZ CZYTAĆ? ZAGRAJ

Przed wszystkim jednak chcemy dotrzeć do rosnącej grupy ludzi, głównie młodych, którzy poznają świat przez filmy, seriale oraz gry, a niekoniecznie poprzez książki czy długie artykuły. To również może być skuteczna forma nauki! Ci, którzy nie mają kontaktu z rynkiem gamingowym, a pamiętają tylko „sopera” (ang. *mine sweeper*) z windowsów, byliby zaskoczeni, jak bardzo zmienił się świat przedstawiony w tego typu produkcjach.

W grach nie chodzi już tylko o zdobywanie punktów i machanie mieczem. Przykład polskiej megaprodukcji „This





Ticket to Europe

War of Mine" (prawie 5 mln sprzedanych egzemplarzy) pokazuje, że ambitna, poważna tematyka może przynieść sukces komercyjny. W fikcyjnym świecie – inspirowanym wojnami w Jugosławii – poznajemy życie cywilów w warunkach wojennych, ich obawy i potrzeby.

Popularność gier „historycznych” czy „społecznych” dowodzi, że wśród graczy istnieje zapotrzebowanie na wysłuchiwanie opowieści drugiego człowieka. O ile kilkanaście stron zbitego reportażu jest dla niektórych nie do przebrnięcia, o tyle przedstawienie tej samej historii w interaktywnej grze może ich zainteresować i pochłonąć.

W 2018 roku minęło 50 lat od premiery „Tennis for Two” – jednej z pierwszych gier komputerowych w historii.

„Mimo, że gatunek rozwija się od pół wieku, gry, które nie są oparte na przemocy, pojawiają się relatywnie rzadko” – mówi

Maciej Stańczyk. „Dlatego z chęcią podjąłem się game designowego wyzwania jakim było »Ticket to Europe«. To gra bez walki, bez bossów na ostatnim levelu. To gra o ludziach takich jak my”.

MORALNY DYLEMAT

Jako scenarzysta gry „Ticket to Europe” miałem moralny dylemat. Czy możemy wykorzystywać cierpienia uchodźców do tworzenia „produktu”, który bądź co bądź, będzie uznawany za pewną formę rozrywki? Myślałem o fali hejtu, która wyleje się po wydaniu gry. Przecież będzie sprzedawana w internecie. Wyobrażałem sobie negatywne komentarze: „zarabiają na czyjejs krzywdzie”. Na ludziach, którzy uciekając przed wojną, prześladowaniem lub nędzą pokonali tysiące kilometrów; spędzili miesiące lub lata w tymczasowych więzieniach; czasami padali ofiarami handlu ludzкими narzędziami lub zmuszano ich do prostytucji.

Takie wątpliwości rozwiali sami uchodźcy.

Tacy jak Adnan, 27-latek z Afganistanu, jeden z bohaterów reportażu opublikowanego na portalu Holistic.news. Aż sześć razy wchodził na łódź, żeby przepłynąć z tureckiej plaży na odległą o kilka mil grecką wyspę Lesbos [należącą już do Unii Europejskiej - red.]. Los uchodźców porównywał do gry planszowej, w której stawką jest życie: „Złapała cię straż? Stałeś na pole: „Idź do więzienia!”. Stoisz dwie kolejki - grozi ci deportacja. To jemu pierwszemu pokazaliśmy Ticket to Europe”.

Adnan, czyli prawdziwy uchodźca, siedząc przed komputerem „wszedł” na wirtualny pokład łodzi zmierzającej do Europy. Dla nas była to chwila prawdy i najważniejszy test – bo przeprowadzony przez kogoś, kto to wszystko przeżył.

„Ogólny efekt oddaje atmosferę przeprawy. Oczywiście jest kilka odstępstw od rzeczywistości. Prawdziwa łódź jest po brzegi wypełniona ludźmi. Warunki podróży są nieco ułgodzone, ale tak to mniej więcej wygląda. Dobrze, że chcecie pokazać to światu. Im więcej osób zobaczy grę, tym większa szansa, że nas zrozumieją” – komentował.

Adnan zaakceptował również fakt,



Ticket to Europe

że zdecydowaliśmy się na zabiegi dramaturgiczne, które oddalają nas od kategorii non-fiction. Czasami na historię człowieka spotkanego w grze składają się opowieści kilku prawdziwych uchodźców. Takie zagęszczenie sytuacji, czy zwiększenie dynamiki wydarzeń, jest odpowiednie dla wirtualnego świata.

W „Ticket to Europe” uwierzył również Brytyjczyk Eric Kempson, wolontariusz i szef organizacji humanitarnej The Hope Project, z którą współpracowaliśmy

zbierając dokumentację na wyspie Lesbos: „Każda metoda przybliżenia tematu Europejczykom jest dobra. Spodobało mi się to, że gra umożliwi kontakt z awatarami uchodźców, rozmowę, zbudowanie z nimi relacji na własnych zasadach. Żaden artykuł, żaden reportaż tego nie zastąpi”. ●

Wiktor Cyrny

jest reporterem, dziennikarzem, filmowcem. Pisał m.in. dla Newsweek, Wprost, Krytyki Politycznej, współtworzył dokumenty Canal+ Discovery



Ticket to Europe

Herbata to opowieść



WYMAGA CIERPLIWOŚCI, POZWALA
WYHAMOWAĆ, ZNALEŹĆ SPOKÓJ. JEST
SPOSOBEM NA UCIECZKĘ OD ZGIEŁKU ŚWIATA

Z Muratem Kornajewem rozmawia Zbigniew Rokita



Zbigniew Rokita: Dlaczego w sporze „kawa czy herbata” wybierasz herbatę?

Murat Kornajew: Nie wiedziałem, że istnieje w Polsce taki spór...

Istnieje – podobnie jak spory „pies czy kot” bądź „wanna czy prysznic”.

Herbata jest dla mnie czymś więcej niż po prostu napojem, stoi za nią dużo: historia, sztuka, kultura, filozofia, aspekty religijne. Jest sposobem na ucieczkę od zgiełku świata, wprowadzenie rytmu, a każde jej zaparzenie jest treningiem uważności. To też nauka rozumienia swojego organizmu, obserwacji, w jaki sposób zmieniamy się w trakcie jej picia.

W krzewie herbacianym, tj. *camellia sinensis*, jest magia – to niby ta sama roślina, a powstających z niej aromatów, smaków, rodzajów jest tak dużo, że nie sposób przez całe życie spróbować wszystkich herbat. Pociąga mnie ta różnorodność.

Ten sam krzew daje różne herbaty – podstawowe to: zielona, biała, żółta, oolong, czarna i czerwona – w zależności od tego, jak długo pozwolimy trwać procesowi utleniania, czy tak? Gdyby herbatę zerwać później, nie byłaby już zieloną, ale czarną?

W pewnym uproszczeniu – tak. Tylko i wyłącznie technologia, a więc to, co zrobimy z liściem herbaty, wpływa na to, którą z sześciu odmian herbaty otrzymamy.

Przy tym z herbatą jest jak z, dajmy na to, jabłkiem: jest odmiana antonówka, jest lobo, jest szampion, ale to wciąż jabłko. Tak samo z krzewem herbacianym, którego odmian mamy mnóstwo.

Jaką herbatę pijesz w ostatnich dniach?

Trwa czas świeżych herbat, nie tak dawno piłem sincha (z japońskiego – „świeża herbata”). Pojawia się już w maju. To ciekawe: co roku spotkać się z noworoczną sinchą. Ma w sobie dużo energii.

Moda na zieloną herbatę, a w dalszej kolejności na inne odmiany, pojawiła się u nas dopiero niedawno. Na Dalekim Wschodzie jest inaczej?

Nie można powiedzieć, że na całym Dalekim Wschodzie najchętniej piją zieloną herbatę, to zależy od kraju. Pije się też dużo czarnej herbaty czy oolongów, w Chinach

czarna herbata w ogóle przeżywa ostatnio renesans. Na pewno herbata tam jest silniej zakorzeniona – spożywa się ją od tysięcy lat, podczas gdy w Polsce istnieje raptem od XVII–XVIII w.

A dlaczego w Europie zatriumfowała herbata czarna?

Jest ona łatwiejsza w produkcji na masową skalę, najłatwiej ją „ustandaryzować” i otrzymać produkt o przewidywalnym smaku.

W pewnym momencie rozwoju europejskiego rynku herbacianego pojawia się coś, co można określić mianem herbaty europejskiej – pochodzącej z upraw, które mieszczą się w koloniach europejskich krajów. Na przykład produkcję herbaty indyjskiej, która teraz jest dla nas czymś oczywistym, rozpoczęli dopiero Brytyjczycy. W Indiach wcześniej nie było przemysłu herbacianego, choć krzew herbaciany rośnie tam dziko.

Nie wszyscy o tym wiedzą. Prowadząc warsztaty z dziećmi, zadaję im pytanie, gdzie jest ojczyzna herbaty, często pada odpowiedź: Wielka Brytania. Tymczasem tam jest za zimno dla upraw. Zdarzają się tylko uprawy eksperymentalne, na małą skalę – w Szkocji prowadzi się od około dziesięciu lat taki eksperyment, wcześniej pewien mężczyzna wyhodował ileś krzaków w Polsce.

Jest jeszcze jeden aspekt przemawiający za popularnością czarnej herbaty w Europie – łatwość jej parzenia. Zalewamy wrzątkiem i gotowe. Oczywiście diabeł tkwi w szczegółach, ale w zasadzie to tak jest.

W przypadku zielonej herbaty jest już trudniej? Mówiłeś o sincha – powinno się użyć do jej zaparzenia wody o temperaturze ok. 75 stopni.

Nie trudniej, tylko inaczej. Po prostu to wymaga więcej czasu i uwagi. Łatwiej zepsuć smak, choć znowu – zepsuć, w znaczeniu uzyskać herbatę, która nie będzie odpowiadała naszym gustom. Jeśli wsypimy do dzbanka zbyt dużo herbaty, zalejemy wrzątkiem i zostawimy na kwadrans, otrzymamy cierpki, gorzki, wręcz wiążący język napój. Ale możemy tak dobrać ilość herbaty, temperaturę wody i czas parzenia, że napar będzie – np. w przypadku sincha – delikatny i wyrazisty, z jasnym, orzeźwiającym smakiem.

Ale tylko drugi sposób jest zgodny z tradycją.

Zależy o jakiej tradycji mówimy. Jeden z patriarchów

**Niby jedna roślina,
a powstających z niej
aromatów, smaków,
rodzajów jest tak
dużo, że życia zabrak-
nie żeby wszystkich
spróbować**

”



kultury herbacianej Japonii Eisai (XII–XIII w.) uważał, że żyje w Wieku Końca Dharmy, gdy ludzie tracą siły m.in. z powodu braku gorzkiego smaku w jedzeniu. Najlepszy sposób na dostarczenie sercu owej goryczy widział w pić herbaty. Dla niego owa gorycz była na miejscu.

Z kolei gdy przyjechałem do Chengdu, słynącej z herbaty stolicy chińskiej prowincji Syczuan, widziałem w ogrodach herbacianych ludzi z kuflami, w których była zielona jaśminowa herbata zalana wrzątkiem – nikt niczego nie przelewał, nie studził wody. Wyglądało to jak picie piwa w Polsce, napój tylko był inny.

Są jednak sposoby, które pozwalają wydobyć z liścia maksimum smaku. Tymczasem w polskich restauracjach na ogół niczego się o tym nie wie, zieloną herbatę zalewa się wrzątkiem jak czarną.

Myślę, że nie doceniasz Polaków. Przeprowadziłem się z Rosji do Polski mniej więcej 20 lat temu. W tym czasie kultura herbaciana się rozwinęła, albo raczej odrodziła się, bo w XIX w. i na początku XX pito dużo herbaty. Ludzie wiedzą jakie są jej właściwości zdrowotne, sprawdzają, jaki rodzaj odpowiada im najbardziej.

Dziś wiedza, że zielonej herbaty nie zalewa się wrzątkiem, jest powszechna. Nawet na opakowaniach kupionych w sieciówkach widnieje odpowiednia informacja. Jednocześnie często wywołuje to konsternację: skąd będę wiedział, kiedy woda osiągnie temperaturę 70 czy 80 stopni? To odstrasza. Tymczasem na tym właśnie polega ów trening uważności, o którym ci mówiłem.

Na czym on polega?

Uspokajamy się. Wypracowujemy sobie rytm poranka. Budzimy się, nastawiamy wodę, idziemy myć zęby, w tym czasie woda się zagotowała, wyparzamy czajniczek, smarujemy kanapkę masłem, wysypujemy herbatę. Woda w międzyczasie ostygła – zalewamy liście, parzą się, my dokańczamy przygotowywanie kanapki, następnie wlewamy wywar z czajniczka do filiżanki. Próbuje. Orientujemy się np., że napój jest za mocny.

Co źle zrobiliśmy? Są trzy parametry: ilość liści, temperatura wody, czas parzenia. Gramy tymi trzema parametrami, kolejnego dnia coś zmieniamy. Mija czas, aż w końcu nauczymy się przygotowywać dany rodzaj herbaty tak, aby smak nam pasował, i wypracowujemy sobie rytm. Żadne warsztaty nie zastąpią samodzielnego zaparzenia 200 litrów herbaty. W końcu nabierasz wyczucia. Później wystarczy ci powąchać liść, aby mieć wyobrażenie, jak najlepiej wydobyć z niego smak. Jeśli ktoś ma potrzebę, aby herbata zawsze miała taki sam smak, może sięgnąć po ekspresówki.

Na co dzień parzysz zawodowo herbatę w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Różne rodzaje i odmiany. Jaka była największym wyzwaniem?

Wyzwaniem nie jest to, co parzę, ale dla kogo. Wyzwaniem jest sytuacja. Na pewno inaczej przygotowywało mi się herbatę podczas Tea Master Cup 2016 w Seulu, kiedy zwyciężyłem w kategorii Tea Pairingu i kiedy dużo leżało na szali. Niektórzy uznają te zawody za mistrzostwa świata.



ta herbaciarzy, startują tam reprezentanci kilkudziesięciu krajów z wszystkich zamieszkałych kontynentów.

Zawsze jednak podkreślam: mówimy o napoju, a nie o sakralnym nektarze spływającym z niebios. Na herbatę też czasami trzeba popatrzeć z dystansu.

To popatrzmy na ekspresówki. Czym one różnią się od herbaty liściastej, o której do tej pory mówiliśmy?

Ciekawa jest sama historia herbat w torebkach. Według jednej z wersji narodziły się podczas pierwszej wojny światowej. Herbaty brakowało, więc zawijano ją w gazę i parzono w wielkich kotłach. Według innej wersji pewien Amerykanin, który opatentował ten koncept, wpadł nań w wyniku nieporozumienia. Wysyłając próbki herbaty, umieszczał je w jedwabnych woreczkach. Któryś z konsumentów nie zrozumiał, że przed zaparzeniem należy wyjąć liście z woreczka, więc zalał go wrzątkiem.

I zadziało.

Zadziało.

Herbaty ekspresowe nie są innym gatunkiem herbaty. Wypowiem herezję, ale pogarda herbaciarzy wobec takiego sposobu serwowania owego napoju nie jest do końca uzasadniona. Istnieją też bardzo dobre herbaty, które są tak pakowane, a dodatkowo jest to wygodniejsze i tańsze.

Zajmuję się też sprzedażą herbaty i spotykając się z klientami, często na początku rozmowy strzelam sobie w stopę, mówiąc: nie mam argumentów, które świadczyłyby o tym, że herbata w torebkach jest gorsza od liściastej.

Jak to? To herbaty ekspresowe nie są robione z odpadów? Z pyłu herbacianego, który podczas produkcji spada na ziemię?

Mówisz o najgorszych rodzajach ekspresówek. Rzeczywiście – te są najczęściej dostępne w sklepach sieciowych, czasem dodaje się do nich barwniki, aromaty, swoje robią kawałki metalu, klej, papier, niteczki. Ich jakość jest niska. Ale wszystko zależy od tego, co umieścimy w torebkach. Zdarza się, choć rzadko, że w woreczkach sprzedaje się świetnej jakości liście. Niedawno piłem tajwański oolong podawany w ten sposób. Powiem tak: chciałbym mieć w swoich zbiorach takie ekspresówki.

Sam powiedziałeś, że ekspresówki są na ogół tańsze. Tymczasem liściaste herbaty bywają kosztowne.

Ceny potrafią dochodzić do astronomicznych kwot. Weźmy herbatę czerwoną (według europejskiej klasyfikacji,

a czarną według chińskiej). W jej przypadku rocznik jest tak ważny, jak w przypadku wina. Bogaci ludzie inwestują w pu-erhy, zakładają pu-erhoteki na wzór winotek, wiedząc o tym, że po kilkudziesięciu latach sprasowane liście tej herbaty zyskają na wartości, powiedzmy, dwudziestokrotnie.

Dziś za ile się je sprzedaje?

Wyprodukowane w latach 50. czy 60. kosztują dziś dziesiątki tysięcy dolarów za 200–300 gramów.

Ale to atrakcja dla ludzi bogatych. W Polsce ceny dobrych herbat zaczynają się od mniej więcej złotówki za gram. Przyzwoitą można znaleźć już za połowę tej kwoty. Ale cena nie jest jedynym wyznacznikiem, na każdym pulapie można znaleźć coś ciekawego. Bardzo ważne jest, żeby napój odpowiadał momentowi, sytuacji. Musimy zawsze mieć świadomość, dlaczego ją spożywamy. Po obiedzie, gdy chcemy pobudzić trawienie i się obudzić, wystarczy nam niedrogi cejlon. Przebije się przez tłuste smaki, ogrzeje nas, doda energii. Gdy zaś wieczorem chcemy odpocząć, wygrzebmy coś uroczego.

A czy herbaty można używać jako „pobudzacza”, podobnie jak kawy?

Tak, np. zielona herbata ma właściwości pobudzające i jest dobrym wyborem, gdy ktoś chce odstawić kawę.

Działa tak samo?

Podobnie, choć są różnice. Spróbuj zielonej herbaty matcha. Pierwsze wrażenie osoby przyzwyczajonej do kawy, która się jej napiła, to rozczarowanie. Jesteśmy przyzwyczajeni, że pijemy espresso i dostajemy natychmiastowe doładowanie. Z matchą tak nie ma – wypijemy ją i nic się nie zmienia. Zaczyna działać po dłuższej chwili, za to działa dłużej. Łatwiej mi się po niej skupić, po kawie np. jestem bardziej rozkojarzony. Herbata wymaga większej cierpliwości. Pozwala wyhamować, znaleźć spokój. ☉



Murat Kornajew

jest światowej sławy herbaciarzem. Podczas Tea Masters Cup 2016 zwyciężył w kategorii Tea Pairing. Na co dzień jest tea makerem w Café Manggha w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha

Niech wasza mowa będzie: pach, pach, pach



INSTYTUCJE PAŃSTWOWE KOMUNIKUJĄ SIĘ Z OBYWATELEM W SPOSÓB BEŁKOTLIWY I ROZWLEKŁY. CZAS BRAĆ PRZYKŁAD Z BRYTYJCZYKÓW, KTÓRZY OD DAWNA DBAJĄ O PROSTOTĘ JĘZYKA URZĘDOWEGO

z dr Tomaszem Piekotem rozmawia Paulina Żebrowska

Paulina Żebrowska: Skąd wzięła się Pracownia Prostej Polszczyzny na Uniwersytecie Wrocławskim, w której pan pracuje?

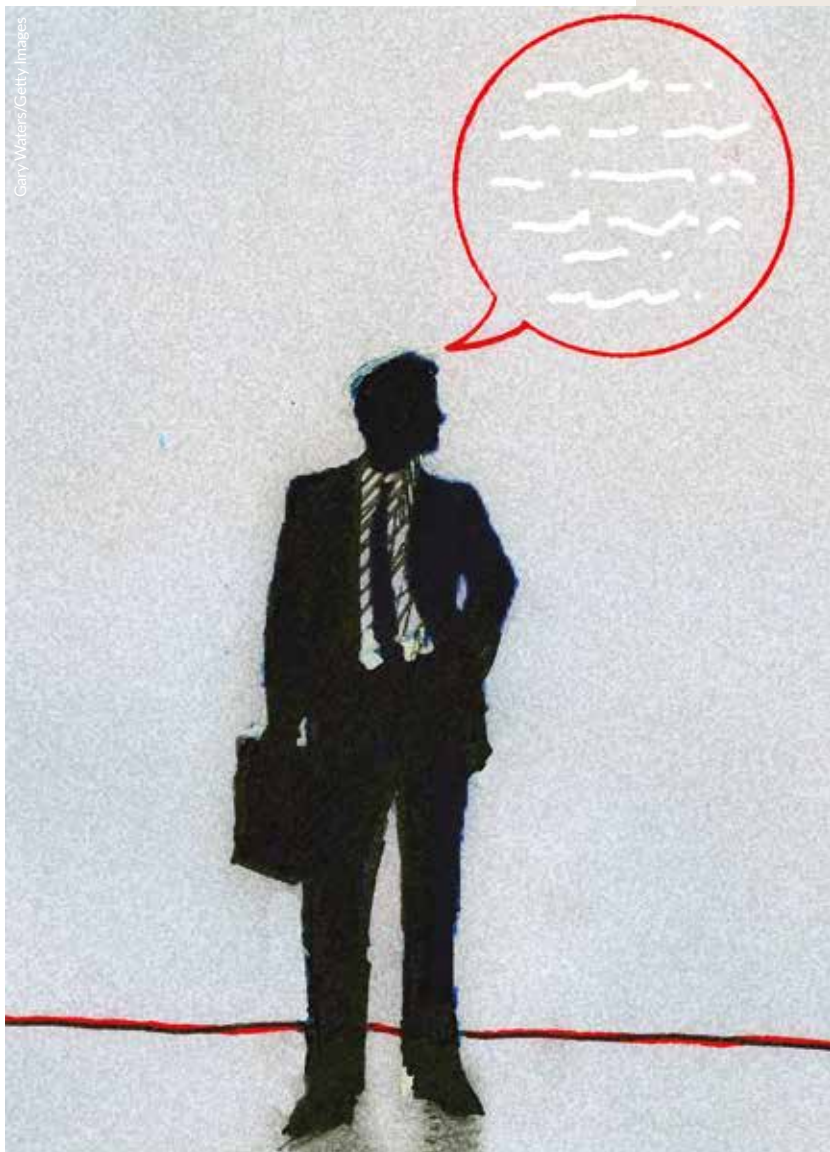
Tomasz Piekot: Dziesięć lat temu jedno z ministerstw szukało kogoś, kto przeprowadzi badania komunikatów urzędowych. Chodziło o to, by precyzyjnie zmierzyć poziom komplikacji tekstów o funduszach europejskich. Był to wymóg unijny.

Skontaktowaliśmy się z Politechniką Wrocławską, z inżynierami zajmującymi się maszynowym czytaniem i przetwarzaniem języka. Wspólnie przeprowadziliśmy pierwsze badania ilościowe. Wtedy też powstał poradnik o tym, jak pisać o funduszach europejskich. Urzędnicy nazywają go „poradnikiem Miodkowym”, bo na marginesach porad udziela prof. Jan Miodek – szef ówczesnego zespołu. Poradnik do dziś cieszy się wielką popularnością – można go znaleźć w internecie.

Potem zrozumieliśmy, że problem jest szerszy – gdy jeden z nas otrzymał pismo windykacyjne po niezapłaconej fakturze. Polskie firmy cierpią na stylistyczne rozdwojenie osobowości. Z jednej strony witają nas pięknymi, serdecznymi listami, z drugiej strony – gdy nie zapłacimy kilkunastu złotych – straszą, naśladując organy ścigania. Jak doktor Jekyll i pan Hyde.

Pracownia Prostej Polszczyzny krzewi standardy prostej polszczyzny, które nazywa pan obrazowo językiem trzech pach. O co chodzi?

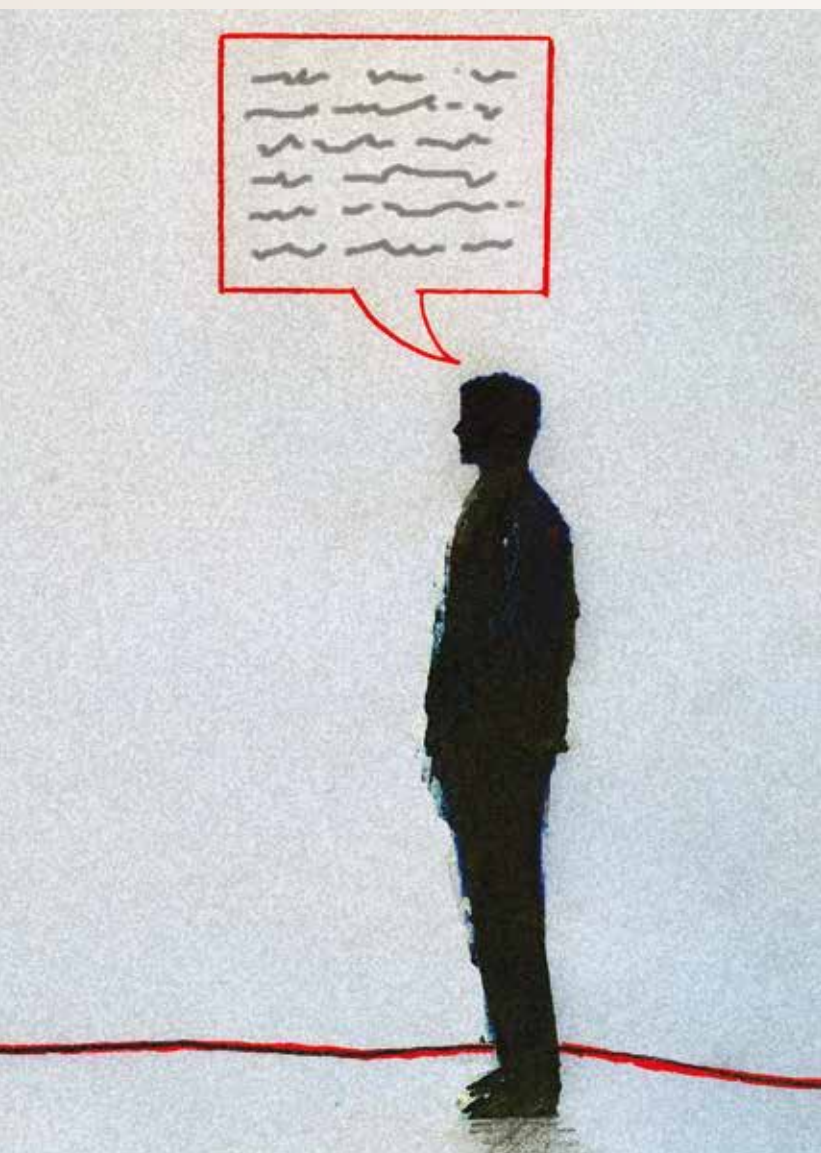
Nie chciałem powtórzyć błędu polskich fizyków, którzy przetłumaczyli żartobliwy termin „Big Bang” na poważny, poligonowy „Wielki Wybuch”. Popularyzatorzy nauki dobrze wiedzą, że terminy naukowe powinny być żartobliwe i anegdotyczne. Termin „język trzech pach” nawiązuje do słynnego veni, vidi, vici – zdania oddającego rytm



maszerującego legionu. Juliusz Cezar, który je wypowiedział, chciał wyrazić jak szybko i brutalnie rozprawił się z królem Pontu. Pomyślałem sobie, że język urzędowy powinien być oparty na tej samej zasadzie. Chcesz wyrobić paszport? Czytasz urzędowy opis, jak to zrobić. Pach, pach, pach... i wszystko wiesz.

Czyli język pach, pach, pach odwołuje się do najlepszych starożytnych tradycji retorycznych.

Tak, do cyceronowskiej zasady claritas. Do stylu jasnego i prostego, w którym przejrzysta jest intencja i w którym nie da się ukryć prawdy. W retoryce istniały dwa główne style wypowiedzi: wysoki i niski. Podobnie i dziś mamy dwa główne sposoby komunikacji. Styl jasnych informacji i działań – „styl na zewnątrz”, oraz jego przeciwieństwo, styl zadumy i rozwoju intelektualnego – „do wewnątrz”. W pierwszym powinniśmy pisać teksty urzędowe i firmowe, w drugim – powieści, publicystykę i traktaty filozoficzne.



Jak językoznawcy „prostują” język?

Postęp w tej dziedzinie wiąże się z rozwojem narzędzi informatycznych do przetwarzania języka naturalnego. Istnieje w Polsce kilka firm, które się tym zajmują (sam jestem współwłaścicielem jednej z nich).

Dzięki nowym technologiom analizujemy teksty, które Polacy lubią czytać, i na tej podstawie tworzymy model atrakcyjnej polszczyzny. Każdy tekst możemy dopasować do wykształcenia i przyzwyczajeń czytelniczych różnych grup odbiorców. Inaczej bowiem pisze się w prostym języku do prawnika, a inaczej do statystycznego Polaka, a jeszcze inaczej – do dziecka. Dla prawnika 30 wyrazów w zdaniu nie jest wyzwaniem. Ale czytelnik „Faktu” w swoich lekturach nieczęsto widzi zdania dwudziestowyrazowe.

To ciekawe, że o języku rozmawiamy za pomocą liczb.

Australijski lingwista James Martin powiedział kiedyś, że istnieją dwa językoznawstwa. Nie tylko literaturoznawstwo, które mieści się w humanistyce.

Nowe, naukowe językoznawstwo potrzebuje liczb, żeby być bliżej życia?

Raczej bliżej prawdy. W nauce wiedza powinna narastać, tzn. na starsze teorie nowe powinny się nakładać, eliminując koncepcje fałszywe lub niepotwierdzone, tworząc wąską wiedzę na kształt piramidy. Mam wrażenie, że w naukach humanistycznych wiedza się rozrasta, ale w szersz – na zasadzie alternatywnych, konkurujących wizji z tego samego poziomu.

To źle?

Nie, to specyfika humanistyki. Ale niezwykle pożyteczna byłaby powtarzalność badań. Ostatnio np. międzynarodowy zespół psychologów powtórzył najsłynniejsze badania psychologiczne sprzed lat i tylko połowa z nich przeszła tę próbę pomyślnie.

Przypomina się krakowski spór sprzed kilku lat o to, czy dyscypliny humanistyczne w ogóle mieszczą się w obrębie nauki.

Od dwóch lat jestem jurorem talent show dla młodych naukowców (FameLab) i humaniści nie mają tam prawa wstępu. Jak widać, dla niektórych spór ten jest już dawno rozstrzygnięty.

A co to jest standard plain language i do czego nam jest potrzebny w polskiej przestrzeni publicznej?

Plain language to, najprościej mówiąc, ruch społeczny, który obejmuje coraz więcej krajów na świecie. Im bardziej dane społeczeństwo zanurzone jest w kulturze informacji, im częściej i więcej ludzie konsumują danych, tym mocniej upowszechnia się tam idea plain language.



Za ojca tego ruchu uznaje się Winstona Churchilla (nota bene laureata nagrody Nobla z literatury). Churchill w czasie bitwy o Anglię przygotował tzw. dyrektywę o zwięzłości – tajną instrukcję pisania raportów wojennych, w której zalecał krótkie zdania i akapity, przenoszenie danych ilościowych do załącznika czy pisanie bez erudycyjnych ozdobników.

Prawdopodobnie uporowi Churchill Brytyjczycy zawdzięczają najprostsze i najbardziej przystępne teksty urzędowe na świecie [w 2010 r. tropem Churchilla poszedł ówczesny prezydent Barack Obama, który podpisał Plain Writing Act, czyli nakaz prostego i klarownego pisania obowiązujący urzędników federalnych - red.]

Podobny nurt pojawił się w latach 60. w korporacjach. Wtedy to powstał gatunek tekstu zwany executive summary. To streszczenie raportu adresowane do wysokiej rangi decydenta, który musi podjąć decyzję w krótkim czasie – bez szans na głęboką lekturę.

Czy naukowcy także powinni posługiwać się prostym językiem?

Profesor Jerzy Bralczyk powiedział ostatnio, że w dobrej komunikacji sztuką jest ukrycie sztuki. Wierzę, że prostota to najwyższa forma wyrafinowania. Niestety szkoła nie uczy nas prostoty tylko rozwlekłości. No ale skoro bełkot przetrwał w procesie ewolucji, to jest nam do czegoś potrzebny.

Do czego może być nam potrzebny bełkot?

Bełkot to w dużym stopniu strategia manipulacyjna. To wynika z naszych badań i obserwacji. Długie i bełkotliwe zdania pełnią funkcję autoprezentacyjną. Co ciekawe, częściej używają go osoby niepewne swojej zawodowej pozycji. Dotyczy to np. młodych naukowców i sędziów. Ich teksty mają zwykle mniej trudnych słów, ale dłuższe zdania, które ten deficyt terminów maskują. Podobnie zachowują się rzecznicy prasowi, którzy w sytuacjach kryzysowych nie mają zbyt wiele do powiedzenia. Najczęściej tworzą długie, rozwlekłe zdania ze sporą liczbą zaimków i przymiotników.

Gdzie uproszczenie języka jest najbardziej palące?

We wszystkie polskich urzędach – to na pewno. Istnieją też jednak cztery branże komercyjne, które wymagają głębokiej zmiany stylu komunikacji. To branże, które w PRL należały do sfery urzędowej: bankowość, ubezpieczenia, telekomunikacja i energetyka. Ich teksty formalne często nadal trudno odróżnić od urzędowych. Na szczęście wiele w Polsce już się zmieniło. Niektóre urzędy i firmy wysyłają do obywateli i konsumentów proste pisma. Sporo z nich zgłasza się także na Uniwersytet Wrocławski po certyfikat prostej polszczyzny. Sporo obiecują sobie po deklaracji prostego języka, którą 3 października 2018 r. podpisały najważniejsze polskie urzędy. Oby jej sygnatariusze przeszli szybko od słów do działań. ●



Tomasz Piekot

jest językoznawcą, kierownikiem Pracowni Prostej Polszczyzny na Uniwersytecie Wrocławskim

Co pokolenie,
to WYBORCZA



 wyborcza.pl

